

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**      **Nr 7/454 - 8/455**      **1985**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

**MALARSTWO JANA LEBENSTEINA**

K. KRUK: **KARLI REALIZM**

OBSERWATOR:

**PYTANIE Z REFORMY GOSPODARCZEJ**

J. SZUŁDRZYŃSKI: **CZY NIEMCY NAS ZROZUMIELI?**

Zb. BYRSKI: **AFRYKA POŁUDNIOWA**

# SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i> .....	3
<b>MALARSTWO JANA LEBENSTEINA</b>		
Czesław Miłosz:	<i>List do Jana Lebensteina</i> .....	15
Konstanty A. Jeleński:	<i>Samotna droga Jana Lebensteina</i> ....	16
Krzysztof Pomian:	<i>Czas Lebensteina</i> .....	21
◆		
Endre Bojtár:	<i>Wschodnioeuropejczyk — precyzyjniej</i>	29
Krzysztof Kruk:	<i>Karli realizm</i> .....	32
Sławomir Mrozek:	<i>B a b a</i> .....	51
<b>WIERSZE</b>		
Adam Tadeusz Bąkowski:	<i>„Fortuna”. — Umrzeć w Polsce</i> ....	53
Antoni Pawlak:	<i>Lato i inne</i> .....	54
Witold Wirpsza:	<i>Rozmyślania (luźne)</i> .....	56
Guido Zlatkes:	<i>Totentanz. — Nadzieja Mandelstam</i> ..	58
<b>ARCHIWUM POLITYCZNE</b>		
Zbigniew Byrski:	<i>Afryka Południowa</i> .....	61
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli</i> .....	69
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i> .....	82
—	<i>Oświadczenie ptn-ameryk. Studium</i> <i>Spraw Polskich</i> .....	90
<b>K R A J</b>		
Leopolita:	<i>All that jazz</i> .....	92
Obserwator:	<i>Pytanie z reformy gospodarczej</i> .....	98
—	<i>Potępienie procesu gdańskiego</i> .....	108
<b>SĄSIEDZI</b>		
Jan Szuldrzyński:	<i>Czy Niemcy nas zrozumieli?</i> .....	111
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	127
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	133
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i> .....	137
<b>KRONIKA KULTURALNA</b>		
Anna Błaszkiwicz:	<i>Nowe tematy i stare motywy</i> .....	139
Józef Czapski:	<i>Wnioski niedomyślane</i> .....	161
<b>CI, CO ODESZLI</b>		
Jadwiga Maurer:	<i>Narodziny klasyka</i> .....	164
M. Broński:	<i>Leopold Tyrmand (1920-1985)</i> .....	168
<b>KSIĄŻKI</b>		
Janina Katz Hewetson:	<i>Ludzie i pojęcia</i> .....	177
Stanisław Barańczak:	<i>Śledztwo w sprawie Boga</i> .....	183
—	<i>Polacy w Ontario</i> .....	187
—	<i>Nadstawane nowości wydawnicze</i> .....	188
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki:</i> <i>francuska, kanadyjska i szwedzka</i>	191
◆		
St. Babiński, A.J., W. Iwa- niuk, T. Podgórski:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	200
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> .....	204
<b>DOKUMENTY</b>		
Prof. Wł Markiewicz:	<i>Dyskusja nad raportem PAN-u</i> ....	205
—	<i>Uchwała Twa Nauk. Prawa Karnego</i>	212
Prof. St. Nowacki:	<i>Postanowienie min. Nauki i Szkolnic- twa Wyzszego</i> .....	213
<b>Z OSTATNIEJ CHWILI</b>		
(j.a.):	<i>Notatki z Polski</i> .....	215

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec/Sierpień - Juillet/Août 1985

INSTYTUT



LITERACKI

## WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Andrzej M. Cisek, Carmel, N.Y. (USA) — dla uczczenia pamięci śp. dr. Janusza Osińskiego — w rocznicę Jego śmierci — \$ 48,00 .....	F. 437,00
Prof. Andrzej Ehrenkreutz, Ann Arbor, MI (USA) .....	F. 100,00
Kazimierz J. Logay, Sarasota, FL (USA) — po raz 10-ty — \$ 48,00 .....	F. 437,00
J. Sienkiewicz, North Gravenhurst, Ont. (Kanada) — \$ c. 10,00	F. 65,00
W dziesiątą rocznicę śmierci Stefana Komornickiego — Żona ..	F. 116,00

DZIĘKUJEMY!

## WPLATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

A.A. z NYC i B.B. z NYC (USA) à \$ 10,00 — \$ 20,00 ....	F. 182,00
Beziemiennie z Toronto (Kanada) — na solidarność w Kraju — \$ c. 45,00 .....	F. 297,00
Sabina Lewi, Jeruzolima — dla uczczenia pamięci prof. Tadeusza Kotarbińskiego — była uczennica .....	F. 500,00
Pieniądze uzyskane ze zbiórki: Leszek — \$ 10,00; M. J. Świerczewski — \$ 80,00; A. Weryho — \$ 37,00; W. Józef — \$ 8,00; G. Jan — \$ 15,00; Jarek — \$ 13,00; Galwanizer — \$ 4,00; Czesław — \$ 3,00; S. Józef i „Marian” à \$ 5,00; „Antoni” — \$ 2,00 — razem na „Solidarność” w Polsce — \$ 182,00 .....	F. 1.656,20
Genowefa Sobkowicz, Chicago, IL (USA) — \$ 100,00 .....	F. 910,00
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” w Winnipeg, Man., (Kanada) — sumę uzyskaną ze spektaklu teatralnego J.K. (Nadesłał Zbigniew Pierzchała) — \$ c. 180,00 oraz sumę zebraną podczas mszy św. w kościele św. Andrzeja Boboli w dniu 26 maja 1985 — \$ c. 328,00 — razem : \$ 508,00	F. 3.302,00
Marek Szuman, Woodhaven, N.Y. (USA) .....	F. 190,00

## WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

E.M., Paryż — na prześladowanych w Polsce .....	F. 200,00
Fundacja Centrum Informacyjne Polska 13 Grudnia w Amsterdamie (Stichting Informatiecentrum Polen 13 December) — dla Liberalno-Demokratycznej partii „Niepodległość”, po raz 2-gi — Fl.h. 1.000,00 .....	F. 2.699,78
Koło byłych Żołnierzy Armii Krajowej w Cleveland, Ohio (USA). (Nadesłał skarbnik Bronisław Nowak) — \$ 300,00	F. 2.730,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — na prasę podziemną — \$ c. 100,00 .....	F. 650,00
Polskie ugrupowanie Polityczno-Społeczne „Niepodległość — Solidarność” w Calgary, Alta (Kanada): z darowizn w czasie koncertu w Domu Polskim w Calgary 17. 02. 1985 — \$ c. 226,00; ze sprzedaży Biuletynu Mazowsze 21. 03. 1985 — \$ c. 48,00 i ze zbiórki na otwartym spotkaniu Ugrupowania z Polonią 26. 05. 1985 — \$ c. 44,00 — razem : \$ c. 318,00 — na działalność opozycji politycznej w Polsce	F. 2.067,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 224)

## Dziennik pisany nocą

Neapol, 13 kwietnia 1985

Czytam w korespondencji włoskiej z Moskwy, że Gorbaczow postawił swój pierwszy ważny krok na „froncie wewnętrznym”, mianowicie „wypowiedział wojnę wódce” pod wpływem „dramatycznego raportu syberyjskiego oddziału Akademii Nauk”. Raport jest istotnie dramatyczny, choć nie zaskakujący dla czytelników szkicu Krasikowa z roku 1977 *Towar numer jeden* i opowiadania Jerofiejewa *Moskwa-Pietuszki*. Tyle że syberyjscy akademicy nie poprzestają na „wyrażeniu niepokoju”, jak to zazwyczaj bywało dotychczas; biją otwarcie na alarm. Jeśli tak dalej pójdzie (ostrzegają), ZSSR będzie zmuszony do rezygnacji z roli supermocarstwa. W roku 1980 „ostrych pijaków” (nałogowych) było czterdzieści milionów, pod koniec stulecia ta cyfra podskoczy do sześćdziesięciu milionów. „Za dwanaście-piętnaście lat przestaniemy być wielkim mocarstwem, zważywszy że połowa dorosłej ludności będzie rozpiła w stopniu wykluczającym wydajną pracę i obronę kraju”. W osobliwej wersji współczesnej pojawia się więc znów, po Czernyszewskim i Leninie, nieśmiertelne rosyjskie pytanie: *Czto diejat?* Akademik Fiodor Ugłow proponuje wprowadzenie rygorystycznego „suchego reżymu”: nie wystarczy wzywać do umiaru w picu, trzeba wycofać wódkę ze sprzedaży. Czyli zawiesić jej produkcję, przekreślając siedemdziesiąt miliardów rubli rocznego dochodu z Towaru Numer Jeden? Tak, odpowiada Ugłow, nie ma innego wyjścia, „jeśli chcemy uniknąć degeneracji i przeistoczenia się w naród półgłówek”.

Butelka wódki — oświeca swoich czytelników korespondent włoski — umożliwia w ZSSR ucieczkę od rzeczywistości, pozwala

walczyć z alienacją, z brakiem alternatyw, z trudnymi warunkami pracy, z samotnością.

Po ukazaniu się francuskiego wydania nowej książki Michała Hellera *Maszyna i śrubki* paryski *Express* przeprowadził wywiad z autorem. Heller wypowiada się w nim także na temat wódki: „Wódka jest konieczna, gdyż daje człowiekowi wrażenie wolności. Jest namiastką wolności. Dziś stała się ona językiem, znakiem przynależności do kolektywu. Obywatele sowieccy nie potrafili rozmawiać bez picia. Kto się powstrzymuje, staje się natychmiast podejrzany. Tylko ciężka choroba może człowieka zwolnić od picia. I okazuje się, że alkohol towarzyszy wszędzie triumfalnemu pochodowi komunizmu, nawet w republikach muzułmańskich”.

Zacząłem od wódki, bo poręczniej mi w ten sposób powiedzieć parę słów o książce Hellera. Nie ma dwóch zdań, że jest bardzo dobra, z niezwykłym bogactwem udokumentowana na każdej stronicy w opisie prób stworzenia „człowieka sowieckiego”, o niebo precyzyjniejsza od „naukowych tez” Zinowiewa. A przecież w ostatecznej instancji i Heller popełnia błąd Zinowiewa: nieprzerwane próby, nieustanne usiłowania stworzenia *homososa* bierze za dowód, że został już prawie definitywnie stworzony (prawie, bo jeszcze nie w „stanie czystym”). Naturalnie — i to jest różnica zasadnicza — Heller pisze o tym z głębokim uczuciem zgrozy, gdy Zinowiew szarpie się wciąż między naskórkową odrazą, króliczą fascynacją w obliczu „tysiącletniego monolitu” i nie zanadto ukrytym westchnieniem nostalgicznym do stalinowskiego „polotu naszej młodości”.

Dlaczego, na przykład, alkoholizm jako „namiastka wolności” występuje u Hellera w roli czynnika „towarzyszącego triumfalnemu pochodowi komunizmu”? Wydawałoby się na zdrowy rozsądek (i teraz dodatkowo w świetle raportu syberyjskiego oddziału AN), że świadczy raczej o instynktownych oporach wśród uczestników „triumfalnego pochodu”. Heller słusznie poświęca osobny rozdział znaczeniu „języka sowieckiego”, totalitarnej „nowomowy”, w procesie kształtowania *homososa*. Równocześnie jednak widzi w wódce drugi język, inny „znak przynależności do kolektywu”, podważając tym samym monopol totalitarnej „nowomowy”. O czym i jak rozmawiają obywatele sowieccy, którzy „nie potrafili rozmawiać bez picia”? Heller wyjaśnia w *Maszynie i śrubkach*: „Istnieją wszelkie podstawy do twierdzenia, że alkoholizm uważany jest przez sowieckie kierownictwo za mniejsze zło w porównaniu z naprężeniem, jakie powstałoby przy braku wódki. Alkoholizm przeobraził się w Związku Sowieckim w jeden z ważniejszych obrzędów, świadczących o przynależności do kolektywu”. Być może. Ale jeśli uznamy alkoholizm

za swoisty, zastępczy obrzęd wolności (a coś takiego właśnie sugeruje Heller), to trudno uniknąć konkluzji, że w doskonałej maszynie totalitarnej kilkadziesiąt milionów śrubek znajduje się w stanie permanentnego uszkodzenia, obluźowania, rozklekotania. Ze, krótko mówiąc, jest ona mniej doskonała, niż sądzą rzecznicy uformowanego już nieodwołalnie (lub prawie) „człowieka sowieckiego”.

*L'homme atrophié*: tak swoją recenzję z książki Hellera zatytułował Jean-François Revel. Kluczowe pytanie brzmi: sowiecki „człowiek atrofizowany” ma świadomość swojej atrofii, czy też nie wiedząc o tym przybrał już postać nowego człowieka? Ja twierdząc, że ma, podejrzewam nawet, że coraz ostrzejszą. Heller pozostawia sprawę otwartą. Kończy książkę słowami: „U progu trzeciego tysiąclecia los świata zależy od odpowiedzi na pytanie: można czy nie można przerobić człowieka”.

14 kwietnia

Nie można. Albo dokładniej: można, zabijając go na raty. Heller poprzedza epilog swojej książki fragmentem rozmowy Winstona Smitha z O'Brienem, z *Roku 1984* Orwella. Winston: „Wiem, że przegracie. Jest coś w wszechświecie, jakiś duch, jakieś wieczyste prawo, którego nigdy nie pokonacie”. O'Brien: „Jakież to prawo?”. Winston: „Nie wiem. Duch człowieka”. O'Brien: „A sam uważasz się za człowieka?”. Winston: „Tak”. O'Brien: „Jeżeli jesteś człowiekiem, to ostatnim. Z umierającego gatunku ludzkiego. My zajmiemy wasze miejsce”.

Heller opuścił w tym dialogu pytanie O'Briena: „Wierzysz w Boga, Winstonie?” i odpowiedź Winstona: „Nie”. Pominiecie o tyle istotne, że posępna orwellowska wizja „ostatniego człowieka” (powieść miała się początkowo nazywać *The Last Man*) jest częścią tego, co Alain Besançon w przenikliwym szkicu o Orwellu (*La falsification du Bien: Soloviev et Orwell*) określa, analizując O'Briena, jako szczególną, demoniczną i „negatywną”, teologię Zła absolutnego. Zanim doszło do przytoczonego wyżej dialogu, Winston „wiedział z góry, co powie O'Brien: że Partia nie szuka władzy dla swych własnych celów, tylko dla dobra większości, że szuka władzy, ponieważ ludzie w masie są słabymi tchórzliwymi stworzeniami, które nie mogą ani znieść wolności, ani sprostać prawdzie; stworzenia te muszą być rządzone i systematycznie oszukiwane przez silniejszych”. Byłaby to — wtrąca Besançon — odpowiedź klasyczna, odpowiedź Wielkiego Inkwizytora z *Braci Karamazow*. Ateista Winston jednak źle „wiedział z góry”. Jego oprawcy nie chodziło o nową formę teokracji; uosa-

biał demoniczną, „negatywną” teologię Zła absolutnego. Diabeł O'Brien natychmiast wyprowadził „ostatniego człowieka” z błędu: „Partia pragnie władzy dla samej władzy... Interesuje nas jedynie czysta władza... Celem tortury jest tortura. Celem władzy jest władza”.

Opisując system sowiecki, Heller skłania się ku teokracji Wielkiego Inkwizytora z powieści Dostojewskiego, a nie ku teologii Wielkiego Diabła z powieści Orwella. Cały, długi rozdział *Maszyny i śrubek* zatytułowany jest *Ideologizacja: triada Wielkiego Inkwizytora*. Poprzedza go motto z „poematu” Iwana Karamazowa: „Istnieją trzy siły, tylko trzy siły na ziemi, które mogą na wieki zniewolić i zjednać sumienia tych słabych buntowników dla ich szczęścia. Te siły — to cud, tajemnica i autorytet”. Heller zaczyna rozdział zdaniem: „Wielki Inkwizytor, wyjaśniający w *Braciach Karamazow* Chrystusowi, w jaki sposób należy dać ludziom szczęście, sformułował z uderzającą ścisłością i wiążącością zasady sowieckiej ideologii”.

Co w „sowieckiej ideologii” ocalało po dziś dzień z triady Wielkiego Inkwizytora? Cud? Tajemnica? Zadał im śmiertelny cios raport Chruszczowa (tajny). Pozostaje autorytet. Autorytet tak; ze wszystkimi totalitarnymi instrumentami, które go w ZSSR podtrzymują; i ze wszystkimi wybiegami, niewolniczymi chytrściami, „namiastkami wolności”, które go zwodzą i podmywiają. Za mało, by „przerobić” człowieka; by dobiwszy bezapelacyjnie dogorywającego „ostatniego człowieka”, obwieścić dumnie ukształtowanie jego następcy, nadejście millenijnej ery „nowego człowieka sowieckiego”.

22 kwietnia

Z mojej prywatnej „czarnej księgi cenzury w PRL”.

W roku 1976 powierzono kardynałowi Wojtyłe rekolekcje dla Pawła VI i jego najbliższych współpracowników. Ogłosiło je niebawem poznańskie Pallottinum w tomie *Znak, któremu sprzeciwiać się będą*. Po włosku ukazały się w książce *Segno di contraddizione* dopiero po wyniesieniu Wojtyły na tron papieski. Stało się wtedy możliwe porównanie wykropkowanego w kilku miejscach tekstu polskiego z pełnym tekstem włoskim. Ofiarą cenzury padła między innymi krótka reminiscencja: „Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie zrobił na mnie żołnierz rosyjski w roku 1945. Do drzwi seminarium w Krakowie zapukał wojskowy. Na moje pytanie czego chce odpowiedział, że chce wejść do seminarium. Nasza rozmowa przeciągnęła się długo. Chociaż nie wszedł do seminarium (miał zresztą mgliste pojęcie, czym jest semina-

rium), ja osobiście wysnułem z naszego spotkania wielką prawdę: jak oto Bóg potrafi cudownie przeniknąć do umysłu ludzkiego, nawet w skrajnie nieprzychylnych warunkach Jego systematycznej negacji. Mój rozmówca w swoim dorosłym życiu nigdy prawie nie przestąpił progu kościoła. W szkole, a potem przy pracy, słyszał ciągle: Boga nie ma! A przecież powtarzał w rozmowie ze mną: Ale ja wiedziałem, że Bóg istnieje, i chciałbym teraz, chciałbym teraz dowiedzieć się o Nim czegoś więcej”.

Interwencję cenzury trzeba uznać za „prawidłową”. Nie do pomyślenia i nie do wyobrażenia jest krasnoarmiejec, człowiek radziecki, który puka do drzwi seminarium z absurdalnych, urojonych (przez autora rekolekcji) pobudek religianckich.

Wczoraj dostałem wydane w Krakowie wspomnienia Zygmunta Zaremby *Pokolenie przelotne*, zajmujące i cenne dla historyków PPS. Obejmują okres od najwcześniejszej młodości przyszłego przywódcy robotniczego do roku 1919. Znowu mogłem porównać wydanie dość obficie wykropkowane z udostępnioną mi niegdyś w Paryżu fotokopią manuskryptu książki. Dwie interwencje cenzury zasługują na szczególną uwagę.

Wybuch rewolucji rosyjskiej zastał Zarembę w Charkowie. „Rozpalona do białości propaganda przeciwko Centralnej Radzie Ukraińskiej stała w sprzeczności z hasłem samostanowienia, aż do prawa odłączenia się od Rosji. W Biełgorodzie stacjonował polski pułk rewolucyjny, który chciał być wierny rewolucji i odmówił połączenia się z armią polską, tworzoną przez Dowbór-Muśnickiego... Banda marynarzy weszła do miasta i jej dowódca objął wojskową komendę Biełgorodu. Doniesiono mu, że polski pułk wzdraga się walczyć z Ukraińcami. I to mu wystarczyło. Otoczył dom, w którym mieszkali oficerowie polscy, napadł na nich i wymordował”.

Również ta interwencja cenzury jest „prawidłowa”. Tabu tematu ukraińskiego. Wymordowanie oficerów polskich, które dziś musi budzić niezdrowe skojarzenia (nawiasem mówiąc, wznieiony na Powązkach pomnik katyński w wersji Moskwy ma przypuszczalnie „raz na zawsze położyć kres szerszeniu się wśród Polaków kompleksu antysowieckiego”).

Nieco inaczej przedstawia się sprawa drugiej interwencji cenzury. „Perspektywa przemazzerowania przez Polskę armii bolszewickiej przypominała mi zbyt żywo wydarzenia przeżyte na Ukrainie; los Ukrainy mógł tylko napełniać lękiem. Kiedy jednak przypominałem Tadeuszowi (Żarskiemu) to co sam przeżył w Kijowie podczas konferencji PPS w listopadzie 1917 roku, gdy pod uderzeniem oddziałów bolszewickich runęły pierwsze zręby niepodległej Ukrainy, odpowiadał, że Polska to nie na pół zrusz-

czona Ukraina i bolszewicy nie mają żadnego interesu burzyć państwa polskiego, co zresztą stale powtarzają”.

W tej formie usunięty przez cenzurę fragment odtwarza po prostu wczesną różnicę zdań między dwoma pepesowcami. Żaremba ze swoimi łękami pozostał pepesowcem (czyli „socjalzdrajcą”) i umarł w roku 1967 na emigracji. Żarski wstąpił w roku 1921 do KPP, w latach 1928-1930 był posłem na Sejm, w roku 1932 wyjechał do ZSSR i tam zginął w rok później, ale w roku 1956 został pośmiertnie zrehabilitowany. Zrehabilitowano straconego niesłusznie towarzysza polskiego, który od początku słusznie ufał pozytywnemu stosunkowi towarzyszy radzieckich do odbudowy państwa polskiego. Czemu więc wpadły w popłoch myśli na ulicy Mysiej?

Przed wojną Stanisław Jerzy Lec ułożył, z okazji jedynej konfiskaty *Gazety Polskiej*, dowcipny dwuwiersz: „Tak długo gryzł cenzor, aż się w własny ugryzł jęzor”.

27 kwietnia

Wieczorem gość z Polski, inteligentny młody człowiek, kilka godzin wykladał mi swoją teorię Diabła w Historii (oba słowa z dużej litery). Nie żeby plótł głupstwa, przeciwnie, ale nie lubię kiedy się za dużo *mówi* o Bogu i Diabie; a taka jest dziś w Polsce tendencja, że szkoda dla spraw bardziej przyziemnych i uchwytanych. Bóg mieszka również w naszym milczeniu i w naszych utajonych myślach; Książę Ciemności, rozzuchwalony nadmierną o nim gadaniną, czuje się zapewne dobrze wśród nowych wciąż oznak swej wszechobecności.

Pod koniec monologu — bo był to właściwie monolog — mój gość odkrył karty: zamierza napisać studium o Leninie zatytułowane po rosyjsku *Bolszoi Bies*, naturalnie z potrójną aluzją do bolszewików, do powieści Dostojewskiego i do tytułu powieści Sołoguba *Mielkij bies*. Wpadało mi coś nareszcie powiedzieć, oczekiwał tego mój elokwentny gość.

— Dostyc rozpowszechniona była kiedyś opinia trockistów, inspirowana przez samego Trockiego, że Stalin przyspieszył śmierć Lenina. W liście do Michała Hellera z roku 1979 Borys Suwarin potwierdza prawdopodobieństwo trockistowskiego pomówienia, odbierając mu jednak charakter politycznego skrytobójstwa: jeżeli rzeczywiście Stalin dopomógł Leninowi umrzeć, to chodziło o akt eutanazji. Suwarin wspomina, że w roku 1923, podczas przedostatniego kryzysu w chorobie Lenina, Bucharin przyjechał wzburzony na posiedzenie Kominternu wprost od chorego. Zapytany o jego stan, odpowiedział bliski płaczu, że Lenin nie pa-

nuje już nad swoimi czynnościami fizjologicznymi (określając rzecz eufemistycznie) i zaklina obecnych: *Ubijcie mienia*. Tytułem wyjaśnienia Bucharin dorzucił: *Jemu stydno*. Niewykluczone zatem, że Stalin spełnił tylko błagalną prośbę Lenina.

— Do czego pan zmierza? — zaniepokoił się wyraźnie mój gość.

— Do niczego. Warto po prostu, żeby pan o tym wiedział, zabierając się do pisania studium o Leninie. Jak i o tym, że u szczytu porewolucyjnych trudności Leninowi wyrwał się któregoś dnia okrzyk: „Bierze ochota wyć z rozpacz do księżycy!”. Siniawski wykorzystał ten motyw w świetnej scenie powieści *Lubimow*, gdy Lenin układa zimą po nocach plan pięcioletni, co jakiś czas wyskakując z zaśnieżonej chaty na mróz powyć trochę do księżycy, po czym wraca do swoich liczedeł. U pana *Bolszoi Bies* w diabelskim wcieleniu wilkołaka-wyjca mógłby być jeszcze efektowniejszy.

Nie, nie był zachwycony wizytą u mnie, o czym świadczą jego nagły pośpiech i zakłopotany, słodko-kwaśny uśmiech pożegnalny.

30 kwietnia

Nasza lokalna gazeta podaje wiadomość, że umarł w Florencji słynny księgarz-bibliofil i antykwariusz P. Znałem go z widzenia i ze słyszenia, gdy mieszkał w Neapolu otoczony sławą *iettatore*. Słowo brzmi u nas groźnie, oznacza rzucającego zły urok. *Iettatura* albo *malocchio* (złe oko): w tradycji neapolitańskiej tak żywe były te dwa złowróżbne określenia i postacie co głośniejszych *iettatori*, że Aleksander Dumas poświęcił im aż cztery rozdziały w swojej książce o Neapolu *Il Corricolo*. Są żywe i nadal, chociaż na mniejszą skalę. P., na przykład, nie dorównywał zeszlowiecznemu księciu Ventignano, który rzucał zły urok szczerą doprawdy ręką (a raczej okiem): dość powiedzieć, że podczas jego pierwszej wizyty w operze San Carlo oberwał się ogromny żyrandol; lub że nielubiany przez niego narzeczony córki zapadł natychmiast po ślubie na niemoc płciową (po unieważnieniu małżeństwa oboje ex-małżonkowie założyli nowe, szczęśliwe i bogate w potomstwo rodziny). Harold Acton posłużył się modelem księcia Ventignano w neapolitańskiej opowieści *Prince Isidore*.

O P. opowiadano, że przynosi „małe nieszczęścia”; i ograniczono kontakty z nim do niezbędnego minimum. Bardzo być może, że dlatego właśnie przeniósł się do Florencji, gdzie *iettatura*

nie budzi takich obaw, jeśli jest w ogóle obecna w tokańskiej umysłowości. P., stary kawaler i pokurcz o niesamowitej wręcz brzydocie, nienawidził luster. Należały do rzadkości w jego neapolitańskim antykwariacie, zasłonięte zawsze specjalnymi pokrowcami. Mawiał podobno: „Przeglądałem się w oczach moich bliźnich, to mi wystarczy”.

Znaleziono go martwego w fotelu przed wielkim zabytkowym lustrem w połączonych ramach, w komórce antykwariatu florentyńskiego, do której nigdy dotąd nie zachodził. „Umarł w dziwnych i znaczących okolicznościach”, pisze gazeta, robiąc delikatną lecz dość przejrzystą aluzję do *malocchio* P. Jak gdyby nasz dawny *iettatore* neapolitański uśmiercił „złym okiem”, odbitym w lustrze, samego siebie.

5 maja

Blisko ćwierć wieku temu Jerzy Stempowski zorganizował mały sympozjon o „zagadnieniach językowych literatury emigracyjnej”. Cztery teksty — Stempowskiego, Jeleńskiego, Brzękowskiego i mój — ukazały się w numerze czerwcowym *Kultury* z roku 1961. Czyta je się po latach z pożytkiem.

Po krótkim interludium „październikowym” roztoczono znowu w kraju przed literaturą emigracyjną perspektywę „nieodwracalnego uwiądu”. Zdaje się, że to wtedy właśnie krytyk poetycki jednego z tygodników warszawskich odkrył w wierszach Miłosa objawy „usychania” i „drętwienia” języka (włoscy literaci pod panowaniem faszyzmu ubolewali nad „drewnianym” językiem emigranta Silonego).

Sympozjon Stempowskiego był więc przypuszczalnie reakcją na wznowione w kraju zapowiedzi naszej „śmiertelnej sklerozy”. Stempowski przeprowadził w swoim tekście rozróżnienie między językiem mówionym, pisanym i literackim, z których każdy posiada własne prawa i własną autonomię wewnętrzną, aby zakonkludować: „Powiadają nam, że oderwana od kraju i jego mowy literatura emigracyjna skazana jest na zagładę. To się jeszcze zobaczy. Na razie widać tylko tyle, że — słuszne czy nie — przewidywania te są źle umotywowane”. W moim tekście mowa o dwóch najczęściej przez diagnostyków w kraju wskazywanych zagrożeniach: o nieuchronnym zaniku rynku odbiorczego, oraz o zgubnym oderwaniu od polskiego środowiska i polskiego języka mówionego. Rozważając pierwsze zagrożenie, wspominałem między innymi o „anonimowych czytelnikach w kraju, których możemy już dziś, w cztery lata po Październiku, dojrzyć wyraźniej”. W analizie drugiego zagrożenia jest taki fragment: „Pisarz da

się przyrównać metaforycznie do rzeźbiarza: jeśli zdołał wywieźć ze swego kraju ojczystego blok surowca językowego, może w nim kuć z powodzeniem całe życie nawet na obczyźnie. Często oderwanie mu sprzyja: odnajduje wyczulonymi palcami w materiale własnego języka kształty i formy, do jakich nie dotarłby może nigdy, żyjąc pod nieustannym naciskiem żywej mowy; dostrzega wyostrozonym wzrokiem i słyszy czujniejszym uchem barwę słów i kadencję zdań uchwytną, być może, jedynie w izolacji i ciszy. Reszta jest sprawą wyobraźni, wrażliwości intelektualnej, inteligencji, doświadczeń, obserwacji, rozmyślań, marzeń, poszukiwania stylu; czyli problematyki tkwiącej w samej literaturze, a nie w języku”.

„To się jeszcze zobaczy” Stempowskiego. Co się widzi w ćwierć wieku później? Literatura emigracyjna nie tylko uniknęła zagłady, ale jest w kraju obecna w stopniu przewyższającym najśmielsze oczekiwania. Nie jestem nawet pewien, czy dzięki nowym wciąż wydaniom poza cenzurą wolno o niej dalej mówić „źle obecna” (w każdym razie jest obecna coraz lepiej). Zatarło się przy tym samo pojęcie jej „emigracyjności” w pierwotnym, dość sztywnym sensie, wobec wyjazdu za granicę szeregu pisarzy z PRL i napływu manuskryptów niecenzuralnych w kraju. Nie tak dawno jeszcze w polskiej publicystyce urzędowej rzucano gromy na „obłądny zamiar wyprowadzenia literatury polskiej za granicę”; nikt takiego zamiaru nie miał, po prostu obalono pregradę „dwóch literatur”. Teraz pisze się dla odmiany o ostatecznym „zmierzchu” literatury emigracyjnej, stosując na wzór pewnych plemion afrykańskich magiczny zabieg przekładania i rozszarpywania kukieł wyobrażających niedosiężnego przeciwnika.

8 maja

W czterdziestą rocznicę końca wojny rozległy się ewokacyjne głosy na temat historycznej daty: dzień 8 maja 1945 wspominają ludzie znani, żyjący jeszcze protagoniści historii, i wyłuskani na chybił trafił przez dziennikarzy przedstawiciele „szarej masy”. Dla mnie ewokacja jest zbitką rzymskiego maja 1945, bez dokładnej daty, i w tej formie ma pewną pobladłą wymowę, porusza jakieś stare, głuche struny.

Usiłowano wtedy w polskim Rzymie kombatanckim przytępić trochę winem świadomość, że my w każdym razie nie wyszliśmy z tunelu wojny na pełne światło dzienne. Euforię miasta zaprawialiśmy własną goryczą. W dzień niosła nas wysoka fala zwycięstwa. Wieczorami siadaliśmy w zarekwirowanych przez wojsko knajpach, pijąc do późnej nocy, niekiedy w milczeniu.

W dzień... Mam fotografię z napisem na odwrocie: „Rzym w maju 1945, z wnukiem Garibaldiego”. Przedstawia grupę wojskowych polskich i francuskich pod pomnikiem Garibaldiego na Gianicolo, po złożeniu wieńców; stoję tam obok brodatego potomka „bohatera dwóch światów”, młody, dwudziestosześcioletni...

W dzień... Wiwatowano i bito w dzwony na cześć pokoju, często śpiewano i tańczono na ulicach, witano wolność obmytą na wieki krwią wojny. Modlono się w kościołach i w synagodze nad Tybrem za poległych, zamęczonych, spalonych, zagazowanych...

Nocą łało się strumieniami nasze ciemne i cierpkie wino ni to uczestnictwa w zwycięstwie, ni to wyłączenia z niego. Byliśmy równocześnie wewnątrz i poza. Nasze oczy nie widziały końca wojny w jej historycznym końcu.

15 maja

Na wystawie *Caravaggio e il suo tempo* w pałacu Capodimonte. Caravaggio w oprawie antenatów i naśladowców. Chociaż w salach poświęconych tylko jego malarstwu brak kilku wielkich obrazów, to co pokazano starczy by wyczuć kim był i ile znaczył.

Jeżeli ktoś kiedyś postanowi napisać *Życie Caravaggia* (mimo luk i licznych „obszarów cienia” w jego biografii), będzie musiał wymyślić specjalny styl opowiadania — gorączkowy, urywany, oparty na skurczach i rozkurczach. W ostatniej zwłaszcza dekadzie 1600-1610 żył jakby w ciągłej malignie. Gwałtowny, porywczy, wiecznie najeżony, kłótniwy w bójkach do krwi, ścigany jako zabójca człowieka, rozdarty między impulsem ucieczki i pragnieniem powrotu tam skąd uciekł. *Muore di febbre*, piszą w jego życiorysach. Zabiła go gorączka w Porto Ercole, gdzie oczekiwał ułaskawienia i zezwolenia na powrót do Rzymu. Miał niepełną pięćdziesiąt lat.

Jaki malarz utrwałiby swoją podobiznę w obciętej głowie? Jego jedynym przypuszczalnie autoportretem jest obcięta głowa Goliata w ręce Dawida: martwa i jeszcze żywa, z grymasem gniewu i zdławionego krzyku w półotwartych ustach, z szaleńcym błyskiem w rozwartych szeroko oczach. Prócz Dawida i Goliata, namalował Judytę, która obcina głowę Holofernesowi i Salome z obcięta głową Jana Chrzciciela. Położył swój podpis w krwi cieknącej z głowy Chrzciciela. Pociągały go sceny dekapitacji. I sceny biczowania Chrystusa. W neapolitańskim *Biczo-*

waniu, jednym z trzech namalowanych, nadał niesamowitą ekspresję figurom biczujących, wdarł się w nie z rozpaczliwą furią. Jak daleko od lodowatego, metafizycznego *Biczowania Piera della Francesca* w Urbino!

Uważa się jego wynalazek *chiaroscuro* za narzędzie odsłaniania niewidzialnego. Jest zarazem formą tajemniczego przesłaniania widzialnego. W światłocieniu Caravaggia tkwi potrzeba upowszednienia, dotykającego udramatyzowania w życiu, wrażliwości i wyobraźni religijnej. Realizm bólu Chrystusa biczowanego wyrażają jego wściekły oprawcy. Na zamówienie rzymskiego kościoła Santa Maria della Scala namalował *Morte della Vergine*; płótno uznano za skandaliczne, być może bluźniercze, i odrzucono. Przedstawia Umarłą w postaci steranej życiem, zniszczonej kobiety, z cienkim pierścieniem aureoli wokół głowy, nienaturalnym prawie znakiem świętości w tak ziemskim obrazie śmierci.

Przychodzi na myśl *Madonna del Parto* w kaplicy cmentarnej w Monterchi. Ale toskańska chłopka Piera della Francesca w sukni rozpiętej na ciężarnym brzuchu wnosi akcent spokojnej i uroczystej ziemskości, gdy u Caravaggia wiara zderza się gwałtownie z ludzkim życiem i ludzką śmiercią.

20 maja

Nowa powieść Moravii ma się nazywać *Człowiek który patrzy*. Zobaczymy jak będzie wyglądał ten *Człowiek który patrzy*, ale już teraz musi zastanawiać i niepokoić tytuł pierwszego drukowanego w prasie rozdziału: *Żyć wzrokiem nie myśląc*. W samym tytule bowiem (nie mówiąc o treści rozdziału) zawarty jest cały program literacki, który zdaje się wskrzeszać francuską nieboszczkę, modną kiedyś „szkołę spojrzenia”. Wskrzeszony piórem głośnego powieściopisarza włoskiego, „realizm okulistycki” odgrzeje też prawdopodobnie stare polemiki na temat „śmierci powieści”.

Polemiki były i będą jałowe z tego prostego powodu, że nie można w nich z góry przewidzieć wypadków nadspodziewanych, czyli pojawiania się co jakiś czas narratorów urodzonych i rozsmakowanych w sztuce opowiadania. W Rosji powstało kilka wybitnych powieści, rozkwitła nagle powieść w Południowej Ameryce, we Włoszech pisarze tacy jak Tomasi di Lampedusa i Umberto Eco zadali kłam krakanom o „nieuchronnej śmierci gatunku”, Kundera dzielnie broni znaczenia powieści i szans jej dalszego prosperowania. A jednak, powiedziawszy to wszystko, trudno nie zauważyć że w „średniej” produkcji powieściowej dogorywają podniety, decydujące o potrzebie opowiadania. Żyć wzrokiem



nie myśląc... Taka dewiza prowadzi istotnie do przeobrażenia sztuki opowiadania w nudny upór opowiadania za wszelką cenę, nawet jeśli nie ma się nic do opowiedzenia poza drobiazgową rejestracją oglądanej rzeczywistości.

Nie wyobrażam sobie dobrej prozy powieściowej i nowelistycznej bez większego czy mniejszego poczucia zagadkowości i wieloznaczności istnienia, bez daru widzenia nie równoznacznego wcale z umiejętnością patrzenia. Niebezpieczeństwem jest grubo ciosana jednoznaczność, lęk przed nieznanym i na pozór nieprzenikalnym. Kto patrzy i nie myśli, komu „szkoła spojrzenia” ma zastąpić imaginację i intuicję, ten sztuce narracyjnej odbiera najgłębszą rację bytu. I niewiele tu pomoże — żeby wrócić do Morawii — sprawność rzemiosła pisarskiego.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

## Malarstwo Jana Lebensteina

*Staraniem OO. Pallotynów odbył się w dniu 3 czerwca w sali parafialnej l'église d'Auteuil wieczór poświęcony 30-toleciu twórczości Jana Lebensteina połączony z pokazem jego ostatnich prac — ilustracji do Apokalipsy. Księga, tak jak poprzednio Księga Hioba, ukáže się w Editions du Dialogue.*

### LIST CZESŁAWA MIŁOSZA DO JANA LEBENSTEINA

Kochany Jasiu,

Malując swoje potwory towarzyszyłeś nam, naszej małej konfraterni, tak samo jak Ty potworami naszego stulecia przejętej. Twoje dzieło nieraz przypomina mi o opiniach Aleksandra Wata, który w sztuce i literaturze nam współczesnej widział odrodzenie się makabrycznej wizji baroku z jego stałym *memento mori*. Tragiczna religijność naszego przyjaciela Józka Sadzika znalazła wyraz w Twojej Księdze Hioba i Apokalipsie. Moja własna poezja również tutaj należy, bo u jej sedna znajdzie się ciemny obraz ludzkiej egzystencji.

Słusznie tedy byłeś ilustratorem ksiąg mało radosnych, choć może pobożnych, czy były to księgi Biblii, czy Twoich przyjaciół poetów.

To prawda, przez kilka dziesiątków lat próbowałem Ciebie namówić do malowania spokojnych, tłustych krów na łące, jak żywych. Siebie też próbowałem namówić, ale niezbyt udawało

mi się naśladowanie mego idealnego bohatera, byka Fernando, wachającego kwiaty.

Toteż przyjmowałem z pokorą Twoje upotwornienia, nawet Twój wybór krajobrazów, wśród których ostatnio coraz częściej pojawia się posępny, nagły, sprażony słońcem Grand Canyon.

Uważam Ciebie za barokowego malarza, spokrewnionego z Włochami. Choć posuwasz bardzo daleko sprzeczność pomiędzy formą ludzkiego ciała i jego rozpadem, jego szkieletowością, jest to u Ciebie prawdziwa pasja erotyczna, gniew na ciało, że jest tylko tym, czym jest. Może dobrze czułybyś się w skórze jezuita księdza Baki, czerpiącego przyjemność z opowiadania dąmom, co z ich pierściami i biodrami śmierć będzie wyprawiać.

Zdaje się, że pisząc niedawno wiersz o baroku, myślałem o Wilnie, o niektórych miastach włoskich i o Tobie. Pozwolisz więc, że tutaj ten krótki wierszyk przeczytam:

*Na pewno mamy wiele ze sobą wspólnego  
My wszyscy, którzy rośliśmy w miastach baroku  
Nie pytając, jaki król ufundował kościół  
Mijany co dzień, jakie księżne mieszkały w pałacu,  
Ani jak nazywali się architekci, rzeźbiarze,  
Skąd przybyli i kiedy, czym stali się sławni.  
Woleliśmy grać w piłkę pod rzędem strojnych portyków,  
Biegać obok wykuszów i schodów z marmuru.  
Potem nam były miłsze ławki w cienistych parkach  
Niż nad głowami gęstwa gipsowych aniołów,  
A jednak coś nam zostało: predylekcja do linii krętej,  
Wysokie spirale przeciwieństw, płomieniopodobne,  
Strojenie kobiet w suto drapowane suknie,  
Żeby dodawać blasku tańcowi szkieletów.*

Czesław MIŁOSZ

## SAMOTNA DROGA JANA LEBENSTEINA

Czytając po raz pierwszy wiersz Zbigniewa Herberta „Potęga smaku”, przyszło mi na myśl, że poeta używa w nim liczby mnogiej nie tylko ze względu na zwykłą konwencję autorską, że myśli o nielicznych twórcach swego pokolenia odpornych na „heglowskie ukąszenie”, którzy dosłownie nie byli w stanie dostosować się do wymogów polskiej wersji żdanowizmu i temu zawdzięczają swój spóźniony debiut dopiero w latach 1955-1956.

Jednym z nich był niedawno zmarły Leopold Tyrmand, którego tu wspominam, gdyż był w najcięższym okresie blisko z Herbertem związany. Dwóch innych podziwiałem na równi z Herbertem od chwili zetknięcia się z ich dziełem — Mirona Białoszewskiego i Jana Lebensteina. Do Lebensteina ten wiersz pasuje jak ulał. Zauważcie państwo, że Herbert swą wczesną postawę „odmowy, niezgody i uporów” przypisuje cechom wrodzonym, niemal fizjologicznym: *włóknom* duszy, *chrząstkom* sumienia. To one każą „wyjść, skrzywić się, wycedzić szyderstwo”. Ciężko zapewne mieć taką naturę i często trzeba za nią drogo zapłacić. Ale jest to również natura dosłownie zbawienna. Zbawiła ona Lebensteina nie tylko od kapitulacji przed Lewiatanem w okresie jego wczesnej młodości. Pozwoliła mu, jakby za sprawą instynktownej samoobrony (którą sam nieraz, wraz z innymi przyjaciółmi, brałem za skłonność autodestrukcyjną), uniknąć pułapek wczesnego, błyskawicznego powodzenia, z jakim spotkał się na Zachodzie. Powróć jeszcze do tej mimowolnej doprawdy strategii, która przejawia się inaczej, gdy jest się otoczonym żelazną kratą i strażą, inaczej zaś gdy władca jest niewidzialny (a może zgoła nieobecny), gdy każdy wymierzony w siebie cios przyjmuje z poklaskiem, nagradza subwencją, za obelgę płaci zakupem, pod jednym tylko warunkiem — uznania reguł obowiązującej gry towarzyskiej i jej echa na tzw. rynku sztuki.

Lebenstein jest moim przyjacielem od 27 lat, ale obrazy jego zafascynowały mnie wcześniej, skoro tylko zetknąłem się z nimi, chyba w roku 1955, poprzez reprodukcje w krajowych wydawnictwach. Gdy w roku 1958 powstała Galeria Lambert, namówiłem Kazimierza Romanowicza, by zorganizował mu wystawę i ustaliliśmy jej datę na rok następny. Wystawa zbiegła się niespodziewanie z pierwszą paryską Biennale młodego malarstwa, na której Jan otrzymał pierwszą nagrodę, ufundowaną przez miasto Paryż. Ogromny ten sukces Lebensteina nie ograniczał się do Paryża. W tym samym roku 1959 obrazy jego figurują na wystawach dwóch wielkich muzeów (Stedelijk w Amsterdamie i Sztuki Nowoczesnej w Sztokholmie) oraz na trzech najważniejszych okresowych podsumowaniach, jakimi są Documenta w Kassel, obie Biennale w Wenecji i w Sao Paulo. Sukces tej miary całkiem nieznanego młodego malarza jest rzadki i w grę wchodzi różne czynniki. Jednym z nich był tu schyłek ruchu dominującego od końca wojny, abstrakcji nieformalnej (reakcji na wcześniejsze formy geometryczne) — ekspresjonistycznej w amerykańskim Action Painting, bardziej lirycznej we francuskim tasyzmie. Sprzyjało też Lebensteinowi ówczesne odkrycie zarazem malarstwa polskiego na fali październikowego przełomu, i hiszpańskiego, za sprawą wyzwania rzuconego przez młodych twórców

i intelektualistów skostniałej tyranii generała Franco. Spostrzeżono wówczas ze zdziwieniem, że sztuka może stać się otwarta w społeczeństwach zamkniętych.

Na tym tle silna, magnetyczna forma wczesnych obrazów Lebensteina mieściła się w obowiązującej jeszcze konwencji abstrakcyjnej, wnosząc zarazem coś nowego, tajemniczy element organicznej konieczności. Trudno mi dziś patrzeć na te obrazy jakbym nie znał jego dalszej twórczości, a przecież żadna z moich interpretacji tego wczesnego okresu nie koliduje z jego późniejszym rozwojem. W artykule napisanym w roku 1960 dla nowojorskiego tygodnika *Arts* ostrzegałem przed klasyfikacją Lebensteina jako abstrakcjonisty i pisałem, że jego figury osiowe są „zaszyfrowaną pieczęcią Erosa i Tanatosa”. Tak, ale czy mogę zaręczyć, że zdanie to podyktowało mi wówczas oko krytyka, a nie intuicja przyjaciela? Wcześniej również zauważyłem w rozwoju dzieła Lebensteina mimetyzm stworzenia: od pierwotnego kręgowca, ideogramu szkieletu (tak określił w pięknym wierszu to dzieło ze zwykłą sobie celnością Aleksander Wat), poprzez stwory „przedpotopowe”, do „natury w człowieku”, w rozdarciu między jej skłóconymi składnikami.

Najlepiej to ujęła Mary McCarthy w przedmowie do nowojorskiej wystawy z roku 1972: „Figury osiowe Lebensteina są nadal podstawą jego wizji życia. Wizja ta wzbogaciła się, stała się jeszcze bardziej malarska, jej punkty odniesienia się pomnożyły. Ale zasada jest bisekstylna — przekrój wzdłuż środkowej osi. Najniższy kręgowiec podzielony został absurdalnie sztywną linią kręgosłupa. Absurdalna ława oddziela sędziów od przysięgłych czy oskarżonych. Nie wiem, czy Lebenstein czyta Platona, ale patrząc na jego obrazy publiczności w kinie, zafascynowanej ekranem, przyszła mi na myśl smutna, zdegradowana wersja mitu jaskini, podobnie jak rozdwojone figury osiowe są echem innego mitu z „Sympozjonu”, który mówi nam, jak Zeus podzielił na dwoje pierwotnych ludzi, skąd początek bólu i szaleństwa miłości”.

Amerykańska pisarka uchwyciła ten moment, gdy Lebenstein wyszedł już poza swą pierwszą serię figur osiowych, które cieszyły się na całym świecie tak wielkim powodzeniem. Rozumiem tę fascynację. Stawały się coraz silniejsze, w miarę jak zapadał w nich zmrok, mimo blasku sutych czerwieni czy złota. Znaki malarskie, a zarazem znaki heraldyczne. Herbarz postawy pionowej: krzyże, kręgosłupy, organiczne i magiczne zaklęcia, totemy. Moment nateżenia sławy międzynarodowej był wówczas szczególnie niebezpieczny dla artysty, gdyż bardziej jeszcze niż dziś krytyk, muzeum, galerie utożsamiały każdą nową i oryginalną

formę z podpisem: byle zastygł, byle skostniał, a za tę cenę przejdzie raz na zawsze do „nomenklatury”. Nie mogło na szczęście skostnieć dzieło, które od kości pierwotnej wyszło dlatego właśnie, że jego powołaniem było nawarstwienie nie tylko barw i form, ale przede wszystkim znaczeń. Dodajmy dziś, że wejście do nomenklatury zagroziła także Jankowi „Potęga smaku”.

Młody krytyk włoski Elverio Maurizi w tymże 1972 roku wtórował Mary McCarthy: „Lebenstein wydaje się niweczyć dualizm duch — materia. Tak jakby punktem wyjściowym była dla niego nowa interpretacja jakiegoś śpiewu dalekiej przeszłości, anabaza czasu i pamięci, malarz umie nadać nowe znaczenie wymiarowi mitycznemu”. Zauważmy, że nawrót do mitologii stanie się u progu lat 80-tych hasłem ostatniej awangardy, która jedynie grą słów, wymyślonym przez Achille Bonito Olivę terminem „Transawangarda”, nawiązuje do sztuki nowoczesnej, wiekowej „Moderny”. Sama zaś sztuka nowoczesna od dobrych dziesięciu lat przestała być ową „nieustanną rewolucją”, jaką była za sprawą identyfikacji z rewolucją społeczną i wydaje się nam dziś epoką zamkniętą, wielkim etapem sztuki zachodniej, o czym świadczy świeżo ukuty inny termin — „post-modernizm”.

Dodajmy, dla ściślejszej oceny, nieporozumienia między Lebensteinem i zachodnim *establishment*em artystycznym, że był on początkowo przedmiotem zabiegów i hołdów krytyków; nie będąc ich tu wymieniał, dość że zajmują dziś czołowe stanowiska w instytucjonalnym trybunale, decydującym o karierach artystów i cenach ich obrazów. Zrazu najlepiej do Janka uosobieni, na próżno szukali z nim wspólnego języka. Nie gorszył ich na pewno fakt, że ten polski malarz był przeciwnikiem komunistycznego reżimu. Ale każda z nim rozmowa schodziła na nieznaną im tory, na pamięć mało mającą wspólnego ze zdradą socjalizmu przez biurokratów partyjnych. Oni o próbach pogodzenia marksizmu z egzystencjalizmem, Janek o losie żywych ludzi, tych których zakatrupiono, wprawdzie maluczkich, lecz nieoczekiwanych. Kończyło się, po paru kieliszkach wódki niezbędnych do podtrzymania dialogu głuchych, na tym, że Janka Potęga Smaku nie tylko kazała mu „skrzywić się, wycedzić szyderstwo”, ale wprost spuścić rozmówców ze schodów. Ze szkodą dla sławy i spraw bytowych — zapewne. Ale z korzyścią wywojowania sobie tej najtrudniejszej dziś do uzyskania pozycji — *d'un artiste maudit*.

Nic dziwnego, że pokusiła Lebensteina w owym czasie orwellowska metafora „Zwierzęcego folwarku”. Cykl litografii wykonany w roku 1974 na podstawie tej rewelacyjnej książki przetrasta ilustrację, gdyż starczyło mu sięgnąć do postaci, które już oswoił w swym malarstwie i dać im do odegrania bajkę, którą

znał z doświadczenia na pamięć\*. W przeciwieństwie do artystów, którzy stale coś „kontestują”, zwykle w imię dalekich utopii, Lebenstein nie kontestuje niczego, wystarczy mu konstatacja. Wie, że społeczeństwo współczesne jest wszędzie klatką, tam żelazną, tu zaś z gutaperki (której plastyczność ograniczona jest zbiorowym mimetyzmem).

Przychodzi mi czasem na myśl, że zniechęceni, smutni krytycy, dawni jego stronnicy, czasem jednak zerkali w stronę pracowni na rue des Ecoiffes, choć może to po prostu prywatny układ Lebensteina z *Zeitgeist*'em, który mu się zwierza zawczasu, wiedząc, że Janek z tych zwierzeń skorzysta po swoim. I tak, w roku 1975, Lebenstein maluje wspaniały cykl obrazów pod znakiem Strindberga, całkiem, rzecz prosta, nieświadomy, że „Planeta Strindberg” zostanie zaproponowana młodemu malarzom jako zbiorowe zadanie na weneckiej Biennale w roku 1980, zapewne jako droga wyjścia z ich narcyzowskich gier z poprzedniej dekady, o której komisarz wystawy Michael Compton napisał, że jest epoką na zawsze zamkniętą.

„Dzieło malarskie — oświadczył Jan Lebenstein w wywiadzie udzielonym w tym okresie warszawskiemu piśmie — zawsze jest zawieszony między pytaniem i odpowiedzią, jak plankton poddany ciśnieniu swego środowiska. Pytania dotyczą postawy wobec swego własnego życia, swej autobiografii, wobec swego otoczenia i przyrody, wobec wątpliwości i obaw dotyczących losu sztuki”. Mądra i prosta wypowiedź, oczywiście utwierdzona przez dzieło, którego siła i uczciwość jest dziś wyjątkowa. Podczas gdy najgłośniejsi artyści owych lat strzelali jak z procy swymi koncepcjami w samą instytucję sztuki w zachodnich społeczeństwach liberalnych, za co ta sama instytucja odpłacała im się honorami i pieniędzmi, Lebenstein malował w coraz większym odosobnieniu. Jak gdyby tylko dzieło uparcie indywidualne, wykonane poza nawiasem wszelkich instytucji, mogło przynieść dziś jego twórcy coś w rodzaju piętna wyklętego samotnika, piętna, za którym uganiają się — całkiem świadomie na próżno — rozmyślni prowokatorzy.

Czas powrócić kilka lat wstecz do wydarzenia, które zostanie kiedyś uznane za ważne dla polskiej kultury, wydarzenia o wielkim znaczeniu dla obecnej fazy malarstwa Lebensteina. Zaczęło się od pomysłu Józefa Sądziaka, by w roku 1972 zamówić u Lebensteina witraże dla kaplicy i sali spotkań naszych dzisiejszych gospodarzy, księży Pallotynów, na rue Surcouf. Jednocześnie na-

\* Otrzymałem ostatnio z kraju „Folwark zwierzęcy” w tłumaczeniu mojej matki, Teresy Jeleńskiej, wzorowo wydany przez Oficynę Wydawniczą. Wydanie to zawiera wspaniałe reprodukcje całego cyklu litografii Lebensteina.

mówił ksiądz Sądziak Czesława Miłozza, by przetłumaczył z oryginału Pismo Święte. Obaj czuli porażkę uczonych przekładów biblistów powołanych decyzją watykańskiego Soboru. Osiągniętą może ścisłość semantyczną przypłacono w nich utratą tchu, jedności, hieratycznej poezji tekstu Wujka. Pomysł Józefa Sądziaka, by zlecić Lebensteinowi ilustracje przekładu Miłozza, był wyrazem podobnej troski w zakresie plastycznym. Siła kulturotwórcza osobistych związków jest dziś niedoceniana, a przecież dzięki porozumieniu tej trójki przyjaciół powstało dzieło jakby w przewidywaniu chwili, gdy nakazem historii stanie się znalezienie formy niezbędnego dialogu między polską sztuką i Kościołem katolickim. Sprawa ta przerasta mnie z wielu względów. Pozostane zatem przy Lebensteinie, gdyż byłem z obawą, nieśmiałością, rosnącym zrozumieniem, świadkiem powstawania jego rysunków i gwaszy do przekładu Miłozza. „Dla ateisty prawdziwego — pisze Miłozz w 'Ziemi Ulro' — religia winna być godnym podziwu tworem ludzkiej wyobraźni”. Stosując ten cytat do siebie, dodam, że nie ośmieliłbym się czekogołwiek powiedzieć o wymiarze, który siłą rzeczy narzucił się artyście w ciągu tej pracy, właśnie dlatego, że owo „zewnątrz” skazuje mnie na powściągliwość. Ograniczę się do stwierdzenia, że z kwadraturą koła, jaką jest dziś sztuka sakralna, poradził sobie Lebenstein odwołując się do tradycji i pozostając sobą. Wydaje mi się to receptą jedyną, a odkryć ją na nowo jest dziś niezmiernie trudno. Swobodniej się czuję, dzieląc się z Państwem moim wrażeniem, że krajobrazy Lebensteina równoległe z tą pracą malowane z natury w kanionach Colorado i w Alpach mają dostojność, wierność pierwotnej wizji, suwerenność jaką może dać tylko duma, gdy bez wysiłku przemienia się w pokorę, i że ten ostatni etap przypisuję drodze jaką wybrał, by dać nam ujrzeć na nowo świat Pisma Świętego.

Konstanty A. JELEŃSKI

## CZAS LEBENSTEINA

Trzydzieści lat dzieli nas od wystawy w Arsenale. I od pierwszego numeru odnowionego, odnowicielskiego *Po prostu*. I od pierwszej premiery Teatru na Tarczyńskiej. I od pierwszej dyskusji w Klubie Krzywego Koła. Trzydzieści lat — jedna trzecia wieku.

Lebenstein był obecny w Arsenale i uczestniczył w życiu Teatru na Tarczyńskiej, gdzie w 1956 roku miał swą pierwszą indywidualną wystawę. Z trzech dziesięcioleci jego malarstwa

uwzględnię tu jednak tylko ostatnie. Po części dlatego, że znam je lepiej niż inne, o których zresztą sporo już napisano. I ponieważ, co najważniejsze, są po temu powody rzeczowe. Gdzieś w początku lat siedemdziesiątych Lebenstein zmienił technikę: płótno zastąpił papierem, a olej — gwaszem cieniowanym lekkimi kreskami czarnego tuszu i rozświetlanym plamami bieli. Stąd zmiana faktury: rezygnacja z rzeźbiarskiego niemal traktowania powierzchni obrazu i pewne zmniejszenie formatów. Równocześnie rozjaśnił się koloryt: miast przebiegać, jak dotąd, gamę brązów, bordo, butelkowej zieleni, czerni nawet — Lebenstein sięga teraz przeważnie po ugry i sepie w różnych stężeniach. Płowe, piaskowe, rdzawe — jego obrazy z minionych dziesięciu lat utrzymane są na ogół w żelazistych odcieniach ziemi, niekiedy dopełnianych seledynami i z rzadka tylko przerywanych wtargnięciami zieleni, fioleto czy błękitu. Wraz z tym wszystkim uległ przeistoczeniu sam zasób przedmiotów przedstawianych. Są w nim teraz ludzie, zwierzęta, wnętrza, budynki, krajobrazy. Czyżby Lebenstein zaczął malować rzeczywistość widzialną?

Dziewczyny obnoszą swą nagość po nieco przetworzonym ale łatwo rozpoznawalnym Paryżu: po nadbrzeżach Sekwany, ulicach, mostach. Wystawiają się w bramach domów, obsiadają wysokie stołki barowe, siedzą za stołami, rozkładają na kanapach i szezlongach. Ich zawód nie budzi wątpliwości: w dystyngowanym języku ubiegłego stulecia powiedziałyby się, że uprawiają miłość za pieniądze. Nie ma w nich jednak nic wulgarne. Nagie ciała wcale nie są wyzywające. Nawet, gdy pokazują się klientom, nie przymilają się do nich, nie wdzięczą. Pozostają odległe i jakby nietykalne. Piękne twarze nie uśmiechają się, a duże, szeroko otwarte, smutne oczy nadają im, przy ujęciach czołowych, jakieś pokrewieństwo z portretami trumiennymi. Wreszcie, rzecz najciekawsza: wśród postaci odwiedzających *Bar Club Sweety* i inne zakątki Paryża są jedynymi, które mają normalne ludzkie kształty.

*Przykład pierwszy.* Dwie osoby zwrócone w stronę widza siedzą na ławie, równo odległe od pionowej osi symetrii obrazu, w tej samej pozycji, jak gdyby jedna była zwierciadlanym odbiciem drugiej: nogi lekko rozsunęte, jedna dłoń spoczywa na prawym kolanie, druga zwisa po wewnętrznej stronie uda. Ale z lewej widzimy pięknie zbudowaną dziewczynę z rozpuszczonymi włosami okalającymi nieruchomą twarz i z kształtnymi piersiami o sterczących sutkach; za cały strój ma pantofle na wysokich obcasach i podkolanówki. Postać z prawej, również naga i o wyraźnych kształtach kobiecych, ma łysą głowę, która odsłania zarysy czaszki z pustymi oczodołami; jej ręce, od łokci w dół, są obna-

żonymi kośćmi. Kolor pierwszej jest bardziej soczysty, a i rysunek obu różni się nieco: sposób kładzenia kreski sugeruje tam ciało żywe, tu — zasuszony powłok mumii.

Na tym obrazie, jak na wielu innych, dziewczynie towarzyszy śmierć. Naśladuje jej postawy, gesty i ruchy, które w jej wykonaniu z organicznych stają się mechaniczne, a tym samym — absurdałne i śmieszne. Znane z baśni zwierciadło odsłaniało każdemu, kto się w nim przeglądał, niewidzialną inaczej prawdę o nim samym. Parodiując dziewczynę, śmierć prześwieśla ją niejako i — niczym owe zwierciadło — udostępnia niewidzialną prawdę o niej, nie jej samej wszakże, ale wzrokowi widza, który obejmuje jednym spojrzeniem postaci żywe i martwe, i dzięki zachodzącemu między nimi podobieństwu nakłada je niejako na siebie, przedstawiając sobie przeto coś w rodzaju kliszy rentgenowskiej, gdzie przez blade zarysy ciała przemieszane ciemne linie kości. Sens nasuwa się sam: niepozbawione makabrycznego humoru uwidocznienie znikomości i przemijania, ilustracja tyśiąckroć cytowanego: „...robak się łęgnie i w bujnym kwiecie”. Ale czy można na tym poprzestać?

Twarze. Twarze kocie: trójkątne, jak u syjamów, spłaszczone i okrągłe, jak u persów, pokryte sierścią, z długimi wąsami i sterczącymi uszami. Twarze ptasie wyciągnięte i zwężające się tak, że usta maleją, wargi stykają się prawie z zagiętym nosem, a oczy, wgłębione, umieszczają się na bokach głowy. Twarze psie, baranie, capie, jelenie, małpie. Twarze zwierząt nieznanymi zoologii. Twarze-pyski, twarze-ryje, twarze-mordy, twarze-chrapy, twarze-dzioby. A przecież wszystkie, jak twarze-twarze, należą do dwunogów bezpiórych, istot w dwójnasób rozumnych, przedstawicieli gatunku *homo sapiens sapiens*, którzy przechadzają się po Paryżu i odwiedzają pensjonariuszki klubu *Sweety*. Jak wyglądają, gdy są sami — nie wiadomo. Lebenstein pokazuje ich zawsze w towarzystwie panienek.

*Przykład drugi.* Jesteśmy w barze *Sweety*, choć brak napisu, który niekiedy identyfikuje ten lokal. Ewentualne wątpliwości usuwa jednak szyba z ramą w stylu *art nouveau* złożoną z krzywizn rozmieszczonych po obu stronach pionowej listwy, która pokrywa się z osią symetrii obrazu; jakoż znajdujemy ją w różnych odmianach, gdy miejsce akcji określone jest jednoznacznie. Z lewej strony stoi dziewczyna widziana *en face*, ma rozpięty sweter, który zasłania tylko ramiona i ręce, pantofle na obcasach, podkolanówki. Lewą ręką opiera się o podłużny stół, ku któremu jest lekko przechylona. Prawą odsuwa nieco od ciała, jak gdyby musiała utrzymać równowagę. Za stołem siedzą ze złożonymi na blacie rękami trzej mężczyźni: pierwszy od lewej ma twarz kota

i żebra narysowane tak, jak gdyby znajdowały się nad skórą; drugi ma głowę koźła ozdobioną rogami; trzeciego, który też ma żebra na powierzchni, określiłbym jako psa z ludzką brodą. Przed stołem, w prawym dolnym rogu, stoi zwierzę podobne do lwa.

Tradycja malarska stosowała uzwierzcanie ludzkiej twarzy, aby przedstawić stany emocjonalne albo ukryte cechy charakteru; tak na przykład, w XVII wieku, Le Brun w studiach nad fizjonomią człowieka porównaną z fizjonomią zwierząt, czy, w XIX wieku, Grandville. Również Lebenstein używa tego zabiegu, by uwidocznic to, co normalnie niewidzialne. Ale chodzi mu nie o przymioty osobnicze. Interesuje go właściwa ludziom, mężczyznom i kobietom, zwierzęcość, by tak rzec, gatunkowa, która występuje na jaw, ilekroć w grę wchodzi seks. Nie stosuje się to paradoksalnie tylko do osób, które odpłatnie świadczą usługi seksualne i które w świecie obrazów Lebensteina są konsekwentnie pozbawione atrybutów zwierzęcości, ale za to występują z reguły w towarzystwie zwierząt. Czy ma to znaczyć, że seks, który wyzwala pożądania, emocje i popędy, i powoduje przeto uzewnętrznienie się czegoś, co, zazwyczaj ukryte, jest u nich automatyzmem, który nie angażuje ich życia wewnętrznego, czymś względem nich zewnętrznym? Czy też, że one same są po prostu zwierzętami obleczoneymi w ludzkie ciała? To właśnie zdaje się sugerować obecność na niektórych obrazach kobiet-zwierząt; w przeciwieństwie do kobiet o zwierzęcych twarzach, mają one swe miejsce nie za stołem, wśród ludzi, ale na podłodze obok innych czworonogów.

*Przykład trzeci.* Bar *Sweet*y z jego charakterystycznymi drzwiami ozdobionymi odpowiednim napisem. Po lewej stronie szkielet w płaszczu narzuconym na ramiona trzyma przy ustach kielich. Przy okrągłym stole siedzą od lewej: mężczyzna z twarzą pawiana i odsłoniętymi żebrami, widziany z profilu; ujęta *en face* stara kobieta z chustką na ramionach — najwyraźniej Madame — sprowadzona do czaszki obciążonej skórą z rzadkimi włosami na sklepieniu i do kręgosłupa z żebrami; dziewczyna w kapeluszu i długiej spódnicy, której twarz widzimy z profilu, ale która ukazuje jednak spod narzutki gołe piersi i brzuch. W dole, na pierwszym planie, dziwne zwierzę z człekokształtną twarzą i piersiami kobiety. Ale to tylko jedna, lewa strona obrazu. Prawą zajmuje kanapa, na której leży na wznak naga dziewczyna, lewą ręką podtrzymując głowę. U jej nóg siedzi na kanapie czarny, kudłaty stwór podobny do psa, obecny również w wielu innych obrazach.

Mamy tu wszystkie spotkane dotąd postaci: dziewczyny, męż-

czyżnę z twarzą zwierzęcia, śmierć, zwierzęta — oraz starą kobietę, do której jeszcze wrócimy. Obraz można odczytywać jako scenę w burdelu, która zaczyna się przy stole, a kończy — w łózku. Ale taka lektura, choć uzasadniona, pozostaje jednak powierzchniowa i niezupełna, choćby dlatego, że nie uwzględnia wszystkiego, co widzimy. Ten sam zarzut można postawić traktowaniu innych obrazów tak, jak gdyby były tylko scenami z życia. Zapewne, Lebenstein maluje rzeczywistość widzialną. Jednakże przedstawienie jej nie jest dlań nigdy celem samoistnym. Jego obrazy wykraczają bowiem poza to, co udostępnia się spojrzeniu, nawet najbardziej przenikliwemu, i wydobywają na jaw niewidzialną architekturę ciała oraz niewidzialną artykulację psychiki. Niewidzialną architekturę ciała w przypadku dziewczyn konfrontowanych ze śmiercią oraz tych wszystkich postaci, które ukazują jakieś składniki swego uposażenia kostnego. Niewidzialną artykulację psychiki w przypadku osób o twarzach zwierzęcością lub zwierząt, które wskazują przecieź na tłumione zazwyczaj popędy, pragnienia, emocje. Szkielety, uzwierżcone twarze i zwierzęta grają zatem w teatrze Lebensteina tę samą rolę: czynią widzialnym niewidzialne, odkrywają to, co ukryte, uzewnętrzniają wewnętrzną formę, jak szkielet ciała, lub, jak popędowność, organizuje i kanalizuje zachowanie. A zarazem jest tym, co głębokie. I tym, co trwałe.

W 1980 roku Lebenstein spędził wakacje w Stanach Zjednoczonych, gdzie odwiedził m.in. wielki kanion Colorado. Z podróży przywiózł dziesięć pejzaży z różnymi ujęciami kanionu, wykonanych tuszem i, w kilku przypadkach, lawowanych sepią.

*Przykład czwarty.* W środku obrazu spotykają się dwa wąwozy. Jeden, suchy, biegnie w głąb. Drugi, którym, jak można się domyślać, płynie rzeka, przecina niemal cały obraz równoległe do przekątnej łączącej lewy górny róg z prawym dolnym, ale nieco niżej. Na pierwszym planie opada w dół równina, lewy brzeg domniemanej rzeki. Przecinając ją uskoki odsłaniają spiętrzone warstwy łupków. Od środka w kierunku lewego dolnego rogu biegnie wąska szczelina. W głębi po lewej stronie urwisko spada niemal pionowo w wąwóz, na którego dnie domyślamy się rzeki, po czym zawraca pod kątem ostrym, by stać się ścianą suchego wąwozu. Również tu odsłaniają się warstwy, ale tym razem grube, odróżniające się zabarwieniem. Przeciwległą ścianę suchego wąwozu tworzy stołowe wzniesienie odcięte przełęczą od wierzchołka w kształcie piramidy, który przylega do prawego brzegu obrazu. Jeszcze wyżej, po lewej stronie, biejeje, oddalając się i ścieśniając w miarę przesuwania się w prawo, pasmo piaszczystych wydm. Nad wszystkim zaś wisi wąskie, jak

gdyby zmiążdżone ogromem gór, pasmo szaroniebieskiego nieba, które rozjaśnia się nieco na horyzoncie.

Pustki tego pejzażu złożonego z zadziwiających form skalnych, piargów, usypisk, nie usuwa obecne na niektórych obrazach z tego cyklu samotne, bezlistne drzewo. Jego wyciągnięte, suche konary, ręce wzniesione w niemym błaganiu, podkreślają raczej jałowość tej ziemi, jej pierwotność, niepodatność na ucłowieczenie. Wszystko to sprawia, że odsłania się tu coś, co tylko z trudem można zobaczyć gdzie indziej. Przecinając nagromadzone warstwy, kanion czyni bowiem niewidzialne widzialnym, obnaża to, co ukryte, uzewnętrznia, co wewnętrzne: kościec ziemi. Wyprowadza na powierzchnię to, co głębokie, ukazuje skałę pod piaskiem. Osiąga więc ten sam efekt, co wyobrażenia Lebensteina, gdy przeświała ciało promieniami śmierci lub poddaje wiwisekcji duszę. Toteż tylko w tym uprzywilejowanym przypadku Lebenstein mógł, poprzestając na malowaniu tego, co widział, przedstawić na obrazie architekturę rzeczywistości, której musiał zazwyczaj szukać wykraczając poza dane wzroku.

Porównanie wczesnej twórczości Lebensteina z obrazami namalowanymi podczas ostatnich dziesięciu lat pozwala określić ciągłość jego dzieła, a zarazem rozpoznać przemiany, jakim uległo. W figurach osiowych z wczesnego okresu pionowa linia, często wyrta jednym ruchem szpachli w gęstej warstwie farby, dzieli obraz na dwie równe strony. Przecinają ją linie poziome, z reguły wypukłe, jak gdyby uplecione ze sznurów, przy czym i pierwsza, i drugie odcinają się od właściwej figury: jaśniejszego od nich zarysu o nieregularnych kształtach. W połowie lat sześćdziesiątych miejsce tych figur zajmują zwierzopodobne istoty, ewokujące, jeśli nie naśladujące — jak wspomniały *Pterodaktyl* z 1965 roku, obraz i rzeźba zarazem — zwierzęta kopalne: trylobity, płazy, ogromne drapieżniki z ery lodowcowej, tury. W tym przypadku symetrię dwustronną wyznacza budowa organizmu. We wszystkich wariacjach na temat baru *Sweety* i w spokrewnionych z nimi obrazach, o których zaraz, nośnikami tej symetrii są natomiast okna lub drzwi w stylu *art nouveau*, niekiedy lustro z ramą w tym samym stylu, budynki, schody, portyki, obeliski, bramy, łuki — elementy architektoniczne. Bije w oczy, że ich funkcja jest tu taka sama, jak owych pionowych i poziomych linii z wczesnych obrazów lub jak składników szkieletu prehistorycznych stworów: obraz jako całość pozostaje dzięki nim figurą osiową. Ale bije też w oczy, że Lebenstein, zarówno we wczesnych, jak w nowszych dziełach, jest zafascynowany przeciwieństwem między symetrią a nieforemnością, a więc również między trwaniem a przemijaniem. Albowiem wszelka symetria jest trwałą, gdyż podlega prawu zachowania, a wszelkie trwanie jest sy-

metryczne, podczas gdy nieforemność, pozbawiona równowagi wewnętrznej, jest skazana na zmianę i przemijanie. Pierwsza ma za realizację szkielet, rusztowanie, architekturę; druga ciało, powłokę zewnętrzną, ulotność. Toteż nawet, gdy symetria osiowa znika z obrazów Lebensteina, jak w serii kanionów, przeciwieństwo między głębią a powierzchnią, trwaniem a przemijaniem, pozostaje wpisane w kontrast różnych składników krajobrazu.

Tyle o ciągłości. Przy okazji była mowa również o przemianach, pozostaje tylko opisać je dokładniej. Pierwszą było przejście od przedstawiania form całkowicie wyobrażonych — o ile to w ogóle możliwe, — które ukazują w sposób maksymalnie abstrakcyjny i ogólny stosunki między szkieletem a ciałem, do form kreowanych wprawdzie przez wyobraźnię ale w konfrontacji z widzialnymi kształtami istot żywych tak, by przedstawić coś, co do nich podobne, co z nimi niemal tożsame, a co jednak pozostaje czymś odmiennym. Pewien zoolog, który odwiedził w latach sześćdziesiątych pracownię Lebensteina zauważył, że choć przedstawione na nich zwierzęta nie istnieją, ale mogłyby istnieć, są biologicznie przekonujące. Wyobrażenia dorównała przyrodzie. Stąd kolejny krok doprowadził do malowania rzeczywistości widzialnej ale tak, by odsłonić w niej to, co pozostaje niedostępne dla normalnego spojrzenia. By za ciałem zobaczyć szkielet, za zachowaniem — jego ukryte pobudki, i skałę pod warstwą piasku. Wejście do baru *Sweety* w stylu *art nouveau* i podjęcie bliskiej Witkacemu problematyki człowieczeństwa i zwierzęcości świadczą, że istotnym czynnikiem tej ostatniej przemiany było świadome nawiązanie do sztuki okresu modernizmu, wyprzedzające o co najmniej dziesięć lat paryską wystawę symbolizmu europejskiego i inne przejawy powrotu tej epoki do łask. Jakoż już w 1965 roku Jan Cybis notował w swym dzienniku: „Tadeusz Brzozowski i Jan Lebenstein mówią o Böcklinie — nie o Cézannie — jako o gwiazdzie pierwszej wielkości”. I dodawał oburzone: „Niemcy uruchomili swe relikwiny i sprzedają je Ameryce, która nie ma kultury, ale ma dolary”.

Szkielet i ciało, skała i piasek. Albo raczej: ciało, którego stopniowy rozpad odsłania szkielet; piasek nawiany przez wiatr, który niszczy skałę i odziera z liści samotne drzewo. Na opisanym w przykładzie trzecim obrazie z serii *Bar Club Sweety* widzi my młodą dziewczynę, starą kobietę i śmierć, ciało, szczątki ciała i nagi szkielet. Inny obraz z tego cyklu nazywa się zresztą *Trzy stadia życia* (1977). Również postaci o twarzach zwierzęcych są niekiedy wyposażone w ciało zachowujące swą integralność, niekiedy mają tylko pozostałości ciała, a zdarza się, że są ludzkimi szkieletami o zwierzęcych głowach. Tak oto Lebenstein wprowadza do swych obrazów żywioł, który jest w nich wszechobec-

ny i najważniejszy ale którego namalować niepodobna, gdyż jest z istoty swej niewidzialny: czas jako siłę niszczącą, sprawcę rozpadu i rozkładu, a zatem również przemijania. Czas obnażający to, co trwałe. Ale ten czas życia jednostkowego nie jest jedynym czasem działającym w obrazach Lebensteina.

Czy inspiracją była wystawa Ramzesa Wielkiego? Czy po prostu wizyta w Luwrze? W każdym razie w 1976 roku powstaje cykl obrazów pełnych odniesień do starożytnego Egiptu. Są one blisko spokrewnione ze scenami z życia baru *Sweete*. W jednym — *przykład piąty* — odnajdujemy nawet postaci, które widzieliśmy tam, w tych samych pozach, z tym tylko, że mężczyzna z kielichem przy ustach okazuje się satyrem, co zresztą całkiem logiczne. Ale w tle tym razem widać pustkowia pokryte piaskiem, z którego wyłaniają się, odsłonięte przez wiatr, szkielety przedpotopowych potworów. Zamyka je ściana skalna. Przed nią, idąc od lewej, stoją: obelisk, dziwna budowla wyznaczająca oś symetrii obrazu i kolumna z ruiną portyku. Jeszcze wyraźniejsze reminiscencje egipskie zawierają trzy obrazy pod wspólnym tytułem *Życie codzienne grobowca* (1976).

Jeśli czas baru *Sweete* jest czasem ku śmierci, to czas obrazów „egipskich” jest czasem historii, w której trwają pomniki, a przemijają ludzie. Ale Lebenstein wprowadza również do swych obrazów czas przemijania gatunków, którego wpływ znaczą szkielety potworów wystające z piasku. Oraz nieruchomy czas mitów, w którym byk ciągle porywa Europę, Roger wyzwala Angelikę, Perseusz — Andromedę, a Salome tańczy przed Herodiadą i jej świtą, podpatrywana zapewne przez Heroda z okien warownego pałacu.

Ilustrując księgę Hioba, a zwłaszcza dwukrotnie mierząc się z Apokalipsą — raz w witrażach kaplicy Pallotynów, a po raz drugi w wystawionych obecnie obrazach — Lebenstein dobudowuje do architektury czasowej swego dzieła jeszcze jedno — najwyższe — piętro, gdzie czas spełnia się i wykracza poza siebie. W wieczność.

Ale to wymagałoby odrębnego komentarza.

Krzysztof POMIAN

## Wschodnioeuropejczyk - precyzyjnie

Zajmuję się Europą Wschodnią. To chętlive stwierdzenie brzmi co najmniej tak samo, jak gdyby ryba w porzewiałej, poobijanej wannie, skazana na niemotę z wyjątkiem wigilii, rzekła: zajmuję się wanną. Dodatkowo opływający nas brudek nie ma żadnego swojskiego, rodzimego charakteru: woda jest lodowata i wciąż, bez przerwy, musimy omijać okręty wojenne naturalnej wielkości.

Tutaj ludzie są czujni i ciekawi. W rzadkich chwilach spokoju, kiedy nie są zmuszeni ćwiczyć się w przechodzeniu na oddychanie skrzelami, kiedy jarzące się smugi idei nie zbierają ich w roje, gdy spokoju nie zakłóca żaden wybuch miny, wyskakują z wody i dysząc ciężko pod ciężarem, pełni odpowiedzialności, próbują zanalizować doświadczenia przebytej drogi: co może zrobić człowiek? co musi zrobić żeby nie połąkną haczyka?

Historyk literatury to też człowiek. Oczywiście jego sytuacja jest trudniejsza niż pisarza. I to nie tylko dlatego, że ma mniej talentu — właśnie dlatego został historykiem literatury — lecz z tej przyczyny, że musi odpowiedzieć na pytanie: „Co może i powinna robić literatura?”, a także na inne: „Co winien robić historyk literatury?”.

Może najbardziej charakterystyczną cechą literatury wschodnioeuropejskiej jest nierozzerwalna jedność życia i sztuki. Z książek bije zapach życia, znajdujący zastosowanie w modelu działania, który pisarz proponuje swoim czytelnikom. Dlatego dokonując przeglądu galerii typów ludzkich, jakie rzeczywistość wschodnioeuropejska ukształtowała, otrzymujemy również i pewien obraz literatury:

CZŁOWIEK EKSPORTOWY w różnych wariantach: KOBIE-TA wschodnioeuropejska — przedmiot i towar dający rozkosz, ognista Węgierka, wyposażona we wszystkie fortele swej płci



śliczna Polka, masywna, lubieżna Czeszka; odziany w strój ludowy, grywający u pańskich stołów MUZYK LUDOWY; kobziarz czeski, Cygan węgierski, ukraiński bandurzysta;

pracujący za głodową stawkę, łamistrajk, syfilityk, gotowy na wszystko za pieniądze, szamotający się na obczyźnie i tam zdychaający EMIGRANT ZAROBKOWY, NAJEMNIK;

poczawszy od plemion na Ukrainie Zakarpackiej w erze kamienia łupanego, wszędzie znajdujący się wśród najzamożniejszej i najbardziej wpływowej górnej pięćdziesiątki ŻYDZI, których każdemu systemowi i ustrojowi wystarczy do pogromu, którzy są raz na wozie, raz pod wozem, a ich niepewną sytuację najlepiej charakteryzuje powitanie: — wymyślone? naprawdę wypowiedziane?, które tak się rozpoczynało: „Witam gorąco w naszym gronie wszystkich obecnych śmierdzących towarzyszy Żydów!”;

nieskończona liczba naukowców, artystów, ogólnie biorąc SŁAWNYCH LUDZI, wśród których postacią najwymowniejszą jest goszczący u nas kilka lat temu rodak z obczyzny, co to w błyskawiczny sposób ściąga zegarki z przegubów ochotników, kradnie im papierosnice i portfele i właśnie dlatego słusznie szczyci się dobrze brzmiącym tytułem — „król złodziei”, zdobywając i szerząc tym w świecie sławę ducha węgierskiego;

WŁÓCZĘGA, także w dwóch wariantach, prosty robotnik, chłop próbujący swego szczęścia, gatunek rozsiany od Oceanu Spokojnego aż po Atlantyk, także inteligent obczyźniak, w końcu nie znajdujący swego miejsca;

najczęściej rewolucjonista, wygnany na emigrację, walczący tam o Ideę, pogrążony w iluzjach, beznadziei, oszukujący samego siebie EMIGRANT POLITYCZNY;

opuszczający swój mały naród, wysługujący się ze wszystkich sił nowemu i potężnemu gospodarzowi ZDRAJCA, również w dwu wersjach: mały zdrójca, goryl przyboczny, kapo, kiber, ci Litwini, Łotysze i Ukraińcy, co to w obozach koncentracyjnych wykonywali brudną robotę, na którą Niemcy kręcili nosem, no i wielki zdrójca, wydający rozkazy tysiącom małych zdrajców;

z rzadka i od święta wdziwiający narodowo zmienny strój suto szamerowany, na co dzień zaś chodzący po prostu w łachmanach, brzydki, twardy, ociężały umysłowo, płodzący geniuszy, tajemniczy i z otwartym sercem, którego życie to jedno pasmo udręk, CHŁOP;

brutalny MISTRZ OKRUCIENSTWA, wynalazca maczugi do miażdżenia ludzkich kości, przechowywanej w sofijskim Muzeum Ruchu Robotniczego, na którego rozkaz spożywano palone ciało Dózsy; ustasze zbierający do worka oczy ludzkie, białogwardziści żywcem przepiłowujący złapanych bolszewików;

BOHATER niedokończonych, urwanych w połowie rewolucji, ginący za lud, rewolucjonista, świadek krwi, po śmierci wyniesiony na piedestał czytane szkolnych jako wzór bohatera pozytywnego.

Bardzo długo można kontynuować. Ale i na podstawie przed-

stawionej tu galerii można zauważyć, że skala rzeczywistości wschodnioeuropejskiej jest dość szeroka. Jak powiedział jeden z filozofów czeskich, z jednej strony „jest to cudowny konglomerat biurokracyzmu i bizantyjskości, zwyrodniała symbioza państwa i pogańskiego kościoła, hipokryzji i fanatyzmu, szarzyzny biurokracyzmu i masowej hysterii”, z drugiej nieograniczony talent, siła zdolna „ruszyć bryłę z posad świata”, zdolna do najwyższych poświęceń tęsknota za wolnością, uparta chęć życia.

Literatury wschodnioeuropejskie „wnoszą” wszystkie wymienne i całą resztę nie wymienionych typów ludzkich. Same wyprodukowały natomiast tylko jeden jedyny przykład, w którym zawarł się jakby w zgęszczeniu cały sens życia wschodnioeuropejskiego — wszystkie jego możliwości — stając się inspirującym wzorem, takim typem losu człowieka i nieśmiertelnym modelem zachowania ludzkiego jak Odyseusz, Don Juan, lub Faust. Mowa o Szwejku. Tak, to daliśmy światu, szwejkostwo, sztukę przeżycia, oszukiwania Historii, zdolność przystosowania się ryby do życia nawet w wannie. Należy to dobrze rozumieć, jest to jedyny typ wschodnioeuropejski, który — o przepiękny nasz wieku! — stał się powszechnie uznany. Szwejk jest naszym Odysem wschodnioeuropejskim, postacią, która robiąc durnia z samego siebie i ze wszystkich innych, wrzaskiem oznajmia o odkriciu nowego ładu: Na Belgrad! Na Belgrad! On jest naszym Don Juanem, który spełnia sześć życzeń porzuconej dziwki oficera, on naszym Faustem, który w momencie spokoju darowanym mu przez zwierzchników mówi: „Chwilo, trwaj!”.

Pytam ponownie: co może i co musi zrobić historyk literatury w takich okolicznościach? Tylko jedno. Ale to konieczne. Musi dokładnie przedstawić tę sytuację, musi dokonać właściwej oceny naszych literatur razem i osobno. Trzeźwa dokładność to nie za wiele, ale też i nie za mało. Niewiele, jeśli weźmiemy pod uwagę, ilu już okrzyknęło naszą wannę przepięknym, otwartym morzem, ilu na nowo strugało, lakierowało, gniołło, tłukło, okładało, starając się odwrócić naszą uwagę od poszukiwania odpływu; ale niemało, jeśli zaskoczeni zauważymy, ile uprzedzeń wyrosło w tej małej ilości wody, jak mało znamy ludzi nawet o poglądach podobnych naszym.

Zadanie jest wytyczone. Musimy skończyć z gadaniem wzmocnianym przez megafony, z głośnymi kłamstwami, w które i tak nikt poza nami nie uwierzy. Otwarcie, mądrze musimy przyznać się do siebie, do Wschodniej Europy. Musimy stać się Wschodnioeuropejczykami, abyśmy mogli stać się kiedyś Europejczykami, a może później i ludźmi.

Endre BOJTAR

(Przekład z węgierskiego)

(In: Egy kelet-európeér az irodalemelméletfen. Budapest, 1983. Szépirodalmi).

## Karli realizm

„Ludzie bowiem wierzą, że ich własny rozum rządzi słowami, lecz zdarza się tak, iż słowa swoją siłą odwracają i oddziałują na rozum” — napisał Franciszek Bacon prawie cztery wieki temu<sup>1</sup>.

Kiedy słowa „odwracają swoją siłę”, mamy do czynienia z propagandą. Propaganda osiągnęła szczyt w systemach totalitarnych XX wieku: nie tylko stara się skutecznie „działać na rozum” ludzi, ale przede wszystkim usiłuje stworzyć w ich umysłach nową rzeczywistość. Jest to rzeczywistość fałszywa i całkowicie sprzeczna z tą, w której ludzie naprawdę żyją i działają. Stworzenie fałszywej rzeczywistości nie jest zabiegiem bezpłodnym — socjologowie dawno już zauważyli, iż społeczną rzeczywistość określa i tworzy między innymi (a może nawet — przede wszystkim) właśnie to, co ludzie o niej sądzą.

W Polsce po drugiej wojnie światowej kolejne ekipy rządzące stosują różne metody propagandowe. (Byłoby zresztą rzeczą niezmiernie ciekawą i pouczającą opisanie tych ekip w świetle tworzonych przez nie różnych, fałszywych rzeczywistości, ale to oczywiście inny temat). Mimo różnych metod i technik propagandowych, kolejne ekipy traktują tak samo podległe sobie środki masowego przekazu. To znaczy traktują je jako narzędzie, służące wyłącznie do pacyfikacji społeczeństwa i manipulowania jego postawami.

Obecna sytuacja różni się jednak zasadniczo od poprzednich. W okresie rządów ekipy gen. Jaruzelskiego zmieniły się zarówno sama koncepcja propagandy, jak i jej metody. Te ostatnie opierają się coraz bardziej na odkryciach socjotechniki i psychologii społecznej, co niezmiernie zwiększa skuteczność propagandy. Kon-

cepcja zaś wyzbywa się starych schematów, do dziś stosowanych w Związku Sowieckim i innych krajach tzw. demokracji ludowej. Nowością jest fakt, że sterowanej przez Jerzego Urbana propagandzie absolutnie nie zależy na przekonywaniu Polaków o zalecanych najlepszym ustroju na świecie, ani na wykazywaniu wyższości komunistycznej ideologii (po raz pierwszy od 40 lat w massmediach coraz rzadziej używane bywa nawet samo słowo „socjalizm” i jego pochodne). Osią urbanowskiej propagandy jest coś, co nazwałbym *ponurym, karlim realizmem*, co polega na nieustannym pokazywaniu Polakom ich beznadziejnego położenia i czynienia zeń cnoty. W położeniu tak strasznym jedyną możliwością jest wybór *między złem i złem*, a wobec tego należy wybierać zło mniejsze. Co zaś jest złem mniejszym — określa władza (dalej omówię tę koncepcję szerzej). W każdym razie koncepcja „mniejszego zła” i ochrony narodu przed złem większym stała się półoficjalną legitymacją rządów gen. Jaruzelskiego.

Głównym zaś celem obecnej indoktrynacji jest kompletna zmiana wyznawanych dotąd przez Polaków wartości. Różnymi metodami przekonuje się ludzi, iż jedynymi liczącymi się wartościami są siła, władza i korzyść osobista (w bardzo zawężonym, czysto materialnym znaczeniu). Oczywiście nie mówi się tego otwarcie, gdyż wtedy łatwiej byłoby się bronić, ale wiele różnych elementów, a najważniejsze — samo polskie życie, jego organizacja, praktyka społeczna ma sugerować, iż tak właśnie jest. Chodzi o to bowiem, żeby w Polsce:

„Walka i obrona choćby najślusznieszych i najbardziej szlachetnych racji moralnych jawiła się nam jako groteskowy i żalony wysiłek w zderzeniu z życiowymi realiami” (socjolog X w PRL).

Jest tak, jak jest — mówią Polakom władze i ich propagandyści — żyjemy w tzw. określonych warunkach, w takiej to a takiej sytuacji geopolitycznej i nie zmienimy tego. Więc pozostaje tak się urządzać, by przeżyć, jak się da najlepiej, nie próbując załatwiać tego, czego nigdy załatwić się nie da.

Powtórzę raz jeszcze, co wydaje się najważniejsze: koncepcja beznadziejności, bezsilności i odrzucenia „śmiesznych, szlachetnych wartości” narzucana jest nie tylko przez określone działania propagandowe. Ma ona wynikać z samej praktyki społecznej, ma do niej przymuszać po prostu nasze zbiorowe życie w PRL. Dlatego mówiąc o urbanowskiej propagandzie, opowiada się o czymś znacznie szerszym; chodzi tu bowiem o ogólną praktykę społeczną, o pewien określony styl życia i działania w PRL, o coś, co można by nazwać „urbanowszczyzną”.

1. *Novum Organum*, Ks. I.

Niezależnie od konkretnej taktyki, strategiczny cel „organizowania świadomości społecznej” w PRL pozostaje zawsze taki sam. Celem tym jest ostateczne pozbawienie społeczeństwa PODMIOTOWOŚCI, całkowite obezwładnienie go, odebranie ludziom woli działania (inaczej można określić to słowem „sowietyzacja”).

W każdym razie chodzi o to, by ludzie poczuli się bezwładnymi przedmiotami, zależnymi od „ojcowskiej” władzy, która ma wyłączność decydowania o tym, co jest dobre, a co szkodliwe dla społeczeństwa, narodu i państwa polskiego.

Najowocniejszym sposobem odbierania podmiotowości jest niszczenie wszelkich więzi społecznych, zrywanie rzeczywistych związków między jednostkami i między jednostkami a zbiorowością, wreszcie między zbiorowościami różnych kategorii. (Można twierdzić, iż w gruncie rzeczy to nie „Solidarność” była — czy jest — główną groźbą dla systemu. Prawdziwą groźbą jest po prostu solidarność między ludźmi. Dlatego to władza po przewrocie natychmiast przystąpiła do rozbijania więzi środowiskowych, niszczenia autentycznych stowarzyszeń społecznych wszelkiego szczebla i rodzaju).

Niszczenie więzi społecznych odbywa się różnymi metodami. Wymienię kilka najważniejszych.

1. *Pozbawianie ludzi tzw. atrybutów identyfikacyjnych.* Chodzi tu o wszelkie wartości i ich materialne lub inne symbole, które przypominają przeżycia i idee związane z „bezkrwawą rewolucją” polską lat 1980-1981, a także z przełomami lat 1956, 1970, 1976 i z różnymi innymi, autentycznymi tradycjami Polaków. Symbole tego rodzaju pozwalają Polakom identyfikować się z pewnymi wartościami groźnymi dla systemu, jednoczą ich i dają siłę oporu.

Pozbawianie owych atrybutów odbywa się wprost przez ich policyjne tępienie. Np. bicie na ulicach ludzi noszących znaczki „Solidarności”, wizerunki Matki Boskiej czy tzw. oporniki, zaciekle wymazywanie napisów na murach czy rysunków-symboli nie jest tylko wynikiem złości i nerwowości aparatu ścigania. Pewną nowością natomiast jest stosowane na wielką skalę ZAWŁASZCZANIE pewnych symboli, elementów tradycji, określonych wartości, a nawet pojęć — tych, których nie da się wymazać ze świadomości społecznej lub po prostu zniszczyć fizycznie.

Przykładem takiego zawłaszczania jest wprowadzenie w Kompanii Honorowej Wojska Polskiego rogatywek, tradycyjnego niegdyś nakrycia głowy polskich żołnierzy. W czasach ekipy Gierka czyniono wiele, by przejąć pewne wielkie tradycje historyczne, np. tradycje harcerstwa polskiego, albo tradycje tępionej niegdyś

najzacieklej Armii Krajowej czy Powstania Warszawskiego. Dziś z kolei organizuje się oficjalne „czczenie” ofiar, jak się to w Polsce określa — ofiar czerwca 1956 roku w Poznaniu, grudnia 1970 roku w Gdańsku czy ofiar rozruchów w Radomiu i Ursusie w 1976 roku. Pomników ofiar (ofiar tego samego przecież systemu!) nie sposób już zniszczyć. Wobec tego oficjalne delegacje składają przed nimi kwiaty, ale ludzi, którzy się tam znajdują z własnej woli, rozpędza się, bije i karze za „zakłócanie porządku publicznego”.

Kiedy Jan Paweł II mówi o podmiotowości pracy, o wolności i godności ludzkiej, o prawie do zrzeszania się i do wolności słowa, ekipa rządząca daje nam do zrozumienia, że Papież popiera „politykę generała”, który przecież właśnie te wartości realizuje.

Przykłady można by mnożyć, ale przechodzę do metody kolejnej, którą jest:

2. *Tworzenie w życiu społecznym i umysłowym rozgałęzionego systemu pozorów.* Jest to klasyczny sposób tworzenia „fałszywej rzeczywistości”. Po zniszczeniu wszelkich stowarzyszeń i grup zorganizowanych, które rzeczywiście wyrażały opinie zrzeszonych w nich obywateli, władze przystąpiły do formowania nowych stowarzyszeń, całkowicie już sobie podległych. Te parawanowe organizacje (ich wykwitem jest PRON, czyli Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego) reprezentują wyłącznie niewielkie grupy ludzi związanych z obecnym reżymem i zależnych od niego, wobec tego nie mogą w żadnym wypadku reprezentować różnych środowisk społecznych wobec władzy. Nie stanowią żadnego „mostu” pomiędzy społeczeństwem a władzą i dlatego nie mogą służyć porozumieniu. W tej sytuacji główne hasło obecnej propagandy, hasło „porozumienia narodowego”, staje się również fikcją i pozorem. Władza tak chętnie wspierająca się zdobyczami socjotechniki, zdaje się zapominać, że *zasadniczą rolę w rozładowywaniu napięć społecznych i w nawiązywaniu porozumienia odgrywają struktury średniego rzędu.* Tylko one bowiem mogą pośredniczyć między władzą, państwem, całością a różnymi grupami społecznymi, a także pomiędzy owymi grupami (czyli „w pionie” i „w poziomie”). Wyrazem najgorszej patologii życia społecznego jest brak w strukturach społeczeństwa tego rodzaju „ośrodków porozumienia” — i zarazem przekazników.

Obecnie centrum władzy oddzielone jest od społeczeństwa swoistym „parawanem pozorów”. Nieautentyczność „struktur średniego rzędu”, ich separacja od gleby społecznej tworzy kolejną, groźną pozór komunikacji między „górami” i „dołami”. Rodzi to nowe napięcia i zwykle w końcu prowadzi do konfrontacji,

której część ekipy chciałaby rzeczywiście uniknąć. Z drugiej strony „system parawanowy” zmusza do stałego zwiększania udziału SIŁY w stosunkach między rządzącymi a rządzonymi.

W system pozorów włączone są także tzw. konsultacje społeczne, tak często oczarowujące zachodnich obserwatorów. Na przykład tzw. konsultacje w sprawie podwyżek cen polegały na tym, że przedstawiono ludziom 3 warianty podwyżek — najmniejszą, średnią i najwyższą. Jest oczywiste, że przeciętny człowiek wybierze wariant najkorzystniejszy dla siebie, tj. podwyżki najmniejsze. Jest oczywiste, że gdyby nawet ktokolwiek, kierując się dobrem (nieco abstrakcyjnym) gospodarki, zechciał wybrać wariant gorszy dla siebie, nie jest w stanie i tak ocenić, w jaki sposób i dlaczego jego samobójczy wybór ma tę gospodarkę poprawić (bo informacji na ten temat brak). Jest więc jasne, że bez „konsultacji” rząd doskonale wie, jaki wariant zostanie wybrany, wie także, że owa „konsultacja” nie ma żadnej wartości informacyjnej. Zarazem wszyscy — i władze, i społeczeństwo — doskonale wiedzą<sup>2</sup>, że od samego początku do realizacji został wytypowany wariant najniższy; odrzucone warianty pozostałe miały tylko służyć pokazaniu, iż „władze liczą się z opinią społeczną”.

Podobny, jeszcze groźniejszy „parawan pozorów” tworzą wszelkie badania opinii społecznej, które z różnych przyczyn odzwierciedlają i potwierdzają „rzeczywistość fałszywą”. Jeśli zaś jakikolwiek raport o jakiegokolwiek sferze życia w PRL przedstawia stan rzeczywisty, zostaje uznany w najlepszym wypadku za „nieprawidłowy”, a w najgorszym za świadome, kłamliwe czarnowidztwo. Dobrym przykładem jest ostatni (1985 r.) raport Komitetu „Polska — 2000” Polskiej Akademii Nauk. Rzeczowa prognoza pod tytułem: „Społeczeństwo polskie na przełomie XX i XXI wieku” uznana została za „nienaukową” i ostro skrytykowana, ponieważ przedstawia „zbyt fatalny” obraz przyszłości. Pomijając już fakt, że władze nie rozumieją w ogóle istoty raportów prognostycznych, odrzucenie tego rodzaju materiałów nie pozwala im na prawidłowe rozpoznanie sytuacji obecnej i zatem na ewentualne przeciwdziałanie procesom opisanym w prognozie.

System pozornych dyskusji, pozornej publicystyki i nawet pozornej literatury, a w bliskiej przyszłości, niestety, również pozornej nauki — zadomawia się w Polsce coraz wyraźniej. Skutki tego nie dadzą na siebie długo czekać.

3. *Manipulacja informacją* — jest w gruncie rzeczy najstarszą i najprostszą metodą każdej propagandy. Wszakże propaganda

2. Udawał, że tego nie wie wyłącznie K.T. Toeplitz, krytykując w istocie idiotyczną formę konsultacji. Ale na tym polega odwaga KTT.

urbanowska wprowadza system ulepszony. Posługuje się mianowicie znacznie rzadziej niż ekipy poprzednie jawnym kłamstwem, operując przede wszystkim niepełną prawdą (półprawdą) lub tzw. formalną prawdą.

Jest, na przykład, taką „formalną prawdą”, że w Polsce znajduje się bardzo mało więźniów politycznych. W istocie, większość osób prześladowanych za działalność polityczną skazywana jest za przestępstwa kryminalne (to znaczy czyny o charakterze politycznym „podciąga się” pod przestępstwa kryminalne).

„Formalną prawdą” jest również twierdzenie, że w PRL istnieje pełna praworządność. W istocie tak jest — jeśli przez „praworządność” rozumieć postępowanie zgodne z przepisami. Ale właśnie owe przepisy, właściwie wszelkie ostatnie ustawy (całe prawo!) są dostosowywane do systematycznej totalizacji życia społecznego.

O ile w okresach poprzednich walka z prawdą polegała przede wszystkim na ograniczaniu informacji, eliminowaniu niewygodnych, o tyle dziś przeciwnie — otwiera się szeroko dostęp do informacji. Propaganda urbanowska nie ukrywa na ogół faktów niewygodnych — ale wyrывa je zawsze z szerszego kontekstu (przez co nieraz całkowicie zmieniają wymowę), albo też bardzo zrećnie stara się zatrzeć różnicę między faktem a jego interpretacją.

Oto przykład ulubionego chwytu rzecznika rządu PRL. Na jednej z konferencji prasowych w 1984 roku Jerzy Urban stwierdza, iż nieprawdą jest, jak kłamliwie podały agencje zachodnie, jakoby 3 maja milicja zablokowała przejazd między Nową Hutą a Krakowem. Prawdą jest, że tylko przez pewien czas główna ulica była wtedy zamknięta, ponieważ trzeba było dokonać niezbędnych napraw jezdni. Najdziwniejsze, że tego rodzaju wyjaśnienia korespondentom zachodnim na ogół wystarczają.

Jak wiadomo, „najprzemysłniejsze kłamstwa hodowane są z ziaren prawdy” (stare powiedzenie), zaś siła manipulacji prawdą leży w tym, co przemilczane.

Wreszcie ostatnią z metod propagandy urbanowskiej są:

#### 4. *Manipulacje na żywym języku*

Socjologowie dawno już zauważyli, że potoczną, powszechną wyobraźnię ludzi (i zatem ich postawy) określa zrozumienie przez nich różnych obiegowych pojęć, słów, terminów. Jeśli się więc chce wpływać na społeczną świadomość, należy różnymi sposobami zacierać lub zmieniać treść dotychczasowych pojęć. Takich jak np. postęp, prawo, praworządność, równość, sprawiedli-

wość, wolność, demokracja, patriotyzm, socjalizm, państwo, obywatel itd.

Już wiele lat temu spostrzegła Simone Weil, że w naszych czasach pojawił się nowy typ łotrostwa: złodziejstwo słów. Pozbawienie pojęć ich właściwej treści, nadawanie słowom chyłkiem, po cichu, innych treści, czy „wywłaszczanie słów, używanie ich w sposób przენiewierczy, by wypełnić umysły martwą miazgą” (cytat z tajnej prasy krajowej) — oto wielkie niebezpieczeństwo, grożące Polakom ze strony urbanowskich środków masowego przekazu.

Porównanie znaczeń różnych pojęć, utrwalonych w kulturze Zachodu — ze znaczeniami, jakie nadaje im Jerzy Urban i jego publicyści, zajęłoby zbyt dużo miejsca. Więc tylko przykłady: pojęcie „patriota” używane jest w tym języku zawsze w znaczeniu eliminującym ludzi kochających ojczyznę z pozycji innych niż „aktualnie słuszne”; „państwo” jest po prostu organizacją administracyjną, w której nie są ważne ani tradycje, ani uznawane przez obywateli tego państwa wartości, ani tożsamość kultury, nie mówiąc już o suwerenności, ani kwestia, jak owo państwo organizuje życie społeczne i gospodarkę; „prawo” — jest po prostu systemem represji, mającym utrwalać istniejący ustrój, „obywatel” staje się synonimem bezkrytycznego posłuszeństwa itd., itd.

W każdym razie głównym celem „nowomowy” jest — jak to już kiedyś zauważył Orwell — zawężanie zasięgu myślenia. I to się, niestety, w pewnym (niewielkim wprawdzie) stopniu udaje. Oddziaływanie „kiczu językowego” trwa w Polsce już zbyt długo. Konkretne przykłady „kiczu językowego”, zalewającego środki masowego przekazu w PRL i stającego się po prostu językiem aparatu biurokratyczno-partyjnego są niestety tak liczne, iż ograniczę się do jednego zdania: „Na obecnym etapie realizowania zadań socjalno-bytowych został stworzony klimat na miarę historii aktualnie zaliczanych faktów”...

◆

Spróbuję teraz wyliczyć niektóre specyficzne koncepcje propagandy urbanowskiej.

### 1. Koncepcja MNIEJSZEGO ZŁA

Zwykle dla kamuflażu nazywa się tę koncepcję „realizmem politycznym” i jest to bodaj najczęściej stosowany chwyt propa-

gandowy. Jest ona czymś więcej: legalizacją uprawnień władzy, uprawomocnieniem wszelkich posunięć.

Już sam początek, 13 grudnia 1981 roku, miał być mniejszym złem, ponieważ uchronił Polaków przed inwazją sowiecką. Tak już w Polsce przywykliśmy do podobnych racjonalizacji, że nie dostrzegamy bodaj najbardziej niezwykłego paradoksu naszych osobliwych czasów: oto gwarantem suwerenności naszego państwa jest sojusznik, który za tę gwarancję wymaga tylko... wyzbycia się suwerenności, zaś strach przed interwencją gwaranta suwerenności Polski i najlepszego jej sojusznika ma usprawiedliwiać niepopularne ale konieczne posunięcia obecnej władzy. Nie to jest niezwykłe, że tak jest naprawdę, ale to, że obecna ekipa bez żenady (choć nieoficjalnie) tłumaczy tą właśnie sytuacją swe działania. Ekipa ta zresztą chroni Polaków stale przed większym złem: jeśli nie przed interwencją przyjaciół, to przed wojną domową, przed „rozpadnięciem się struktur państwowych”, szczególnie zaś — przed rodzimą „czarną sotnią”, to znaczy przed skrajnie konserwatywnymi grupami typu stalinowskiego lub półfaszystowskiego. Rządy wojskowe mają więc stanowić zapórę przed rządami policyjnymi i trzeba przyznać, iż jest to rachunek prosty i trafiający wielu ludziom do przekonania. W istocie bowiem lepiej jest popierać pseudoliberalne grupy reprezentowane np. przez tygodnik *Polityka*, niż przypominającą najlepsze stalinowskie czasy grupę skupioną wokół pisma *Rzeczywistość* lub stowarzyszenia „Grunwald”. Lepiej zdać się na gen. Jaruzelskiego i „liberała” Rakowskiego, niż na twardogłowych w rodzaju tow. Olszowskiego czy tow. Kociołka.

Wszakże podsumowując ten rachunek często zapomina się o tym, że to właśnie obecna ekipa sama na swoim łonie hoduje ową groźną „konserwę”, umacnia grupy nazywane w Polsce „betonem”, stale rozbudowuje siły policyjne (które zresztą prędzej czy później zwrócą się przeciw niej) i wcale nie szuka w społeczeństwie sojuszników do walki z zalewem „betonu”. Z „betonem” bowiem w ogóle się nie walczy — jest on po prostu niezmiernie potrzebny po to, by było przed kim chronić naród. A także, by oficjalni urbanowscy publicyści w rodzaju Daniela Passenta czy Krzysztofa T. Toeplitza mieli kogo podszczypywać, pełniąc wobec Zachodu rolę tzw. oświeconych racjonalistów (bo w kraju nikt ich za takich już dawno nie uważa). Nawiasem mówiąc rola tych właśnie publicystów jest szczególnie żałosa, ale to już inna historia...

Koncepcja „mniejszego zła” jest stosowana we wszystkich obszarach życia społecznego i gospodarczego w Polsce, ponieważ jest koncepcją niesłuchanie wygodną.

Z „mniejszym złem” związana jest:

## 2. Koncepcja OCHRONY PAŃSTWA

Najważniejszą formą istnienia i trwania narodu jest państwo, mówią nam urbanowscy myśliciele, i wobec tego jest ono naszym wspólnym dobrem, które należy chronić za wszelką cenę. Jest to teza teoretycznie słuszna, jednakże kluczem do niej jest właśnie ściśle określenie pojęcia „suwerenne państwo”. Inaczej mówiąc, trzeba spytać: jakie państwo? W jaki sposób owo państwo ma wyrażać i realizować wolę narodu i zwłaszcza umożliwiać temu narodowi rozwój? Otóż bez odpowiedzi na takie pytanie mówienie o bezwzględnej konieczności umacniania państwa jest pustosłowiem lub oszustwem. Ale nie o to nawet chodzi. Istotą omawianej koncepcji jest teza, że wszelkie działania, które z jakichkolwiek powodów nie podobają się władzy (są bowiem krytyką konkretnych wynaturzeń lub nieudolności) — podważają najwyższe dobro, osłabiają państwo i są działaniami niepatriotycznymi.

Nie zawsze jest to łatwy do wykrycia zabieg myślowy: że mianowicie dobro państwa polskiego staje się w razie potrzeby tożsamy z dobrem konkretnej ekipy rządzącej i jej celami. Państwo staje się tożsamy z aparatem władzy, z tzw. *establishment*'em.

## 3. Koncepcja WINY NARODU

Oto — wmawiają nam od lat „urbanowcy” — Polacy pozabawieni są „instynktu państwowego”, kultury politycznej i etosu pracy, obciążeni swą niesławną przeszłością, kiedy to przez anarchię i warcholstwo zgubili sami siebie. Polacy są narodem, który nie rozumie własnej racji stanu ani swojej sytuacji geopolitycznej. Na szczęście znaleźli się dalekowzroczni przywódcy, którzy podejmują niewdzięczną rolę obrońców racji stanu. W gruncie rzeczy zatem swą obecną sytuację, ów rzeczywiście tragiczny kryzys, naród polski zawdzięcza sam sobie. Jest to teza chętnie przyjmowana również na Zachodzie. Podobnie jak przekonanie o niezdolności Polaków do rzetelnej pracy; nieudolność ta spowodowała przecież kryzys gospodarczy...

Rzecz w tym, że Polacy w kraju rzeczywiście źle pracują. Nie ma miejsca, by wyliczyć przyczyny tego stanu rzeczy, łatwo jednak udowodnić, że owa zła praca jest wynikiem immanentnej nieefektywności całego systemu społeczno-gospodarczego. Propaganda urbanowska stara się przekonać samą siebie, że to właśnie zła praca nieudolnego narodu jest przyczyną załamywania się systemu.

## 4. Koncepcja KOMPROMITACJI ZWYCIĘŻONEGO

Wedle tej koncepcji każdy nurt społeczny zatrzymany siłą jest tym samym skompromitowany i pozbawiony historycznej racji. Każde działanie, które zostanie zatrzymane kontrdziałaniem było właśnie dlatego bezsensowne.

Powiadają nam dziś „z całym liberalizmem”, że np. ruch społeczny „Solidarności” może i miał jakieś słuszne racje, może stały za nim jakieś wartości moralne, ale ruch ten został całkowicie zdyskwalifikowany przez sam fakt przegranej. Ważne są bowiem nie racje, popularność idei, nawet prawda — ważna jest siła przebiecia i wobec tego racja jest po stronie zwycięzcy. Inaczej mówiąc — rację daje zwycięstwo, legitymację władzy daje wygrana. I *vice versa*: obecna ekipa zwyciężyła dlatego właśnie, iż racja historyczna była po jej stronie...

Koncepcja powyższa i tworzony wokół niej ogólny klimat społeczny w PRL mają zmusić „inaczej myślących”, by stosowali wobec siebie takie właśnie kryteria skuteczności działania, czyli — żeby zawsze ustępowali przed siłą i przymusem.

Jakby „odpryskiem” tezy, iż „zwyciężeni nie mają racji” jest urbanowska:

## 5. Koncepcja ZOHYDZANIA

Rzecz polega na zohydzeniu w oczach społeczeństwa wszystkiego tego, co społeczeństwo uznaje za wartościowe, godne zaufania, z różnych powodów — istotne. Chodzi zarówno o osoby obdarzone rzeczywistym autorytetem, jak i o instytucje, idee, wartości, tradycje (oczywiście — te idee i te tradycje, których system uznać „za swoje” nie jest w stanie).

Koncepcja „zohydzenia” legła u źródeł niesłychanej swego czasu kampanii oszczerstw wobec Lecha Wałęsy (środkami masowego przekazu opublikowały spreparowane taśmy z jego rozmowy z bratem w miejscu internowania; Wałęsa miałby się tam wyrażać najplugawszymi słowami o Janie Pawle II, prezentować się jako złodziej pieniędzy „Solidarności” itp.). Podobne metody stosuje się wobec niepokornych księży (np. hardego biskupa przemyskiego, Tokarczuka, pomawia się publicznie o współpracę z... gestapo w czasie okupacji niemieckiej — jest to tylko jeden przykład spośród wielu), wobec nieuległych intelektualistów, odmawiających pójścia na współpracę naukowców, pisarzy, dziennikarzy. Sam rzecznik rządu specjalizuje się w obrzucaniu błotem (trudno inaczej nazwać jego felietony o osobach, które nie mogą

się bronić na łamach pism, gdzie je zaatakowano) Stefana Bratkowskiego (prezesa Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w latach 1980-1981) i swych byłych kolegów — dziennikarzy.

Ale kampania „zohydzenia” ma wymiary szersze. W pewnym okresie — po zabójstwie w niewyjaśnionych oficjalnie okolicznościach Grzegorza Przemyska — środki masowego przekazu rozpętały kampanię oszczerstw przeciw instytucji Pogotowia Ratunkowego i w ogóle przeciw środowisku lekarskiemu. Chodziło o to, by stworzyć sprzyjającą atmosferę do oskarżenia o zabójstwo Przemyska sanitariuszy Pogotowia; efekt ogólny jest taki, iż w istocie mniej uświadomiona część społeczeństwa zaczęła uważać służbę zdrowia za zdegenerowane środowisko złodziei, łapówkarzy i nieuków.

W szerzeniu nienawiści przewodzi grupa skupiona wokół pisma *Rzeczywistość*, grupa — co ciekawsze — wroga samemu Urbanowi. Występuje tu jedyny w swoim rodzaju i częsty w krajach „obozu socjalistycznego” splot antysemityzmu ze stalinizmem. W oczach *Rzeczywistości* wszyscy opozycjoniści, czy nawet w ogóle ludzie o krytycznym wobec systemu spojrzeniu, reprezentują stanowisko „obce polskości”, w podtekście dość jawnym — są Żydami. Można żywić zasadne przekonanie, że w razie zastąpienia obecnej ekipy przez kolejną — wedle wszelkiego prawdopodobieństwa bardziej „policyjną” i supernacjonalistyczną — rzuci się hasło, iż dotąd główną przeszkodę w porozumieniu narodowym stanowili Żydzi, skupieni wokół Urbana i „kryci” przez wicepremiera Rakowskiego. Ale to inna kwestia, dla nas w kraju już tylko śmieszna i żalosna.

Prowadzona wspólnie przez ekspozytury J. Urbana i wrogiemu *Rzeczywistości* kampania nienawiści rozbudza najgorsze instynkty najgorszych ludzi. Pewni ludzie stają się wtedy zdolni do wszystkiego — czego zresztą mieliśmy (i boję się, że będziemy mieli) różne straszne przykłady. Jednocześnie kampanie tego rodzaju wykruszają powoli nawet te resztki autorytetu społecznego i moralnego, jakie niektóre instytucje zachowały do dziś (np. właśnie pewne służby społeczne, nauczyciele, Polska Akademia Nauk, nauka jako taka, wyższe uczelnie itd.). W ten sposób „urbanowszczyzna” rozkrusza ostatnie filary tego państwa, którego obrona ma być jej głównym powołaniem.

Konsekwencją „kampanii nienawiści” jest sprytniejsza i trudniejsza do rozszyfrowania:

## 6. Koncepcja ROZBIJANIA ELIT

Jak już wspomniałem, pierwszym dokonaniem ekipy po

13 grudnia 1981 roku było rozbitcie wszelkich organizacji, reprezentujących polskie społeczeństwo i jego różne środowiska. Obecnie propaganda urbanowska przystąpiła do wojny ze wszystkimi elitami społecznymi. Jak wiadomo, badania socjologiczne wyraźnie wykazują, iż ogólny poziom, postawy i idące za tym zachowania danego środowiska (czy to urzędników, czy naukowców, dziennikarzy, czy kolejarzy lub nauczycieli) zależą w dużej mierze od istnienia i zachowania jego elity. W tym sensie elity pełnią rolę „wzorotwórcze” — i one też na ogół prowokują wszelki postęp. Otóż propaganda usiłuje wywołać w świadomości ludzi trwałe skojarzenia samego pojęcia „elity” z niesprawiedliwością społeczną, nierównościami obywatelską, nieprawnie zdobytym bogactwem itp. „Elitą” mają być zatem np. właściciele prywatnych szklarni ogrodniczych, ajenci prowadzący sklepy lub restauracje na własnym rozrachunku, „elitą” byli nawet zdeprawowani funkcjonariusze aparatu rządzącego z czasów Gierka. „Elita” jest więc złem społecznym i powinna być niszczone.

W pamięci społecznej zaciera się ślad tego, że np. w XIX wieku elitą społeczną byli wychowankowie działającej tylko przez siedem lat w zaborze rosyjskim Szkoły Głównej — polskiej wyższej uczelni. Szkoła Główna, swoisty fenomen „produkcji elit”, wychowała tyłu ludzi znaczących w naszej kulturze i nauce, że im to właśnie w dużej mierze polska kultura zawdzięcza przetrwanie. Elitą naszej młodzieży były w czasie okupacji niemieckiej „Szare Szeregi”, szturmowy oddział polskiego harcerstwa. Przykłady można znowu mnożyć, chodzi jednak o to, iż rzecz ma wymiar poważny: propagowanie „urawniówki” i egalitaryzmu w połączeniu z instynktowną już i utrwalałą stale nieufnością do *każdej* elity równa społeczeństwo „w dół”, nie pozwala przebić się talentom i energii, podważa motywy dobrej pracy i niszczy autorytety wzorotwórcze. I o to właśnie chodzi.

Sprzeczna z poprzednią może wydawać się koncepcja referowana poniżej. Jest to jednak sprzeczność pozorna, bowiem nie chodzi tu o elitę w znaczeniu moralnym, zawodowym, a o to, że naprawdę liczą się ludzie związani z władzą, z aparatem dysponującym siłą. Jest to:

## 7. Koncepcja LILIPUTA

Chodzi tu o stworzenie sytuacji, w której liczy się wyłącznie właśnie siła, władza, szczebel urzędowej drabiny, miejsce w *establishmentie*. Zwykły „człowiek pracy”, przeciętny obywatel musi być zawsze petentem, proszącym o załatwienie każdej sprawy (które to załatwienie skądinąd prawnie mu się należy). W dodat-

ku ów petent musi mieć poczucie, iż swoją sprawą wręcz przeszkadza w sprawnej pracy państwowych urzędów. Zawsze i we wszystkim musimy w Polsce zależeć od urzędu, władzy, państwa. I naród jako całość, i każdy obywatel staje się Liliputem w świecie Guliwerów.

Jak to kiedyś sformułował wybitny socjolog polski, Stanisław Ossowski: „Idzie tu o poczucie bezsilności poza kręgiem spraw osobistych, o przekonanie, że nad naszymi głowami Liliputów ścierają się Guliwery tak potężne, że my nie możemy mieć wpływu na bieg wydarzeń w szerszej skali. Jest pod tym względem nawet obojętne, czy owe Guliwery są złe, czy dobrotliwe”.

### 8. *Koncepcja PREZENTU I PSA GRYZĄCEGO RĘKĘ*

Wszystko, co potrzebne jest do życia i rozwoju, Polacy otrzymują od państwa, od swojej władzy — w charakterze daru. Wszystko, co władza czyni, jest prezentem łaskawie ofiarowanym społeczeństwu.

Powyzsza mistyfikacja bardzo już opanowała nasze myślenie; wielu ludzi różne normalne w wielu krajach świadczenia<sup>3</sup> (np. możliwość kształcenia się, uzyskania mieszkania, lecznictwo, emerytury) traktuje jako dar, który może im zostać zabrany. Społeczeństwo jakby powoli zapomina, że wszystko, co ma, uzyskane zostało dzięki jego własnej pracy, za jego pieniądze, za (na ogół trwonione) bogactwa naturalne jego własnego, niegdyś bogatego kraju.

Chodzi o stworzenie powszechnego przekonania, że skoro wszystko, co mamy i co możemy uzyskać, zawdzięczamy albo państwu, albo utożsamianej z nim władzy, dającej nam „ze swojego”, to sprzeciwianie się temu dobroczyńcy jest niełojalne, jest niewdzięcznością. Taki niewdzięcznik stawia się w sytuacji psa gryzącego karmiącą go rękę.

Taki zabieg myślowy często stosuje Jan Rem (Jerzy Urban) w swoich felietonach. Oto ktoś — pisze ukryty pod pseudonimem rzecznik rządu (a jego felietony drukowane są przymusowo przez całą polską prasę i stanowią niejako wykładnię aktualnej polityki i taktyki władz) — krytykuje rząd albo, na przykład, odrzucił łaskawie mu przyznane nagrody lub zaszczyty. Tymczasem ów ktoś, pracując na państwowej posiadzie, utrzymywany jest przez państwo, w dodatku jeszcze odbywa podróże (naukowe, artystyczne, inne) za granicę (np. jako członek Polskiej Akademii Nauk, były komatant, itd.). Jest to — powiada J. Urban —

3. W krajach, które nie nazywają siebie „socjalistycznymi”.

niemoralne, właściwie zbrodnicze i powinno się kogoś takiego pozbawić posady, wyrzucić z różnych rad, organizacji społecznych, odsunąć od nauczania, nie dawać paszportu, nie wydawać książki itp. Byłoby to może śmieszne, gdyby taki sposób rozprawy z opornymi intelektualistami (bo ich to przeważnie dotyczy) nie miał rzeczywiście różnych konkretnych przykrych konsekwencji.

### 9. *Koncepcja PORZĄDKU ZA CENĘ WOLNOŚCI I WOLNOŚCI ZA CENĘ ANARCHII*

Chodzi tu o narzucenie społeczeństwu przekonania, że „porządek społeczny”, ład organizacyjny, bezpieczeństwo obywatela są w swej istocie sprzeczne z wolnością obywatelską i różnymi demokratycznymi swobodami. Zaś właśnie demokratyzacja (w sensie używanym na Zachodzie), wszelkie swobody obywatelskie i w ogóle wolność — muszą z natury rzeczy prowadzić do anarchii, samowoli, niepokoju społecznego i wręcz do rozrostu przestępczości.

Mamy tu do czynienia z nierzucającym się w oczy, ale uporczywym i niebezskutecznym utożsamieniem dobrze znanej z historii każdemu Polakowi tzw. złotej wolności szlacheckiej (której symbolem było *liberum veto* i chaos w okresie panowania królów z dynastii saskiej w początkach XVIII wieku) z wolnością człowieka w ogóle i z systemem normalnych w demokracji swobód obywatelskich. Urbanowskim propagandystom chodzi o to, by w umyśle przeciętnego Polaka trwale skojarzyć taki właśnie układ przeciwstawień; żeby swoboda i demokracja łączyły się podświadomie z brakiem odpowiedzialności obywatelskiej i były sprzeczne z pojęciem ładu społecznego.

### 10. *Koncepcja POZORNEJ PERSONIFIKACJI ZŁA, NIEUDAWANIA SIĘ I SZCZEGÓŁU*

Chodzi o głoszenie, iż nasza (tj. rządzącej ekipy) idea jest słuszna, tylko źle ją realizują źli wykonawcy. Nasz system — poucza się Polaków — jest doskonały, tylko rozkładają go burokraci, niedouczone kadry kierownicze, zaś w ogóle społeczeństwo nie chce pracować. Jeśli istnieją jakieś głupie zarządzenia czy przepisy, to są one tworem głupich urzędników.

Najlepszym sposobem na te wszystkie „niedopatrzania” są dobre regulaminy, kontrola ich przestrzegania, wysokie kary za nieróbstwo lub niewykonywanie poleceń — reminiscencje „wojskowej świadomości”... W takim systemie receptą na zmianę nie-



zadowalającego stanu rzeczy jest zmiana personalna, receptą na poprawę — kara. Toteż zwykle cała prasa triumfalnie ogłasza „pokontrolne” kary i zmiany personalne na podrzędnych stanowiskach. Naturalnie, następcy usuniętych „wchodzą” w ten sam system układów, przepisów, uwarunkowań, niemożności, braków, itd. — i muszą postępować tak samo (rzadkie wyjątki potwierdzają regułę). Mimo obecnie stosowanych licznych kontroli i surowych kar, mimo pewnych „wojskowych” prób zdyscyplinowania biurokracji administracyjnej — nadal w Polsce nie ma odpowiedzialnych za nieudolność w skali państwowej lub za torpedowanie nieśmiałył prób reform. Można łatwo dowieść, że kwintesencją systemu panującego w Polsce jest zniszczenie odpowiedzialności kogokolwiek za cokolwiek. Dlatego w istocie rzeczy nawet personifikacja zła jest pozorna. Czasem zresztą mówi się ogólniej o „nieudawaniu się” — tzn. nasz system jest dobry, postępujemy zgodnie z zasadami, wskazówkami sformułowanymi przez klasyków, budując „sprawiedliwość społeczną”<sup>4</sup>, czasem tylko coś „nie wychodzi”. Nie wychodzi zaś, ponieważ przeszkadza opozycja i różne inne czynniki wewnętrzne i zewnętrzne. Zarazem niezmiernie śmieszna i głęboko tragiczna jest — nieujawniana wprost, ale łatwa do odczytania — istota samousprawiedliwiania się „urbanowszczyzny”: w realizacji dłuższych celów główną przeszkodą są pospołu — naród polski i... Stany Zjednoczone. No, a jeszcze ta „sytuacja geopolityczna”..., ze Związkiem Radzieckim u boku.

Należy jeszcze wspomnieć o koncepcji szczegółu, również mającej kamuflować wady strukturalne systemu. Oto, pouczając się nas, zdarzają się oczywiście pewne niefunkcjonalności, głupie przepisy, czasem nawet pozostałe z przeszłości absurdy. Dotyczą one jednak poszczególnych trybików sprawnie funkcjonującego mechanizmu. Rzecz więc w tym, by naprawiać trybiki, lokalne niedomagania — i będzie dobrze.

Jeden tylko przykład. Jest to fragment zaleceń<sup>5</sup> p. Adama Dunalewicza, dyrektora Biura Prasowego Rządu (czyli swoistego „Ministerstwa Propagandy” Jerzego Urbana). Przypominam czytelnikom, iż rzecz dzieje się w kraju objętym niespotykanym w historii kryzysem gospodarczym, w kraju, w którym rozpada się dosłownie cała infrastruktura cywilizacyjna. Otóż w tej sytuacji p. Dunalewicz zaleca środkom masowego przekazu: „(...) prasa powinna jednak częściej, niż to robi obecnie, nie tylko pokazywać

4. Koncepcja „nieudawania się”, „szczęgółu” i „personifikacji zła” jest wprawdzie sprzeczna z koncepcją „mniejszego zła”, ale spójność nie jest potrzebna tej propagandzie.

5. *Życie Warszawy* z 15 października 1984.

czy krytykować określone zjawiska, ale także formułować propozycje zmian na lepsze. Ot, niedawno, z inicjatywy *Kuriera* podjęto prace nad zmianą konstrukcji i technologii wytwarzania elementów grzejnych w żelazkach i wielu innych wyrobach związanych z grzejnictwem. Problem może wycinkowy, ale przecież nie mały (...).”

Można przypuszczać, że po zmianie elementów grzejnych w żelazkach społeczeństwo polskie odetchnęło z ulgą.

## 11. Koncepcja WROGA SPOŁECZNEGO

Społeczeństwo polskie bardzo niewiele wie o społecznych uwarunkowaniach różnych dewiacji (alkoholizm, narkomania) i ogólnej przestępczości, nie zna wcale problemów resocjalizacji. (Nie wie też nic o tym, co naprawdę dzieje się w polskich więziennicach). W poprzednich okresach mówiło się i pisało o tym niewiele, ponieważ były to zjawiska charakterystyczne dla „wyrodniejącego kapitalizmu”, jednocześnie zaś — marginesowe w kraju „budującym socjalizm”. Dziś przeciwnie — urbanowska propaganda świadomie przesadza w ocenie rozmiarów przestępczości, starając się stworzyć atmosferę zagrożenia i niepewności.

Używane stale w środkach masowego przekazu określenia-slogany w rodzaju „walka z przestępczością”, „likwidacja pasożytnictwa społecznego”, „zwalczanie alkoholizmu”, „spekulant — wróg społeczny” itp. mają w świadomości ludzi utrwalać stereotyp: przestępca, spekulant, człowiek niepracujący, czyli „pasożyt społeczny” są WROGAMI, których trzeba LIKWIDOWAĆ. W tej sytuacji przestają być ważne, ani nawet znane, społeczne i gospodarcze źródła wszelkich takich dewiacji, a walka z „pasożytnictwem” odwraca uwagę od dezorganizacji życia zbiorowego, rodzącej owo pasożytnictwo. Gdyby zaczęto poszukiwać przyczyn rzeczywiście rosnącej przestępczości i zwłaszcza alkoholizmu i spekulantstwa, należałoby krytycznie zanalizować społeczno-ekonomiczną politykę państwa, to zaś byłoby nader niewygodne.

Szerzy się poglądy, jakoby „uchwały organów politycznych i państwowych” (chodzi o uchwały potępiające negatywne zjawiska i nawołujące do walki z nimi, lub zarządzające wzmożenie karalności) miały „rozwiać poczucie bezpieczeństwa obywateli (...) i wzmacniać negacje postaw przestępczych”<sup>6</sup>. Twierdzi się, że solidarna atmosfera antyprzestępcza zapobiega przestępczości.

6. Cytaty pochodzą z pracy prof. J. Bafii *Problemy kryminologii*, Wydawnictwo Prawnicze, 1978.

Odpowiednie badania wyraźnie wskazują, że ani „uchwały”, ani „potępiająca atmosfera” nie wpływają na zmniejszenie przepięczności.

## 12. Koncepcja NADOPIEKI

Nasze państwo — mówią nam — jest nadmiernie „opiekuńcze”, ma ogromnie rozbudowany system opieki społecznej i wszelkich świadczeń (zwłaszcza dotacji państwowych na rzecz różnych usług, komunikacji, służby zdrowia, oświaty, kultury itd.). Świadczenia i „opieka” obciążają straszliwie gospodarkę narodową i należy we wszystkich ocenach brać ten fakt pod uwagę.

Otóż, po pierwsze, państwo jest u nas praktycznie jedynym właścicielem środków produkcji, a zatem dysponentem majątku i dochodu narodowego. W tej sytuacji ma ono oczywisty obowiązek troszczenia się o tzw. opiekę społeczną<sup>7</sup>. Po drugie i ważniejsze, pogląd o „nadopiece” jest po prostu mitem. Oto słowa byłego ministra Pracy i Płac, prof. dr. Antoniego Rajkiewicza (*Dziennik Polski* z 18 listopada 1983): „Trudno się zgodzić z opinią o nadmiarze rozbudowanej, socjalnej funkcji państwa. Badania nad tzw. minimum socjalnym ukazały dość znaczne obszary niedostatku w naszym kraju”.

Rzeczywiście, trudno dostrzec ową „nadopiekę” w sytuacji, kiedy stan polskiej oświaty, służby zdrowia, bezpieczeństwa pracy, ochrony środowiska naturalnego, itd. można uznać bez przesady za naprawdę tragiczną. Zarazem ogromna liczba ludzi starych i niepełnosprawnych otrzymuje emerytury i renty pozwalające wegetować, ale nie żyć normalnie.

W Polsce doskonale rozumiemy, że tej tragicznej sytuacji nie da się łatwo poprawić — poprawa będzie wymagała wielu lat i wielu jeszcze wysiłków i wyrzeczeń. Jednakże wmawianie nam, że gospodarka nie może dostatecznie rozwinąć skrzydeł z powodu obciążeń świadczeniami społecznymi jest żalosnym kłamstwem.

Propaganda urbanowska, stosująca swoiste metody „prania mózgow”, różni się czymś jeszcze od propagandy okresów poprzednich. W czasach „gierkowskich” ekipa bardzo chciała zdobyć sobie popularność, sympatię i w różny sposób starała się „kupować” społeczeństwo. Dziś nie chodzi już o żadne sympatie,

7. „Państwo” zabiera plony naszej pracy, nie pytając nas w ogóle o to, jak je wykorzystywać i dzielić. Nie mówiąc już o tym, iż owa „opieka społeczna” jest jednym z kanonów socjalizmu.

o zjednywanie poparcia. Stawia się na coś innego: na zmęczenie ludzi, a nawet na wzbudzenie w nich niechęci i odrazy! Jeśli nawet nie zdają sobie z tego sprawy ci, którzy wykorzystują Urbana, on sam doskonale wie, iż arogancki styl jego wypowiedzi, cyniczny sposób argumentacji wyjątkowo drażni społeczeństwo, wywołuje właśnie gniew, obrzydzenie, pogardę.

Ów drażniący styl „urbanowszczyzny” (przejęty przez niektórych dostojników) jest wprowadzany świadomie. Wiele tego typu posunięć, działań (bo nie chodzi tu tylko o słowa) oraz publikacji i wypowiedzi ma na celu wywołanie upokorzenia i gniewu. Jest to oczywiście skuteczniejsze i groźniejsze niż absurdalna „propaganda sukcesu”. Znów powołam się na ustalenia socjotechniki: upokarzanie ludzi, wywoływanie bezsilnego gniewu rodzi poczucie rezygnacji i beznadziejności położenia, wywołuje psychiczne zmęczenie, „rozładowuje” możliwość konstruktywnego działania i utrudnia krytyczne i realistyczne myślenie. O to właśnie chodzi...

Najogólniej można powiedzieć, iż „urbanowszczyzna” poczyniła już wiele szkód w polskiej świadomości społecznej i czyni te szkody nadal. Wszakże idealnym odbiorcą tej nowej formy propagandy byłby umysł, nazywany przez psychologię społeczną „umysłem zamkniętym”<sup>8</sup>, tj. niezdolnym do wyciągania wniosków z doświadczeń i dostrzegania „rzeczywistości prawdziwej” pod przykrywką „fałszywej”. W Polsce „posolidarnościowej” takich umysłów jest nadal bardzo mało. Propaganda urbanowska jest tylko jednym z wielu kanałów dopływu informacji, wcale nie

8. Trudno odmówić sobie przytoczenia doskonałego przykładu urbanowskiego „wzorowego obywatela”. Poniżej list tego ideału, z dumą przedstawiony czytelnikom prasy (*Kulisy* z dnia 31 marca - 2 kwietnia 1984 r.) przez płk. Mariana Kota, dyrektora Biura Listów KC PZPR. List był skierowany właśnie do Biura KC przed Krajową Konferencją Delegatów PZPR; oto on:

„Zgłaszam wolny wniosek na Krajową Konferencję Delegatów. Uznaję przewodnią, kierowniczą, organizatorską, ideologiczno-wychowawczą, oświatowo-kulturalną, prawno-ustrojową, gospodarczo-społeczną rolę PZPR we wszystkich sferach i dziedzinach działalności (...). Swoje wyższe wykształcenie, najwyższe kwalifikacje pragnę całkowicie oddać partii, służąc Sejmowi PRL, rządowi i socjalistycznej władzy terenowej. Ukończyłem Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu-Leninizmu, byłem członkiem ZMP, OHP, LOK, ZSMP, SZSP. Jestem członkiem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Od kwietnia 1983 roku jestem członkiem nowych, socjalistycznych Związków Zawodowych Pracowników Ochrony Zdrowia. Wnioskuje jako bezpartyjny, w głębokiej trosce o dobro partii, o zaufanie i wiarygodność PZPR, o większe dopuszczenie do zarządzania ludźmi bezpartyjnych takich jak ja, pracujących aktywnie, godnych zaufania — dla dobra socjalizmu” — mgr Jan B., Wrocław.

najszerszym. Wedle oficjalnych badań Ośrodka Prasoznawczego w Krakowie, w 1983 roku tylko około jednej trzeciej polskiego społeczeństwa korzystało z informacji podawanych przez źródła oficjalne — reszta uzupełniała je z „obiegu nieoficjalnego”. Stąd wywodzi się coraz większy strach przed dostępem ludzi do informacji niekontrolowanych. Stąd znamienne stwierdzenie oficjalnego propagandystry *Trybuny Ludu*, Daniela Lulińskiego (cytuje za *Życiem Warszawy* z 29 listopada 1984 roku — wypowiedź na spotkaniu z dziennikarzami zagranicznymi w Jabłonie pod Warszawą). Oto, pisze *Życie*, „Daniel Luliński zwrócił uwagę na rozliczne niebezpieczeństwa, kryjące się w upowszechnianiu telewizji satelitarnej. Przenikanie informacji ponad granicami nie cieszy się uznaniem opinii publicznej”. Chodzi oczywiście o opinię polską, w której imieniu przemawiał p. Luliński.



Wypada na koniec dodać, iż pozycja twórcy „karlego realizmu” w systemie władzy w PRL nie jest pozycją zwykłego rzeczownika prasowego rządu. Jerzy Urban, człowiek niewątpliwie bardzo inteligentny i bardzo cyniczny, całkowicie wolny od wszelkich uprzedzeń (bo pogardza na równi społeczeństwem, które poucza, jak swymi mocodawcami), jest w obecnej ekipie ministrem propagandy i znaczącym doradcą w wielu ważnych sprawach.

Dlatego jego cechy osobowości i stan umysłu mają większe niżby można było mniemać znaczenie. Przypuszczam, że do tego zdolnego cynika pasuje dobrze powiedzenie Machiavellego z 1521 roku (w liście do Guicciardiniego): „Od dawna już nie mówię tego, co myślę i nie wierzę w to, co mówię”. (Choć porównanie z Machiavellem jest dla J. Urbana jednak zaszczytem niezastużonym).

Dziennikarzy, którzy mogliby to samo powiedzieć o sobie, jest dziś w kraju sporo. I w tym też zawiera się kolejna różnica wobec „czasów minionych”. Były bowiem dawniej czasy, kiedy ekipom rządzącym zależało na tym, by dziennikarze wierzyli w to, co piszą.

Krzysztof KRUK

## Baba

„Siedzi baba na cmentarzu  
Trzyma nogi w kałamarnu”

Wyjrzałem przez okno. To gromadka dzieci na podwórku recytowała wrzaskliwie ten absurd.

Zdenerwowałem się. Co wyrosnie z pokolenia, które od dziecka przywykło do absurdu. Nie takich obywateli potrzebujemy.

Nic tak nie uspakaja jak kontakt z rzeczywistością, więc poszedłem na cmentarz. Wśród nagrobków spostrzegłem sylwetkę baby, a zbliżywszy się ujrzałem, że jej odnóża spoczywają w kałamarnu.

Przeprowadziłem krótki wywiad z babą. Skarżyła się przede wszystkim na trudności wynikające z dysproporcji między objętością jej stóp, a pojemnością kałamarny.

— Jak by pan mógł załatwić choć miednice, to wdzięczna bede — powiedziała.

Poruszony do głębi obiecałem interwencję. Mieliliśmy do czynienia z jaskrawym wypadkiem naruszenia Praw Baby.

Wróciwszy na podwórko, przystąpiłem do pertraktacji z dziecinną gromadką. W żywych barwach odmalowałem dół baby i zaapelowałem do sumień. Dzieci naradziły się między sobą, po czym wyłoniły przedstawiciela.

— Zgoda na miednicę, ale musi być guma do żucia — oświadczył przedstawiciel.

Ubolewając nad brakiem bezinteresowności wśród młodzieży, wyasygnowałem odpowiednią kwotę na zakup gumy do żucia. Dzieci wygłosiły ochotczo:

„Siedzi baba na śmietniku  
Trzyma nogi w pojemniku”

Na zwróconą im uwagę, że nastąpiła nieprzewidziana umową zmiana w lokalizacji baby, dzieci odpowiedziały, że taka zmiana była konieczna ze względów wersyfikacyjnych.

Celem skontrolowania wyników w nowozaistniałej sytuacji udałem się na śmietnik, gdzie istotnie stwierdziłem obecność baby. Przeniesiona z cmentarza skarżyła się na pogorszenie środowiska naturalnego, natomiast trzymanie nóg w pojemniku zamiast w kałamarni przyjęła jako poprawę warunków bytowych.

Żeby tylko tak nie śmierdziało i może by jaki dach nad głową... — sformułowała dezyderaty.

Niezwłocznie wróciłem na podwórko i zażądałem dla baby godziwego miejsca w cywilizacji. Poniósłszy kosztą piętnastu porcji lodów, doprowadziłem do porozumienia. Dzieci zadeklamowały:

*„Siedzi baba w kamienicy  
Trzyma nogi w jajecznicy”*

Rozwiązanie to nie zadowoliło mnie ze względu na niehygieniczny charakter drugiej linijki. W konfrontacji z babą okazało się jednak, że była zupełnie zadowolona. Druga linijka pozwalała jej nawet na rozwiązywanie trudności aprowizacyjnych.

— Nic, tylko się schylić — mówiła.

Ja jednak nie mogłem jej tak pozostawić. Baba powinna być zadowolona, owszem, ale nie absurdalnie. Z absurdem należy zerwać, z absurdem trzeba skończyć, z absurdem musimy wydobyć babę raz na zawsze. Nie ufając już młodzieży, sam sporządziłem ostateczną wersję. Była to wersja realistyczna, uwzględniająca zarówno potrzeby baby jak i społeczeństwa.

*„Stoi baba przy stanowisku wydajnej pracy,  
Nie przeszkodzą jej w tym wrogowie ani tacy, ani tacy.  
To stanowisko pracy jest w pięknej kamienicy,  
Za swą pracę baba nakupi sobie jajecznicę”*

Pozostaje mi tylko przekonać dzieci, aby przyswoiły sobie tę pozytywną, naukowo opracowaną wersję, zamiast szkodliwych nonsensów. Niestety, biorąc pod uwagę antyrealistyczne nastroje panujące wśród młodzieży oraz działalność sił antyrealistycznych, przewiduję poważne trudności.

Sławomir MROŻEK

## Wiersze

Adam Tadeusz BAKOWSKI

### „FORTUNA”

W PRL roku 1985 bardzo popularna jest gra o nazwie „Fortuna”.

Kosztuje 850 zł, czyli w granicach 1/2 l wódki, a starcza na dłużej.

Natomiast przeciwnie niż 1/2 l „Fortunę” w PRL jest zdobyć trudno.

Jest to gra pasjonująca i rozwijająca poczucie własności, stąd ogromny popyt.

(W tym samym czasie podaż odkształca świadomość).

Oto reguły gry:

zaczynamy od podziału forsy, forsa jest w dukatach, rzucamy kostką przed siebie i kupujemy hotele, elektrownie, dworce, restauracje; każdy postój w twoim hotelu, restauracji czy dworcu słono innych kosztuje, w ten sposób możesz zrobić fortunę; możesz też ją stracić,

gdyż musisz się opłacać innym, nic za darmo;

gdy zabraknie ci forsy, możesz sprzedać co tam masz, najlepiej mieć Filtry Lindleya.

Któż nie chce zasnąć jako właściciel np. dwóch knajp i trzech dworców.

„Fortuna” kołem się toczy po naszych kościach.

Deska ratunku, której dojmująco brakowało naszej skromnej, ale dumnej trumience pod zapłakaną matką-brzozą itd.

## UMRZEĆ W POLSCE

Czy możliwa jest podróż z PRL do Polski?  
 Czy to daleka trasa?  
 Czy bardzo by się w drodze dłużyło, a jeśli tak,  
 to jak by się ją umilało?  
 A sama droga — jakimi niebezpieczeństwami najeżona?  
 Czy przyszloby walczyć z piaskami pustyni  
 i z dzikimi zwierzętami?  
 Czy wszyscy by to przetrzymali?  
 Jakie granice należałoby przekroczyć?  
 Czy ktoś w moim PRL-owskim paszporcie wbiłby  
 wizę wjazdową do Polski?  
 Czy jechalibyśmy *via* mały, ukryty  
 w lasach, nadgraniczny przystanek Niepodległość,  
 gdzie ciągle straszy wielki duch Piłsudskiego?  
 A potem, już w Polsce, jak nazywałyby się  
 kolejne przystanki?

Hermann Hesse napisał, cytuję z pamięci:  
 „Ojczyzna nie jest tam, gdzieśmy się urodzili, ojczyzna  
 [jest tam, gdzie chcemy

umrzeć”. Koniec cytatu.  
 Mam 29 lat, mało życia przede mną,  
 śpieszy mi się, chciałbym  
 umrzeć w Polsce. Koniec wiersza.

*Adam Tadeusz BĄKOWSKI*

*Antoni PAWLAK*

## LATO 1982

a więc jestem  
 po kilku miesiącach nieobecności  
 jestem  
 idę ulicą tętniącą słońcem  
 i echem kroków uzbrojonych patroli  
 w środku Europy  
 z prawem do swobodnego przemieszczania się  
 w obrębie państwa  
 z wyłączeniem terenów przygranicznych

a także z prawem do pytania  
 o dziesięć milionów współuczestników  
 nagle minionych zdarzeń  
 o dziesięć milionów ludzi którzy  
 kilka miesięcy temu  
 na widok śniegu i czołgów  
 zamknęli się w bunkrach mieszkań

pytam w swoim imieniu  
 i to jest sfera mojej prywatności  
 lecz po chwili wkraczam na ubity trakt  
 spraw publicznych  
 i pytam o to samo w imieniu  
 bitych i zabitych  
 więzionych i ściganych

w waszych dłoniach lekko drży  
 kieliszek wódki  
 zwięzają się siatkówki oczu  
 odwracacie wzrok  
 pytanie zawisa w próżni  
 staje się retoryczne

i tylko czasem któryś z was  
 wyciągnie dłoń i powie —  
 a deszczu  
 jak nie było tak nie ma

PRAWDZIWYCH PRZYJACIOŁ  
POZNAJE SIĘ W BIEDZIE

*dla T. W.*

tego dnia padał deszcz schroniłem się  
 do baru Poziomka żeby przeczekać  
 myślałem o moim jedynym przyjacielu  
 który twierdzi że zwariowałem  
 że stwarzam byty nieistniejące  
 tak jakby nie było masonerii  
 żydów i spisków oplatających  
 nasz kraj

nagle dosiadł się otyły mężczyzna  
zagał rozmowę braliśmy kolejne  
kieliszki pliski mówiliśmy o niskich  
pensjach wkręcających się wszędzie  
żydkach i sukinsynach korowcach  
którzy pogrzebali Solidarność  
zastanawialiśmy się co trzeba zrobić  
by wreszcie zaprowadzić porządek  
w tym biednym kraju

kiedy później przeskakiwałem kałuże  
Nowego Świata pomyślałem że mój nowy  
przyjaciel to niegłupi facet  
dobry Polak tylko szkoda  
że pracuje w SB

### KAŻDY WIECZÓR KOŃCZY SIĘ WIERSZEM

jest wieczór nad pokojem unosi się zapach  
kawy myśli stają się jasne teraz można  
podjąć wezwanie białej kartki papieru  
czającej się na biurku napisać wiersz  
o śmierci księdza Popiełuszki owinąć  
wokół pióra wers szosy podkreślić  
mocnym rymem pięści kapitana Piotrowskiego  
zamknąć metaforą ciała spadającego  
w wykrzyknik Wisły potem  
z głową opartą na dłoni zapalić papierosa  
w ten sposób — panowie — przechodzi się  
do literatury

*Antoni PAWLAK*

*Witold WIRPSZA*

### ROZMYŚLANIA (LUŻNE)

Straciliśmy, mówią, niewinność i nie wiemy, co to natura.  
U Homera jednak też nie ma opisów przyrody.  
Ukazał tylko tarczę Achillesa, lecz to była robota kowalska;  
Boska rzekomo, choć wykopaliska świadczą o czym innym.

Legendarną postać Homera Grecy uczynili ślepym.  
Lubili bajdurzyć, ale wiedzieli, o czym bajdurzą.  
Nie przekazali nam, czy był ślepym od urodzenia,  
Czy też ośleplę po drodze, a dróg przewędrował wiele.

Da się więc pomyśleć i tak, i tak, jak wygodniej.  
Co do nas, żyjących w dwudziestym stuleciu,  
Oślepiśmy również, choć na innych drogach,  
Gdzie nie śpiewaliśmy pieśni w rytmie iloczasu.

Ogłuchliśmy na iloczasy, nie wiemy, jak brzmią.  
A jednak całe stulecia opiewaliśmy, czego Homer nie widział:  
Grozę i uśmiech morza, rzeki po równinach, kwiaty,  
Góry i wąwozy, zieleń zagajników, gwiazdy i zwierzęta.

Już Horacy powiedział: ut pictura poesis  
I tak to trwało po kres romantyzmu.  
Ryczały wodospady, hulały wiatry, czerwieniły się horyzonty,  
Póki nie zaczęto mierzyć i rachować: szybkość wiatru, długość fal,  
[decybele.

Oślepiśmy tedy znowu i czyż byśmy byli,  
Jako tłum poetów tego wieku, tłumem Homerów,  
Opisujących dzieła rąk ludzkich i sztukę zabijania,  
Ale nie sztukę umierania, bo oduczyliliśmy się jej.

Nie da się marzyć o księżycu, widzianym na niebie  
W mijaniu chmur, ani jak Goethe powiedzieć że słońce  
Kończy przepisana sobie drogę grzmotem.  
Księżyc jest przydeptany, słońce produkuje plamy.

Gdzie przyroda być może nietknięta, tam głód.  
Nie ma tragedii pstrąga u wędki — sływa brzuchem do góry.  
A zresztą pstrągi są hodowlane, to przemysł.  
Staniała ryba królewska i rzeki dla niej niedobre.

Róża przestała być mistyczna, palma — męczeńska,  
Lilia polna symbolem czystości i bez troski.  
Błękit jezior jest przenikliwszy, niż przed wiekami,  
Ale ta przenikliwość to klarowne jady.

Czyżbyśmy rzeczywiście utracili niewinność?  
Czy rzeczywiście nie wiemy, co to natura?  
Natura naturata? Natura naturans?  
Soracte wydawała się Horacemu wysoka; nieprawda.

Starczyło trochę śniegu, bo zima i już pory roku  
 Pomieszały mu się przy malowaniu tła.  
 Był człowiekiem miasta, Rzymu, wieży Babel,  
 Choć, rozdwojony, chciał spojrzeć na wieżę z lotu ptaka.

Chyba nigdy nie wiedzieliśmy, co to niewinność.  
 Tęsknimy za czymś, czegośmy nigdy nie utracili,  
 Albo utraciliśmy tak dawno, że pamięć zawodzi.  
 Homer siedzi w nas głębiej, niż Horacy ze swym złudzeniem.

Homer z tarczą Achillesa, która ma może słabość pięty,  
 Ale nie jest to słabość Homera, lecz Achillesa i nasza.  
 Techné i poesis to siostry bliźniacze! papużki nierozłączki:  
 Oszuści podstawiają samotnej papużce lustro.

Tak, wiem: przerażenie, oszołomienie, zachwyty; razem:  
 [wzniosłość.

Wybuch wulkanu i przepaście; ani to poesis, ani techné.  
 Oszołomienie, przerażenie i zachwyty nie są także naturą,  
 Tkwią w nas przycażone jako psyche, gotowe do erupcji:

Jako ogień (feu, feu, feu!), o którym krzyczał umierający  
 [Kartezjusz,

Jako krzak gorejący, jaki ukazał się Pascalowi,  
 Jako płonący wóz Eliasza w porażającym pyłe iskrzenia.

Więc nawet Homer nie napisał świętych ksiąg.

Berlin, w maju 1985 r.

Witold WIRPSZA

Guido ZLATKES

## TOTENTANZ

Ryszardowi Krynickiemu

Słowa zabite Słowa rozpuszczone  
 W kwaśnym powietrzu W mętnej zawieszynie  
 Czym jest poezja Kościotrupy wierszy  
 Wiersze tak nagie że aż nie ma wiersza

Więcej kartki niż słów Niż wiersza więcej przerażenia

Nie ma Rzymu Osipa Grecji Hölderlina  
 Tylko ten biały potwór Tylko to co pewne  
 Tylko wiersz Od wierszy nie ma ocalenia

## NADIEŻDA MANDELSZTAM 1977

stara kobieta  
 zawsze byłam stara  
 długie było konanie  
 dłuższe niż życie  
 bogowie mojego umierania  
 obłąkany Osip ospowaty Josif  
 umarli wreszcie we mnie  
 a teraz ja  
 stara kobieta  
 mogę odejść  
 stać się wiecznie  
 młoda

Guido ZLATKES

## W A W E L PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki  
 w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.  
 Również sprzedaż wysyłkowa.

**video  
kontakt**

**VIDEO-KONTAKT**

152, rue Saint Maur

75 011 Paris

France

tel. (1) 581.20.31

FILMY NA VIDEO-KASETACH

## KALENDARZ WOJNY

Film jest drobiazgowym opisem rzeczywistości polsko-jaruzelskiej wojny, przedstawia najważniejsze wydarzenia w Polsce od 13 grudnia 1981 roku, aż do pogrzebu ks. Jerzego Popiełuszki w październiku 1984 roku. Dokument zrealizowany jest w oparciu o archiwalne materiały filmowe. Unikalne obrazy widziane okiem kamer, które uszły uwadze strażnikom pogrudniowego porządku. (czas 50 min., cena 50 dol. USA)

## KULTURA

Jerzy Giedroyc, Zofia Hertz, Józef Czapski, Gustaw Herling-Grudziński oraz Konstanty Jeleński i Czesław Miłosz – twórcy i współpracownicy Instytutu Literackiego w Paryżu opowiadają o powstaniu, historii i dniu codziennym Instytutu, który jest w polskim życiu politycznym i kulturalnym fenomenem nie mającym sobie równych. (czas 50 min., cena 50 dol. USA)

## WZLOT

Teatr Ósmego Dnia jest jednym z najwybitniejszych i najciekawszych teatrów w Polsce, od lat prześladowanym przez milicję i cenzorów peerelowskiego państwa. Film jest zapisem zrealizowanego w okresie stanu wojennego spektaklu „Wzlot” opartego na poezji Osipa Mandelsztama. (czas 50 min., cena 50 dol. USA)

Sprzedaż wysyłkowa kaset w standardzie VHS (PAL-SECAM-NTSC). Na specjalne zamówienie wykonujemy kasety w systemie U-MATIC (PAL-SECAM-NTSC).

## Archiwum polityczne

### Afryka Południowa

Zaogniona sytuacja w Republice Południowo-Afrykańskiej zmusiła rząd waszyngtoński do zastosowania sankcji gospodarczych wobec tego kraju. Stało się to głównie pod naciskiem senatorów demokratycznych, amerykańskich środków przekazu i potężnych murzyńskich *lobbies*, wspieranych przez rozmaite ugrupowania liberalnej lewicy. Administracja amerykańska jest obecnie w niesłychanie trudnym położeniu: uprawia politykę lawirowania, która nie wróży niczego dobrego. *Apartheid* stosowany w RPA jest potępiany przez wszystkich, włączając w to Republikanów. Ponadto wszystko, co nosi cechy rasizmu uznawane jest przez liberalną opinię USA za zjawisko, którego nie leczy się reformami, ale które trzeba natychmiast zlikwidować bez względu na skutki. W rocznicę wielkiej masakry Czarnych w Sharpeville doszło w wielu miastach RPA do zaburzeń, w rezultacie których 19 osób zostało zastrzelonych przez policję. Pogrzeb ofiar wywołał nowe demonstracje i dalsze liczne ofiary.

Omawiając sytuację w Republice Południowo-Afrykańskiej na konferencji prasowej w połowie marca br., prezydent Reagan uznał, że *apartheid* jest polityką odrażającą, ale że istnieją na świecie siły, które nie chcą dopuścić do usunięcia dyskryminacji rasowej w RPA w trybie reform, ale dążą do konfrontacji ulicznych i do rozsadzenia tego państwa. Oświadczenie Reagana wywołało lawinę ataków na niego jako obrońcę *apartheidu*. M.in. biskup Pretorii, czarny duchowny Desmond Tutu, laureat nagrody pokoju Nobla, i wielu polityków murzyńskich nazwało go rasistą, zaś dwaj senatorowie Weicker i Kennedy — nie klasyfikując go w ten sposób — zażądali wprowadzenia prawa, zakazującego firmom amerykańskim wszelkich inwestycji w RPA.



Tenże biskup Tutu — co świadczy o jego braku realizmu lub krańcowej naiwności — wyraził przekonanie, że po likwidacji *apartheidu* RPA stanie się spichlerzem Afryki i dostawcą najpotrzebniejszych towarów dla zacofanych czarnych krajów.

Czy jednak tak by się stało? Jak wiadomo RPA jest producentem około 30 % towarów wytwarzanych przez całą arabską i czarną Afrykę. Jeśli w ciągu kilku tygodni czy nawet miesięcy doszłoby do obalenia istniejącego, niesprawiedliwego układu stosunków społeczno-rasowych, proces miałby charakter niekontrolowanej eskalacji, doprowadzając do gwałtownych starć, a być może wojny rasowej, w toku której biała ludność walczyłaby prawdopodobnie do upadłego, bo stawką byłoby już nie jej panowanie, ale fizyczne istnienie. Żadne stopniowe przemiany nie wchodziłyby już w rachubę. W tych warunkach nie tylko załamałaby się dotychczasowa struktura władzy w Republice, ale doszłoby do zniszczenia państwa. Nawet jeśli założymy optymistycznie, że okres anarchii trwałby niezbyt długo i RPA zostałaby odbudowana w nowej formie, poziom produkcji przemysłowej i rolniczej obniżyłby się i to bardzo drastycznie. Wraz z nim spadłoby wydobycie surowców. Albowiem realia są takie, że wysoka produktywność i wydobycie surowców w tym kraju są związane z istniejącą społeczną i rasową strukturą, ugruntowaną w ciągu wieków. Ze tak właśnie jest, wskazuje niski poziom wydajności przemysłowo-rolniczej niepodległych państw Czarnej Afryki. Wyzwolenie tych krajów spod kolonialnej władzy Białych i usunięcie dyskryminacji Czarnych nie wyzwoliło sił produkcyjnych w nowych państwach.

W rozważaniach tego typu trzeba zresztą wyjść poza ramy problematyki rasowej. We współczesnym świecie rasizm stanowi tylko jeden z instrumentów upodlenia człowieka. Prawdopodobnie dla czarnej ludności RPA — najważniejszy i aktualnie jedyny. Obecnie żyjący czarni mieszkańcy tego kraju nie zaznali innych rodzajów tyranii i mogą wierzyć, że wszelkie zło pochodzi z *apartheidu* i że usunięcie go otworzy im drogę do promiennej przyszłości i dobrobytu. Wiemy, że tak nie jest.

Dlatego we wszystkich tego typu problemach i konfliktach należy brać pod uwagę przynajmniej kilka czynników: — po pierwsze, kto i w imię jakich celów domaga się usunięcia istniejącego, niesprawiedliwego porządku; po drugie, jaka jest alternatywa i czy nie jest ona brzemienna w inne, groźniejsze dla społeczeństwa klęski; po trzecie, czy jest to jedyna droga do osiągnięcia zmian i usunięcia zła.

Żeby udzielić odpowiedzi na pierwsze i drugie pytanie, które możemy traktować łącznie, należy odwołać się do historii ostatnich kilkunastu lat. Ta daje nam obfity materiał, bogaty w cenne

i bolesne doświadczenia. Wiemy na przykład, że reżym szacha Iranu był okrutny i barbarzyński, ale wiemy i to, że w rozumieniu naszej chrześcijańskiej moralności, upragniona przez większość Irańczyków alternatywa jest jeszcze bardziej barbarzyńska. Dostrzegło to już wielu Persów, którzy bardzo szybko zrozumieli, że obecny klerykalno-szyicki reżim jest krwawy i nieludzki i odwróciło się od ayatolli. To co z tego? — może ktoś zapytać. Co z tego, że ayatolla prowadzi z uporem wojnę z Irakiem, której zresztą nie zaczął? Co z tego, że kobiety w Iranie są izolowane i traktowane bez porównania gorzej, niż były traktowane w krajach należących do naszej cywilizacji kilkaset lat temu — skoro one same to akceptują? Co z tego, że organy bezpieczeństwa teokratycznej Republiki Islamu są okrutniejsze od służby bezpieczeństwa szacha? Dlaczego mamy rozdzierać szaty nad losem milionów Irańczyków i dziesiątków tysięcy, które giną w bezsensownej wojnie z muzułmańskim sąsiadem — skoro oni sami sobie tego życzą, a mężczyźni i dzieci idą na śmierć z „kluczami do rajy” zawieszonymi u szyi? W konkluzji wypadłoby postawić pytanie: dlaczego mamy oceniać moralność lub amoralność wszelkich systemów według naszych chrześcijańskich kryteriów? Czy nie powinna to być sprawa, o której decydować winna sama ludność suwerennego kraju? Odpowiadamy: w wielu wypadkach tak, ale nie zawsze i nie wszędzie. Hitler doszedł do władzy i dźwignął ją przez kilka dobrych lat przy absolutnym poparciu większości Niemców. Ale cenę demokratycznego wyboru Hitlera przez większość narodu zapłacił cały świat. Dlatego wola narodu nie zawsze może i powinna być probierzem tego co dobre i złe. Z tej prostej przyczyny, że żaden naród nie tkwi w izolowanym miejscu — choćby nie wiem jak bardzo chciał się izolować. A przeważnie nie chce, jak pokazuje przykład hitlerowskich Niemiec w przeszłości, a obecnie Iran i Libia<sup>1</sup>.

Dominująca rola białych w RPA może być usunięta i kto wie, czy to nie nastąpi bardzo rychło w wyniku dramatycznych i gwałtownych przemian w tym kraju. Ze swej strony nie możemy decydować za czarnych obywateli RPA, co jest dla nich gorsze, a co lepsze, i straszyć ich wysoką ceną, jaką będą musieli zapłacić za rozbicie obecnego systemu — jeśli ta ewentualność okaże się nieuchronna. Sami muszą poznać gorzki smak wolności. Tymczasem obecna sytuacja RPA przypomina obłąkaną twierdzę, w której zbuntowało się ponad 2/3 załogi. Sowieckie Politbiuro

1. Sowieców nie wymieniam z tej przyczyny, że starałem się dawać przykłady tych krajów, w których władza istnieje przy aprobachie większości. Tak sprawy przedstawiają się tylko w Persji — przynajmniej w chwili, kiedy piszę ten artykuł. Z mniejszą pewnością oceniam sytuację w Libii pod władzą Kaddafiego.

niewątpliwie uważnie przygląda się temu zakątkowi świata, który strategicznie stanowiłby dla nich niesłuchanie łakomy kasek. RPA jest izolowana politycznie i w dużym stopniu — militarnie. Podczas gdy dla liberalnej opinii świata jest ona obiektem aspiracji wyzwolenicznych, dla Sowietów jest po prostu potencjalnym łupem. Z tej przyczyny nie można wykluczyć inicjatywy sowieckiej, polegającej na zorganizowaniu „armii wyzwolenczej”, złożonej z czarnych Kubańczyków i Angolańczyków, którzy operując z terenów Angoli poprzez Namibię będą starali się destabilizować obecny reżim, przekreślając możliwość reform. Trzeba zaznaczyć, że tego rodzaju inicjatywa Sowietów nie miałaby w sobie obecnie nic awanturniczego. Politbiuro mogłoby działać bez żadnego ryzyka, ponieważ świat jest zaszantażowany „wyzwoleniem” RPA i nie bardzo dba o to, kto by ją wyzwalał i w jakim celu. Zresztą każdy odruch protestu przeciw Sowietom byłby od razu potraktowany jako próba obrony obmierźłych rasistów.

Przy okazji obalenia rasistowskich rządów RPA doszłoby prawdopodobnie do całkowitego rozbicia struktury państwowej i długotrwałej anarchii. Jednocześnie nastąpiłby kompletny paraliż społeczeństwa, które składałoby się z ludzi wolnych i głodnych. Czy wolnych w ogóle — tego nie jestem pewien.

Żeby uniknąć katastrofy, konieczne są reformy i to realizowane szybko. Oczywiście odejście RPA od *apartheidu* — fundamentu, na którym opierało się istnienie państwa Boerów, a później współczesnych Afrikanerów — musiałoby być operacją więcej niż wstrząsową. Biali i czarni obywatele tego kraju musieliby zacząć myśleć i patrzeć na siebie zupełnie inaczej. Czy ewentualność taka mieści się w realiach polityczno-historycznych uwzględniając doświadczenia, które uczą, że „człowiek bywa człowiekiem wilkiem”, zwłaszcza gdy różni się kolorem skóry, nie mówiąc już o innych, mniej zewnętrznych różnicach? Nie wiem. Ale wiem, że trzeba próbować, bo alternatywą jest katastrofa, której ofiarą padną wszyscy. Ta myśl powinna zmusić obydwie strony do maksymalnego wysiłku adaptacyjnego. Czarni, o ile

2. Rządząca Narodowa Partia Piotra Bothy wydała ostatnio książkę, która deklaruje, że polityka *apartheidu* jest obecnie niemożliwa do utrzymania. Innymi słowy ogłasza jej fiasko. Nie proponuje jednak zasady: „jeden wyborca — jeden głos”, która dałaby czarnym automatyczną większość w parlamencie, a to jest właśnie istotą żądań czarnej większości. Książka, której autorem jest działacz rządzącej partii, dr Stofel van der Merve, podtrzymuje rządy białej większości, jej bezpieczeństwo i bezpieczeństwo kolorowych, postulując zachowanie w RPA zachodnich wartości. Ostatni punkt jest nieco niejasny, ponieważ autor najwyraźniej włącza do dekalogu „zachodnich wartości” odmiennie traktowanie ras. Ta niezmiernie konfliktowa sprawa świadczy zarazem o bardzo kompromisowych próbach rozwiązania

zdobędą większość w parlamencie RPA<sup>2</sup>, jeśli będą jej nadużywać dla rewindykowania swych krzywd bez miary lub po prostu z zemsty, niewątpliwie zniszczą to, co z RPA dałoby się utrzymać po ewentualnym wprowadzeniu reform. Ponieważ, jak dotychczas, są tylko słabe sygnały politycznego oprzytomnienia białej mniejszości, historyczne doświadczenie uzasadnia tu głęboki pesymizm. Nikomu nie udało się dotąd stworzyć amortyzatora krzywd, które gdziekolwiek i kiedykolwiek narastały w toku wielowiekowego współżycia dwóch ras czy dwóch grup etnicznych. Więcej — w okresie antagonistycznego współistnienia krzywdy te bywały mniej jętrzące niż oglądane z perspektywy czasu. Ani RPA, ani jej poprzedniczka Unia Południowo-Afrykańska nigdy nie były wspólnym domem dla swoich mieszkańców. Były domem i własnością białych. Czarni pełnili rolę siły roboczej — izolowanej i dyskryminowanej. Cóż więc skłaniać ma ich do tego, by starali się o utrzymanie państwa, które przez wieki było dla nich domem niewoli? Najbliższe porównanie (dzieje chłopów feudalnych mają wiele odmiennych implikacji) nasuwa się z dziejami i aktualną postawą czarnych obywateli Stanów Zjednoczonych. Przy usunięciu resztek dyskryminacji rasowej i stworzeniu im optymalnie sprzyjających warunków w amerykańskim społeczeństwie, ich instynkt więzi patriotycznej i poczucie wspólnoty z resztą społeczeństwa wydają się niezmiernie wątpliwe; z reguły ustępują one solidarności rasowej. W porównaniu z tą solidarnością amerykański patriotyzm wydaje się czystą abstrakcją i pustym sloganem. Jeśli więc tak jest, jeśli w świetle naszych rozważań możliwość zorganizowania nowej RPA — której zrębów wciąż jeszcze nie widać — jest tak mała, to po co w ogóle próbować? Przede wszystkim dlatego, że losy RPA rzutują na losy świata. Z tej racji, jeśli nawet szanse ratowania RPA są znikome, należy je wykorzystać i nie odpisywać przedwcześnie tego kraju na straty.

Przy całym wielce pesymistycznym obrazie przyszłości RPA należy stwierdzić, że istnieje jeden, dość poważny, czynnik, którego nie uwzględniłem w moich rachubach, a który podaję jako argument końcowy, łagodzący mój sceptycyzm co do losów tego kraju. W każdym nowotworzącym się, lub powstającym ze starego, organizmie państwowym istnieje grupa ludzi zainteresowana w dojściu do władzy z okazji wyłaniania się nowych kształtów społeczności i tworzenia neo-biurokracji. Zjawiska te, które socjologowie klasyfikują jako dysfunkcję instytucji państwa, w kon-

nabrzmiącej sytuacji przez premiera Bothę. Jak zwykle w takich sytuacjach, uniki Bothy nie zadowalają ani czarnych, ani białych. Ze strony tych ostatnich rośnie opozycja, której wyrazicielem jest b. minister Andrius Terenicht, broniący *apartheidu* jako fundamentalnej zasady RPA.

tekście niebezpieczeństw czyhających na RPA, mogą się w tym wypadku okazać wysoce pożyteczne. Ścisłej, mogą się przyczynić do scementowania państwa zagrożonego rozpadem. Podobne zjawiska cementującego działania nowych biurokracji można było zaobserwować we wszystkich krajach Czarnej Afryki. Chodzi tu oczywiście o spoiwo czysto administracyjne, które jest ważne z braku innego, gdyż świadomość narodowa nie ukształtowała się i pewno długo się jeszcze nie ukształtuje w plemiennych państwach Czarnej Afryki.

Czarni działacze RPA, którzy w tej chwili gotowi są uczynić wszystko, by zburzyć władzę białych w aparacie państwowym i w różnych gałęziach prywatnej gospodarki, będą chcieli za każdą cenę instytucje te zachować. Innymi słowy groźba rozpadu dawnej struktury tak długo jest dla nich atutem w walce, póki nie utoruje im drogi do władzy lub do kuszących stanowisk w przemyśle lub administracji, w tej chwili dla nich niedostępnych. Wśród czarnych polityków RPA, których hasła brzmią obecnie dla świata bezkompromisowo, jest dość liczna grupa ludzi ambitnych, doskonale rozumiejących piętrzące się trudności oraz to, że czarni długo jeszcze (a może nigdy) nie będą mogli zastąpić białych na wszystkich stanowiskach. Posiadają zmysł realizmu, którzy po przejściu masy spadkowej RPA nakaże im utemperować euforie czarnych współplemieńców. Wśród tych ostatnich zresztą — podobnie jak w Zimbabwie — występują ostre antagonizmy międzyplemienne. Niektórym bardziej nawet dogadza panowanie białych, niż dojście do władzy przedstawicieli plemienia, którzy potrafią się obejść z nimi nierównie okrutniej, niż przedstawiciele istniejącego obecnie reżimu. Tak więc taran czarnych mieszkańców RPA grożący panowaniu białych nie jest bynajmniej monolitem, co w pewnej mierze osłabia jego siłę uderzeniową. Wszelako najważniejszym czynnikiem są potencjalni kandydaci do władzy. Stany Zjednoczone winny zatem rozpoznać i wesprzeć tę grupę, która może być gwarantem przejścia RPA przy minimalnych stratach, jeśli chodzi o potencjał przemysłowo-surowcowy tego kraju. Zidentyfikowanie tych środowisk należy do służb wywiadowczych i dyplomatycznych Ameryki, które powinny nawiązać z nimi możliwie wcześniej kontakt, nie żałować pieniędzy na jak najściślejsze związanie ich ze sobą. Jeśli Stany Zjednoczone tego nie zrobią, ktoś inny sypnie złotem, ale wspomóż nie tych, którzy będą rzecznikami zachowania RPA w odmienionej szacie, lecz zwolenników chaosu i anarchii.

W konkluzji, Stany Zjednoczone powinny jak najspieszniej umocnić finansowe i militarne więzy z RPA, czyli uczynić akurat odwrotnie niż to, czego domagają się krzykliwi przeciwnicy *apart-*

*beidu* na Zachodzie, postulujący bojkot Afrykańskiej Republiki. Pod warunkiem jednak, by rząd Piotra Bothy, przełamując konserwatywną opozycję białych, zaczął dopuszczać do stopniowego udziału w rządach grupę tych czarnych działaczy, o których wspominałem, a którzy są zainteresowani w zachowaniu państwa. Władze wykonawcze Stanów, nie oglądając się na Kongres — bo sprawa leży w gestii administracji — winny użyć wszelkich środków, by wymusić na RPA wszczęcie niezwłocznej reformy. Może być ona rozłożona na 2 lub 3 lata, ale jej efekty muszą być widoczne już w ciągu najbliższych miesięcy. Pomoc amerykańska potrzebna będzie i później. Nawet jeśli okres przejściowy odbywać się będzie bez nadmiernych wstrząsów, w żadnym razie nie obejdzie się bez zakłóceń i okresowego paraliżu w wielu dziedzinach, których rozmiary trudno przewidzieć. W tej sytuacji Stany Zjednoczone muszą spełniać rolę pogotowia finansowego, gwarantującego ciągłość produkcyjno-surowcową RPA. Mimo wysokich kosztów będą one niższe od alternatywy — utraty RPA. W tym szczególnym wypadku doraźne interesy amerykańskich biznesmenów, których handlowe spojrzenie pozbawia spojrzenia perspektywicznego, mogą znaleźć się w całkowitej harmonii z dalekowszoczną polityką blokowania ekspansjonizmu sowieckiego.

Jeśli jednak ta szansa zawiedzie, będzie to dowodem, że są na świecie społeczeństwa wysoko produkcyjne oparte na fundamencie deklarowanej jawnie niesprawiedliwości, których nie da się zmienić — zmienić czy zreformować — i które wobec tego trzeba pozostawić takimi, jakimi są lub zezwolić na ich zniszczenie.

Moje uwagi dotyczące wizji RPA wolnej od *apartheidu* mogą mieć tylko charakter ogólny. Nawet gdybym dysponował szczegółowym materiałem (którym nie dysponuję) dotyczącym obecnego stanu wzajemnych stosunków we wszystkich dziedzinach życia RPA, to i tak na nic by się to nie zdało w opisie przyszłego scenariusza republiki wolnej od rasowego ucisku. Liczba czynników determinujących wszelkie możliwe sytuacje, będących następstwem i przyczyną nowych spięć i antagonizmów, przekracza granice mojej wyobraźni i, jak przypuszczam, również i wyobraźni tych, którzy uchodzą za ekspertów od problematyki RPA.

Reasumując uważam, że reformy, o których piszę, należy jak najszybciej realizować, w przeciwnym bowiem razie wydarzenia wymkną się spod kontroli. Aktywna rola Stanów Zjednoczonych w tym rejonie będzie jedynym hamulcem, który powstrzyma Sowiety od zakotwiczenia się na dobre w tej części świata. Biała mniejszość RPA ma już niewiele szans na utrzymanie swojej supremacji, a w grożącej konfrontacji może ulec fizycznemu uni-

cestwieniu. Prawa do wyboru tej alternatywy nie można jej odmówić.

Dotychczasowa bierność Ameryki wobec procesów drażących RPA nasuwa niewesołe analogie ze świeżo minioną przeszłością, choć materia historycznych przemian jest tu zasadniczo inna. Właśnie w Ameryce Łacińskiej i Iranie Stany Zjednoczone bardzo długo ignorowały procesy, które z wolna ale nieuchronnie rozsadzały rzeczywistość tych krajów. Ta długotrwała ślepotą pociągała w konsekwencji następny tragiczny błąd. W momencie gdy dyktatorom, a w szczególnym wypadku szachowi<sup>3</sup>, grunt zaczął palić się pod nogami, Waszyngton pozostawił swojego wieloletniego sprzymierzeńca i przyjaciela własnemu losowi. Więcej, zmuszał go, jak w wypadku Somozy, do kapitulacji wobec sił, w których bez trudu można było rozpoznać zaangażowany udział sowieckiego totalitaryzmu. Zjawiska tego można było nie dostrzec w wypadku dojścia do władzy Fidela Castro, ponieważ pierwsza faza rewolucji kubańskiej miała zupełnie inny profil, zanim — w późniejszym okresie — doszło do pełnej sowietyzacji tego kraju. Jak się jednak okazało, doświadczenie kubańskie niczego polityków waszyngtońskich nie nauczyło. Dlatego obawiam się, że w wypadku RPA powtórzy się scenariusz, jakiego świadkami byliśmy już niejednokrotnie. Lawirowanie Waszyngtonu między władzą białej mniejszości w RPA, przy oficjalnych deklaracjach potępiających, będzie trwało do za pięć dwunasta. W chwili gdy system tego państwa zacznie się walić, a Sowiety znajdą tam dobrze ubezpieczony przyczółek, waszyngtońska administracja nie tylko odmówi poparcia rządowi Pretorii, ale domagać się będzie jego niezwłocznego ustąpienia. Historia Nikaraguy i Somozy w wydaniu czarno-białym powtórzy się bez zmian. Jeśli na południowym cyplu Afryki ugruntują się wpływy sowieckie, będzie to groźne memento dla amerykańskich sojuszników w Europie Zachodniej. Ciążący zaś nad Polską i Europą Wschodnią stan apatii i beznadziejności zaciągnąłby się wówczas jeszcze ciemniejszą chmurą.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 16 kwietnia 1985

3. Wypadek Iranu i obalenie szacha jest przykładem bardzo nietypowym, ilustrującym bezwład i polityczną ślepotę Waszyngtonu. Nie było tu prób podniecania kleru szyickiego ze strony sowieckiej. Rewolucja cofająca historię Persji wstecz miała charakter populistyczny. Tym niemniej kompletny brak rozeznania sytuacji przez ludzi kierujących polityką zagraniczną Stanów (dotyczy to obydwóch amerykańskich partii) był identyczny jak w odniesieniu do krajów Ameryki Łacińskiej. Ani w Iranie, ani na swoim geograficznym zapleczu nie dostrzeżono niczego przez wiele lat.

## Widziane z Brukseli

### POST SCRIPTA (II)

#### 1) Szlaban w dół

„Szlabany się podniosły, dreszcze obrzydzenia opadły, na Zachodzie jest coraz ciszej nad polskimi trumnami...”. Od tego zdania rozpocząłem artykuł pod tytułem „Podróże kształcą” w *Kulturze* nr 1 z 1985 roku, na temat rezygnacji niektórych państw sojuszu atlantyckiego z blokady reżimu generałów w Warszawie. „Trzy lata i 100 ofiar po grudniu — pisałem wówczas — spora część *establishment'u* na Zachodzie uznała, że ludzie w mundurach i w cywilu u władzy w Warszawie są znowu *salonfähig*”.

Belgijski *establishment* myślał podobnie. Leo Tindemans, minister spraw zagranicznych Belgii, dobry katolik flamandzki, człowiek kulturalny i wykształcony, wyrafinowany polityk, prawdziwie zakochany w swej funkcji, ubóstwiający podróże wszędzie jedno w jakim kierunku, doszedł był śladem bardziej sławnych kolegów także do wniosku, że czas mu do Warszawy. Nie trzeba być pierwszym, powiadał, ale nie przystoi być ostatnim, nawet nad Wisłą.

W chwili podjęcia decyzji co do zasady, Tindemans miał do wyboru dwa modele, dwa sposoby zachowania się w Warszawie, które przedstawiliśmy w *Kulturze* na przykładzie panów Papandreu, premiera Grecji i Rifkinda, wiceministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii. Przypomnijmy w skrócie, że Papandreu pojechał do Warszawy z wizytą przyjaźni dla generała Jaruzelskiego i nieprzyjaźni dla „Solidarności”. Generał — według Papandreu — to „patriota”, gozdzien szacunku i wdzięczności. „Polska, tłumaczył Papandreu, przechodziła bowiem wówczas (w 1981 roku) bardzo krytyczny okres, który, gdyby nie został w porę zatrzymany, mógł spowodować groźny wybuch nie tylko w Europie, ale i w świecie”. Solidarność natomiast — ciągle według Papandreu — poszła za szybko i za daleko i „przekształciła się w ruch niebezpiecznie negatywny”. Zgodnie z tą analizą sytuacji w Polsce, socjalistyczny premier Grecji spotkał się wyłączenie z generałami i ministrami oraz przyjął przyznany mu w uznaniu za talent politologiczny doktorat honorowy Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Tak jak przedtem, informacje na temat Polski czerpie nadal z *Trybuny Ludu*.

Drugi, odmienny model został zaprezentowany przez Rifkinda. Ów konserwatywny Anglik nawiązał przede wszystkim, to jasne, kontakty i złożył wizyty przedstawicielom reżimu polskiego kontrolującym dzięki armii i policji wszystkie elementy władzy

w Warszawie. Anglik uznał jednak — być może zgodnie z tradycją demokracji brytyjskiej — że warto także poznać zdanie opozycji, a w jej braku, ludzi mogących reprezentować inne poglądy niż czasowo sprawujący władzę rząd. Rozmawiał więc z przedstawicielami Kościoła, udał się na grób księdza Popiełuszko, no i zaprosił do ambasady brytyjskiej kilku byłych członków i doradców byłego związku zawodowego „Solidarność”. Rząd się wówczas bardzo pogniewał, ale Rifkinda już nie było. Rzecznik rządowy potępił Rifkinda za to, że „po kryjomu spotkał się z nielegalnymi strukturami w jaskrawej niezgodzie z zasadami przyjętymi w stosunkach międzynarodowych”, i zapowiedział, że rząd generała podobnych nietaktów tolerować nie będzie.

Ale tolerował. Po Rifkindzie przyjechali mianowicie włoski minister spraw zagranicznych Andreotti oraz szef Rifkinda, sir Geoffrey Howe. Zostali przyjęci przez generała i innych dygnitarzy zgodnie z protokołem, po czym obaj, choć każdy oddzielnie, odwiedzili grób Popiełuszki, no i podejmowali Mazowieckiego, Geremka, Śliwińskiego, Onyszkiewicza i Bratkowskiego. Howe ponadto był przedtem w Pradze, gdzie zachował się jeszcze gorzej. Mianowicie kiedy ów dystyngowany *sir* opijał wraz z ministrem Sznupkiem odwieczną czesko-angielską (Monachium???) w słynnej gospodzie pod „Siedmiu Aniołami”, jego specjaliści wysłannicy spotkali się na trzeźwo z przedstawicielami „Karty 77”. Prasa w Pradze potępiła perfidię Albionu; w Warszawie do głosów oburzonej prasy lokalnej dołączono również fakty. Warszawski oficjalny *high-life* zbojkotował przyjęcie wydane w ambasadzie brytyjskiej. Wynik był taki, że autochtonni ministrowie zostali w domu sam na sam z butelką czystej z niebieską kartką, a „nielegalne struktury” piły szkocką whisky w niezmaczonej niedobrym towarzystwem atmosferze angielskiej ambasady. Wbrew ultimatum rzecznika, że „nie będzie się godzić na spotkania z nielegalnymi strukturami”, rzecznik się zgodził, Howe i Andreotti opuścili Warszawę bez wyrzutów sumienia, a stosunki międzynarodowe pozostały bez zmiany.

Szlaban opadł dopiero, kiedy do wrót generała Jaruzelskiego zapukał Tindemans. Pierwszego maja oficjalna agencja prasowa „Belga” oznajmiła, że Tindemans zmuszony był anulować wizytę w Warszawie, przewidzianą na pierwszą połowę tego miesiąca. Decyzja podjęta została, według „Belgi”, z powodu odrzucenia przez rząd polski zamiaru Tindemansa spotkania z przedstawicielami rozwiązanego związku zawodowego „Solidarność”. Przedtem jeszcze, dodaje „Belga”, generał Jaruzelski poinformował Brukselę, że jego program zajęć jest tak zgęszczony, że nie pozwoli mu na przyjęcie ministra Tindemansa. „Belga” dodała, że Tindemans zamierzał poza tym spotkać się z kardynałem Glempem i oddać hołd pamięci księdza Popiełuszki, zamordowanego — jak podkreśliła „Belga” — przez „członków policji polskiej”. Minister belgijski zamierzał także odwiedzić pawilon belgijski na terenie obozu w Oświęcimiu. „Belga” podkreśla, iż wizyta Tindemansa zgodna była z polityką normalizacji stosunków mię-

dzy Polską a Zachodem i wyraża żal, iż minister belgijski zmuszony został „odłożyć ją czasowo”.

Zupełnie inną wersję podała agencja PAP. Według sprawozdania PAP (*Trybuna Ludu* z 8 maja br.), rzecznik rządowy na swej konferencji prasowej sprostował informacje „Belgi”, jakoby to minister belgijski „czasowo odłożył” wizytę. Odpowiadając na pytanie (nie wiadomo czyje) w związku z informacją na temat odłożenia wizyty Tindemansa, rzecznik stwierdził, iż „nieścieśle są sugestie zachodnich środków masowego przekazu, które zawierają twierdzenie, iż minister odwołał swą wizytę z własnej inicjatywy. Prawda jest inna: to strona polska zasugerowała odłożenie wizyty do czasu, gdy jej polityczne podstawy będą przez rząd Belgii lepiej przemyślane...”.

Ta uprzejma sugestia rzecznika rządu polskiego, że p. Tindemans, minister rządu Belgii, jest politycznym idiotą, została uzupełniona komentarzem agencji PAP. Twierdzi ona, że projekt Tindemansa spotkania się z przedstawicielami opozycji jest „nie do przyjęcia”, albowiem stanowi „ingerencję w wewnętrzne sprawy Polski”. PAP oskarża jednocześnie „sztab główny NATO” w Brukseli o opracowanie „obowiązkowego programu” wizyty zachodnich ministrów spraw zagranicznych udających się do Warszawy w zamiarze „udzielenia poparcia opozycji” i „destabilizacji” kraju. Polska, dodaje PAP, „skłonna jest rozwijać normalne stosunki z Belgią i krajami zachodnimi” ale wyłącznie „na bazie suwerenności i nieingerencji w jej wewnętrzne sprawy”.

Ani rzecznik rządowy, ani PAP nie odpowiedział jednak na pytanie zasadnicze. Dlaczego Andreotti i Howe mogli bezkarnie oddawać się subwersji w Warszawie, a Tindemansowi nie wolno? Dlaczego strona polska nie anulowała z „własnej inicjatywy” wizyt Andreottiego i Howe, a przejawiała tę „inicjatywę własną” dopiero przy Tindemansie? Czyżby strona polska uważała, że Howe i Andreotti spotykając się ze „strukturami” prawidłowo „przemyśleli” polityczne podstawy wizyt, a Tindemans, który chciał spotkać dokładnie te same „struktury”, przemyślał nieprawidłowo? Czyżby spotkanie europejskich potęg Howe i Andreottiego ze „strukturami” — żeby użyć terminologii rzecznika — podmiotowo „dowartościowywało” Mazowieckiego i Geremka mniej, niż uścisk dłoni skromnego Tindemansa? Co się stało, że szlaban spadł akurat przy nim?

W prasie belgijskiej przygoda Tindemansa, choć to naturalnie mały epizod, wywołała sporo komentarzy, nie zawsze zresztą mądrych. Rzecznikowi wymyślano od kaprali (co winni są kaprale?) ale to przecież niewiele tłumaczy. Jakie więc mogą być powody „szlabanu”?

Pierwszy jest taktyczny. Rząd generała, to rozumiało, nie lubi spotkań zachodnich ministrów ze „strukturami”. Rzecznik uważa bowiem, iż spotkania takie nadają strukturom „rangę partnerów do rozmów międzynarodowych”. Jest to sformułowanie prawidłowe, z tym tylko, że „rangę” tę „Solidarność” i przed-

stawiciele 10 milionów Polaków, którzy w nią wierzyli, zdobyli sobie nie poprzez rozmowy z zachodnimi ministrami spraw zagranicznych. Wprost przeciwnie, to ministrowie spraw zagranicznych państw zachodnich starają się o spotkania ze „strukturami”, albowiem „rangę partnerów” one miały już przedtem, no i zachodzi podejrzenie, że mogą ją mieć jeszcze w przyszłości.

Zabronić jednak ministrowi spraw zagranicznych Anglii czy Włoch spotkania z kim ów minister sobie życzy — z kuzynką żony czy z Bratkowskim — bezkarnie nie można, zachodzi bowiem ryzyko, że minister się obrazi i zostanie w domu. A generałom zależy na tym, aby ministrowie Włoch i Anglii, w braku innych, m.in. z USA, pojawiali się w Warszawie, z generałami miód pili i wystawiali w ten sposób świadectwo moralności nie tylko „strukturalom”, ale także władzy. Z Belgią ryzyko to jest małe albo żadne. Kraj i minister maleńki. Najwyżej nie przyjedzie. Można więc bezkarnie uderzyć pięścią w stół i uprzedzić, że struktur tolerować nie będziemy.

Powód drugi jest sentymentalny. Generałowie nie lubią Brukseli, niezależnie od struktur. To siedziba NATO, ośrodka knowań imperialistycznych przeciwko ZSSR w ogóle, a Polsce w szczególności. Tu mieści się też znana agentura tego sztabu, a mianowicie Biuro Zagraniczne „Solidarności”. Tu wreszcie pracuje kilku dziennikarzy, ukrytych agentów NATO, wyjątkowo nielubianych w sztabie generałów. Niedawno, przy okazji innej wizyty na szczelbu, przedstawiciel ambasady belgijskiej w Warszawie wezwany został do MSZ, gdzie mu zakomunikowano, iż jeżeli w ekipie dziennikarskiej towarzyszącej „szczelbowi” figuruje dziennikarz nazwiskiem X.Y., to mowy nie ma, nawet gdyby miało dojść do skandalu. Nie doszło. X.Y. się nie wybierał.

Po trzecie, zdaniem niektórych obserwatorów ze sztabu naturalnie NATO, takie „elastyczne” stanowisko Polski wobec kontaktów między strukturami a Zachodem związane jest z nadejściem ery Gorbaczowa i jego pobytem w Warszawie w celu przedłużenia układu o tej samej nazwie. Otóż Gorbaczow, który kiedy bawił w Anglii, Włoszech czy Kanadzie, zawsze się spotykał z miejscowymi „strukturami” to znaczy z partiami komunistycznymi, miał uznać, że w przywiślańskim kraju jest to niedopuszczalne i zabronił Jaruzelskiemu kontynuowania tego procederu nawet za cenę coraz liczniejszych „anulowań”. Taka, jakby ją nazwać, „doktryna Gorbaczowa!...”. Zgodnie z tą doktryną Kreml wie lepiej, co jest dobre dla Polski. Jaruzelski rozmawiał przez dwie i pół godziny z Howem, chociaż dobrze wiedział, że prosto od niego Anglik idzie na spotkanie ze „strukturami” i Popiełuszką. Teraz będzie telefonować do Gorbaczowa, żeby się dowiedzieć, czy Howe „lepiej przemyślał”...

Mniejsza o detale. Sprawa jest żenująca i kompromitująca. Jej jedyny pozytywny wynik polega na dopisaniu przez Tindemansa, trzeciego po niegodnym Papandreu i sprytnym Rifkindzie (z Howem), modelu zachowania się wobec władzy z Warszawy: wizyta anulowana.

A szkoda. Wyobraziłem sobie z rozrzewnieniem, co by mogło się stać, gdyby Tindemans nie pytając o zgodę na spotkanie ze „strukturami” do Warszawy jednak pojechał i z nimi się rzeczywiście spotkał. „Tak się w dobrym towarzystwie nie postępuje — odpowiedziano mi w kołach dyplomatycznych. — To nieelegancko. Byłby incydent”.

No to co? Jaki incydent? Tindemans, choć katolik, to nie ksiądz ekstremista, no i umie pływać, sprawdzałem: „Nieznani sprawcy” nie mieliby do niego dostępu, obstawa by nie dopuściła. Najwyżej nie przepuszczono by go przez mur pałek wokół grobu Popiełuszki, czy aresztowano by go, którzy chcieliby się przedostać na przyjęcie do ambasady belgijskiej, jeżeli dobrze pamiętam (chodziłem po wizę) na Senatorskiej. Cóż innego mógłby zrobić generał? Wypowiedzieć wojnę Belgii? Niegroźne, on ciągle jeszcze nie jest w stanie — 40 lat po „zwycięstwie” — wygrać wojny przeciw własnemu i bezbronnemu narodowi...

## 2) W otchłani szachów

„Aby wygrać, trzeba nienawidzić przeciwnika...”. Tak nazwałem mój artykuł z września 1978 roku na temat rozgrywanego w mieście Baguio na Filipinach meczu o mistrzostwo świata w szachach, między Anatolim Karpowem, który reprezentował wówczas — i ciągle to robi, chociaż z mniej entuzjastycznym skutkiem — ZSSR, a Wiktorem Korcznojem, który przez długie lata także reprezentował ZSSR, ale wtedy reprezentował już tylko siebie, i ciągle to robi, też zresztą z nienajlepszym skutkiem. Zdanie z tytułu należy do genialnego Bobby Fishera, Amerykanina, byłego mistrza świata, który spowodował w ZSSR żałobę narodową, odbierając w 1974 roku tytuł Borysowi Spaskiemu (obecnie już obywatelowi Francji). Fisher osobiście przywrócił uśmiech Kremlowi, przekazując Karpowowi koronę bez walki.

Otóż, pisałem wówczas, pod względem nienawiści Korcznoji i Karpow tak się do siebie mieli, że mieli absolutnie równe szanse na zwycięstwo. Ale tylko pod tym względem. Poza tym szanse były nierówne.

Z jednej strony Karpow, wówczas lat 28, spokojny, bez nerwów, mistrz defensywy, czekający za węglem na ofiarę, a poza tym prawdziwy symbol człowieka sowieckiego, typowy produkt bolszewizmu, wierny syn partii, członek KC komsomołu i bojownik o pokój światowy, członek najwyższego szczelbla nomenklatury. Karpow — to nic dziwnego — nie wahał się ani chwili, kiedy w 1976 roku kazano mu podpisać na pierwszym miejscu petycję w sprawie pozbawienia pewnego podejrzanego osobnika prawa uczestniczenia w międzynarodowych turniejach szachowych. Karpow słusznie podpisał, albowiem chodziło o „zdrajcę, który przejawiał ekshibicjonizm i narcyzm”.

W Baguio, z drugiej strony szachownicy, zasiadł właśnie ten

zdrajca i narcyz. Muza szachów sprawiła, iż petycja nie zdała się na nic i że przeciwnikiem Karpowa w finale o tytuł był właśnie Korcznoj, który wybrał wolność dwa lata przedtem w Amsterdamie i któremu udało się w eliminacjach usunąć z drogi po skalp Karpowa kilku innych arcymistrzów wyłącznie sowieckich.

Wyprawa po skalp nie udała się. Korcznoj był o 20 lat starszy od Karpowa, ale to nie był jego jedyny handicap. Korcznoj naturalnie grał z Karpowem o tytuł mistrza świata i o 300.000 dolarów, ale grał również z Kremlem o własną rodzinę. Aby uniknąć przejścia korony i chwały na głowę i w ręce zdrajcy, apatrydy i Żyda, starodawnym mongolskim i współczesnym sowieckim zwyczajem, Kreml wprowadził do meczu szachowego zakładników, przetrzymując siłą i prześladując, naturalnie także po sowiecku i mongolsku, jego żonę i syna, który, dla ukojenia nostalgii za tatusiem, został wyrzucony z politechniki i wysłany do sztrafbatalionu na Syberii.

Był to najtrudniejszy mecz w karierze Korcznoja: grał równocześnie przeciw Karpowowi i przeciw całej potędze ZSSR. Był to mecz bez precedensu: od kiedy Persowie czy Chińczycy należeli szachy, od kiedy Arabowie przy okazji wojen krzyżowych przekazali je Europie, od kiedy Kochanowski napisał „Szachy”, nikt jeszcze nie wprowadził do gry, obok 32 figur na szachownicy, dodatkowych figur rodziców i dzieci przeciwników. To się dopiero w 1978 roku — udało sowiecystom.

Nie doceniłem sowiecystom. Od 1978 roku Korcznoj przegrał dwa razy walkę o tytuł z Karpowem. Kiedy przestał być groźny, Moskwa wypuściła rodzinę. Ale epopeja walki całej potęgi ZSSR o utrzymanie korony na aryjskiej głowie Karpowa trwała nadal. To narodowe misterium, to dowód na wyższość socjalizmu. Dla ludzi Zachodu szachy, to gra. Dla Bolszoj Encyklopedii szachy, to „sztuka, przejawiająca się w postaci gry”. Dla Zachodu szachy, to rozrywka i gimnastyka mózgu, a w skrajnym przypadku intelektualny sport wyczynowy. Dla kapitalistycznego Zachodu szachy — tak jak wszystko — sprowadzają się w końcu do pieniędzy; dla komunizmu szachy, też tak jak wszystko, to oręż polityczny i sposób panowania nad masami. 28 maja 1985 roku *Prawda* oddała, w 100-lecie jego urodzin, hołd pamięci Mikołaja Kryłenki, prokuratora w „sprawie szachtyńskiej”, pierwszym procesie stalinowskim, gdzie 53 inżynierów i techników przemysłu węglowego zostało skazanych za „sabotaż i szpiegostwo”. Był wtedy rok 1928 i prawdziwe procesy miały dopiero nadejść, ale kariera Kryłenki trwała. Został ministrem oświaty, a w 1932 roku był także przewodniczącym federacji szachowej ZSSR. To właśnie on uznał wówczas, iż „należy raz na zawsze skończyć z tezą o neutralności szachów i natychmiast przystąpić do wypracowania szachowej piatiletki”. Kryłenko, jak to było do przewidzenia, został rozstrzelany przez Stalina w 1938 roku, ale jego pogląd na szachy jest do dziś obowiązujący.

Wszyscy więc pomyśleli, iż Kreml nareszcie może spać spokojnie, kiedy w kolejnym meczu o mistrzostwo świata w sza-

chach naprzeciwko Karpowa zasiadł nie jakiś zachodniak, ani, jeszcze gorzej, apatryda jak Fisher, lub Żyd jak Korcznoj, ale młody 22-letni także sowiecki człowiek i wychowanek komсомоłu, członek partii Gary Kasparow. Mecz rozgrywany był w Moskwie, specjalistycznym dziennikarzom zachodnim odmówiono po prostu wiz sowieckich, skorumpowanych korespondentów akredytowanych w Moskwie trzymano na dystans, mecz był wewnętrzną sprawą ZSSR; pozornie nic nie mogło zmącić zdrowej i czystej atmosfery Sali Kolumnowej Domu Związków Zawodowych, nad którą unosiły się jedynie duchy kolejno tutaj chowanych *gensieków*.

Regulamin był ten sam co zawsze: ilość partii jest nieograniczona, zwycięzcą i mistrzem świata zostaje ten, kto pierwszy wygra sześć partii, remis się nie liczą. Ale nie wygrał NIKT, tylko Kreml rozegrał swój największy szwindel w historii szachów. Proszę o chwilę uwagi, bo daty są ważne. Oto jak potoczył się turniej.

10 września 1984 rozegrana została pierwsza partia.

6 października, po dziewięciu partiach, Karpow prowadził 4:0. Istny *knock-out*, powiedzieli wówczas fachowcy. Kasparow wyglądał na sparaliżowanego, nikt nie dawał kopiejkę za jego szansę, federacja sowiecka ustalała już kalendarz spotkań dla nowego-starego mistrza świata.

W tym momencie sparaliżowany Kasparow zmienia taktykę i otwiera działania w najbardziej niszczącej wojnie pozycyjnej w historii szachów: remis za remisem, 17 nierozstrzygniętych partii z rzędu, jedna po drugiej.

Mimo tego, 24 listopada, Karpow wygrywa znowu. Jest 5:0. Nic już nie może uratować Kasparowa, z takiej otchłani nikt jeszcze nie wyszedł, zwłaszcza grając przeciw Karpowowi u szczytu formy.

Ale to pomyłka, pozory. W tym meczu Karpow już więcej nie wygrał...

13 grudnia Kasparow wygrywa pierwszą partię. Jest 5:1. Następuje znowu seria 14 remisów i dzieje się rzecz niezwykła. Karpow gra jak we mgle, role się odwracają. Cud na szachownicy byłby więc możliwy.

30 stycznia Karpow przegrywa partię nr 47, a 8 lutego partię nr 48. Jest 5:3.

Pewien świadek cudu wspomina, a był już styczeń 1985 roku, że Karpow, 33 lata, jest wykończony, wygląda jak Czernienko, 73 lata, i jak się miało niedługo potem okazać, właściwie już nieboszczyk. Inny obserwator, bardziej poetycki, przypomniał, iż Karpow, tak jak Łuzin, bohater Nabokowa, przepadł „w bezdennej otchłani szachów”. W czasie, kiedy Karpow, który nie wytrzymał trudów sportowego turnieju, przepadał w otchłani, Kasparow wchodził do historii jako bohater najbardziej sensacyjnego *come-back* w dziejach szachownicy. Sprawdziło się zdanie, iż „na 64 polach szachownicy dzieje się więcej sensacyjnych wydarzeń niż na wszystkich oceanach”.

I wtedy znowu wkroczyła partia. Łatwiej jej było działać w Moskwie niż w Baguio, ale skandal był tym większy. Kiedy mia- nowicie już tylko gong, jak na ringu, mógł uratować Karpowa, kiedy arcymistrz Robert Byrne zauważył, że wyczerpany Kar- pow „gra jak w malignie”, cud się zdarzył i gong się odezwał. Uderzył weń przewodniczący FIDE, Światowej Federacji Szachowej, Filipińczyk Florencio Campomanes, który przerwał mecz „w interesie przemęczonych graczy i szachów”.

Gwałcąc wszystkie statuty FIDE, zdrowy rozsądek i podsta- wowe reguły sportowego *fair-play*'u i zwykłej uczciwości, Cam- pomanes uznał za niebyłe 31-sze mistrzostwa świata w szachach, wynik 5 : 3, pięć miesięcy zmagania, 48 partii, 1.655 ruchów, ponad 200 godzin myślenia dwóch genialnych mózgów. Kreml postanowił, że 48 partia będzie ostatnia w tym meczu i Campomanes nic nie mógł na to poradzić. Federacja sowiecka zrzesza więk- szość arcymistrzów, ponad połowę turniejowych graczy z całego świata, rządzi w światowej federacji jak w Riazaniu czy Omsku. A ponadto, szczególnie godny podkreślenia: Campomanes, lub też jak go określił Spaski, Karpomanes, został wybrany przewodni- czącym FIDE dzięki poparciu ZSSR, który wołał Filipińczyka za- miast Islandczyka Olafsona, znanego z niezależności sądu, lub też Jugosłowianina Gligorica, który zbyt dobrze zna obyczaje Sło- wian z północy.

W świecie szachowym wybuchła straszliwa awantura, w świe- cie politycznym nikt się nie zdziwił, gong był do przewidzenia, po 48 partiach był właściwie nieunikniony: Karpow nie mógł przegrać, bo Kasparow nie miał prawa wygrać.

Co się stało? Dlaczego Kasparow był skazany? Ja rozumiem Korcznoj, ten Trocki szachownicy, Żyd, zbieg, „zdrajca i narcyz”, ale Kasparow?

Okazuje się, że Kasparow też jest nieczysty. Dwa razy zmie- niał nazwisko ale, jak wykazał to jeszcze polski rok 1968, jest to operacja, nawet jeżeli dwukrotna, niewystarczająca. Do 12 roku życia Kasparow, który jest bardzo niedobrym mieszkańcem: z ojca Żyd, z matki Ormianin, nazywał się po prostu i normalnie Weinstein. Kiedy ojciec umarł, a Gary okazał się już mistrzem szachownicy, „zasugerowano” mu przyjęcie nazwiska matki, Kas- parian, co brzmi jednak lepiej od Weinstein. Kiedy zaś Gary zaczął robić światową karierę, zmieniono mu znowu nazwisko na Kasparow, zrusyfikowaną wersję Kaspariana.

I tak byłoby już zostało, gdyby młodemu Weinsteinowi nie przewróciło się w głowie i nie przejawiał chorej ambicji sięgnię- cia po tytuł mistrza świata i koronę, która tak godnie spoczywała na skroni rasowo czystego Karpowa. Kasparow, potomek dwóch narodów, do których naród sowiecki nie może mieć zaufania, mieszaniec, jak to często bywa, genialny, prawdziwy, jak Fisher, Mozart szachownicy, fantastycznie błyskotliwy, agresywny gracz, jest ponadto osobnikiem absolutnie niegodnym zaufania partii. Poza niedobrym pochodzeniem, Kasparow przejawia także nie- zdrową, jak na sowietyzm, niezależność sądu. Chwalił Fishera,

interesował się światem, miał swoje zdanie, zboczenie, które wyszło na jaw, kiedy decyzję Campomanesa nazwał publicznie, na konferencji prasowej w Moskwie, zwyczajnym nadużyciem zmierzającym do pozbawienia go tytułu mistrza świata.

A jak zareagował Karpow? Po sowiecku. Kiedy było już po wszystkim, mecz był już oficjalnie nieważny, Moskwa *locuta, causa finita*, wtedy Karpow oświadczył, że o decyzji Campoma- nesa dowiedział się przez... telefon, zainstalowany, jak u każdego obywatela ZSSR, w jego prywatnym samochodzie, że jest, natu- ralnie, gotów grać nadal i do końca. Ale nie grał. Partia zabro- niła 49-tej partii...

Co dalej? Jaki następny ruch szachowy poza szachownicą i jakie figury zostaną wprowadzone przez Kreml do teorii gambi- tów, otwarcia i końcówek, pata i mata?

Mecz o tytuł rozpocznie się na nowo 2 września 1985 w... Na razie nie wiadomo gdzie. Trzy miasta zgłosiły kandydaturę: Mar- sylia, Londyn i Moskwa. Logicznie biorąc, Marsylia powinna wy- grać przetarg, albowiem zgłosiła najbardziej nęcącą propozycję finansową: 1.600.000 franków szwajcarskich, pozostałe wysuwały jedynie po milionie. Ale są, i słusznie, inne jeszcze kryteria, a przede wszystkim preferencje zawodników.

W chwili kiedy ten numer *Kultury* dojdzie do czytelnika, już wszystko będzie jasne, ale i w chwili pisania tych słów coś nie- coś już wiadomo. Otóż w celu ujawnienia ich poglądów na miejsce i inne okoliczności meczu, Karpow i Kasparow mieli się zjawić w połowie maja na posiedzeniu Komitetu Wykonawczego FIDE w Tunisie. Nie zjawili się, choć mieli już wizy i zabuko- wane miejsca w samolocie i nie podali przyczyn nieobecności. Zjawił się natomiast pan Mikołaj Krogius, przedstawiciel ZSSR w FIDE i oznajmił — co za niespodzianka — że mimo iż propo- zycja Marsylii jest finansowo najciekawsza, to dla ludzi sowiec- kich nie mamona jest najważniejsza, i że wobec tego obaj za- wodnicy jednogłośnie wybrali Moskwę.

Jest też nowy regulamin. Nie ma więcej mowy o „przemęcze- niu” graczy. Mecz może trwać maksimum 24 partii, tytuł zdo- bywa zawodnik, który pierwszy wygra 6 partii, w wypadku remi- su 12 : 12, tytuł pozostaje przy Karpowie. Dreszczok sportowy będzie zastrzyżony: zawodnicy otrzymują 5 % premii za każde zwycięstwo, a tylko 1 % za remis, 5/8 reszty zabiera zwycięzca, 3/8 — pokonany.

Posiedzenie Komitetu FIDE w Tunisie odbywało się naturalnie przy drzwiach zamkniętych, prasa nie mogła więc poznać szcze- gółów raportu, jaki Campomanes złożył na temat bezprecedensow- ych okoliczności unieważnienia meczu o mistrzostwo świata. „Wszystko na temat meczu z Moskwy zostało już powiedziane”, zakończył swoje przemówienie na konferencji prasowej Campo- manes, odmawiając ujawnienia szczegółów swego sprawozdania. No i już, klamka zapadła, taka nowa końcówka, która przejdzie do historii jako wariant Karpomanesa.



Jaka z tego lekcja? Nie nowa, ale tak ważna, że nigdy się nie znudzi, ta mianowicie, że Związek Sowiecki nie cofnie się przed najbardziej nawet, aż do absurdu, cynicznym pohańbieniem zasad, kiedy a) w grę (także szachową) wchodzi jego interes polityczny lub... rasowy, b) kiedy ryzyko konsekwencji jest minimalne lub żadne, (koszta moralne nie są naturalnie w ogóle brane pod uwagę).

Oczywiście, jak nas pouczają niektórzy sławni amerykańscy kolumniści, należy zachować jak najdalej idącą ostrożność i nie wpadać w antysowiecką paranoję w ocenie motywacji postępowania Kremla. Inaczej bowiem ktoś mógłby np. dojść do nierozumnego wniosku, iż cynizm ze sprawy Weinsteina należy do tego samego mechanizmu psychicznego, który nasunął pomysł posłużenia się przez KGB pośrednictwem Bułgarów dla wysłania Turka w celu zabicia polskiego papieża. A przecież to brednia...

### 3) *Życie towarzysko-kulturalne*

Pewien znajomy dziennikarz francuski opowiadał o swojej wizycie w Chinach już w czasie kolejnego, bardzo wielkiego skoku, tym razem w modernizację. W głowie mu się przewróciło i pomyślał, że w ramach modernizacji może, ot tak sobie, pójść spacerkiem w *Pekin by night*. Opuścił więc dyskretnie hotel i w nieustającym dreszczu emocji przeszedł kilka kilometrów ulicami śpiącego Pekinu. Po godzinie powrócił z triumfem do hotelu. Następnego dnia rano jego chiński gospodarz uczynił mu uprzejmie wymówkę, podając równocześnie dokładnie trasę jego nocnej wycieczki wraz z listą wystaw, przed którymi się zatrzymał. Zdumiony dziennikarz zapytał: „A skąd wy to wszystko wiecie, przecież nikt mnie nie śledził, bardzo dokładnie to sprawdzałem”. A na to Chińczyk: „Masy ludowe zatelefonowały”.

Do mnie też. Poczta mas ludowych przyniosła sporą paczkę wycinków z prasy krajowej i zagranicznej, m.in. kolejne smutne i nudne ale długie wypracowanie z *Życia Literackiego* na temat *Kultury* (ale to temat oddzielny) oraz kilka uroczych donosików z prasy zachodniej, wszystkie mniej lub bardziej związane z tematyką moich poprzednich artykułów.

#### a) *Zaskoczona pani ambasador*

40 lat po kapitulacji hitlerowskiej Rzeszy, skapitulowała (znowu...) organizacja znana czytelnikom *Kultury* ze skrótu UNESCO. Rocznicą zwycięstwa w drugiej wojnie światowej nie mogła oczywiście przejść bez śladu w gmachu na placu Fonteney w Paryżu, gdzie gustowny 300 metrowy duplex ciągle jeszcze, dzięki poparciu ZSSR, trzeciego świata i naszym podatkom, zajmuje p. M'Bow, dyrektor generalny i doktor *honoris causa* kilkudziesięciu uniwersytetów na całym świecie. Firmę, adres i logistykę dała UNESCO; organizacją zajął się bezpłatnie Związek Sowiecki.

Chodzi mianowicie o bardzo interesującą wystawę, pt. „Wielkie zwycięstwo narodu sowieckiego w wielkiej wojnie światowej 1941-1945”, urządzoną w centralnej siedzibie UNESCO. Otworzył ją p. Henri Lopes, wicedyrektor generalny UNESCO, rodem z Kongo, kraju, który nie brał czynnego udziału w walce z hitlerowskim najeźdźcą, a otwarcie zaszczylił p. M'Bow, dyrektor generalny z Senegalu, kraju, który podobnie jak Kongo, w czasie wojny jeszcze samodzielnie nie istniał. Wystawa tylko mimochodem wspomina, iż coś się stało w Polsce 1 września 1939 roku, zupełnie nie wspomina, że coś się także wydarzyło między Hitlerem a Stalinem w Moskwie 23 sierpnia 1939, zaczyna natomiast wszystko od agresji z 22 czerwca 1941. Mniejsza o szczegóły: jedna skromna wzmianka przypomina „poważny wkład narodów i armii Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji, Chin oraz kilku innych państw”, cała reszta przekonuje widza, że „to naród sowiecki odniósł zwycięstwo” w imię naturalnie „pokoju i życia na ziemi”, itd., itp. Jeżeli chodzi o Europę Wschodnią, to wystawa w UNESCO nie ma najmniejszych wątpliwości, że to „wyzwoleńcza misja armii sowieckiej” przywróciła jej wolność. W konkluzji, wystawa w UNESCO nie pozostawia wątpliwości: wolność przyszła z socjalizmem...

Zimne plansze wystawy to nie wszystko, był jeszcze festiwal filmowy. Dzieła sztuki kinematograficznej pochodziły wyłącznie z ZSSR, Polski, Węgier, NRD i Bułgarii.

Ktoś pomyślałby, że wobec tak poważnego naruszenia zasady neutralności organizacji międzynarodowej, inne państwa, np. USA lub choćby Francja, bo ma blisko, zorganizowały także w UNESCO kontr-wystawy i kontr-festiwale, przywracając równowagę obrazu, przypominając np. traktat z Hitlerem i rozbiór Polski, powstanie warszawskie, okupację państw bałtyckich, nie mówiąc już o misji wyzwoleniczej armii czerwonej w Katyniu czy dacie urodzin Sacharowa. Nic z tego, taka polemika pogwałciłaby neutralny charakter naukowy i oświatowy UNESCO.

Mme Gisèle Halimi, nowy, socjalistyczny naturalnie, ambasador Francji przy UNESCO, wyraziła ubolewanie z powodu jednostronnego i propagandowego charakteru wystawy i żal, iż wystawa nie została zorganizowana wspólnym wysiłkiem wszystkich państw koalicji antyhitlerowskiej. „Zostaliśmy po prostu zaskoczeni”, powiedziała pani ambasador. Nie pierwszy i niestety nie ostatni raz.

#### b) *Jak się widzą Amerykanie w Moskwie*

Amerykanie nie mieli czasu zajmować się wystawą w UNESCO, bo byli zajęci organizowaniem własnej wystawy na Międzynarodowych Targach Książki w Moskwie. Jest to wydarzenie poważne, jako że jest to jedyna okazja w roku, kiedy człowiek sowiecki może, nie ryzykując gułagu, dotknąć książki wydanej na Zachodzie. Dreszcz dotknięcia jest ważny, albowiem jest to jedyna forma kontaktu z książką zachodnią, nie ma bowiem naturalnie

mowy o spożyciu na miejscu, nie mówiąc już o zwyczajnej ludzkiej kradzieży — na Targach książki rewizja podejrzanych odbywa się nie przy wejściu, a przy wyjściu.

Ale i dotknięcie książki jest tak podniecające, że przed stoiskami bez dzieł zebranych Lenina i Ceausescu formują się ogromne ogonki obywateli Moskwy.

Stąd wybór książek, które państwa zachodnie postanawiają pokazać w Moskwie jest także ważny, stąd też czujność organizatorów wystawy jest w Moskwie odwrotnie proporcjonalna do „zaskoczenia” gospodarzy wystawy np. w UNESCO w Paryżu. Co roku, z regularnością serialu „Dallas”, powtarzają się konflikty cenzury z Moskwy z zachodnimi wydawcami. Tych najbardziej krnąbrnych, nieskłonnych do koncesji wobec cenzury, pozbawia się po prostu wizy sowieckiej. Z innymi dochodzi do kompromisu: niektóre tytuły się usuwa, inne zostają. Obie strony mają w tym interes. Moskwa pokazuje, że jej Targi książki są demokratyczne i otwarte tak, że nawet imperialistyczni wydawcy są do nich dopuszczani. Zachód uważa, że lepiej coś niż nic, że nieobecni nie mają racji i że warto iść na ustępstwa, aby tylko sowieccy ludzie ujrżeli słowo drukowane na Zachodzie.

Trudno przesądzić, sprawa delikatna, choć można przypuszczać, że gdyby cały Zachód, solidarnie — wszyscy wydawcy razem — postanowił nie kapitulować i raczej zbojkotować Targi niż dać się cenzurować, to i Moskwa by zmiękła, bo gra i ryzyko kompromitacji jednak takiej świeczki nie warte. Ale taka solidarność to naturalnie marzenia...

W tym roku Amerykanie znaleźli lepsze wyjście: proponują taki zestaw książek, że nie może on budzić zastrzeżeń nawet sowieckiej cenzury. Charles Krauthammer, jeden z nielicznych znających się na rzeczy kolumnistów amerykańskich, wyraził publicznie zdziwienie z kryteriów selekcji 313 książek amerykańskich przeznaczonych na Targi w Moskwie. Zasadą wyboru — jak to ogłosiła specjalna komisja z Kurtem Vonnegutem na czele — był zamiar pokazania „jak Amerykanie widzą sami siebie w latach 80-tych”. Według Krauthammera, w tak ważnej np. sprawie, w której „Amerykanie widzą siebie” często i namiętnie jak zbrojenia atomowe, obiektywizm wyboru odpowiada obiektywizmowi wyborów w Albanii.

Trzy książki wybrane przez komisję w tej dziedzinie stanowią wszystkie przykłady niebezpiecznego intelektualnego nadużycia: chodzi tu o „Los ziemi” Jonatana Shella, „Kłamstwo wojny gwiazdnej” wydane przez Stowarzyszenie Zaangażowanych Naukowców, oraz satyryczną „Maślaną wojnę” dr. Seussax. Znam tylko jedną, Shella mianowicie, tytuł drugiej mówi sam za siebie, na trzeciej Krauthammer nie zostawia suchej nitki.

Nie chodzi jednak o tendencję trzech wspomnianych książek, ten kierunek wchodzi także do zakresu amerykańskich rozmyślań lat 80-tych. Chodzi o to, że tylko one z tej dziedziny jadą do Moskwy. Podobnie jak dziesiątki innych książek reprezentatyw-

nych wyłącznie dla tzw. liberalnego kierunku amerykańskiego myślenia.

A przecież, powiada Krauthammer, to nie liberalizm, a neokonserwatyzm właśnie jest najbardziej charakterystyczny dla amerykańskiego myślenia lat 80-tych. Gdzie są, zapytuje Krauthammer, który wcale nie proponuje eliminacji innych tytułów, Irving Kristol, Thomas Sowell czy Robert Nisbet? Kto wybrał w tak kategoriyczny sposób Reagana, a nie „liberalnego” Mondale? Nie Amerykanie?

Okazuje się przy tym, że wybór i udział amerykańskich wydawców w Targach w Moskwie finansowany był (zapewne częściowo, bo tylko 50.000 dolarów) przez niezależną, ponadpartyjną i ponadpolityczną fundację powołaną przez Kongres USA, „National Endowment for Democracy”. Jako wytyczną wyboru ustaliła ona, iż amerykańska wystawa powinna „wykazać różnorodność amerykańskiego społeczeństwa i siłę jego demokratycznych instytucji”. Według Krauthammera, jednostronny wybór tego do wodu nie przeprowadza. Samokrytycyzm jest cenną cechą demokracji amerykańskiej, ale tak skonstruowana wystawa zawiera nie to, co myśli Ameryka, a to, co myśli grupka wyrafinowanych liberałów z kawiarni w Greenwich Village.

Krauthammer został naturalnie natychmiast zaatakowany przez liberałów. Próba cenzury, wykrzyknięto, próba nastraszenia. Wydawcy powinni natychmiast zwrócić 50.000 dolarów, jeżeli ma to być cena za niezależność wyboru i wysłać do Moskwy za własne pieniądze zestaw zgodny z propozycją komisji Vonneguta. Taki *message* wysłany do moskwičan odwiedzających wystawę amerykańską jest ważniejszy nawet — powiedzieli krytycy Krauthammera — niż wybór wysłanych książek.

Ciekawa dyskusja, rzeczowa, bliska czytelnikowi sowieckiemu. Proponuje, aby wraz z katalogiem wystawy gościom sowieckim wręczano małe *dossier* tłumaczenia na rosyjski wytycznych Fundacji, artykułu Krauthammera i głosów jego krytyków. Wtedy czytelnik sowiecki dowie się w pewnym, niewielkim choćby stopniu, jak Amerykanie widzą świat w latach 80-tych. Widzą go naiwnie. Nie pierwszy, i niestety, nie ostatni raz.

### c) Oksfordzki akcent

W ZSSR ukazało się rosyjskie tłumaczenie słownika języka angielskiego wydawanego regularnie i tradycyjnie przez University Press w Oxfordzie. Lektura rosyjskiej wersji okazała się nadzwyczaj interesująca dla dyplomatów brytyjskich w Moskwie. Stwierdzili oni mianowicie pewne rozbieżności między oryginałem angielskim a „tłumaczeniem” rosyjskim. Niektóre definicje mianowicie zostały nie tyle przetłumaczone, co po prostu całkowicie sfałszowane. Hasło „socjalizm”, które w oryginale angielskim na pozór obiektywnie tłumaczy, że chodzi tu o „teorię i politykę organizacji społeczeństwa, zakładające społeczną własność i kontrolę środków produkcji, kapitału, ziemi i społeczne

zarządzanie i podział dóbr w interesie ogólnym", uznane zostało przez redaktorów wydania sowieckiego za niebezpiecznie obraźliwe dla socjalizmu i po prostu zastąpione przez: „Socjalizm to system społeczny i ekonomiczny, który jest w trakcie zastępowania kapitalizmu” itd., itp.

P. Graham Richardson, dyrektor zasłużonego i słynnego domu wydawniczego z Oksfordu nie mógł ukryć swego zdumienia i zaskoczenia. Taki *shocking*, powiedział ów dżentelmen. „Nasi partnerzy sowieccy, dodał, działali bez porozumienia się z nami”.

W czasie oburzenia i zaskoczenia Richardsona, Rosjanie zdołali wydać dla użytku studentów (trzeba dbać o młode umysły) 70.000 egzemplarzy słownika z firmą Oksfordu, gdzie hasłom takim jak imperializm, marksizm, faszyzm, bolszewizm, internacjonalizm i komunizm nadano nowe brzmienie, zgodne z sensem, jaki nadaje im przodująca także w słownikach nauka sowiecka. Marksizm np. określony jest w wersji sowieckiej jako „teoria, która ujawnia historyczną konieczność rewolucyjnego zastąpienia kapitalizmu przez komunizm”.

„Jest to błąd, którego nie powinniśmy byli popełnić, powiedział skonsternowany p. Richardson. Nigdy dotąd nasz słownik nie został w taki sposób spolityzowany. To się zdarza po raz pierwszy”.

Ale nie ostatni...

Leopold UNGER

Pisane 4 czerwca 1985 r.

## Korespondencja z Rzymu

### Kościół i polityka

Ostatni sondaż opinii publicznej, dokonany przez organizację katolicką *Comunione e Liberazione* na temat religijności we Włoszech — przeprowadzony wśród obywateli zróżnicowanych pod względem płci, wieku i zawodu — stwierdza: przeciętnie tylko 28 % dorosłych i 25 % młodzieży uczęszcza na niedzielną mszę świętą (inne źródła stwierdzają, że procent ten w wielkich miastach maleje do 15 %), 75 % nie zna nazwiska biskupa stojącego na czele odnośnej diecezji. Ogólny wydzźwięk tej ankiety: Kościół ma coraz mniejszą wagę w życiu społeczeństwa. W sytuacji, w której wiara jest w sposób widoczny odłączona od życia społecznego wszelkie wypowiedzi duchownych na tematy polityczne uważane są za przejaw ingerencji w sferę autonomicznych opcji obywateli przez znaczną większość społeczeństwa pluralistycznego i częściowo zdechrystianizowanego. Odnosi się to zwłaszcza do okresów przedwyborczych. Od Piusa XII Kościół włoski pow-

strzymywał się od ukierunkowywania wyborców włoskich na rzecz stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji, którego wpływy wyraźnie zaczęły spadać. W Kościele zaś wystąpiły znamiona kryzysu. Biskup pomocniczy Rzymu i zarazem rektor papieskiego Uniwersytetu na Lateranie, wyliczył niedawno następujące bolączki Kościoła: brak potrzeby samokrytyki, brak dialogu i poszanowania cudzych poglądów, opóźnienie kulturalne, całe zło bywa często przypisywane laicyzmowi i komunizmowi, podziały i spory wewnętrzne.

Jan Paweł II zabrał głos 11 kwietnia na zjeździe katolickim (Kościół i laikatu włoskiego) w Loreto, określając w sposób jasny i jednoznaczny swoje stanowisko na rzecz jedności Kościoła i „zaangażowania unitarnego katolików także w dziedzinie politycznej”. Wezwał katolików włoskich do wykazania jedności tak jak w przeszłości „w chwilach odpowiedzialnych i koherentnych opcji”. Papież nie wymienił naturalnie ani słowa o wyborach, ani o Demokracji Chrześcijańskiej, ale termin „jedność katolików” odebrano jednoznacznie jako wskazówkę poparcia dla chadeków w nadchodzących wyborach, których stawką było realne widmo tzw. *sorpasso* czyli wyprzedzenia przez komunistów (doszło do tego *nota bene* już w 1983 roku, kiedy w wyborach do parlamentu europejskiego PCI czyli komuniści uzyskali 33,3 % głosów w stosunku do 33 % chadeków). Gdyby nie to, że zjazd w Loreto doszedł do skutku na miesiąc zaledwie przed wyborami, najprawdopodobniej wystąpienie papieskie nie byłoby przedmiotem kontestacji względnie zaambarasowania w kołach katolickich. Papieżowi na pewno chodziło nie o wybory, lecz o konieczność przewyciężenia „napięć i podziałów” w Kościele, o podjęcie inicjatywy hierarchii i kleru, o zachętę pod adresem laikatu, by stał się widzialny także w życiu publicznym. Jako Prymasowi Włoch nie może mu być przecież obca myśl i pragnienie rechrystianizacji społeczeństwa i odzyskania przez Kościół roli przywódczej (co wynikało niedwuznacznie z kontekstu jego wystąpienia). „Pojednanie przechodzi przez Kościół, ideologie dzielą i przeciwstawiają ludzi” — powiedział Papież.

W magisterium Jana Pawła II przewija się teza o prawie Kościoła (a więc i wiernych jako obywateli) do „wyrażania ocen moralnych także odnośnie ładu (ustroju) politycznego”. Gdyby istniało zasadnicze porozumienie na płaszczyźnie moralnej pomiędzy różnymi ugrupowaniami politycznymi nie zachodziłaby potrzeba stronnictwa katolików (nie katolickiego) i wiara wówczas byłaby ściśle odseparowana od polityki. Stosunek zachodzący pomiędzy wiarą i polityką nie może być traktowany abstrakcyjnie według jakiegoś modelu absolutnego, ale musi być widziany w relacji do określonych sytuacji lokalnych. Odnosi się to tak do Włoch, jak i do Polski. A całe to rozumowanie wypływa z postawy Jana Pawła II, który kładzie nacisk na potrzebę przewyciężenia kryzysu polegającego na „wywłaszczeniu” chrześcijaństwa przez ideę nowoczesności. Błąd tzw. progresistów katolickich, pragnących za wszelką cenę otwarcia katolicyzmu dla

nowoczesności, doprowadził do „restauracji” katolickiej w sensie nadanym ostatnio temu słowu przez kardynała Ratzingera w słynnej książce „Rapporto sulla fede” (do omówienia której wróć).

Ci co doszukiwali się ponownie wątku polskiego, tj. braku nawiązywania do pluralizmu, w wystąpieniu papieskim w Loreto (np. edytorialiści największych gazet włoskich), odczytali je z punktu widzenia czysto politycznego a więc hegemonii chadeckiej trwającej od 40 lat i zablokowanej ewolucji na skutek „niedoskonałego bipolarizmu” (PCI i DC). Wiąże się z tym ryzyko „pokusy integrystycznej”. Otóż to właśnie. *Comunione e Liberazione*, organizacja, której chadecy zawdzięczają w dużej mierze mobilizację wyborców przeciw straszakowi komunistycznemu, jest tworem dotkniętym integryzmem, budzącym zastrzeżenia i brak zaufania także w łonie samego Kościoła. Wiadomo np., że wybitni członkowie episkopatu, jak kardynał Martini z Mediolanu, są do niej niechętnie nastawieni, podobnie jak Akcja Katolicka (ACI) i Stowarzyszenie Katolickich Pracowników (ACLI). Podczas kiedy wystąpienie papieskie w Loreto wywołało takie czy inne uprawnione wątpliwości (niektórzy jak prof. Lazzati, nestor laikatu, b. rektor Katolickiego Uniwersytetu w Mediolanie, wołał powstrzymać się od komentarza), jak zwykle nadgorliwcy bezkrytycznie je wychwalali. Pewien polski kapłan, pretendujący do roli prywatnego, ale niepowołanego, rzecznika papieskiego, na przedstawione zastrzeżenia zareagował: „No, ale chadecy zwyciężyli”. A gdyby przegrali? Gdzie są zasady? To utylitarne podejście do wypowiedzi Papieża wyrządza mu oczywiście szkodę, nie mówiąc już o tym, że zdradza słabą wiarę. Wracając jeszcze do *Comunione e Liberazione*: drażni nieznosny triumfalizm jej aktywistów, zacierzowanie antylewicowe, instrumentalizacja spraw polskich w rozgrywkach wewnętrznych. Słabo w tym dostrzegają się rodacy, nie rozumiejąc, że naszych sojuszków na Zachodzie nie należy mierzyć według stopnia entuzjazmu danego ugrupowania dla pontyfikatu. CL stara się dowieść, że jest faworyzowana przez Jana Pawła II i wygrywa to w sporach z konkurentami. Jest w tym część prawdy, ale też dużo małostkowości. Papież *nota bene* w Loreto nazwoływał swych pretorian, by porzucili ducha antagonizmu i podporządkowali się własnemu biskupom.

Najgroźniejszymi dla pontyfikatu (jakiegokolwiek, ale w stosunku do obecnego nabiera to szczególnej wymowy) są nie krytycy, jeśli działają w dobrej wierze i w trosce o dobro sprawy, ale nadworni chwalczy działający na zlecenie lub też uprawiający swoją „misję” na własny rachunek. Znany watykanista, B. Lai, pisząc niedawno o „starej, serdecznej nieprzyjaźni pomiędzy Watykanem i prasą”, która w czasie tego pontyfikatu „pogłębiła się”, takie czy inne nieporozumienia przypisuje słusznie nie woli Jana Pawła II, ile jego otoczeniu, „pewnym gestom wynikającym z nadmiernej gorliwości wykonawców w imię obrony papieża”.

### Trzeci zawias

Wśród 28 nowokreowanych kardynałów<sup>1</sup>, na decyzji podniesienia do rangi kardynalskiej metropolity Henryka Gulbinowicza<sup>2</sup> zaważyła zarówno okoliczność, że Wrocław stanowi historyczną siedzibę kardynałów, jak i wysoka ocena jego postawy, jako pasterza tej rozległej i dynamicznie rozwijającej się archidiecezji; jego zasługi w dziedzinie krzewienia kultury chrześcijańskiej, duszpasterstwa akademickiego, a ostatnio również ludzi pracy; jego wieloletni udział w pracach episkopatu i *last but not least* jego związki z problematyką Kościoła na Wschodzie. Tak jak Ks. Prymas reprezentuje w sensie jurysdykcyjnym Kujawę i Mazowsze, a kardynał Macharski — Małopolskę, tak kardynał Gulbinowicz, ze względu na swe pochodzenie i znajomość rzeczywistości wschodniej, reprezentuje całą Polskę. Łączy bowiem kresy wschodnie i zachodnie, Polskę Jagiellońską i Piasztowską. Biskup Szczepan Wesoły, witając go na spotkaniu z Polonią rzymską w Instytucie Studiów Kościelnych przypomniał, że śp. kardynał Wyszyński z okazji podniesienia do godności kardynalskiej w 1967 roku ówczesnego metropolity Karola Wojtyły, powiedział, że Kościół w Polsce jest od tej pory zawieszony na dwóch zawiasach. Bp Wesoły rozszerzył to obrazowe porównanie, stwierdzając, że od 25 maja 1985 roku Kościół polski jest zawieszony na trzech zawiasach (co, jak należy zakładać, wzmacnia siłę i równowagę jego kierownictwa).

Wraz z nominacją arcybiskupów Deskura i Gulbinowicza, Kościół w Polsce posiada po raz pierwszy w swych dziejach pięciu purpuratów. Metropolita Gulbinowicz jest siódmym z kolei kardynałem na prastarej stolicy we Wrocławiu. Jego poprzednikiem był kardynał Adolf Bertram, bardzo wybitny członek episkopatu niemieckiego, który ogłaszał listy pasterskie — w przeciwieństwie do swych poprzedników, zwolenników germanizacji — tłumaczone w większości na język polski. Wyróżniał się wrogim stosunkiem do hitlerizmu. Oficjalna biografia kardynała Gulbinowicza, ogłoszona w Watykanie, podkreśla, że odznaczył się na terenie swej archidiecezji utworzeniem licznych ośrodków duszpasterstwa stanowego i założył dwutygodnik *Nowe Życie*. Jako wybitny znawca problematyki prawosławia i rytu grecko-katolickiego mianowany został konsultorem Kongregacji Kościołów Wschodnich.

1. Kolegium kardynalskie liczy 152 członków, w tym 120 uprawnionych do udziału w conclave (32 ma ponad 80 lat). Połowa kardynałów-lektorów — bo 60 — pochodzi z nominacji Jana Pawła II na trzech konsystorzach: 1979, 1983 i 1985.

2. Henryk Roman Gulbinowicz: ur. 1928 roku w Szukiszkach na Wileńszczyźnie, otrzymał święcenia kapłańskie w 1950 roku z rąk abpa Jalbrykowskiego, mianowany przez Pawła VI w 1970 roku administratorem apostolskim w Białymstoku, w 1976 roku mianowany arcybiskupem-metropolitą we Wrocławiu.

Wygłaszając tu odczyt o nowych kierunkach duszpasterstwa inspirowanych współczesną rzeczywistością stwierdził m.in., że nie należy ukrywać takich bolączek społecznych jak dwulicowość, zakłamanie, nierzetelność w pracy i stosunkach międzyludzkich. Te braki w postawach etycznych powinny budzić niepokój duszpasterzy i „wyrwać ich z błędnego nieraz stanu”. Nie można — jego zdaniem — lekceważyć postępujących procesów laicyzacji i sekularyzacji. Powołując się na znanych socjologów, ks. prof. Majkę i ks. prof. Piwowarskiego, zaznaczył, że gwałtowny proces urbanizacji spowodował słabość postaw moralnych i zjawisk selektywności, czy częściowej tylko identyfikacji z Kościołem, wybiórcze stosowanie katolickich norm moralnych w życiu codziennym. Dopiero po 1980 roku doszło do przebudzenia środowisk inteligencji, do powrotu do Kościoła w imię solidarności ideowej z robotnikami. Bolączkom społecznym może zaradzić rosnący udział laikatu w akcji duszpasterskiej. Według prelegenta wzrasta on stopniowo i stale, o czym świadczy uczestnictwo świeckich w synodach diecezjalnych, radach parafialnych, klubach inteligencji katolickiej, tygodniach kultury chrześcijańskiej. Akcja na odcinku inteligentkim wymaga specjalnego przygotowania kapłanów po to, by umożliwić im „znalezienie wspólnego języka zwłaszcza ze środowiskami twórczymi”. Nowe formy duszpasterstwa zaczęto podejmować niedawno — nie ma jeszcze wypracowanych wzorców, ustalonych programów. Wszystko dociera się w praktyce. Fakt, że do tych nowych form duszpasterstwa środowiskowego doszło zbyt późno wskazuje na „pozytywne znaczenie oddolnego nacisku społecznego na Kościół”. Tego rodzaju wyznanie — niewątpliwie rzadkość w ustach przedstawiciela episkopatu (przynajmniej na forum publicznym) — zasługuje na szczególne podkreślenie. Tak jak i stwierdzenie, że obok władzy państwowej wyłoniła się „władza społeczna” czyli społeczeństwo obywatelskie. W warunkach systemu totalitarnego, w którym władze państwowe zmierzają do kontrolowania całokształtu życia społecznego, Kościół „utrzymał swoją pozycję, zdając sobie jednak sprawę, że wszelkie ustępstwa ze strony władzy były i są wynikiem konieczności”.

We wprowadzeniu do wywiadu, udzielonego przez kardynała Gulbinowicza katolickiemu tygodnikowi *Il Sabato*, czytamy m.in., że nie jest rzeczą przypadku, iż nowy kardynał, metropolita wrocławski, stał się przewodniczącym komisji episkopatu dla duszpasterstwa akademickiego oraz dla ludzi pracy. Sympatyzował od samego początku z „Solidarnością”, pomagał rodzinom internowanych. Te okoliczności sprawiły, że przyczepiono do niego etykietkę „biskupa ekstremalnego”. Fakt ten „wzmocnił zaufanie jakie żywi doń Ojciec Święty”. W kilka tygodni po ogłoszeniu stanu wojennego Papież chciał, by abp Gulbinowicz był jednym z pierwszych biskupów, którzy przybyli do Rzymu dla złożenia mu wiarygodnego raportu o sytuacji w kraju. Był on gwałtownie atakowany — przypomina włoskie czasopismo katolickie — podczas procesu toruńskiego przez kapitana Piotrow-

skiego, według którego przywłaszczył sobie jakoby 80 milionów złotych z kasy „Solidarności” we Wrocławiu. „Jest to fałsz” — stwierdza w toku wywiadu — co wynika *nota bene* z ostatnio toczącego się procesu przeciwko Józefowi Piniowskiemu z podziemnej komisji regionalnej „Solidarności” we Wrocławiu. W czasie tego procesu była mowa o tych pieniądzach, ale nikt, ani oskarżyciele, ani obrońcy, nie usiłował go w to wciągnąć. Faktycznie, jak wyjaśnia kardynał Gulbinowicz, przywódca „Solidarności” powierzył mu w lutym 1981 roku sumę 10 milionów złotych, które miały być przeznaczone na cele społeczne. Nie mieli jednak czasu zająć się bezpośrednio tą sprawą. Gulbinowicz przyjął tę sumę jako pożyczkę, na co otrzymał pokwitowanie. W czerwcu 1982 roku po zawieszeniu „Solidarności” zażądano od niego w Warszawie zwrotu tych pieniędzy. On jednak odmówił — gotów bowiem zwrócić tę sumę tylko tym, którzy mu ją powierzyli, a nie obcym czynnikiem. Ponadto pragnie podtrzymać to, do czego się zobowiązał a mianowicie użyć tę sumę na określony cel społeczny dla dobra ludności.

„Odwaga jaką wykazał nowokreowany kardynał — podkreśla tygodnik włoski — zjednała mu sympatię i szacunek wiernych, z drugiej zaś strony wywołała nienawiść organów bezpieczeństwa”. Rok temu spalono mu samochód, kiedy znajdował się na wizytacji w miejscowości Błotoryja. Był to — jego zdaniem — pierwszy epizod terroryzmu politycznego, wymierzony w przedstawiciela Kościoła. Mówiąc o „Solidarności” stwierdza dosłownie: „żyje wciąż w sercach ludzi. Śmiem twierdzić, że to słowo ma obecnie większe znaczenie, aniżeli wówczas kiedy można było pisać je swobodnie na murach lub umieszczać na transparentach”.

Włoskie czasopismo katolickie zestawia go z równoczesną nominacją kardynała Obando Bravo z Nikaragui. Obaj są emblematyczni poprzez swą osobowość i trudną sytuację jaką reprezentują („purpura dla kardynałów z pogranicza, którzy żyją na pierwszej linii frontu”). Czy Pan wie, co mnie irytuje na Zachodzie? Na to pytanie postawione dziennikarzowi kardynał Gulbinowicz sam odpowiada: „Jest to fakt, że uważacie nas jeszcze za Kościół milczenia (*Chiesa del silenzio*). Obecnie jednak Kościół milczenia znajduje się we Francji, w Niemczech, być może również we Włoszech... My zaś jesteśmy Kościołem walczącym i bez kompleksów pomimo trudności”.

#### Prawosławie w PRL

Przeciętny katolik polski wie o Kościele prawosławnym bardzo niewiele. Słowo prawosławny wywołuje często w jego umyśle skojarzenia z rosyjskością. Spotyka się też błędną opinię, iż prawosławie w Polsce pojawiło się dopiero w wyniku polityki rusyfikacyjnej caratu. Przed drugą wojną światową autokefaliczny Kościół prawosławny w Polsce był agregowany do Kons-

tantynopola, gdzie rezyduje patriarcha ekumeniczny, *primus inter pares* wśród patriarchów prawosławnych. Od 1945 roku zmiany geopolityczne spowodowały, że stał się agregowany do Moskwy, tzn. do patriarchatu rosyjskiego, ale cieszy się nadal autokefalią *de facto*. W organizacji tego Kościoła najstarszą, główną jednostkę stanowi metropolia warszawska, po niej następują w kolejności: diecezja białostocko-gdańska, diecezja łódzko-poznańska, diecezja wrocławsko-szczecińska i przemysko-nowosądecka (utworzona dopiero w 1983 roku). W Kościele prawosławnym nie ma scentralizowanego systemu zarządzania, tak jak w Kościele rzymsko-katolickim. Kościół lokalny w sensie właściwym stanowi diecezja, która może być, tak jak w PRL, dwu- lub nawet trzyczłonowa. Wszystkich prawosławnych oblicza się na około 400 tysięcy rozrzuconych na obszarze całej Polski, z tym, że największe skupiska znajdują się w woj. białostockim. Metropolia posiada wyższe seminarium duchowne w Warszawie i sekcję w ramach Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej (także w Warszawie).

O prawosławiu polskim rozmawiałem z nowokreowanym kardynałem H. Gulbinowiczem, wytrawnym znawcą problematyki wschodniej Kościoła. Podniósł on fakt, że Cerkiew Prawosławna w PRL prowadzi obecnie ofensywę i przeżywa pewien „rozmach” w poczynaniach zmierzających do powiększenia diecezji i aktywizacji pracy parafialnej. Wśród ostatnich znamiennych faktów trzeba wymienić powołanie dwa lata temu nowej diecezji przemysko-nowosądeckiej z siedzibą w Sanoku (stąd niektórzy nazywają ją przemysko-sanocką), która robi wrażenie, że wykreślono jej granice tak, by dość zasięgiem aż pod Kraków. Nie ma znaczenia, że jest tam zaledwie kilkuset wiernych. Chodzi o wykazanie rozwoju, chociaż faktycznie liczba prawosławnych maleje, bo pewien procent przechodzi na katolicyzm, inni zaś odpadają z racji zajmowania stanowisk państwowych. Nastąpiło też wzmocnienie budowy nowych cerkwi, zwłaszcza na wschodnich terenach, na Białostocczyźnie. Pozwolenia władz „posypały się” w okresie „Solidarności” jako przeciwwaga dla licznych pozwoleń na budowę kościołów katolickich. To umacnianie prawosławia, tak samo jak za czasów caratu, oznacza umocnienie frontu rosyjskiego — uczuciowo bowiem większość prawosławnych stoi po stronie narodu rosyjskiego, mówią „to nasi”, choć nie zamierzają wyemigrować. Hierarchia katolicka nie podejmuje żadnych akcji przeciw „ofensywie prawosławia”. Podobno jednak ks. Prymas miał powiedzieć generałowi Jaruzelskiemu, że jeśli rząd da zgodę na jeszcze jedną diecezję prawosławną (po wyrażeniu zgody na utworzenie przemysko-sanockiej), to Kościół też zgłosi postulaty w tym zakresie. Być może zatrzyma to falę ofensywy i nadmiernych, wygórowanych ambicji duszpasterskich hierarchii prawosławnej. Od Drugiego Soboru Watykańskiego rozwija się dialog ekumeniczny. Na powierzchni wszystko układa się gładko: istnieją wspólne nabożeństwa, wzajemne wizyty hierarchów i spotkania, doroczne tygodnie modlitwy o zjednoczenie chrześcijan.

Działła wspólna komisja Episkopatu Polski i Polskiej Rady Ekumenicznej. W rzeczywistości jednak wciąż powracają stare urazy i skargi ze strony prawosławnej na różne „krzywdy”, prawdziwe i rzekome, z okresu II Rzeczypospolitej. Hierarchia i duchowieństwo prawosławne podpisują rozmaite deklaracje wiernopoddane i apele prorządowe. Biskup Sawa z Białegostoku napisał list dziękczynny do gen. Jaruzelskiego po ogłoszeniu stanu wojennego. Ogólnie można stwierdzić, że postępy w dialogu ekumenicznym są widoczne „na dole”, we wzajemnym zrozumieniu na odcinku wiary i obyczajów. Różnice dotyczą oceny spraw ogólnospołecznych i politycznych. Obojętny na ogół stosunek prawosławnych do „Solidarności” wyrażał się w przekonaniu: to sprawa Polaków, niech to załatwią pomiędzy sobą.

Tak jak w ZSSR, tak i w PRL, każdy prawosławny odczuwa w zasadzie obrzydzenie do ukraińskich greko-katolików, bo uważa ich za zdrajców, którzy przeszli na stronę „Rzymskowo Papy” (papieża rzymskiego). Tworzenie nowych diecezji, jak np. przemyskiej miało na celu „łapanie Ukraińców”, którzy nie mają swoich cerkwi na danym terenie, by przechodzili na prawosławie.

#### Ukraińscy katolicy w PRL

Kardynał Gulbinowicz nie ma najmniejszej wątpliwości, że położenie ukraińskich greko-katolików uległo wyraźnej poprawie. Wystarczy zestawić ze sobą dwa okresy: czasy stalinizmu, kiedy „właściwie musieli się kryć” i okres po 1956 roku „kiedy wyszli z podziemia”. W ostatnich latach doszło do widocznych postępów w zakresie duszpasterskim, wychowawczym i kulturalnym. Władze mają natomiast opory w wyrażeniu zgody na biskupa dla tego obrządku, choć episkopat od lat o to zabiega i „nastawał na załatwienie tej sprawy, kiedy jeszcze Stolica Apostolska nie zabierała w niej głosu”. Współzycie i współpraca z duchownymi rzymsko-katolickimi na terenie parafii przebiega spokojnie. Zdąrzył się — jak to w psychice mniejszości — że sami greko-katolicy są niecierpliwi, ale do konfliktów obecnie już nie dochodzi. Wikariusze generalni dla tego obrządku cieszą się autorytetem. Są sprawy wymagające załatwienia, ale nie zawsze od razu, w zależności od sytuacji lokalnej. Na przykład na Dolnym Śląsku, gdzie jest ok. 80 tys. greko-katolików czyli 1/4 ogólnej ich liczby na terenie PRL, występuje brak zadrażeń, ale na południowych obszarach, gdzie nie zanikła pamięć okupacyjnych zbrodni, sytuacja jest gorsza. Mój dostojny rozmówca stwierdza, że ocena ubiegłorocznej wizyty abpa Marusyna, wysłannika papieskiego, w mojej korespondencji w nr. 11 (listopad 1984 r.) była prawidłowa, przypis zaś redakcyjny niesłuszny. Dotąd zresztą negatywne fakty, które redaktor zapowiedział nie zostały podane. Na początku lipca br. abp Marusyn znajdzie się ponownie w Polsce, tym razem pobyt jego będzie krótszy, w Przemyśle ponownie wyświęci 5 kapłanów ukraińskich w obrządku greko-katolickim.

Mamy więc do czynienia z następnym etapem na drodze ku pełnej legalizacji tego obrządku. Rozmowa z kardynałem Gulbinowiczem kończy się następującą wypowiedzią, którą warto przytoczyć w całości:

„Arcybiskup Marusyn miał rację, gdy stawiał na to, co łączy, a uważał, że nie czas podkreślać tego, co dzieli, czy tego, co jeszcze nie zostało załatwione jak należy. Kościół rzymsko-katolicki, liczący ponad 35 milionów, też nie ma wielu spraw załatwionych w PRL i gdzie indziej (oczywista aluzja do Litwy, Białorusi i Ukrainy — przyp. mój). Nasza spokojna praca duszpasterska jednak, troska o naród, a także postawa chrześcijańska wobec wierzących innych wyznań i niewierzących, dają wyniki. Myślę, że powinno się stawiać na pogłębienie życia duchowego wierzących, a wówczas i odcinki życia pozareligijne wyprostują się na leżycie”.

Dominik MORAWSKI

Pisane 9 czerwca 1985 r.

P.S. Brak miejsca skłonił mnie do odłożenia do następnego numeru not o trzech nowokreowanych kardynałach: Andrzeju Deskurze oraz naszych pobratymcach, Józefie Tomko i Mryrosławie Lubacziwskim.

## OŚWIADCZENIE PÓLNOAMERYKAŃSKIEGO STUDIUM SPRAW POLSKICH

OD REDAKCJI: Na zaproszenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych Kanady delegacja Północnoamerykańskiego Studium Spraw Polskich w składzie: prof. A. Kawczak, dr J. Korey-Krzyszowski, prof. J. Łukasiewicz i prof. J. A. Wojciechowski, spotkała się w dniu 22 kwietnia br. w Ottawie z przedstawicielami MSZ celem omówienia sytuacji Polski i stosunków kanadyjsko-polskich. Następujące oświadczenie Studium było wręczone przedstawicielom MSZ:

Spoleczna i polityczna sytuacja w Polsce ciągle się pogarsza. Wojna władz komunistycznych z narodem polskim przybiera na sile. Aresztowania, bicia i morderstwa wzrosły od czasu zamordowania ks. J. Popiełuszki. Kościół jest pod ciągłym atakiem. Siły policyjne mają obecnie więcej władzy i są bardziej bezprawne niż dawniej. Prawa ludzkie są gwałcone celowo w przemyślanej kampanii zmierzającej do sterroryzowania narodu. (...)

Jako sygnatariusz Porozumienia Helsińskiego i jako partner handlowy dostarczający Polsce tak potrzebne zboże na bardzo dogodnych warunkach, Kanada może wywierać odpowiednią presję na reżim w Polsce.

### I. Zagadnienia praw ludzkich

1. W pierwszym rządzie wzywamy rząd kanadyjski, aby dopilnował języka interpretacji przez rząd polski tzw. Trzeciego Koszyka Porozumień Helsińskich. (...)

2. Wzywamy rząd do zorganizowania w Ministerstwie Spraw Zagranicz-

nych komisji dla obserwacji przestrzegania Porozumień Helsińskich. Komisja taka powinna mieć reprezentantów zainteresowanych grup etnicznych.

3. Sytuacja na odcinku praw ludzkich może ulec poprawie w rezultacie następujących akcji:

a) proklamacji prawa do azylu politycznego w Kanadzie. To ułatwiłoby dopuszczanie uchodźców politycznych i włączyłoby Kanadę do grupy państw, które uznają ten odwieczny zwyczaj,

b) nalegania na połączenie rodzin i pomoc w tej akcji,

c) żądania swobody podróży zagranicznych dla celów osobistych i zawodowych,

d) nalegania na swobodę informacji, włączając w to wyeliminowanie cenzury w środkach masowego przekazu i w osobistych kontaktach łączności,

e) domagania się uwolnienia od kontroli politycznej wymiany i kontaktów kulturalnych i naukowych. (...)

### II. Zagadnienia ekonomiczne

(...) Jest niesłychanie ważne, żeby wysiłki zmierzające do poprawy sytuacji praw ludzkich w Polsce były połączone z efektywną pomocą ekonomiczną. Aby osiągnąć cel pomagania narodowi, a nie reżimowi, akcja pomocy

a) powinna być ograniczona do dziedzin produkcji żywności oraz kultury i zdrowia;

b) powinna być w formie materiałów, a nie pieniędzy; fundusze nie powinny być wysyłane do Polski;

c) powinna być rozprowadzona w Polsce za pośrednictwem nierządowych instytucji, takich jak proponowany Bank dla Rolnictwa Prywatnego pod egidą Kościoła.

### III. Zagadnienia edukacyjne i kulturalne

Od czasu ogłoszenia stanu wojennego kultura polska jest pod stałą agresją, a studia i badania naukowe są w ruinie. Budżety na badania naukowe zostały zredukowane do połowy i wysoce wykwalifikowani specjaliści opuścili kraj. Pomoc w tej dziedzinie jest pilnie potrzebna. Badacze naukowcy oraz twórcy i artyści pozbawieni są kontaktów osobistych z ich kolegami w wolnym świecie i nie mają książek i periodyków wydawanych na Zachodzie.

Wzywamy rząd Kanady, aby zaofiarował szereg stypendiów i zaprosił do Kanady na studia osoby, które na to zasługują. Oczywiście należy wykluczyć z listy ewentualnie zaproszonych jednostki niepożądane, które reżim Polski może się starać sugerować.

Po drugie, jeśli zakłada się — a sędzę, iż wszyscy tak czynimy — że dychotomiczny podział społeczeństwa na „opozycję” i „kolabów” jest nierealny i niepożądany, jeśli zatem uznaje się nieuchronność i potrzebę istnienia w środowiskach aktywnych politycznie lub kulturalnie „strefy pośredniej”, to pewne procesy należało z góry przewidzieć. Np. należało oczekiwać, że strefa ta będzie się rozwarstwiała. Część jej będzie współpracowała z opozycją i „podziemiem”; część uzna, iż należy, zachowując niezależność, rozpocząć dialog z władzą, tj. podjąć próbę stworzenia jakiegoś odpowiednika „stronnictwa polityki realnej”. A wszystko razem będzie procesem ciągłym, a nie jednorazowym aktem. Kogo to zaskoczyło, winien pretensje zacząć od siebie, proszę cioci.

A teraz o *Res P.*

Pod koniec lat 70-tych pojawiły się w Polsce dwa ugrupowania nastawione nie na działalność „konkretną”, lecz na wychowywanie przyszłych elit i w miarę możliwości obiektywną ocenę sytuacji: PPN i *Res Publica*. Mam wrażenie, iż opracowania PPN-u były lepsze, natomiast wpływ większy miała *Res Publica*. Obie grupy — jako grupy — źle zniosły okres sławnych 500 dni, po prostu dlatego, że w masowym i mocno egalitarnym ruchu niewiele było dla nich miejsca.

Tyle prehistorii. Teraz zaczynają się pogłoski i plotki i jeśli na nich się opieram, to naprawdę nie moja wina. Jest rzeczą znamioną, że w liście redakcji *Res P.*, który ukazał się w numerze 129 tygodnika *Mazowsze* w ogóle nie wspomina się o sprawach, które tu poruszam, co nie jest dobrym sposobem na kładzenie tamy pogłoskom. W każdym razie nad dalszą częścią artykułu ciąży wielkie PONO (korekto! błagam, nie mylić z porno!).

Otóż pono w listopadzie 1981 roku grupa *Res P.* uzyskała zgodę na legalne wydawanie pisma. Kto — wedle ówczesnego pomysłu — miał być wydawcą i jak często pismo miało się ukazywać, nie wiem. Nie jest to jednak istotne. Istotne jest natomiast, że zezwolenie to nigdy nie zostało cofnięte. Wczesnym latem 1982 roku grupa *Res P.* wszczęła pertraktacje z wysokiej rangi funkcjonariuszami partyjnymi w sprawie wydawania pisma, zakładając — o ile rozumiem — że wydawcą będzie Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”. Z rozmów tych nic nie wynikało, sprawa to ledwo się tliła niczym mokre liście, to migotała niczym mała lampa naftowa — słowem, kopciło. I oto nagle, pod koniec 1984 roku, władza zaczęła robić miny: że o co chodzi, zgodę na wydawanie pisma wydano dawno i właściwie nie wiadomo, dlaczego grupa *Res P.* nie przystępuje raźnie

## Kraj

### All that jazz

Cały ten zgiełk wokół ewentualnego wznowienia pisma *Res Publica*, tym razem w obiegu oficjalnym — ani przez chwilę nie wierzyłem w to, że impreza się uda, są świadkowie — dowodzi, moim zdaniem, poważnej dezorientacji uczestników spektaklu. Zdenerwowani opozycjoniści z wypiekami na twarzy tupiący nogami, zachowują się nie jak ludzie myślący politycznie, lecz jak ciocia, na której imieninach elegancki siostrzeniec w tweedowej marynarce rozpiął pasek i stanąwszy pośrodku największej w M3 izby, opuścił nienagannie zaprasowane spodnie z lekkiej flaneli. Z kolei grupa *Res P.* — sądząc z plotek — zachowuje się jak ktoś przede wszystkim zadufany, a także ktoś kto ma metafizyczną koncepcję naszej rzeczywistości i żadnego wyobrażenia o tym, jak ta rzeczywistość funkcjonuje na co dzień.

Przedmiotem moich uwag jest przede wszystkim zachowanie się grupy *Res P.* (skrót użycy po to, by nie używać łacińskiej deklinacji). Zacznę jednak od zdenerwowanej, opozycyjnej cioci.

Otóż po pierwsze, proszę cioci, grupa *Res P.* ma nie tylko prawo do posiadania poglądów, lecz w równej mierze do ich głoszenia (czego nie czyni) i realizowania (co, jak sędzę czyni źle). Jeśli odmówimy jej tego drugiego — tj. prawa do głoszenia i realizowania poglądów — będziemy się zachowywali dokładnie jak „nasz czerwony”, który przecież nie zakazuje posiadania poglądów, pod warunkiem, że stanowią one prywatną tajemnicę każdego. Czym różni się od „żółtego czerwonego”, który w czasie rewolucji kulturalnej żądał, by wszyscy wyznawali poglądy Wielkiego Sternika? Jak się w tej materii zachowuje „czarny czerwony”, tego nie wiem, ale mogę sobie wyobrazić. Nie dlatego, że to „czarny”, a dlatego, że repertuar zachowań się „czerwonego” jest w ogóle ograniczony.



do dzieła. W rezultacie tych min przedstawiciel grupy *Res P.* spożył obiad z ministrem Urbanem Jerzym i za biesiadnym stołem uzgodnili co i jak.

Obiad z Urbanem! Tu ciotka opozycja na przemian zielenieje i pąsowieje, soli trzeźwiących i waleriany żąda, pomstuje, oczyma przewraca. Prawdę mówiąc, nie rozumiem dlaczego. Jeśli grupa *Res P.* chciała wydawać pismo w obiegu kontrolowanym, to musiała z kimś rozmawiać. I jeśli miały być to rozmowy wiążące obie strony, to w grę wchodziło kilka zaledwie osób: „resortowy” sekretarz KC, min. Łopatka, min. Urban, następca na stanowisku Grzegorza Piotrowskiego. Innych kandydatów nie widzę, różnic między wymienionymi wyżej nie dostrzegam. A ciotka opozycja niech przestanie udawać dziewicę, tzn. niech przestanie udawać, że między polityką i kaligraficznym przepisywaniem do kajeciku cytatów z Tomasza à Kempis nie ma żadnej różnicy.

Otóż na rzeczonym obiedzie ustalono warunki, które spełnić musi grupa *Res P.*, by móc wydawać pismo. A wśród nich znalazł się i taki: wstępny artykuł z numeru pierwszego, formułujący zasadniczą platformę pisma, ma się ukazać w *Tygodniku Powszechnym*. Artykuł został napisany i nie ukazał się.

Tak rzecz się przedstawia wedle plotek i pogłosek. Cóż można powiedzieć na temat tej, nie tak już wesołej historii? Myślę, że błędów popełniono tu sporo, mam nadto jedną uwagę natury socjologicznej (od czego zacząć) i jedną natury osobistej (na czym wywód skończyć).

Rzecz dotyczy środowiska, otoczonego w kraju powszechną sympatią i szacunkiem — wydawnictwa „Znak”, *Tygodnika Powszechnego* — a w pewnej mierze dzieje się wewnątrz tego środowiska. Otóż jakkolwiek niezależne, jakkolwiek broniące fundamentalnych dla społeczeństwa wartości, jest ono wmontowane w system, w którym żyjemy. Taka jest w końcu sytuacja każdego z nas, jest to bowiem system wprawdzie złagodzonego, ale zawsze totalitaryzmu. Środowisko, o którym mowa, o tyle podlega ogólnym prawidłowościom systemu, w którym musi (wszyscy musimy) funkcjonować, że nie posiada mechanizmów pozwalających na normalną rotację kadry. W rozpatrywanej z tego punktu historii różnych ugrupowań katolickich w PRL wymienić można kilka wydarzeń typu wstrząsowego, w tym niektóre o nieprzyjemnym kolorycie. W tej optyce sprawa grupy *Res P.* nie jest ani pierwszym, ani zapewne ostatnim wydarzeniem tego typu. Różni się od poprzedzających ją, a jakoś tam analogicznych tym, iż chcąc nie chcąc, uwikłana jest w to, co komuniści nazywają procesem normalizacji, a także w istnienie szerokiego, wielopostaciowego i w różnym stopniu zorganizowanego ruchu oporu.

Aspekt rotacyjny sprawy nie ja wymyśliłem. Pisał o nim Andrzej Micewski w artykule „Zmiana pokoleniowa” (*Tygodnik Powszechny*, 1985, nr 2), w którym owa zmiana warty rysowała mu się jako proces bezkolizyjny. Dziwne to, jako że Micewski był uczestnikiem lub baczny obserwatorem kilku takich zmian, a wszystkie były kolizyjne. W tym co napisałem w poprzednich dwóch zdaniach nie ma żadnych *Hintergedanken*, stwierdzam coś, co stwierdzić może każdy, kto przeczyta rzeczony artykuł i świetną książkę tegoż autora pt. „Współrzędzić czy nie kłamać”. Otóż sądzę, że między doświadczeniem zawartym w książce a ufnością w bezkolizyjność zmiany warty (a także w to, że władza tym razem nie spróbuje upiec swojej pieczeni) ma miejsce pewien brak harmonii czyli, mówiąc uczenie, inkongruencja.

Tyle o socjologii. A teraz o błędach w sztuce, a więc o polityce, inteligencji czyli tzw. pomysłu i poczuciu taktu.

Podstawowym, jak sądzę, błędem, jaki popełniła grupa *Res P.* był źle zrobiony rachunek. Rzecz w tym, że we wszystkich pertraktacjach z władzą pozycja przetargowa grupy była nader słaba, by nie powiedzieć żadna. Jakże mianowicie profity miałyby płynąć dla komunistów z faktu, iż zgodzą się na publikację pisma katolickich neo-konserwatystów? Żadne. Rozważania o kulturze śródziemnomorskiej, de Tocqueville’u czy Bobrzyńskim guzik ich obchodzą. A od głoszenia, że państwo to ważna rzecz mają Koźniewskiego i PRON. (Nawiasem mówiąc, Koźniewski wyleciał na emeryturę za dopuszczenie do druku artykułu o konserwatyście-Czaadajewie). Do PRON-u z przyczyn zasadniczych grupa *Res P.* przystąpić nie chciała. Z kolei wątpliwe, by neo-konserwatyści liczyli wyłącznie na piękno własnych oczu i przyrodzoną dobroć serca komunistów. Jeśli nawet widzą siebie jako kontynuatorów myśli Szujskich i Tarnowskich, to chyba nie są tak naiwni, by uważać Henryka Jabłońskiego za kolejne wcielenie Franciszka Józefa.

Podaję, iż mamy tu do czynienia z przypadkiem rozdziewu zięjącego między metafizyczną wiedzą o tym, że totalitaryzm jest zasadniczym złem (lub wedle pewnej konserwatywnej hierarchii drugim w kolejności, po liberalizmie) a totalną niewiedzą na temat mechanizmów funkcjonowania tego zła. Jak można było, mając zerową pozycję przetargową, zgodzić się na warunki Urbana dotyczący jednoczesnego opublikowania platformy *Res P.* w *Tygodniku Powszechnym*, to się w głowie nie mieści. Przecież od tego na milę zajeżdża — łagodnie mówiąc — fortelem. Jakkolwiek bowiem byłaby treść artykułu, był on ceną za. A oczywiście jest, że *Res P.* za zgodę na wydawanie pisma, to jest pojawienie się, musi zapłacić cenę wyższą niż płacą ukazujące się już pisma katolickie. Jeśli grupa *Res P.* chcia-

ła tę cenę płacić — jej sprawa. Zapewne liczyła na to, że *per saldo* wyjdzie na swoje\*. Ale lekką ręką wplątywać w to innych, którzy i tak są w trudnej sytuacji, a nie muszą płacić dodatkowego trybutu?!

Drugim zasadniczym błędem w sztuce popełnionym przez grupę *Res P.* było nieliczenie się z faktem, że w kraju istnieje wciąż jeszcze szeroki ruch oporu...

Tu czytelnik zaprotestuje i powie, że przypisuję grupie *Res P.* postawy, których na pewno nie mogła zajmować, byłoby to bowiem fizycznie niemożliwe. Przy okazji doda, być może, że nie podoba mu się fakt, iż wszystko co piszę wspiera się na pogłoskach. Mnie też nie, i do tej sprawy wróć. Na razie o drugim zasadniczym błędzie w sztuce.

W gruncie rzeczy w sprawie o którą chodzi możliwe są dwa warianty: a) grupa *Res P.* uważa, że obok działającego w różnych postaciach ruchu oporu jest miejsce na wydawany przez nią oficjalnie miesięcznik, więcej, że publikacja taka jest nader potrzebna; b) grupa uważa samo istnienie pozalegalnego i przylegalnego ruchu oporu za coś szkodliwego. Wydaje mi się, że wariant „b”, przynajmniej w jego radykalnej postaci, jest w danym przypadku mało prawdopodobny, ale pragnąłbym dodać, że moim zdaniem, wolno żywić takie przeświadczenie i do pewnych granic starać się je realizować.

Właśnie, do pewnych granic. Bowiem wedle łatwo czytelnej intencji Urbana, tzn. „partii i rządu”, wyjść miało na to, że grupa *Res P.* godzi się w ramach umowy z władzą odegrać rolę misericordii, tj. krótkiego sztyletu służącego do dobijania ciężko rannych. Pomińmy to, czy rzeczywiście mamy do czynienia ze śmiertelnie rannym. Otóż przy założeniu tak „a” jak i „b” niepojęte jest, dlaczego przez sam fakt milczenia neo-konserwatyści uwikłali się w sytuację wygodną dla Urbana i niewygodną dla nich.

I tu powiem coś o plotkach oraz pogłoskach.

Nie jestem zwolennikiem „jawnej dyplomacji” — to postulat głupców lub cyników. Pewien typ spraw musi być załatwiany w tzw. zaciszu gabinetów. Powinny to być sprawy ważne i poważne. Naiwnością było jednak przypuszczać, że w kraju tak rozplotkowanym jak Polska uda się rzecz do końca utrzymać w tajemnicy i że komuniści nie spróbują skorzystać z takiej broni, jaką w ich ręku może być plotka. Podobnie naiwne byłoby założenie,

\* Problem takiego bilansu lojalnie omawia artykuł „Tak ale...” pióra Rafała Jakuckiego. (*Kurs, Niezależny Miesięcznik Literacki*, nr 12, 1985). Artykuł rozważa straty i korzyści płynące z istnienia ewentualnej grupy posłów katolickich w przyszłym sejmie PRL.

że wspomniana obiado-rozmowa nie jest nagrywana, na co najmniej jedną taśmę\*.

A przecież daje się pomyśleć łatwy sposób ominięcia tych, prościutkich przecież, pułapek. W pewnym momencie można było opublikować, czy to w prasie niezależnej w kraju, czy za granicą artykuł, który wyjaśniałby, o co chodzi. Urban by się długo nie dąsał. Ewentualnej publikacji *Res Publici* mogłoby to tylko pomóc, tym bardziej, że przecież nie ulegało wątpliwości, iż niezależna prasa zabierze w tej sprawie głos — to jej obowiązek. Nakazywały więc tak zachować się i pomyślunek, i dobre wychowanie.

Sądzę, że dwa takie błędy w sztuce, dwa takie muchomory zepsuć mogą każdy barszcz. Ten kucharz może i jest smakoszem, ale gotować na razie nie umie.

Czas na uwagę natury osobistej.

Należałem do uważnych czytelników pisma *Res Publica* i darzyłem je sporą dozą sympatii. Takich jak ja było zapewne wielu. Otóż nam wszystkim należy się wyjaśnienie: dlaczego to po grudniu 1981 roku redakcja pisma nabrała wody w usta? Dlaczego nas naiwnych i ciemnych jak tabaka w rogu zostawiła na pastwę liberałów, radykałów, socjałów, nacjonistów i w ogóle obłąkanych syndykałów? Jak się ktoś — pfff, pfff — nadał na pistacjowy krem z politycznymi bakaliarnymi najwyższej klasy, to nie wypada zniknąć w dramatycznym momencie uczt. Noblessa, jak wiadomo, obligeuje.

Czytelnika może zadziwić, dlaczego pominąłem milczeniem meritum sprawy, pisałem zaś jedynie o fatalnym wykonaniu.

Otóż nie daje się z góry wykluczyć, że jeśli chodzi o sedno, racja jest po stronie grupy *Res P.* Można zatem zbudować następujący wzór: w kwestii grupy *Res P.* stosunek słuszności w meritum sprawy jest wprost proporcjonalny do szkód, jakie wynikły z fatalnego wykonania.

Więc niech się grupa *Res P.* nie martwi: a nuż nie mieli racji — wówczas szkody byłyby niewielkie.

LEOPOLITA

Lwówek, maj 1985

\* Nie lekceważyłbym tej okoliczności. Wyobraźmy sobie, że w czasie rozmowy Urban zapytał przedstawiciela grupy *Res P.*, co sądzi o wyborach i przyszłym sejmie. Otóż jeśli współbiedziak Urbana powiedział na to cokolwiek innego niż to, że nie jest przez nikogo upoważniony do wypowiedzania się w tym miejscu na ten temat, wówczas wszelkie rozważania typu czy był to sondaż czy nie, naprawdę nie mają sensu. Przekonanie, że dżentelmen z *Res P.* mówi coś *privatissime* dżentelmenowi Urbanowi — to można by uznać za koncept roku.

## Pytanie z reformy gospodarczej

### CZY W PRL ISTNIEJE RYNEK I JAKI ON JEST?

Wśród wielu dziwnych rzeczy, jakie wymyślono w PRL w związku z reformą gospodarczą, pojawiły się również egzaminy z tego najnowszego przedmiotu w szkole polskich managerów. Zjawisko samo w sobie jest dość nonsensowne (reformy nie można się „nauczyć” na kursie prowadzonym przez pełnomocnika rządu), ale pominiemy to i sami włączmy się do tej zabawy. Zadajmy mianowicie pytanie takie, jak w tytule i spróbujmy na nie odpowiedzieć. Przerobienie tej lekcji z ekonomii PRL wydaje się o tyle aktualne, że opinia publiczna, zarówno w Polsce jak i na Zachodzie, jest w tej sprawie nieco zdezorientowana: tyle się mówi o pewnej liberalizacji „gospodarki”, o „odejściu od centralizmu”, o „stabilizacji na rynku”, o „wykorzystywaniu mechanizmów rynkowych”, że człowiek rzeczywiście gotów jest pomyśleć — nawet wbrew swoim osobistym, ale przecież cząstkowym doświadczeniom — że w tej dziedzinie jest już w PRL tak, jak w normalnym kraju.

Przywołajmy zatem na pomoc naukę ekonomii politycznej, która w sprawach rynku ma szczególnie dużo do powiedzenia i zobaczymy, jaką można dać odpowiedź na pytanie o istnienie rynku w PRL, posługując się pojęciami i zasadami, jakie nauka w tej dziedzinie wypracowała.

Jeżeli przyjmiemy najogólniejszą definicję rynku, rozumiejąc pod tym pojęciem spotkanie podmiotów gospodarczych reprezentujących podaż z podmiotami reprezentującymi popyt, to w PRL rynek istnieje: są tacy, którzy sprzedają i są tacy, którzy kupują. W krajach realnego socjalizmu, mimo wielu wysiłków w tym kierunku, nie udało się zlikwidować rynku, choć cel taki nadal wyznacza długookresową strategię tego systemu. Istnieje więc rynek, używa się pieniędzy, stosuje się jakieś ceny i mówi się o gospodarce towarowej. Ale wszystkie te kategorie ekonomiczne są ograniczone, działają w sposób ułomny i stanowią blade odbicie tych zjawisk, które występują w gospodarce kapitalistycznej.

Ograniczenie rynku występuje głównie od strony podaży. Nie cała podaż, to znaczy nie cała produkcja, która mogłaby stanowić podaż jest skierowana na rynek, czyli oferowana do sprzedaży i możliwa do kupienia. Z procesów rynkowych wyłączona jest

przede wszystkim przeważająca część produkcji tzw. środków produkcji, czyli maszyn, urządzeń, większych narzędzi i większość surowców. W Polsce nie można swobodnie kupić obrabiarki, silnika, kotła, suwnicy, dźwigu a nawet samochodu ciężarowego. Nie można również kupić wielu surowców i półfabrykatów. Wszystkie te produkty można jedynie otrzymać na przydział, wynikający z planu centralnego. Wprawdzie odbiorcy tych przydziałów (przedsiębiorstwa państwowe i spółdzielcze) płacą za przydzielone urządzenia, a więc wymieniają je na pieniądze w jakiejś relacji, czyli stosują jakąś cenę, ale akt zapłaty nie ma tutaj znaczenia ekonomicznego. Jest on wtórny w stosunku do przydziału danego produktu i pieniądze na tę zapłatę też zostały uprzednio przydzielone przez plan. W tej sytuacji cena w tej zapłacie też nie pełni swoich funkcji, a więc nie jest proporcjonalna do relacji rzadkości, nie wyrównuje podaży z popytem i nie informuje producenta o preferencjach popytu, a odbiorcy przydziałów o warunkach produkcji. Pieniężna forma realizacji przydziałów, imitująca akt kupna-sprzedaży, wynika jedynie z konieczności prowadzenia ewidencji i agregacji procesów gospodarczych w pieniądzu. Dlatego też nie można mówić w PRL o rynku obrabiarek, stali walcowanej czy kruszywa, choć istnieją centrale zaopatrzeniowe, a nawet składy, które pełnią w obrocie tymi produktami rolę hurtowników i detalistów w handlu.

Jeżeli nie ma rynku rzeczonych środków produkcji, to nie ma również rynku kapitału, który jest finansowym odbiciem tych środków produkcji. A zatem zastosowanie kapitału, czyli inwestycje, dokonuje się w Polsce z pominięciem zasad rynkowych. Opłata za kapitał, czyli stopa procentowa nie pełni więc roli ceny, która by wyrównywała podaż kapitału z popytem nań. Stopa procentowa nie decyduje też o alokacji kapitału, a więc o kierunku inwestowania. Decyzja w tych sprawach jest zastrzeżona dla planu centralnego.

Pewna część środków produkcji jest jednak przekazywana odbiorcom poza sektorem państwowym i spółdzielczym — chodzi tu głównie o środki produkcji dla rolnictwa, w większości prywatnego i — częściowo — dla rzemiosła. Ponieważ tutaj następuje międzysektorowe przesunięcie produktów, można by sądzić, że w tych przypadkach wystąpią rzeczywiste procesy rynkowe. Niestety, środki produkcji dla rolnictwa w przeważającej części też są przekazywane odbiorcom w trybie przydziału, a więc akt kupna-sprzedaży ma także tutaj charakter wtórny. Jedynie drobne narzędzia rolnicze i rzemieślnicze kierowane są na rynek jako towary.

Zajmijmy się zatem tą częścią produkcji, która dostaje się do obrotu w trybie procesów rynkowych: są to przede wszystkim

przedmioty spożycia i usługi. Ale i tu trzeba na wstępie zrobić zastrzeżenie. Nie cała podaż przedmiotów spożycia i usług jest poddana procesom rynkowym. Pewna część tej podaży, w niektórych rodzajach dóbr i usług nawet przeważająca, dostaje się do odbiorców również w trybie przydziałów, przy czym w pewnej części tych przydziałów nie występuje nawet formalny akt kupna-sprzedaży. Za przydzielone samochody płaci się wprawdzie kwotę dość realną (choć niższą od ceny wolnorynkowej), ale już przy przydziałach mieszkań spółdzielczych nabywca wpłaca kwotę, która stanowi tylko znikomą część kosztów i jest zupełnie niewystarczającym warunkiem uzyskania przydziału. Podobna sytuacja występuje w niektórych usługach tzw. socjalnych, np. przy przydziale miejsc w państwowych domach wczasowych. Nie można zatem mówić o rynku samochodowym, a tym bardziej o „rynku mieszkaniowym” w Polsce. Cała gospodarka mieszkaniowa jest poddana ścisłej reglamentacji.

Jeśli jednak wyłączymy te reglamentowane dobra i usługi, to pozostały obszar podaży dóbr i usług powinien należeć do sfery rynkowej. Jest to i tak ogromna masa towarów i usług. Mieści się w tym przeważająca część produkcji żywności poza spożyciem naturalnym chłopów, dalej prawie cała podaż konsumpcyjnych towarów przemysłowych i wreszcie usługi tzw. bytowe, więc wszystko to, co ludność zakupuje z dochodów osobistych. Stanowi to łącznie 2/3 całego dochodu narodowego i gdyby ta wielka masa towarowa wchodziła do obrotu w trybie rynkowym, można by mówić — mimo wyżej wymienionych ograniczeń — o przeważająco rynkowym charakterze gospodarki PRL.

Niestety, rynek, na którym ta okrojona już masa towarów i usług spotyka się z nabywcą podlega daleko idącym ograniczeniom w zakresie swoich funkcji. Jak wiadomo, prawidłowo działający rynek opiera się na kilku tzw. „wolnościach”. Od strony konsumenta-nabywcy ważne są tutaj dwie takie wolności-zasady. Pierwszą jest wolność wyboru konsumpcji, drugą zaś zasada suwerenności konsumenta. Jak wygląda realizacja tych zasad w gospodarce PRL?

Otóż wolność wyboru konsumpcji była w PRL do 1980 roku respektowana. Należy tu oczywiście dodać, że chodzi o wolność wyboru konsumpcji w ramach istniejącej podaży rynkowej. Oznacza to, że konsument mógł w ramach posiadanego dochodu kupić dowolną ilość każdego towaru, czy usługi, które były ofiarowane w sprzedaży. Stan ten, jakkolwiek z punktu widzenia późniejszych ograniczeń może się wydawać doskonały, oznaczał jednak już wówczas rynek bardzo ułomny.

Przez cały okres historii PRL na tym rynku utrzymywało się

trwałe napięcie w postaci przewagi efektywnego popytu nad podażą. Ta przewaga popytu występowała zarówno w wymiarze ogólnym, co oznaczało, że całkowity, efektywny popyt był większy niż globalna podaż dóbr i usług, jak również na poszczególnych rynkach cząstkowych, co oznaczało, że popyt na poszczególne grupy towarowe przekraczał podaż tych towarów.

Napięcie ogólne ujawniało się częściowo w pełzającej inflacji (w okresie od 1950 do 1980 roku oficjalny wskaźnik cen zwiększył się prawie trzykrotnie), częściowo w tzw. przymusowych oszczędnościach, a częściowo w trwałe, a z czasem rosnącej trudności w dostępie do towarów (kolejki, zapisy, przedpłaty, wyciekowanie). Ta nierównowaga ogólna, jakkolwiek dokuczliwa, nie powodowała jednak do 1980 roku całkowitej dezorganizacji rynku. Znacznie ostrzejsza była nierównowaga cząstkowa. W niektórych asortymentach popyt przy istniejącej cenie przekraczał kilkakrotnie podaż, występowały długotrwałe, dotkliwie luki asortymentowe, niektóre towary zniknęły z rynku na całe miesiące a nawet lata. W zakresie żywności taka ostra nierównowaga występowała w mięsie, w dziedzinie artykułów przemysłowych, w tkaninach, odzieży, w bieliznie, w niektórych artykułach gospodarstwa domowego.

Taki stan rynku nie był przypadkowy i nie wynikał z jakichś koniunkturalnych zakłóceń, lecz był wbudowany w działanie rynku w sposób systemowy. Można tu wyróżnić cztery zasady instytucjonalne, które powodują taką ułomność rynku. Pierwsza polega na tym, że stosuje się świadomie politykę inflacyjną, pilnując, aby brak pieniądza nie zahamował realnych procesów produkcji i obrotu. Wskutek tego tworzy się planowo przewagę efektywnego popytu nad podażą. Z tym wiąże się druga okoliczność, a mianowicie pełne wykorzystanie mocy produkcyjnej. W socjalizmie pracuje się przy pełnym obciążeniu i wykorzystaniu tego czynnika, który akurat stanowi wąskie gardło (maszyny, ludzie, surowce), wskutek czego nie można zwiększyć podaży dla zrównania jej z popytem. Ograniczenie to jest spowodowane głównie niezmiernie sztywnym mechanizmem cenotwórstwa, który sprawia, że ceny pozostają przez dłuższy czas niezmienione, nie reagując na zmienne warunki podaży i popytu. Ów sztywny mechanizm cenotwórstwa wynika zaś z jego centralizacji na szczeblu Państwowej Komisji Cen. W konsekwencji powoduje to, że do głosu dochodzą czynniki pozacenowe i one wyrównują *ex post* podaż z popytem.

Wreszcie czwartą, najważniejszą zasadą powodującą głęboką ułomność rynku w PRL jest programowy brak wspomnianej już suwerenności konsumenta. Suwerenność konsumenta polega na tym, że struktura i wielkość popytu wpływa, czyli indukuje struk-

turę i wielkość podaży, zarówno w zakresie tzw. bieżących przetworzeń produkcyjnych jak i w zakresie inwestycji. Innymi słowy suwerenność konsumenta oznacza, że konsument (popyt) decyduje ostatecznie o alokacji środków produkcji. Impulsy od popytu do produkcji są przesyłane oczywiście przez ceny, a zatem przy sztywnych cenach już z samego tego powodu mechanizm ten nie może działać. Jednak prawdziwa przyczyna braku suwerenności konsumenta na rynku w krajach realnego socjalizmu jest inna. Stan taki byłby mianowicie sprzeczny z funkcją planu centralnego. O tym, co i ile produkować, o programie produkcji przedsiębiorstw, o alokacji czynników produkcji decyduje bowiem plan centralny. To właśnie plan centralny wykazuje tutaj pełną suwerenność, a wyraża się ona w tym, że jego decyzje, zarówno produkcyjne jak i inwestycyjne są autonomiczne, a więc niezależne; nie są indukowane, czyli wzbudzone przez popyt.

Wielkość i struktura podaży na rynku jest więc podporządkowana planowi, w tej sytuacji ciężar dostosowania do stanu równowagi powinien wziąć na siebie albo popyt, albo ceny. Popyt, to znaczy dochody nominalne ludności i jej preferencje, jest tylko częściowo zależny od planu centralnego. Mimo wysiłków nie udaje się tak ograniczyć dochodów nominalnych ludności i tak sterować jej preferencjami, by dostosować popyt przy istniejących cenach do wielkości i struktury podaży, którą narzuca plan centralny. Ceny zaś pozostają sztywne i ulegają zmianom dopiero w długich odstępach czasu. W rezultacie na rynku występuje chroniczna nierównowaga w postaci braku (rzadziej nadmiaru) towarów. W tych warunkach inflacja tylko częściowo ma wyraz pieniężny (wzrost cen), częściowo zaś wyraża się w pozapieniężnych zjawiskach rosnącej trudności w dostępie do towarów.

Owe pozapieniężne trudności w dostępie do towarów przybrały postać rozszerzającego się rozdzielnictwa towarów. W Polsce tak dużo mówi się o rozdzielnictwie środków produkcji potrzebnych przedsiębiorstwom: surowców, półfabrykatów, dewiz, natomiast głucho jest o tym, że stosuje się również prawie powszechnie rozdzielnictwo przedmiotów konsumpcji oraz tych środków produkcji, które są kierowane do ludności. Nie jest to taki proces jak reglamentacja kartkowa i pojedynczy konsument tego tak nie odczuwa, ale zasady i wynik końcowy tego działania są prawie identyczne, jak przy systemie kartkowym. Administracyjne rozdzielnictwo towarów istniało w ciągu całej historii PRL, a dziś w trybie administracyjnym rozdziela się prawie wszystko. Na szczeblu centralnym dzieli się „masę towarową” lub „pułę” na województwa, stamtąd idzie podział na powiaty (dawniej) i gminy (dzisiaj), dodatkowo jeszcze dzieli się całość na miasto i wieś, a potem na poszczególne „piony handlu”, dzielnice miast

i poszczególne sklepy. Nie zapomina się też o przydziale dla poszczególnych grup ludności (a więc jest pula dla „młodych małżeństw”, może się pojawić również przydział dla „starszych kawalerów”).

Tak więc, w trybie administracyjnym, ze szczebla na szczebel dzieli się i przydziela paliwo i materiały budowlane, samochody i nawozy (sztuczne), węgiel i sprzęt rolniczy. Dzieli się również dziesiątki asortymentów artykułów konsumpcyjnych: żywnościowych i nieżywnościowych, a wśród nich takie specyficzne artykuły jak nici, sery żółte, papier toaletowy (ogromna rzadkość!) czy wiadra ocynkowane. Dzieli się głównie według kryterium demograficznego, tzn. na głowę (?), ale uwzględnia się również dodatkowe okoliczności, które uprawniają do dodatkowych przydziałów. Tak więc powszechny system rozdzielnictwa tworzy rozmaite grupy, miasta czy sklepy uprzywilejowane, ale często jest to przypadkowe i niezgodne ze zwiększonym popytem (np. w ośrodkach uzdrowiskowych, gdzie kuracjusze się kąpią i muszą się wycierać, nie ma większych przydziałów ręczników...).

To powszechne rozdzielnictwo bierze się oczywiście stąd, iż przy kierowaniu towarów do odbiorców zaniechano posługiwania się klasyczną kategorią ekonomiczną, jaką jest cena. W normalnej gospodarce cena jest barierą, którą nabywca-konsument musi przekroczyć, a zatem jeżeli barierę ustawi się dostatecznie wysoko, podział strumienia towarów dokona się sam.

Przykładem eliminacji roli ceny z mechanizmu równowagi rynkowej była cena cukru, która nie ulegała zmianie w okresie od 1953 do 1982 roku. W tym czasie produkcja cukru wzrosła o 90 %, płace nominalne ludności zwiększyły się 6-krotnie, spożycie cukru na 1 mieszkańca wzrosło dwukrotnie, a ludność zwiększyła się o 40 %. Toteż nic dziwnego, że od połowy lat 70-tych zaczęły się trudności z nabyciem cukru, co z kolei powodowało jego masowe wykupowanie i nastąpiło zupełne rozregulowanie rynku na tym odcinku. Chcąc temu zaradzić, zdecydowano się wreszcie na podniesienie ceny cukru. Ale wówczas, po tak długim usztywnieniu, cena, aby choć zbliżyć się do poziomu równoważącego podaż z popytem, musiała być podniesiona skokowo. I tak się stało. Korzystając z wprowadzenia stanu wojennego podniesiono cenę cukru czterokrotnie.

Utrzymywanie sztywnych cen, nie równowążących popytu z podażą, wynikało nie tylko ze sztywnego mechanizmu scentralizowanego cenotwórstwa, ale i z tego, że starano się uniknąć politycznych protestów ze strony ludności, jako reakcji na podniesienie cen. Ludność, a właściwie jej grupy o niższych dochodach, wolały przez pewien czas cierpieć niedogodności rynku niezrów-

noważonego niż godzić się na podwyżkę cen. Gdy jednak sytuacja rynkowa stawała się coraz trudniejsza, gdy przez dłuższy czas nie podnoszono podaży, nie zmieniano cen i nie ograniczano wzrostu dochodów nominalnych, rynek zamienił się w stan chaosu, w którym ginęły wszelkie cywilizowane formy obrotu i wymiany. Wtedy władze uznały, a ludność przyjęła to z ulgą, że jedynym rozwiązaniem będzie reglamentacja. Już w drugiej połowie lat 70-tych wprowadzono reglamentację cukru, a w swoim maksymalnym nasileniu reglamentacja objęła dużą część artykułów żywnościowych (cukier, mięso, tłuszcze, mąkę i przetwory zbożowe), używki: wódkę i papierosy, środki czyszczące, benzynę i czekoladę. Wobec ostrego deficytu towarów przemysłowych (deficytu przy istniejących cenach i uzyskiwanych dochodach) pojawiły się również projekty, aby objąć reglamentacją szereg artykułów gospodarstwa domowego i odzież. Miał to być system tzw. sprzedaży sterowanej za pośrednictwem zakładów pracy. Obecnie (luty 1985) na kartki zakupuje się mięso i jego przetwory, cukier, masło i tłuszcze zwierzęce, czekoladę oraz benzynę.

Ośmioletni okres funkcjonowania reglamentacji żywności w PRL wykazał wszystkie wady tej formy obrotu produktami konsumpcyjnymi. Reglamentacja oparta o zasadę równości powoduje u niektórych konsumentów niedostatek zaopatrzenia, dla innych zaś przydziały są nadmierne, co prowadzi do wzrostu konsumpcji i marnotrawstwa. Reglamentacja bardziej zróżnicowanych artykułów konsumpcyjnych, jak np. mięsa i jego przetworów, jeżeli nie jest wsparta dostatecznym zróżnicowaniem cen na poszczególne asortymenty, nie likwiduje chaosu, kolejek i przypadkowości w otrzymywaniu towaru (weźmy przykład lepszych gatunków wędlin w Warszawie, których ceny — przy obecnej podaży i dochodach ludności — są za niskie w stosunku do gatunków gorszych, co powoduje ich natychmiastowe wykupywanie i konieczność dodatkowej, wewnętrznej reglamentacji). Reglamentacja ogranicza funkcje pieniądza, co zmniejsza stymulacyjne działanie płac. Wreszcie reglamentacja wymaga ogromnej obsługi administracyjnej w postaci zatrudnienia, które jest dodatkowym obciążeniem gospodarczym. Obecnie w PRL przy reglamentacji jest zatrudnionych około 100 tys. osób i jest to za mało, aby zapewnić pełną kontrolę szczególności systemu kartkowego.

Mimo to władze niechętnie odchodzą od reglamentacji. Ten sposób powiązań między produkcją a konsumpcją doskonale bowiem pasuje do systemu centralnego planowania, w którym wolny rynek jest ciałem obcym i wprowadza jedynie zamieszanie. Ale 3 kolejne lata urodzaju, olbrzymia produkcja cukru i najwyższe w historii Polski plony zbóż w 1984 roku — 30 q z hektara — stworzyły silny nacisk społeczny na zniesienie reglamentacji żyw-

ności i można mieć nadzieję, że w tym roku kartki zostaną ograniczone tylko do mięsa i benzyny.

Ale również w zakresie mięsa — twierdzą to z całą odpowiedzialnością — reglamentacja mogłaby być zniesiona, a nawet w ogóle nie wprowadzona, gdyby podniesiono odpowiednio ceny (w stosunku do obecnego poziomu zresztą nieznacznie). Doświadczenie polskie z reglamentacją jeszcze raz bowiem wskazuje, że przyczyną reglamentacji nie jest bezwzględny deficyt podaży, ale niemożność, lub niechęć do operowania ceną, jako narzędziem wyrównującym podaż i popyt. Prawdziwą zaś przyczyną niechęci do stosowania ceny równowagi jest pragnienie podporządkowania rynku planowi centralnemu. Powód ten jest jednak ukryty, a zamiast tego tworzy się przeciwko zrównoważonemu rynkowi swoistą ideologię. Uważa się mianowicie, że zasady sprawiedliwości społecznej są w większym stopniu respektowane w takim systemie, w którym towar otrzymuje się na przydział, niż w systemie, w którym towar dostaje ten, kto zapłaci cenę równowagi. Oczywiście przekonanie to jest nonsensem, również z punktu widzenia zasad sprawiedliwości społecznej.

Reglamentacja na niektórych odcinkach podaży czy nierównowaga globalna i częściowa nie wyczerpuje plag, którymi obciążony jest rynek w krajach realnego socjalizmu. Podporządkowanie rynku planowi centralnemu, niedopuszczenie do działania zasady suwerenności konsumenta tworzy sytuację, w której ujawniają się również inne anomalie rynku.

Weźmy np. sprawę handlu zagranicznego. Jak wiadomo, oddziałuje on na rynek krajowy. W normalnej gospodarce oddziałuje dodatnio: handel zagraniczny bogaci kraj, a na rynku zwiększa podaż i asortyment towarów, pozwalając na import produktów, których kraj nie wytwarza. W PRL, pod rządami planu centralnego, jest inaczej. Napięte plany inwestycyjne i antykonsumpcyjne priorytety sprawiają, że handel zagraniczny ogałaca rynek z towarów: eksport zabiera towary rynkowe, a import takich towarów nie sprowadza w takiej skali, aby to skompensowało eksportowy ubytek. Z punktu widzenia rynkowego handel zagraniczny pogarsza więc strukturę naszej produkcji. Taki rezultat jest związany z mechanizmem gospodarki planowej. Niewymienialność złotego sprawia, że przy podziale masy towarowej na rynek krajowy i na eksport oraz przy podziale dewiz na import towarów rynkowych i nierynkowych nie ma kryteriów ekonomicznych. Decydują kryteria planistyczne: eksport poddany jest dyrektywom planu, a import jest ściśle reglamentowany, głównie przez reglamentację przydziału importerom dewiz. Interesy rynku są przy tym w polityce handlu zagranicznego lekceważone. Gdy handel zagraniczny ma korzystną umowę eksportową, to potrafi

zabrać z rynku całą krajową produkcję danego wyrobu w skali miesiąca, kwartału czy nawet roku (osławiony przykład — kuchenki gazowe), a gdy ma pilne pozarynkowe płatności importowe, to potrafi całymi miesiącami nie importować artykułu rynkowego nawet pierwszej potrzeby (przykład herbaty). Stąd negatywny stosunek ludności do handlu zagranicznego.

Innym przykładem jest konkurencja. Na peerelowskim *quasi* rynku nie ma mowy o konkurencji po stronie podaży, konkurencji wśród producentów i sprzedawców. Stały nacisk efektywnego popytu w każdym ogniwie obrotu towarowego sprawia, że konkurują ze sobą tylko nabywcy. Natomiast sprzedawcy i producenci mają sytuację monopolistyczną, lub *quasi*-monopolistyczną. Pozycja monopolistyczna producentów-sprzedawców ma swoje przyczyny i podstawy formalne i faktyczne. Przyczyny formalne polegają na tym, że w gospodarce centralnie planowanej nie działa zjawisko tzw. wolnego wejścia (*free entry*), polegające na możliwości wejścia na rynek lub do produkcji nowych sprzedawców lub producentów. Przyczyny faktyczne, to reglamentacja środków produkcji nawet, gdy popyt na daną produkcję jest niezaspokojony i gdy cena, po której towar jest sprzedawany, przynosi duży zysk. W tej sytuacji konkurencja po stronie podaży jest po prostu niemożliwa. Z tego również powodu producent-monopolista na rynku socjalistycznym zachowuje się inaczej niż monopolista kapitalistyczny: nie dąży on do osiągnięcia tzw. punktu Cournota, zatrzymując produkcję na długo przed nim, to znaczy zanim krańcowy utarg (przychód) zrówna się z krańcowym kosztem. Powodem tego, oprócz braku przydziału środków produkcji, jest to, że monopolista socjalistyczny nie dąży do maksimum zysku. Nie jest w tym zainteresowany, gdyż znaczną część ceny osiągniętej w wyniku pozycji monopolistycznej zabiera skarb państwa w postaci podatku obrotowego. Podatek obrotowy o zmiennej stopie procentowej, który w niektórych towarach przemysłowych przekracza 100 % kosztów produkcji, stwarza drogę między producentem a konsumentem, nie stymulując producenta preferencjami popytu i nie informując konsumenta o warunkach podaży — produkcji.

Te mechanizmy, skłaniające do monopolizacji rynku i uniemożliwiające konkurencję, kształtują odpowiednio strukturę organizacyjną rynku. W wielu dziedzinach występuje w Polsce tzw. jedyny producent (pralki, magnetofony, samochody poszczególnych typów). Wynika to z ogromnej koncentracji produkcji przemysłowej, znacznie większej niż w krajach zachodnich. W 1983 roku 8,5 % ogólnej liczby przedsiębiorstw zatrudniało przeszło 46 % ogólnej liczby pracujących przy przeciętnym zatrudnieniu 5.000 osób w przedsiębiorstwie.

W handlu pozornie nie ma takiej koncentracji, jak w przemyśle. Większość sklepów to małe punkty sprzedaży detalicznej. Jednak nie są one samodzielnymi przedsiębiorstwami, lecz należą do sieci handlu wielkich ogólnokrajowych przedsiębiorstw handlowych, oczywiście państwowych lub też pozornie spółdzielczych. Między sklepami tej samej firmy nie może być konkurencji.

Konkurencja nie występuje również wskutek ogromnych braków sieci handlowej. Sklepów jest za mało w stosunku do ludności. Na 1.000 mieszkańców przypada średnio mniej niż 6 sklepów, a w Warszawie mniej niż 4 sklepy i liczba ta zmalała w ciągu ostatnich 15 lat. Są również takie osiedla, czy wsie, gdzie na tysiąc lub więcej mieszkańców przypada 1 sklep. Jeszcze gorzej jest z gastronomią. W całym handlu pracuje w Polsce mniej niż 7,5 % wszystkich zatrudnionych (a np. we Francji 16 %). Jest oczywiste, że w tych warunkach w handlu państwowym nie ma mowy o żadnej konkurencji. Natomiast jakość usług handlowych jest bardzo niska, dostawy towarów i sprzedaż odbywają się bardzo nierytmicznie i zawsze z opóźnieniem; sklepy są otwarte średnio tylko przez 200 dni w roku, zakupów dokonuje się stale w ogromnym tłoku, nerwowej atmosferze, wybór towarów jest mały nawet wtedy, gdy produkcja jest dostateczna, gdyż detaliści nie dbają o zgromadzenie pełnego zakresu rozmiarów, kolorów, typów. Stale występują jakieś braki, deficyty, obsługa jest nieuprzejma, opieszła i niefachowa, informacja handlowa nie istnieje, reklama jest działalnością pozorowaną. W państwowym handlu sprzedawcy i kierownicy sklepów nie są zainteresowani ani dużym obrotem, ani dużym zyskiem. Ceny są sztywne i nie reagują ani na wzmożony popyt, ani na rosnące zapasy. Posezonowe przeceny towarów to rzecz prawie nieznaną.

Wszystkie te słabości i patologie dotyczą handlu państwowego i rynku, na którym ten handel działa. Jednak oprócz rynku, na którym działają państwowe i *quasi*-spółdzielcze organizacje handlowe, istnieją w Polsce pewne rynki marginalne, które działają według pełnego mechanizmu prawa podaży i popytu. Takim rynkiem jest np. rynek kwiatów ciętych oraz rynek warzyw i owoców, funkcjonujące głównie w postaci handlu bazarowego. Na tych wolnych rynkach dominują producenci i sprzedawcy prywatni, którzy działają według zasad handlowych: ceny na tych rynkach są cenami równowagi, podaż zawsze przekracza nieznacznie popyt, co stwarza konieczność konkurencji między sprzedawcami; wybór towarów jest obfity, struktura podaży jest elastyczna i szybko dostosowuje się do zmian popytu. Jednak i na tym rynku występują ograniczenia, wynikające ze sztywności państwowo-socjalistycznego otoczenia gospodarczego. Wtedy, gdy przedstawienie w produkcji wymaga dodatkowych czynników, których jedy-

nym dostawcą jest państwo, wówczas i ten rynek nie może reagować elastycznie. Tak jest np., gdy zmiany podaży wymagają dodatkowych dostaw surowców, np. paliw albo środków inwestycyjnych lub dewiz.

Takie bariery tworzone przez państwowo-socjalistyczne otoczenie może przekraczać jedynie czarny rynek. Czarny rynek jest po prostu racjonalną odpowiedzią na nonsensy i ograniczenia sztywnej gospodarki państwowej. Czarny rynek przekracza bariery tworzone przez reglamentację państwową przy pomocy zmasowanych, dużych sum pieniędzy. Ceny na czarnym rynku są od dwóch do dziesięciu razy większe, niż na rynku państwowym. Wyrazem tego jest czarnorynkowy kurs dolara, pięciokrotnie wyższy od kursu oficjalnego. Podaż towarów na czarnym rynku pochodzi częściowo z przecieków z handlu państwowego, częściowo z prywatnego importu, a częściowo z zapasów ludności. Czarny rynek jest częściowo ścigany przez prawo, które karze tzw. spekulację, częściowo zaś tolerowany (rynek samochodów, rynek mieszkań). W sumie nie obejmuje on jednak dużej części masy towarowej i nie wykazuje wielkiej prężności handlowej.

Ogólnie biorąc, rynek w krajach realnego socjalizmu jest tą częścią gospodarki, w której najwyraźniej ujawnia się słabość systemu państwowej własności środków produkcji, zarządzanej planem centralnym. Słabość rynku w krajach realnego socjalizmu powoduje, że poziom życia ludności, stopień zaspokojenia jej potrzeb jest znacznie niższy, niż wynikałoby to z poziomu rozwoju gospodarczego tych krajów.

OBSERWATOR

## Potępienie procesu gdańskiego

### LIST OTWARTY NOBLISTÓW DO GENERAŁA WOJCIECHA JARUZELSKIEGO

Panie Generale,

Jako członkowie międzynarodowej społeczności intelektualistów i naukowców jesteśmy zbulwersowani ostatnim aktem oskarżenia i mającym nastąpić w najbliższym czasie procesem trzech wybitnych przywódców opozycji: Adama Michnika, Bogdana Lisa i Władysława Frasyniuka. Wszystko to wskazuje, że nasze nadzieje na bardziej tolerancyjne stanowisko wobec wolnego słowa w Polsce nie były uzasadnione. Ci przywódcy, już od dwóch miesięcy

przebywający w więzieniu, zostali oskarżeni o wzniesienie niepokojów publicznych tylko za rozpatrywanie możliwości zwołania 15-tominutowego strajku jako protestu na podwyżkę cen żywnościowych. Jak Pan wie, strajku nie ogłoszono.

Pomiędzy uwięzionymi znajduje się historyk Adam Michnik. Znany autor i teoretyk demokracji, Michnik poświęcił swoje życie pokojowemu działaniu w obronie swobód ekonomicznych, kulturalnych i politycznych. Michnik przesiedział już szereg lat w polskim więzieniu. Jego zwolnienie zeszłego lata było interpretowane jako pierwszy krok w stronę liberalizacji. Fakt, że został tak szybko znowu uwięziony oczywiście przekreśla te nadzieje.

Najusilniej protestujemy przeciwko aresztowaniu Michnika i jego kolegów. Każdy rząd, który na pokojowe rozpatrywanie przez intelektualistów spraw spornych, odpowiada stosowaniem siły i więzieniem gwałci międzynarodowe normy praw człowieka i robiąc to sam wyłącza się z grona ludzi i instytucji na świecie, dla których te prawa są święte. Domagamy się, aby rząd polski podjął prawdziwy program liberalizacji rozpoczynając go od zwolnienia Adama Michnika i jego kolegów.

*Kenneth J. ARROW*, Nobel Prize in Economics (1972), *Julius AXELROD*, Nobel Prize in Physiology or Medicine (1970), *Saul BELLOW*, Nobel Prize in Literature (1976), *Paul BERG*, Nobel Prize in Chemistry (1980), *Herbert BROWN*, Nobel Prize in Chemistry (1979), *Subrahmanyan CHANDRASEKHAR*, Nobel Prize in Physics (1983), *Leon N. COOPER*, Nobel Prize in Physics (1972), *James W. CRONIN*, Nobel Prize in Physics (1980), *Gerard DEBREU*, Nobel Prize in Economics (1983), *Val L. FITCH*, Nobel Prize in Physics (1980), *William A. FOWLER*, Nobel Prize in Physics (1983), *Sheldon L. GLASHOW*, Nobel Prize in Physics (1979), *Roger C. L. GUILLEMIN*, Nobel Prize in Physiology or Medicine (1977), *David H. HUBEL*, Nobel Prize in Physiology or Medicine (1981), *Lawrence R. KLEIN*, Nobel Prize in Economics (1980), *Simon KUZNETS*, Nobel Prize in Economics (1971), *Czesław MIŁOŚZ*, Nobel Prize in Literature (1980), *Daniel NATHANS*, Nobel Prize in Physiology or Medicine (1978), *Linus C. PAULING*, Nobel Prize for Peace (1962), *Arno PENZIAS*, Nobel Prize in Physics (1978), *Paul A. SAMUELSON*, Nobel Prize in Economics (1970), *Theodore W. SCHULTZ*, Nobel Prize in Economics (1979), *Herbert A. SIMON*, Nobel Prize in Economics (1978), *Hamilton O. SMITH*, Nobel Prize in Physiology or Medicine (1978), *Howard TEMIN*, Nobel Prize in Physiology or Medicine (1975), *James TOBIN*, Nobel Prize in Economics (1981), *Tosten N. WIESEL*, Nobel Prize in Physiology or Medicine (1981), *Rosalyn S. YALOW*, Nobel Prize in Physiology or Medicine (1977).

### APEL OSOBISTOŚCI FRANCUSKICH

Z prawdziwym przejęciem dowiadujemy się, że 23 maja rozpoczyna się w Gdańsku proces Władysława Frasyniuka, Bogdana Lisa i Adama Michnika, trzech wielkich postaci pokojowego i legalnego ruchu „Solidarność”. Wszyscy trzej — zaledwie kilka miesięcy po ich zwolnieniu z więzienia — zostali zaaresztowani w lutym w prywatnym mieszkaniu, w czasie spotkania z Lechem Wałęsą.

Takie postawienie w stan oskarżenia z powodu zwykłego korzystania z prawa do wypowiedziania własnego sądu i za udział w działaniach pokojowych, zmierzających do ustanowienia swobód związkowych — jest sprzeczne z Aktem Końcowym Konferencji Helsińskiej i z umowami Międzynarodowej Organizacji Pracy, podpisanymi przez Polskę. I dlatego nie jest to wew-



nętrzną sprawą Polski. Poszanowanie praw człowieka i przestrzeganie zobowiązań podjętych w tej dziedzinie przez rządy, są sprawą nas wszystkich.

Jesteśmy przekonani, że powtarzanie się aktów gwałcenia praw człowieka w Polsce może jedynie wzbudzić bezwzględne potępienie ze strony francuskiej opinii publicznej i tym samym wyrzucić negatywny wpływ na stosunki między Francją i Polską.

Jacques BARROT, Alain BESANÇON, Pierre BOURDIEU, Jean-Claude CASANOVA, Cornelius CASTORIADIS, Jacques CHABAN-DELMAS, Jean CLUZEL, Geneviève DOMENACH-CHICH, Jacques Le GOFF, Pierre HASNER, Jacques HUTZINGER, Branko LAZITCH, Jean LECANUET, Marie-Noël LIENEMANN, André LWOFF, Pierre MANENT, François MASPERO, Ariane MNOUCHKINE, Yves MONTAND, René DEMOND, Jean-François REVEL, Alain RICHARD, Paul RICŒUR, Michel ROCARD, Emmanuel LE ROY LADURIE, Laurent SCHWARTZ, Georges SEMPRUN, Simone SIGNORET, Pierre SŁONIMSKI, Paul THIBAUD, Alain TOURAINE, Simone VEIL, Jean-Pierre WORMS.

### APEL NA RZECZ CDN

Trzy litery — „ciąg dalszy nastąpi” — pojawiły się na murach miast polskich jako odpowiedź na ogłoszenie stanu wojennego. Wymowa ich była jednoznaczna: walka o wolne słowo, prawa obywatelskie i związkowe, będzie trwała do zwycięstwa. Nic też dziwnego, że niezależne wydawnictwo, które powstało w styczniu 1982, te trzy litery przyjęło jako symbol i nazwę. CDN do dziś opublikował około 50 dzieł głównie z dziedziny historii najnowszej i publicystyki politycznej, a także utwory literackie, teki zdjęć i kasyety z nagraniami.

To wielkie osiągnięcie w warunkach konspiracji wymaga nie tylko poświęcenia, odwagi i wytrwałości, ale także pomocy materialnej i technicznej.

Sprawy wydawnicze i pomocy CDN na Zachodzie wzięło w opiekę Wydawnictwo PULS, a prac z tym związanych podjęła się Teresa Afeltowicz, były żołnierz Armii Krajowej. Korespondencję w sprawach CDN, czeki lub międzynarodowe przekazy pieniężne (wystawione na CDN Press) prosimy kierować na:

**PULS PUBLICATIONS,  
BCM Box 697, London WC1N 3XX, United Kingdom**

Pierwszych wpłat na Fundusz CDN dokonały następujące instytucje:

Instytut Literacki (Paryż) — F. 1.000,00; Wydawnictwo Libella (Paryż) — F. 500,00; Wydawnictwo Kontakt (Paryż) — F. 1.000,00; Wydawnictwo Spotkania (Paryż) — F. 800,00; Wydawnictwo Aneks (Londyn) — £ 100,00; Wydawnictwo Polonia (Londyn) — £ 100,00; Wydawnictwo Puls (Londyn) — £ 75,00; Polska Fundacja Kulturalna (Londyn) — £ 100,00; Wydawnictwo Archipelag (Berlin) — DM. 200,00; Bicentennial Publishing (Nowy Jork) — \$ 150,00; Independent Polish Agency (Lund) — Skr. 500,00.

## Sąsiedzi

### Czy Niemcy nas zrozumieli?

Specjalny numer *Kultury* wydany w języku niemieckim, poświęcony w całości stosunkom polsko-niemieckim, wywołał wielkie zainteresowanie, jest na wyczerpaniu i Redakcja planuje wydanie drugiego nakładu. To poważne osiągnięcie, godne uwagi, domaga się przeanalizowania.

Mam przed sobą 27 reakcji niemieckich: z prasy, radia, z wypowiedzi różnych publicystów i członków instytutów naukowych, a nawet ministra rządu federalnego w Bonn. Są to źródła poważne, mogące pretendować w dużej mierze do wyrażenia obrazu rzeczywistego, prawdziwego, nie obliczonego na propagandę czy tylko doraźne dziennikarskie informowanie.

Niemcy przyjęli to wydawnictwo z dużym uznaniem. Fakt ukazania się tak wszechstronnego przedstawienia opracowania „palącego problemu” w momencie, kiedy w Niemczech opinia była poruszona niefortunnymi i drażniącymi wystąpieniami wysiedleńców z dawnych ziem wschodnich, podważających stałość zachodniej granicy Polski, wręcz zaimponował wysoką kulturą i wyrobieniem politycznym. Pod adresem Redakcji *Kultury*, jak i treści numeru, wyrażono słowa dużego uznania, a nawet podziwu.

Norddeutscher Rundfunk w audycji z 15 lutego 1985 ustami Gabriela Lauba tak się wyraził: „Polskie pismo emigracyjne *Kultura* niewątpliwie jest najlepszym polskim pismem w ogóle. Moim zdaniem jest to także w skali międzynarodowej najlepsze pismo, jakie znam. *Kultura* jest swego rodzaju fenomenem. Niezależna, nie finansowana przez żaden wielki dom wydawniczy, przez żaden rząd, ani przez żadną instytucję. Trzyma się konsekwentnie linii liberalnej; otwarta jest na rozmaite poglądy, broni

wolności, praw człowieka i porozumienia między narodami; nie boi się bronić także tych tez, które nie są popularne wśród rodaków w kraju i na emigracji. (...) Mimo że zakazana w PRL i pasowana tam na 'wroga numer jeden' i ośrodek dywersji imperialistycznej, *Kultura* miała i ma duży wpływ na polskich intelektualistów; nawet w oficjalnych środkach informacji daje się wyczuć jej wpływ. (...) Wysoki poziom jej publicystyki politycznej, daleko wyższy aniżeli w zachodnich czasopismach informacyjnych, zawdzięcza *Kultura* nie tylko temu, że jest miesięcznikiem i nie tylko temu, że skupiły się wokół niej wybitne pióra. Przyczynia się doń także sytuacja autorów emigracyjnych: doświadczyli oni na sobie obu systemów, żyją na ogół w centrum zachodniego potoku informacji, ale pozostają związani niezliczonymi kanałami informacyjnymi ze swoją ojczyzną, co wystrza spojrzanie".

#### *Wypowiedzi polskich autorów*

Na numer niemiecki *Kultury* składa się 12 artykułów — esejów, w równej liczbie autorów z Kraju i z emigracji. Trzy, stanowiące część literacką, to refleksje i opowiadania Miłosza, Herlinga-Grudzińskiego, oraz esej Stempowskiego. Jest też zbiór dobrze wybranych przez Ninę Kozłowską „Polenlieder” poetów niemieckich epoki romantycznej. Inne artykuły to publicystyka polityczna — Jeleński, Szrett, Michnik, Szułdryński, Garnysz, Najder, Lipski, a dwa opracowania o charakterze historycznym dotyczą polityki zagranicznej Piłsudskiego (Pronobis) i myśli politycznej Studnickiego (Swianiewicz).

Piszący nie uzgadniali poprzednio tematyki. Każdy wypowiadał swoje przekonania. Wspólne było założenie spojrzenia w przyszłość polsko-niemieckich stosunków. Mimo różnorodności autorów, Niemcy zauważyli i podkreślili dużą jednolitość w zasadniczych poglądach.

Ponieważ treść artykułów w języku niemieckim nie jest znana polskim czytelnikom *Kultury*, należy w głównych liniach przedstawić tok myśli polskich autorów.

Punktem wyjścia wspólnym wszystkim piszącym jest stwierdzenie, że Rosja a z nią PRL dokładają wszelkich starań, by utrwalić w umysłach polskich niezłomne przekonanie, że jedynie Rosja jest w stanie zabezpieczyć Polsce granice na Odrze i Nysie, a Niemcy Zachodnie zawsze gotowe są do żądania zwrotu utraconych ziem wschodnich. Można zrozumieć, że tragiczne doświadczenia Polski dają temu rozumowaniu, nawet niezależnie od jego propagandowego wykorzystywania, dużą siłę przekonywu-

jącą. Rozumowanie to znajduje podatny grunt w „zniewolonych umysłach” i wizja rewanżyzmu niemieckiego jest stałym strasza-kiem. Tak więc stosunki polsko-niemieckie układają się pod zewnętrzną presją Rosji. Pozbawiona możliwości samodzielnego myślenia i działania, Polska jest tu bezwolnym przedmiotem i wykonawcą cudzych, a nie polskich, interesów. Pierwszym więc zadaniem jest stworzenie forum polskiej niezależnej myśli i samodzielnej rewizji stosunków polsko-niemieckich.

Nie chodzi tu o stosunki między rządami, podkreślają wszystkie teksty. Chodzi o stosunki między narodami. One to muszą rozładowywać fobie, kompleksy i resentymenty. Krajowy pisarz Józef Szrett uważa to za tak ważne i pilne, że w tej dziedzinie gotów uznać, iż nawet jednostronne „rozładowanie” ma szanse powodzenia, to znaczy szanse na „rozbrojenie” strony niemieckiej. Inicjatywa *Kultury* odpowiada potrzebom czasu i stwarza najwłaściwsze forum dla podjęcia tego zadania. Pismo to konsekwentnie apelowało, by odpowiedzialnością za krzywdy wojenne nie obarczać całej ludności niemieckiej — co wiąże się z wezwaniem i deklaracją Episkopatu polskiego z 1966 roku.

Wypowiedzi polskie są szczerze i starają się pokazać całą prawdę możliwie obiektywnie. Mowa jest o krzywdach lat wojny i dawnych z przeszłości. Jest też uznanie krzywd, wyrządzonych wysiedleńcom niemieckim, o czym mówili biskupi polscy. Ale zachowanie w pamięci doświadczeń przeszłości ma być przestrożą dla przyszłych pokoleń, a nie inspiracją do porachunków. Autorzy piszą bez ogródek i upiększeń, bo nie miejsce tu na propagandę czy powierzchowne spekulacje polityczne, lecz chodzi o coś o wiele głębszego, ważą się losy samego bytu, samej cywilizacji.

Jest w tych szczerych wypowiedziach optymizm i przekonanie, że poprawa leży w naszej mocy i od nas zależy. Niektórych autorów ponosi idealizm, inni widzą konieczność realizmu politycznego, potrzebę dłuższego czasu, nowych pokoleń przyjmujących idee wspólnoty Europy, nie tylko w utrzymaniu bezpieczeństwa, ale też i w rozwoju kultury.

Lipski owiany idealizmem, z głębokim zalem i dobitnie wytyka Niemcom, że jego artykuł napisany po niemiecku, a skierowany do nich jeszcze w 1981 roku pt. „Dwie ojczyzny — dwa patriotyzmy”, nie miał ze strony niemieckiej oddźwięku. Czy więc pisał na próżno? Stawia Niemcom zarzut obojętności, ciasnoty myśli, interesowania się swoimi tylko sprawami. Są to ostre wyrzuty. Takich szczerych, z serca płynących wypowiedzi jest u autorów polskich sporo. Mają na celu wstrząśnięcie świadomością, gdyż za dużo zmian zaszło w ostatnich latach w Europie i w świecie, aby można żyć tym co było i nie zdawać sobie sprawy z potrzeby wyłonienia nowych ludzi i nowych pojęć.

Obok sympatii, wynikłej ze spontanicznej ogromnej akcji pomocy RFN w ostatnich latach, odczuwają Polacy też żal o niedostatek solidarności politycznej. Niektórzy autorzy kreślą obraz bezradnego, przesyconego Zachodu, obojętnego na walory wolności, na cierpienie narodów, żyjących dziś jeszcze pod butem dyktatur. Jan Szułdrzyński przeciwstawia temu stanowi rzeczy duchową i moralną rolę Polaków w tworzeniu podstawowych wspólnych wartości, wskazując na postawę Polski w ciągu 5 lat wojny, na ruch robotniczy „Solidarności”, na rolę papieżstwa Jana Pawła II.

Przyszłość widzą autorzy w ramach złączonej Europy. Literackie rozważania ilustrują bezsens wojny, jej tragizm i dno moralnego ponizenia, upadek cywilizacji. Los ten dotyczy zarówno Polaków, jak i Niemców. Jesteśmy więc na gruncie wspólnych interesów i wspólnego losu, a to co nas dzieli — maleje, widziane z tej perspektywy.

Budzenie świadomości, że więcej nas łączy, niż dzieli jest naszym zadaniem, na pewno nie łatwym, ale koniecznym i możliwym. Obrazowo przedstawił to Józef Szrett pisząc, że w toku dziejów wyrosły po dwóch stronach Polski pasma górskie, okalające ją ze wschodu i z zachodu. Nie są tworem natury, ale powstały z tragicznych zmagania historii. I stała się Polska doliną między górami — poligonem gier wojennych. Wyrosły z dziejów wrogości wał niemiecki jest sztuczny, trzeba go rozsypać i otworzyć bramę do wspólnoty z Europą, do której droga prowadzi przez Niemcy.

Polska nie może utrzymać się jako teren przejściowy. Jest częścią składową Europy, dzieli z Niemcami jej los i tak jak Niemcy zainteresowana jest w budowie jej przyszłości. Fakt że Polska nie może swjej woli wyrażać przez oficjalne władze państwa, nie powinien powstrzymywać chęci do dialogu i porozumienia. Nie można czekać z opuszczonymi rękami, nie jesteśmy spektatorami. Ostatnie lata przyniosły już poważne zbliżenie pomiędzy Polakami i Niemcami, jest wzajemne zainteresowanie, jest życzliwa pomoc filantropijna. Trzeba jednak czegoś więcej, niż filantropia. Trzeba poczucia łączności cywilizacyjnej oraz wspólności interesu politycznego.

Wszyscy autorzy stoją niezłomnie na gruncie nienaruszalności granicy na Odrze i Nysie. Życzliwie odnoszą się do połączenia Niemiec Zachodnich i Wschodnich, gdyż jest ono koniecznością, jeśli „Europa Ojczyzn” ma stanowić podstawę pokoju i bezpieczeństwa. Stanowisko to dobitnie wyraża przytoczony przez Zdzisława Najdera tekst uchwały PPN z 1978 roku, opublikowany w podziemiu: „Polacy mogliby dojść do wniosku, że zjednocze-

nie Niemiec leży w ich własnym interesie pod dwoma warunkami:

- 1) bezwarunkowego uznania naszej granicy zachodniej;
- 2) integracji Niemiec ze Wspólnotą Europejską. Niespełnienie tych dwu warunków wstępnych służy natomiast za stały argument sojuszu z ZSSR, niezależnie od formy rządów w Polsce i Rosji”.

Tak przedstawia się w ogólnym zarysie problematyka poruszona przez autorów polskich, zajmujących stanowisko rekonyliacyjne i nakłaniających obie strony do poważnego przemyślenia każdego z istotnych problemów we wzajemnych stosunkach. Stanowisko polskie cechuje: optymizm, chęć pojednania, wizja zjednoczonej Europy, w której Niemcom i Polsce przypada rola nie tylko w płaszczyźnie czysto politycznej, ale i cywilizacyjno-moralnej.

Polacy powiedzieli swoją prawdę w oczy z poczuciem godności, a nie z uizonością wobec dziś silniejszych Niemców, przez których względy chcieliby wejść do zjednoczonej Europy. Powiedzieli to z poczuciem, że oba narody spełniają rolę takiej samej wagi.

#### *Reakcje niemieckie*

Polska gotowość do zasadniczego pojednania została przez Niemców doceniona. Problem zgody polsko-niemieckiej stawiają oni jako rzecz bardzo zasadniczą i rozumieją, że to sprawa ważna nie tylko dla samych Niemiec, ale dla Europy.

Czytając reakcje niemieckie, w których są wypowiedzi bardzo pozytywne, ale są też i błędne, odnosi się ogólne wrażenie, że w odczuciu Niemców posiew polskiego ziarna zgody jest uznany za dobry i zdrowy, konieczny dla przyszłości i obiecujący. Są w nich wszystkie elementy, potrzebne dla odbioru polskiego apelu. Niemniej nasuwa się pytanie, czy aby te szlachetne i mądre ziarna myśli polskiej padają na grunt dostatecznie przygotowany, aby mogły wydać spodziewane owoce.

Prawdą jest, piszą Niemcy, że po obu stronach odbywa się podobny proces kryzysu cywilizacyjnego, prawdą jest też, że po obu stronach jest dążenie do niezależności od Jałty. Wspólny los nas łączy, piszą Niemcy, ale poczucie wspólnoty losów jest silniejsze u Polaków niż u Niemców. I w tym jest sedno sprawy, niepokojące, wymagające głębszego zastanowienia po obu stronach, bo tu właśnie może przyjść rozczarowanie. Jan Józef Lipski już go doznał. Niemcy to przyznali i wzięli jego żale poważnie.

Rzecz polega na tym, że Polska i Niemcy znajdują się w zupełnie odmiennych sytuacjach. Polska jest w niewoli politycznej systemu rosyjskiego, wojna dla niej się nie skończyła. Polska walczy i w strategii tej walki o wolność punktem centralnym jest solidarność europejska. Dla tego wyraźnego celu Polska mobilizuje siły moralne i intelektualne, jej cele wiążą się ściśle z odrodzeniem Europy jako całości politycznej. Nacisk tej sytuacji polskiej, presja otoczenia i nawet zjawisk codziennego życia — wskazują Polakom Europę, pojednanie z zachodnim sąsiadem i w ogóle ze wszystkimi sąsiadami pragnącymi wolności, jako rzecz konieczną. Bo to dla Polaków stanowi jedyną drogę ratunku, której alternatywę stanowi kapitulacja wobec Rosji. Polacy przemawiają więc z najgłębszego przekonania, przemysłanego i narzuconego przez warunki życia. Niemcy nie.

Niemcy, chociaż z wojny wyszły pokonane, podzielone i z poważnym uszczerbkiem terytorialnym — mają swoje suwerenne państwo i Bundesrepublik dała znów Niemcom światowe, gospodarcze i polityczne znaczenie. Dla Niemców wojna się skończyła, ludność żyje w dobrobycie, chce go utrzymać a nawet powiększać, chce przede wszystkim pokoju, nie szuka konfliktów ani konfrontacji. Nie znaczy to, że dla Niemców historia stanęła w miejscu. Przyszłość niesie zmiany i mają w swoim polu widzenia wspólnotę Europy, ale w znacznie dalszej perspektywie, osiągalną w ich mniemaniu środkami gospodarczymi i dyplomatycznymi.

Poczucie odrodzenia praw człowieka, czy poczucie zagrożenia cywilizacyjno-moralnego jest więc w Niemczech mniej silne. Nie jest ono tak wyraźne w świadomości Niemca, a w każdym razie nie daje mu on takiego pierwszeństwa jak Polak. Są też Niemcy wystawione na wpływ życia amerykańskiego, nie skłonnego do zdecydowanych i konsekwentnie przeprowadzanych konkluzji. Przyszłość oceniają Niemcy w dalszych perspektywach czasu. Stąd więc mniejsza skłonność do wyraźnego angażowania się już dziś, do czego Polacy są przygotowani pod naciskiem ich tragicznej, odmiennej sytuacji. Niechaj więc Lipski — mówią Niemcy — nie dziwi się i nie bierze za złe, że Niemcy nie są gotowe do tego, by myśleć w kategoriach „dwóch ojczyzn, dwóch patriotyzmów”. Nie uchylają się jednak od przyznania, że rozczarowanie Lipskiego ma swoje uzasadnienie. Artykuł jego nie wywołał oddźwięku, piszą autorzy niemieccy, a przecież Lipski „dokonał uczciwego obrachunku z polskimi winami, nie bacząc na to, czy winy Niemców były większe czy nie”. Taka samokrytyczna postawa powinna dawać podstawę do trwałego porozumienia. Powinna była zostać doceniona.

Niemcy uważają, że Polacy w swej gorliwości zmierzającej do pojednania i do solidaryzmu politycznego, moralnego, cywilizacyj-

nego skłonni są do przeoczenia faktu, że jak ostrzega w swym eseju Szułdryński, stosunki polsko-niemieckie są w końcowym efekcie dyktowane względami politycznymi. Przecież sami Polacy nimi właśnie się powodują. Przecież chodzi im o zmianę struktury państwa polskiego, a państwo to naród zorganizowany do życia w wolności i tej wolności właśnie Polacy nie mają. Niemcy ją mają i mówią nam, że te różnice trzeba uwzględnić.

Pomimo różnicy w napięciu emocjonalnym czy intelektualnym, wypowiedzi polskie nie wzbudziły u Niemców wrażenia, że są one jakby ogólnikowymi produktami idealizmu, fantazji czy czystej dobrej woli pod hasłem: zapomnijmy o tym co było, podajmy sobie ręce. Przeciwnie, ocenili je jako ugruntowane historyczne i polityczne studia, nie oszczędzające żadnego szowinizmu — ani polskiego ani niemieckiego, ani żadnych uprzedzeń. Przewidują, że znajdą się czytelnicy, którym polskie wypowiedzi nie spodobały się. Ale wszyscy muszą uznać ich wagę oraz to, że zapoznają Niemców z obrazem Europy z właściwie nieznanego im punktu widzenia.

Niemcy nie zapomnieli o tym, że Polacy w duchu listu biskupów z 1966 roku okazują skłonność do krytykowania przede wszystkim własnych błędów i uprzedzeń. Widzą w Polakach zrozumienie dalekosiężnego, konstruktywnego celu pokojowej koegzystencji wolnych narodów. Ale to nie dosyć.

W audycji Radia Bawarskiego wytknięto, że Niemcy i Polska za mało wiedzą o sobie. Lepsze poznanie się jest warunkiem wzajemnego zrozumienia. Potrzeba więcej kontaktów z ludźmi po obu stronach. Niemcy i Polacy są zbyt mało zaangażowani problemami własnego kraju czy bloku. A przecież po obu stronach Łaby mają miejsce podobne procesy rozwojowe, związane z takim samym głębokim kryzysem cywilizacji współczesnej. Z bliższych kontaktów może płynąć pozytywne oddziaływanie wzajemne. Mówią Niemcy: Polacy pobudzają do samodzielnego myślenia, a młode pokolenie Niemców setkami tysięcy protestuje przeciwko zachodnim rakietom atomowym, podczas gdy przejawiają znikome zainteresowanie sprawami obozu komunistycznego.

Jakże żywe jest życie umysłowe w Polsce, nawet pod panowaniem komunistycznym — wywodzi *Kölnische Rundschau*. Widzi w tym siłę solidarności europejskiej ponad żelazną kurtyną. Widzi też nadzieję na przyszłe zmiany polityczne w Europie. Niemcy muszą się przygotowywać do nich tym bardziej, że historia biegnie czasem skokami. Trzeba widzieć granice władzy Moskwy w Polsce. Zakreślają ją Kościół i Solidarność. To co się rozgrywa w niemieckich ambasadach w Pradze, Warszawie czy Budapeszcie, „to tylko wierzchołek góry lodowej”. Wyzwolenie

podbitych narodów natychmiast czy w bliskiej przyszłości oczywiście nie wchodzi w rachubę. Nawet teoretycznie się tego nie rozważa, ale komunizm nie jest ustrojem na wsze czasy.

Moc słowa, wypływająca z chrześcijańskiej tradycji Zachodu to — zdaniem Niemców — klucz do zrozumienia stałej przewagi narodu polskiego nad sowieckim hegemonem. To ona daje młodzieży, robotnikom, chłopom i intelektualistom siłę do stawiania oporu narzuconej władzy państwowej. Znaczenie *Kultury*, jedyne w swoim rodzaju organu polskiej emigracji, objawia się właśnie w kontekście dzisiejszej potęgi słowa. Tego zdania jest *Kulturpolitische Korrespondenz* z Bonn (z 10 lutego 1985), dowodząc, że jeżeli w PRL po 40 latach dyktatury komunistycznej utrzymał się tak silny polski patriotyzm i niezależne życie umysłowe, to jest to także zasługą *Kultury*, której wpływ sięgał do tych, którzy zapoczątkowali ruch oporu robotniczego.

Niemcy dostrzegają jakby rozdwojenie w stosunkach polsko-niemieckich. Z jednej strony oficjalny układ między rządami z grudnia 1970 roku otworzył Polsce drzwi do Europy i podważył tezę rosyjską o „niemieckim straszaku”. Tak więc na tej drodze oficjalnych kontaktów Niemcy pomogli Polsce, ale z drugiej strony droga do głębszego porozumienia niemiecko-polskiego nie może się ograniczać do kontaktów oficjalnych, gdyż nie są one autentycznie polskie. Niemcy i Polacy muszą bezpośrednio, nie na drodze oficjalnej, szukać porozumienia.

Skoro nie ma możliwości prowadzenia dialogu między rządami trzeba — nawołują Niemcy — tym bardziej śledzić nastroje i nurty w polskim społeczeństwie, które uwolnione od narzuconego balastu ideologicznego, może stworzyć zaufanie między Niemcami i Polakami. We wszystkich esejach *Kultury* wyczuwa się wolę pokojowego porozumienia, często ze wskazówkami jaki jest cel i charakter „Europy Ojczyzn”. W tej najogólniejszej perspektywie pamiętają Polacy także o losie krajów nadbałtyckich, o Białorusi i Ukrainie i wskazują na rafy, które trzeba będzie kiedyś usunąć w imię porozumienia polsko-rosyjskiego i w imię powszechnego uznawania praw człowieka.

Numer niemiecki *Kultury* zasługuje, zdaniem Niemców, na szerokie rozpowszechnienie i uważne przemyślenie, gdyż traktuje o chyba najważniejszym zagadnieniu naszych czasów, którym jest zrastanie się świata, pełnego sprzecznych interesów ideologicznych, ekonomicznych, narodowych. Świat znajduje się pod naciskiem cywilizacji techniczno-przemysłowej i musi sobie z tym poradzić. Narody stają się prowincjami. Zrastanie się wspólnoty musi jednak być procesem dobrowolnym. Trzeba więc wyrównać wzajemne porachunki, aby wspólnota nabrała siły życia. Takie

właśnie intencje dobrowolnego zdecydowania się na współpracę wyrażają polscy autorzy.

Autorzy ci jasno też wskazują jak trudnym zadaniem jest wyrównanie wzajemnych porachunków. Ze strony niemieckiej ujmujący jest list podoficera armii niemieckiej z Hamburga, który po przeczytaniu *Kultury* napisał, że nigdy nie zapomni życzliwości, okazanej mu przez ludność polską gdy w styczniu 1940 roku, a więc w czasie kiedy szalały zbrodnie hitlerowskie, Polacy umieli widzieć w nim indywidualność, a nie część wrogiej masy.

Nieprzypisywanie zbrodniczych instynktów całemu narodowi niemieckiemu odgrywa w odczuciach Niemców bardzo wielką rolę. Sumaryczne potępienie narodu z wielką kulturalną przeszłością bardzo boleśnie ich dotyka i rani. *Kultura* nie obarcza całej ludności odpowiedzialnością za zbrodnie i nigdy tego nie robiła. Niemcy to wysoko cenią.

Głośna sprawa wysiedleńców śląskich znalazła się również wśród niemieckich reakcji. Dla jednych jest to zagadnienie przesądzone i nieodwracalne, mogące być najwyżej przedmiotem dyskusji w celu uzyskania jakichś mniejszościowych udogodnień czy uprawnień. Kardynałowie Wyszyński i Glemp znaleźli jednak krytyków za rzekome odmawianie opieki duchowej w języku niemieckim. Mimo uznawania przez Polaków tragizmu wysiedlenia ludności niemieckiej, niektórzy Niemcy uważają, że lektura *Kultury* prowadzi do rozczarującego wniosku, gdyż autorzy polscy nie uznają Niemców żyjących w „Niemczech Zachodnich i Środkowych, oraz pozostałych we wschodnio-niemieckiej ojczyźnie” (!) za partnerów do rozmowy. Uważają, że próba uprzedzenia wyników nieistniejącego jeszcze ostatecznego układu pokojowego zaprowadziła autorów polskich na manowce. Uważają, że rozwiązanie dziś wszystkich kwestii w stosunkach polsko-niemieckich jest niemożliwe.

Inny krytyk uważa, że w okresie kiedy w Niemczech rozgorzała niemal historyczna dyskusja na temat związków przesiedleńczych, liberalizm i zdrowy rozsądek polskich autorów działa kojąco na podniecone umysły piszących na łamach niemieckiej prasy lewicowo-liberalnej nawet wtedy, gdy ich wypowiedzi budzą sprzeciw. We wszystkich artykułach widzi on wolę pokojowego porozumienia. Równocześnie zwraca on uwagę Niemcom, iż Polacy ostrzegają ich przed powoływaniem się na „święte prawa i dokumenty”. Taka niewzruszona niczym postawa wiązałaby Polskę nierozwalnym łańcuchem z Rosją i uniemożliwiłaby w przyszłości połączenie podzielonych dziś Niemiec.

Najjaśniej do sprawy roszczeń wysiedleńców odniósł się *Kölnener Stadtanzeiger* (z 23 lutego 1985). Wystosował on list otwarty do wszystkich Niemców, w którym broniąc twórczych wartości

Polski, opowiada się za stanowiskiem autorów niemieckiego numeru *Kultury*. Pisze: „Zawarte w nim teksty, pochodzące w 60 % wprost z Polski, są przykładem tego, z jaką rozważą i jasnością umysłu polska warstwa intelektualna — choć nie oficjalnie — stara się o porozumienie. Jan Szułdryński wskazuje, że poprawa obecnych stosunków zależy od istnienia w Polsce twórczych i samodzielnych wartości politycznych i od uznania ich przez Niemców”.

Wreszcie przedstawiciel młodej generacji wzywa, by w kontrowersyjnej dyskusji na temat Dnia Ślązaków uwzględnione były artykuły *Kultury* o stosunkach polsko-niemieckich. Opowiada się za inicjatywą Michnika, by wydać po polsku opracowania niemieckie dotyczące sprawy wysiedlenia w imię lepszego wzajemnego zrozumienia i znalezienia wspólnej prawdy dla złagodzenia nieprzyjaźni i urazów. Widzi w tym dalszy ciąg drogi, na którą weszli biskupi polscy w 1966 roku.

O wiele krytyczniej zapatruje się pismo *Historische Wahrheit* (z 14 grudnia 1984). Atakuje Prymasów Wyszyńskiego i Glempa i zarzuca im dawanie złego przykładu, gdyż odmawiają duchowej opieki w języku niemieckim w kraju, gdzie nie tylko ludzie, ale i kamienie mówią o niemieckości, czego oni nie słyszą. Dowodzi, iż polskiemu przysłowiu „jak świat światem nie będzie Niemiec Polakowi bratem” właśnie dziś zaprzeczają sami Niemcy, którzy dają Polsce największą pomoc gospodarczą i finansową. Powołuje się na Michnika, który przyznaje, że parlament niemiecki przyczynił się do wypuszczenia z więzienia chorego Lipskiego, a Wałęsę utorował drogę do nagrody Nobla. Powołuje się również na Szretta który przyznaje, że stosunki polsko-niemieckie straciły na ostrości.

Wyrzeczenie się przemocy dałoby, zdaniem Niemców, Polakom, walczącym dziś o swe prawa, większe możliwości manewru na forum międzynarodowym. Prawa powinny być równe. Polacy, którzy odwoływali się do praw swojego narodu powinni zrozumieć, że i Niemcy budowali państwo narodowe.

Tyle jest wypowiedzi na temat najżywiej dziś jeszcze poruszający szeroką opinię niemiecką.

Niemieccy czytelnicy *Kultury* uważają, iż rzuca się w oczy jeśli nie pogarda, to całkowita nieufność Polaków do Niemieckiej Republiki Demokratycznej, do NRD. Przytaczają opinię Zdzisława Najdera, że wiele wskazuje na to, iż to właśnie NRD jest dziś rozsądnikiem wrogich Polsce tendencji w Niemczech i że to właśnie NRD może stanowić największą przeszkodę na drodze do dobrosąsiedzkich stosunków. Miłość do Polski jest w NRD oficjalnie nakazana, nie ma tam swobodnej dyskusji. Niemcy wschodni czują się upokorzeni i zmuszeni do kłamstwa.

Jest inna jeszcze dziedzina, która wciąż nastęrcza poważne trudności w stosunkach polsko-niemieckich, a mianowicie dziedzina argumentacji historycznej. I Polacy i Niemcy przywiązują dużą wagę do świadomości historycznej. Przechowują ją pieczołowicie, jako żywą część składową swoich kultur. Czytelnicy niemieccy zdają sobie sprawę i czują to, że przeszłość historyczna ciąży. Niemcy częściowo uznają swoje błędy, ale zarysowuje się bardzo wyraźna tendencja do odmiennej interpretacji faktów historycznych.

Westdeutscher Rundfunk w swojej audycji przytoczył z artykułu Jana Szułdryńskiego całość wywodów historycznych, obciążających Niemców za niedochowanie Traktatu Wiedeńskiego z 1815 roku i za to, co przez następne stulecie nastąpiło. Powstrzymał się od komentarza, polecając słuchaczom przemyślenie i wyciągnięcie wniosków i zaznaczając, że polskiemu autorowi nie chodzi o wzbudzenie ducha odwetu, że porachunki są mu zupełnie obce, że chodzi mu o to, by w przyszłości nie budować na iluzjach, ale na trwałych podstawach. Ten obiektywizm zasługuje na uznanie.

Znalazła się jednak inna postawa, mniej troszcząca się o obiektywizm i zaskakująca interpretacją faktów historycznych. Oto przykłady: to Niemcy pierwsi spośród mocarstw rozbiornych odbudowali niepodległą Polskę w dniu 5 listopada 1916 roku, Polacy natomiast odrzucili dialog, nie okazali ani zrozumienia, ani wdzięczności. Inny przykład: pakt Ribbentrop-Mołotow rzeczywiście spowodował czwarty rozbiór Polski, ale to sama Polska zawiniła, doprowadzając do tego swoją antyniemiecką polityką. Sam Piłsudski mówił ambasadorowi niemieckiemu w Warszawie, że 1000-letnia nienawiść narodu polskiego do Niemców jest wielką przeszkodą w realizacji przyjaznych stosunków.

Paradoksalne jest to, że tego rodzaju interpretacja faktów historycznych ukazuje się w piśmie, którego tytuł brzmi *Historische Wahrheit (Prawda Historyczna)*.

Radio Bawarskie przypomniało, że liberalna opinia księstw niemieckich stała po stronie polskich powstańców XIX wieku i że wspólne były ideały odrzucenia Rosji i cara, jako ucieleśnienia władzy absolutnej. „Ponad tysiąc pieśni odzwierciedliło entuzjazm Niemców dla Polski, nieprzeliczona masa artykułów, książek i broszur dała mu wyraz”. To jest prawda, ale nie cała. Znany mi jest list noszący datę 13 lutego 1849 roku, pisany przez W. Lüdersa. Był to Niemiec, redaktor wychodzącego w tym czasie w Szczecinie pisma pt. *Wächter an der Ostsee* (Strażnik nad Bałtykiem), w którym ów redaktor tak pisał: „Der Wächter przez swoje stanowcze poparcie Polaków został potę-

piony przez niemieckich patriotów i filistrów. Starzy przyjaciele i abonenci wyrzekają się pisma i otrzymałem listy z zarzutami braku patriotyzmu". To była właśnie epoka Wiosny Ludów, Polenlieder i manifestacyjnego uwolnienia Polaków z berlińskie-go więzienia Moabitu, które skończyło się wielkim rozczarowaniem. A było to przed Bismarckiem, Wilhelmem i Hitlerem. Pamięć historyczna ciąży, może sprzyjać kompleksom po jednej i po drugiej stronie.

### Wnioski końcowe

Z przeglądu reakcji niemieckich jasno wynika, że inicjatywa *Kultury* spotkała się, ogólnie mówiąc, z pozytywnym i żywym przyjęciem. Naturalnie, że w ramach takiego problemu jakim jest stosunek Niemców i Polaków, są sprawy sporne i zawsze jakieś będą. Istotą rzeczy jest to, że Niemcy podjęli ideę dobrosąsiedzkich stosunków w ramach odbywającego się procesu integracji narodów europejskich. Powodzenie tego procesu w dużej mierze zależy od uporządkowania stosunków polsko-niemieckich, którym trzeba nadać nowego ducha. To pobudzenie myśli *Kultura* osiągnęła.

Stosunki polsko-niemieckie są sprawą tak żywą, że przechodzić będą zmienne koleje. Trzeba być na to przygotowanym, nie zrażać się trudnościami i nie cofać się. Polska wszystko zdobywa z trudem, a takich trudności jakie miała Polska Niemcy nigdy nie doświadczyli. Polska, wyniszczona wojnami i brakiem ciągłości własnego życia kulturalnego i politycznego przez wiele generacji, ma o wiele trudniejszą pozycję wyjściową. Trudno spodziewać się szybkiego wyrównania poziomów między obydwojma narodami. Będzie to proces powolny. Niemcy muszą liczyć się z tym, że ludność Polski nie miała tych możliwości powszechnej oświaty, ani stałości i ciągłości życia kulturalnego — nie z własnej winy. Polska od XVIII wieku była targana ciągłymi zrywami, była jakby mrowiskiem z zewnątrz rozrzuconym i wciąż siłą wewnętrzną odbudowywanym. Z perspektywy naszej, państwo 20-lecia to także tylko epizod — ale w rozmiarach europejskich.

Po drugiej wojnie Niemcy ponieśli duże straty terytorialne. Jeśli decydują się na dobrosąsiedzkie stosunki z Polską to dlatego, że są one konieczne dla integracji Europy i uczynienia z niej w przyszłości jednego z głównych ośrodków polityki światowej. W tym kierunku prowadzą wywody niemieckiego numeru *Kultury*.

Uderzające jest powszechne uznanie Niemców dla *Kultury*. Nie

tylko dla samego numeru niemieckiego, ale w ogóle jako dla środowiska polskiego na emigracji. Imponuje im, że pracuje ono od 1947 roku pod kompetentnym kierownictwem, iż ma wyraźny i konsekwentny program, inteligentnie przemyślany, nadążający za biegiem wydarzeń, sięgający w przyszłość. 455 numerów miesięcznika, ponad 400 książek, 72 tomy *Zeszytów Historycznych* czytanych przez Polaków w świecie i w kraju — to osiągnięcie które obudziło podziw Niemców, dawniej skłonnych widzieć w Polakach słomiany ogień, brak talentu organizacyjnego i ładu w „polskim gospodarstwie”. Zobaczyli coś zgoła innego. Niemcom nie imponuje blichtr, zyskuje się ich rzetelną pracą.

Alfred Theisen w *Kulturpolitische Korrespondenz* w Bonn (10 lutego 1985) tak to ocenił: „Do radości, podziwu i uwag krytycznych pod adresem numeru *Kultury* miesza się nieco smutku, kiedy uprzytomnimy sobie, że Niemcy ze wszystkich części naszej ojczyzny nie mają takiego wspólnego forum, jakim jest dla Polaków *Kultura*. Należy mieć nadzieję, że ten numer specjalny pozostanie w pamięci bońskich strategów od stosunków polsko-niemieckich trwalej, aniżeli ustawiczne kampanie rewanżystowskie”. Dodać można i to, że na niemiecko-amerykańskim spotkaniu przygotowawczym do konferencji w sprawach Europy Środkowej i Wschodniej mającej odbyć się w Berlinie Zachodnim, Heinrich Windelen, minister do spraw ogólnoniemieckich w Bonn, zwrócił uwagę na interesujące koncepcje i sformułowania *Kultury*, nadające się do poważnych rozważań.

Jak rozumieć to powodzenie? Sądzę, że *Kultura* w umiejętny sposób dotknęła problemu, który od lat zaprzęta umysły zarówno niemieckie, jak i polskie. Zawsze jednak brakło wizji rozwiązania tego problemu, co prowadziło do poczucia beznadziejności. *Kultura* przyniosła optymizm, tak bardzo potrzebny Europie naszych czasów, pokazała że ten problem nie jest nierozwiązalny. Wypowiedzi dwunastu polskich autorów wskazują drogę, wychodząc naprzeciw potrzebom czasu. Obudziła się też świadomość, że problem stosunków polsko-niemieckich nie spoczywa w rękach tylko wielkich mocarstw, że nie decyduje się wyłącznie w płaszczyźnie stosunków między mocarstwami atomowymi; obudziło się poczucie samodzielności i tego, że nie jesteśmy skazani na własną beznadzieję i bezwolne wyczekiwanie na to, co fala światowych wydarzeń nam przyniesie. Od nas samych zależy rozwiązanie tej jednej z największych bolączek Europy i to jest możliwe. Niemcy zobaczyli, że Polacy posiadają umiejętność politycznego myślenia i że gotowi są działać we właściwym kierunku. Ich bronią jest siła słowa, umiejętnie sformułowanych myśli, które budzą w ludziach nową świadomość. Ludzie na to czekają. Broń słowa wyrażającego ducha i potrzebę czasów

to — jak słusznie Niemcy zauważyli obserwując doświadczenia polskie — bardzo silna broń. Posługiwał się nią Marks dla tworzenia nowych świadomości społecznych.

Sąsiedztwo geograficzne narzuca Polakom i Niemcom pewien naturalny nakaz solidarności. Sytuacja geograficzna może być czynnikiem dodatnim albo ujemnym, zależy to od wyboru woli ludzkiej. Sytuacja geograficzna z natury rzeczy powinna być podstawą siły politycznej. Wola ludzka może oddziaływać na geopolitykę. Wskazuje ona kierunek zależnie od czasów. Ongiś nas Polaków z Litwinami, obcymi nam i wrogimi, złączyła potrzeba przewyciężenia prężnej ekspansji niemieckiego państwa Zakonu misyjnego. Wtedy trzeba było się naginać i niełatwo przychodziła „Unia”. Podobnie dzisiaj trzeba współżyć pomimo różnic.

Przeszkodą w jednolitej akcji politycznej jest zaściankowość polityki. Polacy są narodem, który własnego państwa tak dawno nie posiadał, że wyrobił w sobie kulturę apañstwową — to było zdanie Piłsudskiego. Trzeba rozumieć nowe konieczności państwowe. Trzeba umieć współżyć, pomimo różnic w charakterze narodowym i w tradycjach narodowych i kulturalnych. Jest to sprawa tak istotna, że słusznie pisze Zdzisław Najder: „Współżycie ciężko doświadczonych narodów, jakimi są Polacy i Niemcy, nie może opierać się na formułach prawnych i ich egzegezie”. Dodam od siebie, że wokół stosunków polsko-niemieckich narosło tyle resentymentów, a nawet kompleksów, że logika rozumowania z trudem trafia do uczuć wywodzących się często z poczucia krzywd historycznych, a więc żywo emocjonalnych. Siłą przekonującą jest dziś instynkt samozachowawczy. On może uratować nasze wzajemne stosunki. Trzeba ześrodkować i spotęgować siły we wszystkich kierunkach, a cofanie się przed przeszkodami i uznanie siebie za bezsilnych jest nie do darowania, byłoby marnowaniem okoliczności i utratą okazji. Po katastrofie ogólnego „holocaustu” w Europie zapanowało mniemanie, że jesteśmy zdani na decyzje mocarstw, a przecież tak dużo zależy od nas samych, od Niemców i Polaków.

Myślę, że droga tzw. „wyrównania porachunków” może nie prowadzić do celu. Doceniam jej znaczenie psychologiczne. Jednakże odważanie argumentów na szali obrachunków sprawiedliwości jest rzeczą bardzo trudną. Niełatwo zdobyć się na ocenę obiektywnego ciężaru odważników i każda ze stron wynajdzie zawsze odważnik cięższy. Wchodzą w grę sprawy, których ani odważyć ani wymierzyć się nie da.

Dla przyszłości trzeba wielkoduszności w polityce z gatunku tej, jaką mieli ci którzy pogodzili Francję i Niemcy. Sprawa polsko-niemieckich stosunków jest trudniejsza, wymaga jeszcze szerszych horyzontów myślowych i jest tak ważnej natury, że słuszny

jest pogląd Józefa Szretta piszącego z Polski, iż potrzeba ugody jest tak istotna, że trzeba podejmować starania nawet jednostronne, w nadziei, że taka postawa z biegiem czasu rozbroi antagonizm strony przeciwnej.

Za rzecz bardzo istotną uważam konieczność stworzenia w umysłach i wyobraźni Niemców jasnego pojęcia, czym jest w Europie państwowość polska. Wiadomo, jaką wagę ma w kulturze niemieckiej ideologia filozoficzna i historycyzm. Nie tak jak u Anglosasów, wyznających przekonanie: *économie d'abord*. Argumentacja historyczna żyje w świadomości Niemców. Po obu stronach posługujemy się argumentami takimi jak: historyczna ekspansja kultury miast z zachodu na wschód, historyczny wkład niemiecki do kultury polskiej w ogóle, do jej handlu, rzemiosła, budownictwa, nawet sztuki. To jest święta prawda, ale trzeba sobie zdawać sprawę, że to się odbywało w państwie polskim, szerzej mówiąc w Zjednoczonym Królestwie Polski, Litwy i Rusi. Biorąc pod uwagę zasadniczą różnicę w procesie kulturalnego i politycznego rozwoju pomiędzy Zachodem i Wschodem Europy, te wkłady cywilizacyjne przypominają w pewnym sensie rolę nabywców koncesji, którzy tak się zagospodarowali w obcym państwie, że pretendują do własnych praw politycznych. Trzeba to rozumieć w kontekście Polski jako całości historycznej.

Nie można wyrobić sobie pojęcia o Polsce tylko na podstawie „przyczynków historycznych”. Dają one dowolnie skomponowany obraz fragmentaryczny: mogą świadczyć o tolerancji i nietolerancji, o lojalności i nielojalności, o sprawiedliwości lub ucisku, o zamiłowaniu do wolności albo o skłonności do anarchii. To zagadnienie nie dotyczy tylko Polski, ale w ogóle całej Wschodniej Europy. Ma ona bowiem swoją odrębną od Zachodu, organiczną historię rozwojową. Było w niej duże pomieszanie narodowości i kultur i różne pola magnetyczne przyciągających się kultur i sił politycznych.

Znaczenie historii Polski przedstawionej przez historyka angielskiego Normana Daviesa w książce „God's Playground, a History of Poland” polega na tym, że nareszcie dała Anglosasom całościowy obraz żywej historii organizmu państwowego Polski i jego roli w Europie, nie ukrywając żadnych błędów ani kompromitujących właściwości życia polskiego w dawnych wiekach, nie upiększając niczego, a jednak rewaloryzując znaczenie i rolę historyczną Polski w Europie. Historiografia niemiecka potrzebuje tego typu nowego wytłumaczenia znaczenia Polski, jej roli i miejsca w Europie. Niemcy wiedzą dobrze, że rozbiory zredukowały Polskę do zagadnienia terytorialnych rozgraniczeń — *Nachbarschaftsproblem*. Okazywano lojalność, gdy była silna, dopuszczano się nielojalności w okresie jej słabości i upadku. Trzeba



też rozumieć, że wkład w rozwój cywilizacji materialnej nie jest substytutem wkładu w rozwój ogólnej kultury narodowej, nie zastępuje tego największego wkładu w kulturę, jakim jest oświata, a właśnie jej nam odmawiano.

Osobowość Polski zginęła w znaczeniu europejskim, ale trzeba się wyzwolić z poglądu, że Polska to tylko sprawa granic. Poczucie całości Europy odejmie w przyszłości znaczenie granicom. Żyjemy w czasach, których potrzebą jest sięganie do podstaw, do źródeł, do genezy dla poznania osobowości. Dotyczy to zarówno jednostek, jak i narodów. Mówi o tym doskonale „Rodzinna Europa” Miłosza w skali jednostkowej. Naród ma też swoją osobowość. Tak zrozumiana i przemyślana znajomość Polski pokazuje, że koncepcja „dwóch ojczyzn, dwóch patriotyzmów” nie jest rzeczą nową, istniała nie tylko w państwie polskim, ale i w innych krajach Europy Wschodniej.

Jeżeli rzeczywiście dojdzie kiedyś do jakiegoś traktatu pokojowego z Niemcami, o którym mówi Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe i Konstytucja Bundesrepublik, to taki traktat — logicznie biorąc stanowiący według prawa narodów zakończenie wojny — mógłby tylko utwierdzić nowe zasady współżycia narodów, mógłby mieć znaczenie jakiejś nowej *Magna Charta*, deklarującej jeszcze wyraźniej zasady prawa narodów i ich współżycia w Europie, ale nie mógłby zajmować się przesuwaniami murów granicznych. Takie stanowisko bardzo jasno wypowiedział w doskonałej mowie na 40-lecie zakończenia wojny Prezydent Niemieckiej Republiki Federalnej von Weizsäcker.

Koncepcja Rzeszy Niemieckiej, czy to w formie Bismarcka czy nawet Habsburgów, jest już przeżytkiem. Jest tak samo poza czasem jak Rzeczpospolita Zjednoczonego Królestwa Polski, Litwy i Rusi. Piłsudski to rozumiał i nie sięgał niewolniczo do przeszłości, ale szukał nowej formy współżycia narodów sąsiedzkich. Szukał też ugody z Rosją. Przeobrażenia te dokonują się wśród konwulsji drogą rewolucyjną. Nie ma innej. Taka tylko jest droga do uzyskania praw człowieka jako jednostki i praw narodu. Oczywiście, że aby to zrozumieć, potrzeba reedukacji. W kontekście stosunków polsko-niemieckich jest to ogarnięcie całości dziejów Europy z jej specyficznymi warunkami rozwojowymi i widzenie Polski w tym kontekście, nigdy poza nim. Tylko ta droga prowadzi do zbliżenia. Historia staje się wspólną własnością i fundamentem wspólnej przyszłości. Tylko na tej drodze Polska wróci do znaczenia ogólnoeuropejskiego.

Cechą kultury niemieckiej jest posłuch dla władzy, poszanowanie dla państwa, solidaryzowanie się z kierunkiem nadawanym z góry. Przy okazji toczących się w Warszawie przed wojną pertraktacji o uznawanie ustaw norymberskich przez Polskę, — któ-

rych Polska nigdy nie uznała — spytałem wyższego urzędnika niemieckiego jak on, pochodzący z rodziny o starych kulturalnych tradycjach, może z przekonania przyjmować ustawy norymberskie, Mein Kampf i filozofię Rosenberga, niemieckiego Bałty. Odpowiedział mi, że po przegranej wojnie i po upadku monarchii Niemcy nie wiedzieli czego się trzymać, a teraz „każdy wie co myśleć”.

Nam chodzi o to, ażeby stosunki polsko-niemieckie nie były sprawą tylko przejściowej mody na Solidarność, Papieża, Wałęsę, lub sprawą ślepego posłuchu z góry. Dlatego tak ważna jest reedukacja obu narodów, obejmująca ogół ich myślących społeczeństw. Dla strony polskiej bardzo duże znaczenie ma emigracja polityczna jako wyraziciel prawdziwej, niezależnej opinii narodu polskiego.

Na pytanie czy Niemcy nasze wywody w niemieckim numerze *Kultury* zrozumieli odpowiadam — myślący Niemcy zrozumieli.

Jan SZUŁDRZYŃSKI

Jan SZUŁDRZYŃSKI ur. 1903 w Bolechowie Poznańskim. Studiował prawa i nauki polityczne na uniwersytetach w Poznaniu, Krakowie i Londynie. Pracował przed wojną w Warszawie w Departamencie Ustawodawczym Ministerstwa Sprawiedliwości jako specjalista prawa rolnego i prawa niemieckiego. W czasie wojny kierownik prasy Jednostek Wojska Polskiego na Środkowym Wschodzie. Po wojnie współpracował z Mid-European Research and Planning Center w Paryżu. W latach 1953-1972 profesor na Uniwersytecie w Addis Abebie, kierownik Departamentu Nauk Społeczno-politycznych. Obecnie w Londynie profesor PUNO.

#### Autor publikacji:

- „Komentarz do ustawy finansowo-rolnej”, Warszawa 1933.
- „Dziejowa idea państwa polskiego”, Jerozolima 1943.
- „Anglia i Polska w Polityce Europejskiej”, Jerozolima 1945.
- „The Pattern of Life in Poland”, VI — „The Family”, Paryż 1952;
- XVI — „The Situation of The Catholic Church”, Paryż 1953.
- „The Legal Aspects of The Organization of European Economic Cooperation OEEC”, Londyn 1953.
- „Wspomnienia Wielkopolskie”, Londyn 1977.

## W sowieckiej prasie

Obywatele sowieccy raz jeszcze docenili mądrość przysłowia „nie taki diabeł straszny, jak go malują”, przeczytawszy 17 maja 1985 we wszystkich gazetach ZSSR uchwałę KC KPZS „O środkach przeciwko pijaństwu i alkoholizmowi”. Po miastach i

wsiach kraju dojrzałego socjalizmu krążyły straszne wieści przejmując zgrozą wszystkich bez wyjątku mieszkańców ZSSR: zapowiadano frontalny atak na wódkę. Kolejna wiadomość o posiedzeniu Biura Politycznego, ogłoszona 5 kwietnia, wzbudziła trwogę, by nie powiedzieć grozę. Sądząc po komunikacie, „Politbiuro wszechstronnie zbadało kwestię walki z pijaństwem i alkoholizmem” i uchwaliło „kompleks zasadniczych społeczno-politycznych, ekonomicznych, administracyjnych i innych posunięć, zmierzających do nasilenia walki z pijaństwem i alkoholizmem i usunięcia ich z życia naszego społeczeństwa”.

Nietrudno sobie wyobrazić zdenerwowanie obywateli sowieckich: a nuż to rewolucja? Pewne zaniepokojenie mógł też wzbudzić komunikat z 10 kwietnia br. o kolejnym plenum Sądu Najwyższego, które poleciło sądom „wykorzystać wszelkie środki prawne dla zapobieżenia pijaństwu i alkoholizmowi”...

Aż wreszcie skończyło się pełne napięcia i grozy oczekiwanie: 17 maja ukazała się uchwała KC. Uwagę w tym dokumencie zwraca przede wszystkim jego autor. Problemem zajęto się nie państwo, nie rząd, nie ministerstwo zdrowia, lecz partia. Srogi ale sprawiedliwy ojciec podjął zdecydowane wychowawcze kroki wobec w gruncie rzeczy dobrych — bo sowieckich — ale rozbiurmanionych dzieci.

Lektura partyjnych dokumentów dostarcza jak zawsze nie tylko przyjemności estetycznej, ale i stawy intelektualnej. Uchwała KC z 17 maja zaczyna się od liryczno-epickiego zdania: „We współczesnych warunkach... coraz pełniej rozwijają się twórcze siły naszego socjalistycznego ustroju i uwidocznia przewaga sowieckiego stylu życia...”, po czym następuje niespodziewany cios: „Jednak fakt, że problem pijaństwa i alkoholizmu zaostrzył się w kraju w ostatnich latach nie może nie budzić głębokiego zaniepokojenia”. Jak to? — gotów spytać niedoświadczony czytelnik — co to znaczy „zaostrzył się”, jeśli „twórcze siły” i „przewaga” są coraz bardziej widoczne? KC KPZS, zostawiając to pytanie bez odpowiedzi, przechodzi do „środków”. Wraz z umiłowaną partią spieszy i czytelnik, do którego doszły słyuchy, że w ogóle zakażą picia, wprowadzą kartki na wódkę itp. Przedzierając się przez dżunglę partyjnego żargonu, oddycha z ulgą: najgorszego udało się uniknąć. Uchwała kładzie główny nacisk na nasilenie propagandy antyalkoholowej („trzeba bez ogródek i przekonywująco obnażyć szkodliwy wpływ alkoholu nawet w małych dawkach i u zdrowych ludzi”). Jak na razie nic nowego. Pół wieku temu pokazywano nam w moskiewskiej szkole fotografie wątroby pijaka. Zdjęcia te oglądały wówczas kluby robotnicze, fabryki i zakłady pracy. I chociaż wątroba wyglądała odrażająco, nie przypominam sobie, by ktokolwiek zrezygnował ze zgubnego napoju. KC KPZS domaga się także, aby „nie dopuszczać do tego, by do teatru, kina, telewizji, radia i utworów artystycznych przenikały motywy, propagujące picie i biesiady”. I to już było. Wiktor Niekrasow wspomina, jak naczelny redaktor pisma *Nowyj Mir*, Aleksander Twardowski, skrupulatnie

wykreślał z jego tekstu wszelkie napomknienia o wódce, a zakończywszy to mozolne zajęcie westchnął z ulgą: no to chodźmy coś łyknąć!

Byłoby niesprawiedliwością twierdzić, że w uchwale nie ma żadnych nowych elementów. Są. Na drodze człowieka sowieckiego do wódki (ściślej mówiąc do alkoholu) wzniesiono kilka barier. Przede wszystkim uchwalono, że „sprzedaż napojów winno-spirytusowych zaczyna się w dni robocze od godziny 14-tej”. Do tychczas sprzedawano je od 11-tej, a i to trudno się było doczekać. Jak powiada wielki sowiecki alkoholik Wieniczka Jerofiejew, „najbardziej beznadziejny, najgorszy moment w życiu mojego narodu to okres od świtu do otwarcia sklepów”. Drugi cios, to zakaz sprzedaży napojów spirytusowych ludziom poniżej 21 lat. Związek Sowiecki znowu wyprzedził wszystkie kraje świata. Konstytucja sowiecka przyznaje czynne i bierne prawa wyborcze wszystkim obywatelom powyżej 18 lat, a prawo zakupu alkoholu ustanawia od 21 lat. Jest to chyba najjaskrawszy wskaźnik rozmiarów pijaństwa.

Za naruszenia tych ustaw i alkoholizm grożą liczne kary: aresztowanie, wyrzucenie z pracy, nawet wyrzucenie z partii. Wypowiedziano wojnę bimbrowi, nalewkom, arakowi i „innym silnym napojom spirytusowym domowego wyrobu”. Zapowiada się zamknięcie do 1988 roku produkcji win owocowych, które naród nazywa portweinem, a producenci „Darem słońca” i innymi poetyckimi nazwami. Przepis na te napoje jest surowo strzeżoną tajemnicą państwową, ale wiadomo, że nawet duże zwierzęta domowe (np. konie) zdychają w krótkim czasie, jeśli je poić „Darem słońca”. Tym niemniej państwo, które niesłychanie podwyższyło ceny wódki (5-9 rubli butelka) zmusza obywateli do picia „portweinu” (2-3 ruble litr).

Pierwsze, najgorętsze tygodnie po uchwaleniu nowych zasad świadczą, że kiedy partia komunistyczna chce, potrafi naprawdę zatroszczyć się o człowieka: wódkę sprzedają jak sprzedawali, za to gazety pełne są artykułów o szkodliwości alkoholizmu i konieczności walki z nim.

W opowieści fantastycznej Siniawskiego „Lubimow”, wydanej przez Instytut Literacki ponad dwadzieścia lat temu, Lenia Tichomirow, ślusarz zatrudniony w fabryce rowerów, zdobył magiczną siłę po przeczytaniu odpowiedniej książki i potrafił wmawiać ludziom wszystko, co uważał za niezbędne dla zbudowania prawdziwego socjalizmu w mieście Lubimowie. Objąwszy władzę w mieście, przekonał m.in. obywateli, że charkowska woda mineralna, której butelki zalegały sklepy, zmieniła się w spirytus: „To znaczy w gruncie rzeczy, w swej najgłębszej istocie, jak była wodą z charkowskiej fabryki wód mineralnych, tak nią i została... Ale zmieniła się jej rola i funkcja w życiu społeczeństwa, jej działanie na uczucia pijącego. Pod wpływem Leonida Iwanowicza każdy, kto się napił wody, odczuwał pełnowartościowy skowyt duszy i wstrząs organizmu...”.

Sowieccy przywódcy niewątpliwie marzą, aby obywatele pili nieszkodliwą wodę, ale reagowali na nią jak na spirytus. Wówczas wszystko byłoby w porządku. Co prawda w Lubimowie po jakimś czasie dały się słyszeć dysydenckie głosy: „Pije człowiek tę faszystkę, a kaca jak nie ma, tak nie ma. Co to za wińsko?”.

Cokolwiek przyszłość pokaże, Michaił Siergiejewicz Gorbaczow na razie dopiął swego: pokazał silną pięść, ale w aksamitnej rękawiczce.

Bez rękawiczek działa natomiast w polityce zagranicznej. Zachodnim specjalistom coraz trudniej doszukać się w polityce zagranicznej Gorbaczowa umiłowania pokoju i kompromisu. Generalny sekretarz i jego dyplomaci bezustannie powtarzają, że oczekują ustępstw od Amerykanów. W nagrodę obiecują spotkanie Gorbaczowa z Reaganem. W Afganistanie wojska sowieckie nasilają ataki przeciw ruchowi oporu i coraz bardziej zagrażają Pakistanowi. Pod koniec marca zabili w NRD amerykańskiego majora Nicholsona. Amerykanie robili co mogli, aby przedstawić to zabójstwo jako przypadek, samowolny akt sowieckiego żołnierza. Krótko mówiąc, starali się zatuszować sprawę. Na początku czerwca sowieccy żołnierze napadli w NRD na angielskich oficerów. Jest to chyba dopiero początek nacisków na „sojuszników”.

Model stosunków ZSSR z Zachodem można dziś obejrzeć na ekranach kin sowieckich. W przededniu obchodów czterdziestolecia zwycięstwa nad Hitlerem na ekrany 1300 kin wszedł film „Zwycięstwo”, ekranizacja „politycznej powieści” Aleksandra Czakowskiego pod tym samym tytułem.

Kilka lat temu, kiedy to najdłuższe dzieło zastępcy członka KC KPZS, naczelnego redaktora *Literaturnoj gazety* i bohatera pracy socjalistycznej Czakowskiego zaczęto drukować w odcinkach w moskiewskiej gazecie, poświęciłem mu kilka słów w jednym z przeglądów. Powieść zbudowana jest wokół dwu konferencji — Poczdamskiej w 1945 roku, na której zwycięzcy — Stalin, Truman i Churchill — ustalili nowe granice w Europie, i Helsińskiej z 1975 roku, na której Europa, Stany Zjednoczone i Kanada uznały te granice za wieczne. W powieści Czakowskiego w roli zwycięzców występują Stalin i Breżniew — było to jeszcze w epoce breżniewowskiej. W filmie Breżniew — koło którego drepce Czernienko — pojawia się tylko na chwilę. „Zwycięstwo” jest filmem o Stalinie, „mądrym, ukochanym i wielkim”, jak kiedyś śpiewał naród sowiecki. Naród sowiecki na 1300 ekranach ogląda wielkiego dyplomata. *Krasnaja zwiezda* pisze o nim: „Niekiedy surowy, niekiedy powściągliwy, nierazdo dobroduszny i ironiczny, Stalin z uporem wcielał w życie pryncypialną, twardą linię sowieckiej dyplomacji”. Aby sens filmu był dla wszystkich jasny, obok Stalina występują wierni wykonawcy jego polityki zagranicznej — były minister spraw zagranicznych Mołotow (rok temu, w wieku 94 lat, przyjęty ponownie do partii) i obecny minister spraw zagranicznych Gromyko, który w 1945 roku był ambasadorem w USA.

Niezmiennność „twardej linii” podkreśla w filmie „kwestia polska”. Wbrew prawdzie historycznej (ale kto by wymagał prawdy od sowieckiego filmu!) autorzy filmu twierdzą, że Stalin w zamian za ustępstwa w sprawie odszkodowań niemieckich uzyskał od sojuszników wolne ręce w Polsce. „Chcemy przyjaznych, nie wrogich krajów ościennych” — oświadcza w filmie generalissimus. Widz domyśla się z łatwością, że towarzysz Stalin miał na myśli także dzisiejszą Polskę.

Jeśli kto jeszcze nie widział „Zwycięstwa”, a chce się dowiedzieć, jak się sprawy mają z dzisiejszą Polską, może przeczytać marksistowską pracę W. Zagładina „Historyczna misja społeczeństwa socjalistycznego”. Wadim Zagładin wie o „historycznej misji” wszystko, nie darmo jest zastępcą kierownika wydziału stosunków międzynarodowych w KC KPZS. W książce swojej opisuje praktyczną realizację „twórczej strony misji historycznej” — czyli budowę socjalizmu i komunizmu w krajach rządzonych już przez partie komunistyczne, oraz realizację „obronnej strony”, czyli „poparcie postępowych sił społecznych” w krajach gdzie komuniści walczą o władzę.

O Polsce zastępca kierownika wydziału wspomina w pierwszej części i przyznaje z marksistowsko-leninowską szczerością, że zdarzają się w rozwoju socjalistycznych państw „niedociągnięcia, błędy”. Nie ukrywając niczego, pisze o „poważnych trudnościach” na Węgrzech w 1956 roku, w Czechosłowacji w 1968 i Polsce w 1980 roku. Trudności te jednak są po pierwsze „nieporównywalne z głębokimi, organicznymi wadami społeczeństwa kapitalistycznego”, a po drugie powstają „tylko wtedy, gdy wola i interesy ludu pracującego nie są należycie uwzględniane”. Trudności nie wynikają „z natury socjalizmu, a z odstępstw od jego norm i zasad”. Najważniejsze to szanować wolę i interesy ludu pracującego. Generał Jaruzelski, dogłębnie przestudiowawszy Zagładina, streścił jego poglądy w długim wywiadzie, udzielonym paryskiej *Humanité* z 4 czerwca 1985. Najgorsze za nami, oświadczył generał. Należy z tego wnioskować, że wola i interesy polskich ludzi pracy są nareszcie uwzględniane.

Książka Zagładina i wywiad Jaruzelskiego to przykłady działania potężnej maszyny, która od 1983 nazywa się — dzięki Czernience — kontrpropagandą. Termin ten wprowadził do języka sowieckiego Lenin w 1920 roku, ale jego szerokie użycie przypada dopiero na ostatnie lata, odkąd ZSSR usilnie pracuje nad teorią i praktyką kontrpropagandy. Wydany niedawno w Moskwie „Krótki słownik pedagogiczny propagandysty” (nakład 200.000 egzemplarzy) stwierdza, że „kontrpropaganda ma aspekt prewencyjny i demaskatorski”. Definicja ta tłumaczy, dlaczego potrzebny był ten termin. Propaganda zajmuje się — jak tłumaczy „Słownik” — „kształtowaniem światopoglądu marksistowsko-leninowskiego”. Kontrpropaganda pełni funkcję tarczy (chroniąc nieodpornych obywateli sowieckich przed wrogimi zachodnimi wirusami) i miecza (rażąc wirusy u siebie i za granicą). Prewen-

cja i zwalczanie to zadania KGB, którego godłem jest tarcza i miecz. Kontrpropaganda jest duchową emanacją KGB.

Technika kontrpropagandy nazywa się wojną psychologiczną. I takie hasło widnieje w „Słowniku”. Z góry należy zastrzec, że — zdaniem autorów hasła — wojnę psychologiczną prowadzą tylko państwa imperialistyczne. Jednak treść hasła nie pozostawia wątpliwości, że prawdziwymi mistrzami wojny psychologicznej są kontrpropagandyści. Wystarczy porównać definicję „Słownika” z książką Zagładina. Najważniejszą cechą sowieckiej wojny psychologicznej jest „przejście od sfery świadomości indywidualnej do sfery świadomości teoretycznej”. Sowieccy kontrpropagandyści oburzają się na imperialistów, powołujących się nie na „naukowe dowody, na rozum”, ale na fakty, cyfry, realne życie. Z punktu widzenia teorii „rozumu naukowego” w zwycięstwo socjalizmu wątpić mogą tylko zażarci antykomuniści. Teoretyczna przewaga socjalizmu nad kapitalizmem jest tak oczywista, że wrogowie postępu muszą nikczemnie sięgać do cyfr. „Słownik” nazywa to „zabawą w cyfry i detale”. Jeszcze w 1931 roku Stalin oburzał się na historyków, którzy upierali się, że historycznych faktów nie można ustalić bez dokumentów. „Kto poza beznadziejnymi biurokratami może polegać na samych papierkowych dokumentach?”. Stalin ponadto nazwał tych biurokratów „szczurami archiwalnymi”, a kilka lat później „odszczurzył” sowiecką ziemię.

Dziś zwolennicy „zabawy w cyfry i detale” istnieją już tylko w imperialistycznej części świata. Walczą z nimi zaciekle ludzie, odpowiedzialni za realizację „historycznej misji społeczeństwa socjalistycznego”.

Jakie są rezultaty kontrpropagandy? Wypowiedzi europejskich działaczy z ostatnich tygodni dowodzą, że „demaskatorska” funkcja przynosi owoce. 27 maja Willy Brandt przez pięć godzin rozmawiał z Gorbaczowem. Wadim Zagładin — który uczestniczył w tej rozmowie — oświadczył dziennikarzom, że przewodniczący niemieckiej socjaldemokracji i II Międzynarodówki w kwestiach strategicznych podziela poglądy generalnego sekretarza KC KPZS. We Francji były doradca prezydenta Mitterranda i były towarzysz Che Guevary — Régis Debray — wydał książkę „Imperia przeciw Europie”, w której dowodzi, że Związek Sowiecki jest papierowym tygrysem, którego boją się tylko antykomuniści. „Afgańczycy nigdy nie czytali *Reader's Digest*, pisał elegancko Debray, dlatego też pozostali sobą i potrafią walczyć przeciw Migom-25”. Zdaniem byłego doradcy Mitterranda prawdziwym wrogiem Europy są Stany Zjednoczone. Aby zwalczyć słabe, konające imperium sowieckie, wystarczy nie czytać *Reader's Digest*. Raymond Barre, który zapowiedział, że będzie kandydował w przyszłych francuskich wyborach prezydenckich w 1988 roku, powtarza wiele myśli Debraya, podkreślając zarazem, że „społeczeństwo sowieckie znajduje się w stadium głębokiej ewolucji”.

Jean-François Revel, jeden z nielicznych zachodnich publicystów, rozumiejących naturę ustroju sowieckiego, tak skomentował wystąpienia Debray'a i Barre'a (komentarz ten można odnieść i do wielu innych wystąpień): „Znacznie łatwiej wyobrazić sobie Związek Sowiecki takim, jakim się go chce widzieć, aniżeli wypracować politykę na miarę tego, czym on rzeczywiście jest”.

Stworzenie fałszywego wyobrażenia o Związku Sowieckim jest jednym z głównych zadań „wojny psychologicznej”.

Adam KRUCZEK

9 czerwca 1985

## Kronika niemiecka

Wychodzący w podziemiu *Biuletyn Łódzki*: „Dziś problemowi polsko-niemieckiemu nie daje się szansy przemawiania własnym głosem. Zbyt często bowiem to, co działo się i dzieje się nadal między Polakami i Niemcami, wygrywane jest jako atut w komunistycznej propagandzie. Problem Ziemi Zachodnich i Śląska, problem tzw. przesiedleńców itd. nigdy nie został gruntownie zbadany ani obiektywnie nasświetlony, a jedyne informacje jakie na ten temat otrzymuje obywatel PRL-u to prostackie ataki rodzimej propagandy usiłującej z problemu niemieckiego uczynić wytrych otwierający wszystkie imperialistyczne drzwi. (...) Komunistyczne wołanie o pokój jest pustym frazesem w konfrontacji z zajądłymi atakami na państwo niemieckie. By nastąpił pokój — musi nastąpić porozumienie. (...) Współżycie pokojowe polsko-niemieckie może stanowić szansę dla pokoju w całej Europie. Tej szansy nie wolno zaprzepaszczać, gdyż przeszłość nie może w żaden sposób kłaść się cieniem na przyszłość. Nasza przyszłość zależy od nas, a nie od naszych przodków”. ■ Joachim G. Görlich na łamach *Berliner Morgenpost*: Józef Piłsudski — „mason i członek SDKPiL” — prowadził działalność z „młodym polskim szlachcicem — Feliksem Dzierżyńskim”... ■ Na szczęście honor niemieckich historyków uratował prof. Gotthold Rhode znakomitym, całostronicowym esejem pt. *Naczelnik i pierwszy Marszałek Polski*, zamieszczonym w dzienniku *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (polskie tłumaczenie w zachodniobierlińskim *Poglądzie*, nr 10/1985). ■ Senator Bremy do spraw oświaty, socjaldemokrata Horst-Werner Franke w liście do nauczycieli: „Wielką wagę ma mieć uświadomienie uczniom ostatecznego charakteru ustanowionych po 1945 roku granic wschodnich. Utrata dawnych niemieckich prowincji jest rezultatem rozpoczętej przez Niemcy wojny”. ■ PRL eksportowała w 1984 roku — 2,2 mln ton węgla do RFN. ■ W *Ośrodku Badań nad Europą Wschodnią* w Bremie odbyła się konferencja naukowa, poświęcona polskiej kulturze politycznej i literaturze po 1968 roku. Prelegentami byli: Leonid Luks (Brema), Jerzy Holzer (Warszawa), Witold Wirpsza (Berlin) i Wolfgang Schlott (Brema). Referat Luksa był przejrystą informacją o przedsolidarnościowej prasie katolickiej, ukazującą wachlarz poglądów od *PAX-u* po *ZNAK*. Holzer powtórzył znane z jego książki tezy, dodając nowe przemyślenia i analizy (w zna-

komitej niemieckim!). Wirpsza mówił o niebezpieczeństwie spłaszczenia w poezji *Nowej fali*, wynikającego ze zbyt utylitarnej stosowania hasła „mowy wprost” oraz o konieczności rozwinięcia wielkiej wizji w poezji polskiej. Schlott, analizując ostatnią fazę twórczości Konwickiego, wskazał na *Małą Apokalipsę* jako najwybitniejsze jego dzieło. — Frekwencja była spora (kilku stypendystów z PRL), dyskusja chwilami bardzo ożywiona. Pieczę nad sympozjum sprawował wypróbowany przyjaciel Polaków — prof. Wolfgang Eichwede. ■ Wojciech Jaruzelski we Wrocławiu: „Biturski wieniec hańby — to amerykańskie rozgrzeszenie, a jednocześnie to przepustka, zachęta dla sił reakcji i odwetu. To groźny przykład sprzęgania imperialnych celów Waszyngtonu z wielkogermańskimi aspiracjami w Bonn. (...) Problem niemieckiej mniejszości narodowej w Polsce przestał istnieć ostatecznie. Ten rozdział jest zamknięty na zawsze!” ■ Tegoroczny raport *Urzędu Ochrony Konstytucji RFN* stwierdza, że najbardziej aktywnymi na terenie Republiki Federalnej są agenci z NRD. Po nich w dalszej kolejności: Polacy, Czesi i Rumuni (ci interesują się głównie działalnością kół emigracyjnych). W kolońskiej ambasadzie PRL i w licznych przedstawicielstwach handlowych ok. 50 % zatrudnionych — to agenci wywiadu. Polscy szpiedzy są z reguły wydalani. ■ Wybitny pisarz zachodniemiecki Günter Grass nie otrzymał wizy wjazdowej do PRL (dlaczego? — tego autorowi *Blaszane bębny* nie wyjaśniono). Grass został zaproszony przez *Studencki Klub HY-BRYDY* (Warszawa) na literackie sympozjum poświęcone jego twórczości. Przepuszcza się, że ta odmowa może mieć związek z publicznymi wystąpieniami Grassa w obronie *Solidarności* i przesładowanych działaczy demokratycznej opozycji w Polsce. ■ Dr Karl Dedecius, dyrektor darmsztackiego *Instytutu Literatury Polskiej (Deutsches Polen-Institut)* został odznaczony *Wielkim Krzyżem Zasługi RFN* za wybitne osiągnięcia translatorskie oraz w dziedzinie popularyzacji literatury polskiej w Republice Federalnej. ■ W Warszawie sporządzono akt notarialny fundacji odbudowy żydowskiego cmentarza na Bródnie. Inicjatorem, a zarazem założycielem fundacji jest Zygmunt Nissenbaum z Konstancji nad Jeziorem Bodeńskim. ■ *Wieżowiec* — pod tym tytułem ukazała się pierwsza przełożona w Polsce przez Adę Holony i Magdalenę Kurkowską książka zachodniemieckiej powieściarki Ingeborg Drewitz (*Czytelnik*, Warszawa 1985, str. 207). ■ Wydatki *Spółecznego Funduszu Polskich Oddziałów Wartowniczych przy US Army* za okres od lipca 1946 do marca 1985 roku w tys. DM: opieka nad b. wartownikami — 685 (17,4 %); pomoc wartownikom — 371 (9,4 %); pomoc uczącej się młodzieży — 960 (24,5 %); *Ostatnie Wiadomości* — 1.062 (25,6 %); nagrody i dotacje kulturalne — 120 (3,0 %); oświata i sport — 60 (15,4 %); wydatki administracyjne i inne — 193 (4,7 %). Razem blisko 4 mln DM. *Ostatnie Wiadomości* wydały specjalny numer z okazji 40-tej rocznicy istnienia *Polskich Oddziałów Wartowniczych przy US Army*. ■ *Uniwersytet im. Adama Mickiewicza* w Poznaniu nadał tytuł doktora honoris causa prof. Karlowi Otmarowi baronowi von Aretinowi, wykładowcy na *Politechnice* w Darmsztacie i dyrektorowi (od 1968 r.) *Instytutu Historii Europy* w Moguncji za szczególne zasługi w dziedzinie badań historycznych i popieraniu niemiecko-polskich kontaktów naukowych. ■ Marek Ciesielczyk (Monachium) ogłosił na łamach *Die politische Meinung* (marzec-kwiecień 1985) interesujący artykuł pt. *Der logische Nachfolger. Die leninistischen Wurzeln des Stalinismus (Logiczny następca. Leninowskie korzenie stalinizmu)*. ■ Od przyszłego roku Węgrzy będą mogli dokonywać zakupów za pośrednictwem katalogów w wielkim hawarskim domu wysyłkowym *Quelle*; zakupy będą płatne w węgierskich forintach a nie w twardej walucie zachodniej. ■ Członek kierownictwa zachodniemieckiej partii *Zielonych* — Alli Schmeisser nie otrzymał PRL-owskiej wizy na odwiedzenie b. obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu.

■ *Herder Verlag* we Fryburgu/Br. wydał książkę Josefa Strödera — *Angeklagt wegen Polenfreundschaft. Als Kinderarzt im besetzten Krakau (Oskarżony za przyjaźń z Polakami. Pediatra w okupowanym Krakowie)*. W 1978 roku Ströderowi przyznano tytuł doktora honoris causa *Uniwersytetu Jagiellońskiego*. ■ Wysokość obowiązkowej wymiany dewiz dla obywateli RFN wynosi od 1 maja br. — 36 DM za każdy dzień pobytu w Polsce. ■ *Trybuna Ludu*: „W czasopiśmie wydawanych na Zachodzie, jak paryska *Kultura* i inne, od pewnego czasu pojawiają się elaboraty, które pod hasłami antykomunistycznymi i antyrządowymi, usprawiedliwiają politykę RFN głoszącą rewizjonizm graniczny i zmianę powojennego ładu terytorialno-politycznego w Europie”. (...) W tym samym duchu pojawiło się ostatnio niemieckie wydanie paryskiej „*Kultury*”. Zyskało w RFN wielki poklask reakcjonistów wszelkiej maści”. Stefan Kisielewski napisał niedawno, że Daniel Luliński należy do grona jego ulubionych publicystów...! ■ Od 30 czerwca br. Polacy przyjeżdżający do Berlina Zachodniego będą mogli pozostawać tam najwyżej 30 dni. Po tym okresie muszą albo wystąpić o azyl polityczny, albo wrócić do PRL. Jeśli nie uczynią tego dobrowolnie, to mogą być wydani. Liczba Polaków w tym miesiącu sięga 13 tysięcy (trzecia pod względem liczebności grupa cudzoziemców). ■ W roku bieżącym wyjedzie z Polski na wakacje do NRD (połączone z pracą) 157,5 tys. dzieci i młodzieży. W PRL ma gościć 137,5 tys. dzieci i młodzieży z Wschodnich Niemiec. ■ Federalny minister *Spraw Wewnętrznych* Friedrich Zimmermann (*CSU*) stwierdził, iż rząd federalny dąży do zjednoczenia Niemiec. Przemawiając w Düsseldorfie na zjeździe *Ziomkostwa Prus Wschodnich*, Zimmermann dodał, iż ponownie zjednoczenie jest nierozważalne związane z wolnością wszystkich Niemców i wszystkich Europejczyków: „układy zawarte przez RFN z krajami wschodnioeuropejskimi nie oznaczają, że RFN uznała swoje granice powojenne”. ■ Przeszło stu historyków zachodniemieckich wysłało list do ambasady PRL w Kolonii z protestem przeciwko zwolnieniu z *Polskiej Akademii Nauk* b. doradcy *Solidarności*, znanego polskiego historyka Bronisława Geremka. ■ Na *Cmentarzu Powązkowskim* pojawił się nagle nagrobek z wyrzytym napisem: *Polskim żołnierzom, ofiarom hitlerowskiego faszystwu, spoczywającym na ziemi katyńskiej*. Warszawiacy nazwali reżymowy nagrobek *kłamstwem utrwalonym w kamieniu*. Rząd RFN wystosował do władz PRL oficjalny protest przeciwko umieszczeniu na nagrobku napisu, z którego miałyby wynikać, że masakry na oficerach polskich w Katyniu dokonali Niemcy („napis na obelisku wywołał w Niemczech niezrozumienie i krytykę, jako że stwierdzenia te nie odpowiadają prawdzie historycznej” — oświadczył w *Bundestagu* sekretarz stanu w *Auswärtiges Amt*, Jürgen Möllemann). ■ W NRD stacjonuje 380 tys. sowieckich żołnierzy (20 dywizji); jest to największa obca armia znajdująca się dziś na terenie Europy. ■ Zachodniemiecka firma produkująca obuwie *Salamander* dostarczy w bież. roku do Związku Radzieckiego 8,5 mln par butów (1984 — 7,1 mln). ■ *Instytut im. J. G. Herdera* w Marburgu opublikował pracę zbiorową (Karł C. Thalheim, Karl von Delhaes, Janusz Gościński i Hans-Jürgen Karp) pt. *Wirtschaftsprobleme und Bildungsfragen in der polnischen Reformdiskussion (Problemy ekonomiczne i szkoleniowe w polskiej dyskusji nad reformą)*. ■ Nowy Komitet Główny PPS w Niemczech: przewodniczący — Jacek Kowalski (Augsburg); wiceprzewodniczący: Krystyna Nurkowska (Düsseldorf), Włodzimierz Sznarbachowski (Monachium), Ryszard Możdziej (Hamm/Sieg); sekretarze: Tadeusz Leń (Stuttgart), Edmund Wiśniewski (Norymberga), Franciszek Drzewiński (Monachium); skarbnik: Bogdan Żurek (Monachium). Większość w Komitecie Głównym — 8 osób — stanowią obecnie b. działacze *Solidarności*. ■ Wiersze zachodniobierlińskiej poetki Hedwig Rohde, w tłumaczeniu Marii Kureckiej, ukazały się w miesięczniku *Archipelag* (nr

5/1985). ■ *Wolny Uniwersytet Ukraiński* w Monachium zaprosił Krysytynę Wiśniewską, b. kierowniczkę *Biura Interwencji NSZZ Solidarność* do wygłoszenia odczytu pt. *Biura Interwencji NSZZ Solidarność — jako elementy kontroli społecznej*. Po referacie wywiązała się ożywiona dyskusja, w której wzięli udział Ukraińcy i Polacy. ■ W Berlinie Wschodnim podpisano protokół współpracy między *Radami Krajowymi PRON* i *Frontu Narodowego NRD* na lata 1986-1987. ■ *Nowe salto mortale* Herberta Hupki: „Niemcy nie wysuwają żadnych roszczeń terytorialnych pod adresem Polski, ale podtrzymują pretensje do byłych terenów Rzeszy w jej granicach z 1937 roku, które nie stanowią suwerennej własności PRL”. ■ Hupka sufleruje dalej przez *Der Schlesiera*: Każdy, kto dopuści się jakichkolwiek operacji prawnomajątkowych na ziemi niemieckiej administrowanej przez Polskę musi liczyć się z tym, że pewnego dnia straci z ciężkim trudem zagospodarowaną posiadłość, i to bez jakiegokolwiek prawa do odszkodowania. ■ Co roku do Polski przyjeżdża na polowania ok. 10 tys. myśliwych. Najliczniejszą grupę stanowią Niemcy z RFN (ok. 50%). Jeżdżą tradycyjnie do województw zachodnich i północnych. *Warszawska Polityka*: „Jeśli klienta stać jedynie na mierną sztukę za 600 marek, a podejździ mu pod łufę jeleni, którego wieniec wyceniony zostanie na 30 tys. marek, to strzał może się okazać tragedią nie tylko dla jelenia”. ■ Werner Remmers, szef frakcji *CDU* w *Landtagu* Dolnej Saksonii: „*CDU* zawsze była lepsza w praktyce niż w teorii. Nigdy nie miała pięknych programów, ale zawsze dobrze odnajdywała się w rzeczywistości”. Pod kierownictwem Remmersa przebywała w Polsce z kilkudniową wizytą grupa 50-ciu posłów chadeckich; zwiedzali Katowice, Kraków, Wrocław, Oświęcim i Poznań. ■ Wiceprzewodniczący frakcji *SPD* w *Budestagu*, Jürgen Schmucker, wysunął propozycję, ażeby zrezygnować z zawartego we wstępie do konstytucji nakazu dążenia do zjednoczenia Niemiec. „Nigdy nie zgodzimy się na rewizję tej preambuły” — oświadczył w odpowiedzi kanclerz, Helmut Kohl. ■ Hamburski tygodnik *Der Stern* ogłosił kilka szczegółów z życia Edwarda Gierka: b. I sekretarz *KC PZPR* mieszka nadal w swojej luksusowej willi w Katowicach. Gierek spaceruje ostentacyjnie po ulicach Katowic i często wyjeżdża na wycieczki w Karkonosze swoim samochodem *Peugeot 504*. Był zaproszony na kongres *ZBoWiD*, ale *Komitet Centralny* „odradził” mu wzięcie udziału w tej imprezie. ■ Heinrich Windelen (*CDU*), kierujący w Bonn resortem spraw wewnętrzniemieckich, wezwał rząd PRL do zapewnienia Niemcom zamieszkującym w Polsce praw przysługujących mniejszości narodowej: „przyznanie Niemcom prawa używania języka ojczystego w szkołach oraz prawa do zrzeszania się byłoby poważnym wkładem w dzieło pojednania między obu narodami”. ■ Sporym zainteresowaniem cieszył się wernisaż grafiki i malarstwa Jerzego Ludwika Janiszewskiego w bochumskim *UNI CENTER*. ■ Juliusz (Jull) Dziamski z Laboe k. Kilonii wystawił swoje grafiki, oleje i *collage* w zachodniobermińskiej księgarni i galerii *STODIECK*. ■ W tejże księgarni miał wieczór autorski Adam Zagajewski z okazji wydania przez monachijski *Hanser Verlag* jego powieści *Der dünne Strich* (*Cienka kreska*) w tłumaczeniu Olata Kühla. ■ Powstające w Warszawie *Centrum Zdrowia Matki Polki* otrzymało w darze od firmy *Opton* z RFN nowoczesny cytoskop ginekologiczny o wartości 30 tys. marek. ■ Ku czci zmarłego przed 50 laty Marszałka Józefa Piłsudskiego odprawiono mszę św. w zabytkowym romańskim kościele *Maria im Capitol* w Kolonii. Po mszy jej uczestnicy oglądali starannie przygotowaną przez Anię i Janusza Łątków, właścicieli księgarni *WAWEL* w Kolonii, wystawę związaną tematycznie z osobą Marszałka i jego działalnością. W trakcie trwania ekspozycji odbyło się ponadto spotkanie z redaktorem Tadeuszem Podgórskim (*P.P.S.*), który wygłosił prelekcję na temat sytuacji Polski w kontekście międzynarodowym w 40 lat po układzie jałtańskim. ■ Za-

chodnioniemiecka *TV* wyświetliła po raz drugi film Krzysztofa Zanussiego pt. *Imperatyw* — zrealizowany w 1982 roku w koprodukcji *TV* niemieckiej i szwajcarskiej. ■ Organizacja emigrantów polskich — *Wolność, Demokracja, Solidarność* w Berlinie Zachodnim wraz z *Misją Katolicką* uruchomiła *Bibliotekę Polską* (przewodniczący: Wojciech Gruszecki, Berlepschstr. 132, 1000 Berlin 37). ■ W siedzibie *Austriackiej Akademii Nauk* w Wiedniu odbyła się uroczystość wręczenia tegorocznych nagród im. *Gottfrieda von Herdera*. Po raz pierwszy przyznano nagrodę przedstawicielowi filmu. Otrzymał ją (25 tys. marek) reżyser Andrzej Wajda. ■ *Popiół i diament* Jerzego Andrzejewskiego ukazał się nakładem monachijskiej oficyny *dtv* w wydaniu kieszonkowym. ■ W Nowogardzie k. Szczecina obradowała *PRL-RFN-owska Komisja d/s Podręczników Szkolnych*. Temat: *Polska i Niemcy od dojścia narodowego socjalizmu do końca II wojny światowej*. *Trybuna Ludu*: „Mimo licznych jeszcze kontrowersji (...) uzgodniono wiele istotnych spraw”. Natomiast z dokładnego sprawozdania ogłoszonego we *Frankfurter Allgemeine Zeitung* wynika, że historycy niemieccy poszli na ustępstwa — „rozumiejąc specyficzną sytuację Polski” — i nie naciskali zbyt mocno na zamieszczenie w polskich podręcznikach szkolnych pełnej prawdy o tajnym protokole Ribbentrop-Mołotow z 1939 roku. Dyskutowano natomiast nad mniej istotnymi sformułowaniami: wyrzucenie Niemców po 1945 roku z ich b. terenów wschodnich polscy historycy określali jako *transfer ludności* a niemieccy upierali się (nie wszyscy!) przy *wysiedleniu*.

Andrzej J. CHILECKI

## Kronika litewska

„Kronika Kościoła Katolickiego Litwy” podaje skargi parafian z paru miejscowości, gdzie kościół drewniany został spalony lub oddany do użytku na młyn. Na budowę kaplic nie pozwalano, wobec czego co niedzielę (również zimą) odprawiano msze pod gołym niebem. Ustawiano rodzaj dachu, stół jako ołtarz i prymitywne ławki, ale i to parokrotnie było przez władze zabierane. Czasami udzielano zezwolenia na budowę kościoła i zakup materiałów budowlanych, ale potem zabierano i przekazywano na inny cel. Właściciele prywatnych domów, w których odbywały się nabożeństwa, byli karani grzywną. Emerytowi, który w swojej chacie pozwolił na odprawienie nabożeństwa, odliczano przez 10 miesięcy po 5 rubli z emerytury. ■ Wśród młodzieży niektórzy szukają oparcia w wierze, czy to przez przynależność do kościoła katolickiego, czy też poprzez uznawanie etyki chrześcijańskiej i istnienia Boga, ale są i inni, którzy odnoszą się nieżyczliwie do kościoła katolickiego, twierdząc, że Litwa została ochrzczona albo ogniem i mieczem przez Krzyżaków, albo przez polski kler, który wynarodowił znaczną część narodu. Nawiązują oni do tradycji Litwy pogańskiej, szukając jej śladów w zabytkach, historii, starając się odtworzyć jej system etyczny, którego stosowanie nie jest zresztą obowiązujące. „Bardzo atrakcyjne jest wskrzeszanie dawnych obyczajów i obrzędów. Jest to swoista nostalgia za pogaństwem i idealizowanie tego, co przez mgłę wieków, z oddali wydaje się piękne i tajemnicze”. Ta nostalgia przyczyniła się do spopularyzowania kółek krajoznawczo-etnograficznych, których działalność została przez władze później

ograniczona, jako nacjonalistyczna. Litwa jest ostatnim krajem w Europie, który przyjął chrzest. Jeszcze w początkach XVIII wieku jezuita Żagiel przewodził komisji, badającej przejawy dawnych wierzeń i pogańskich obrzędów. ■ Komisarz do spraw wyznaniowych, Petras Anilionis, zabronił zamieszczenia w dziale informacyjnym kalendarza katolickiego artykułu o 500-leciu błogosławionego Michała Giedroycia. Nie tylko życiorys został skreślony, ale nawet w samym kalendarzu nie można było podać daty, w którym dniu jego święto ma być obchodzone. Postać Michała Giedroycia była na Litwie mało znana, gdyż osiadł on w Krakowie i historycy polskiego Kościoła poświęcili mu liczne prace. Na Litwie bardziej znana była postać Mamerta Giedroycia, pierwszego biskupa żmudzkiego. ■ Tradycyjny obraz Litwy to: ryby, grzyby i wędliny, miód, półgęski, zwierzyna z niezmiernych lasów... Ale wystawa litewska w Warszawie, która ponoć cieszyła się powodzeniem, to telewizory, magnetofony, rowery dziecięce: wędlin i innych przysmaków nie było, bo to idzie do Moskwy, a nie do Warszawy. Litewska Republika wykonuje plan pięcioletni przeciętnie lepiej niż inne republiki. Są tylko pewne niedociągnięcia w budownictwie, głównie przy konstrukcji elektrowni nuklearnej w Ignalinie i hydro-akumulacyjnej w Koszedarach, ale oba te ośrodki stały się rosyjskimi wyspami z racji napływu importowanej siły roboczej. Chociaż rolnictwo jest wydajniejsze niż w Rosji, to jednak Litwa jest krajem wysoko uprzemysłowionym. Dominują trzy działy: maszynowy i obróbki metali (zużycie roczne 700 tys. ton metali), lekki — głównie włókienniczy i trzeci — produktów spożywczych. Tylko przemysł tzw. lokalny nie jest pod dyktando Moskwy i może dowolnie ustalać ceny i plany produkcji. Na 1 stycznia br., przy zaludnieniu 3.572.400 osób, na głowę mieszkańca przypadło z krajowej produkcji około 1000 kg zbóż, 579 kg ziemniaków, 136 kg mięsa i około 800 litrów mleka. ■ Badania demograficzne wykazują, że przyrost naturalny spada, a imigracja wzrasta, więc sytuacja może się zacząć upodabniać do powstałej już w Estonii, bo do tragicznej sytuacji na Łotwie jeszcze daleko. ■ W maju br. zmarł w Stanach Zjednoczonych w wieku 89 lat b. długoletni naczelny wódz armii litewskiej, gen. Stasys Rastikis. Polskim czytelnikom jest on znany z głośnej wizyty w Warszawie, w maju 1939 roku, kiedy to zaręczył, że w razie wojny Litwa sprzeciwi się niemieckim żądaniom zgody na przemarsz wojsk, względnie wspólnego marszu na Wilno. W czasie wojny generał Rastikis odmówił współpracy obu najeźdźcom, mimo że Sowiety miały zakładniczki w postaci dwu jego deportowanych córek. Po wojnie pracował społecznie, prowadził litewskie audycje z Monachium, a później długie lata wykładał w amerykańskiej oficerskiej szkole języków obcych, miał bowiem za sobą rosyjską szkołę oficerską i studia w niemieckiej akademii sztabu generalnego. Pamiętniki generała Rastikisa zostały omówione w *Kulturze* nr 3/137.

E. ŻAGIELL

## Kronika kulturalna

### Nowe tematy i stare motywy\*

(Poezja robotnicza okresu napięć społecznych)

#### a) *Analiza poezji strajkowej grudnia 1970*

Zacznijmy od tego, że nie wszystkie piosenki, które określa się mianem poezji strajkowej roku 1970, powstały właśnie w grudniu podczas strajku. Znaczna część gdańskich wierszy tworzona była prawdopodobnie w parę miesięcy po wydarzeniach 1970, a następnie ulegała licznym przeróbkom. Stąd też w materiale, który poddaję analizie, odnaleźć można kilka wersji jednego utworu, stąd również zaskakujące czasem zakończenie paru piosenek. Strajkowe wiersze weszły po prostu do obiegu folklorystycznego i niejednokrotnie stawały się kanwą utworów pisanych na krótko przed wydarzeniami sierpnia 1980. Jeżeli zatem na podstawie piosenek strajkowych odtworzyć pragniemy świadomość społeczną robotników roku 1970, to trzeba zdać sobie sprawę z tego, iż prawdziwy jej obraz zniekształcać będzie w tym przypadku nie tylko poetycka forma wyrazu, ale i mobilność samych tekstów. Albowiem omawiając po trzynastu latach piosenki poświęcone wydarzeniom grudniowym, nie jesteśmy w stanie dokładnie ustalić czasu i miejsca ich powstania ani środowiska, z jakiego wyrosły i w jakim funkcjonowały. Opierając się zatem na nieobecności anachronizmów i po trosze na własnej intuicji, wybrałam kilkanaście tekstów, które prawdopodobnie tworzone były przez strajkujących robotników gdańskich na przełomie grudnia i stycznia roku 1970 i 1971.

Przeglądając owe gdańskie wiersze można zauważyć, że utrzymane są one przeważnie w poetyce piosenek folklorystycznych. Nie wyklucza to naturalnie równoczesnego wzorowania się na

\* Fragment książki „Poszerzanie wspólnoty”.

poezji rewolucyjnej. Autorzy strajkowych tekstów chętnie odwołują się do pewnych, omówionych w poprzedniej części, starych toposów i motywów funkcjonujących w pieśniach proletariackich. Jednakże rodzajów strajkowej poezji roku 1970 wywodzi się mniej z utworów rewolucyjnych, bardziej z XIX- i XX-wiecznych piosenek wielkomiejskich, pieśni dziadowskich czy piosenek okupacyjnych.

Mogłoby to oznaczać, że twórczość Wybrzeża 1970 służyła nie tyle wyrażaniu nastrojów i uczuć, ale że spełniała również — podobnie jak w XVIII i XIX wieku pieśń nowiniarska — rolę informującą społeczeństwo o ważnych wydarzeniach. Chodziło prawdopodobnie też o to, aby zajścia z roku 1970 uchronić od zapomnienia, aby pamięć o nich mogła kiedyś jeszcze przywrócić robotnikom poczucie siły i ważności. Stąd też piosenki z Wybrzeża — pisane na nutę szlagierów radiowych („Jadą wozy milicyjne” — trzy wersje), pieśni rewolucyjnych („Gdy naród do strajku”), okupacyjnych („Razu pewnego”, „Zakazane piosenki z Wybrzeża”), religijnych („Grudniowa kołęda Wybrzeża”, „Gomułka skarga wielkopostna”) — są w większości dokładną relacją z wydarzeń, wierszowanym pamiętnikiem stoczniovców. Tak jak gros piosenek folklorystycznych, wiersze gdańskie trzymają się głównie realiów, a ich najmocniejszą stroną jest autentyzm.

W pierwszym rządzie utwory strajkowe prezentują więc fakty. Anonimowi autorzy opowiadają o obradach w Warszawie, podwyżkach cen, wybuchu strajku, czołgach na ulicach miast, strzelaninie, wprowadzeniu godziny milicyjnej, telewizyjnym przemówieniu Kociółka, masakrze w Gdyni, w końcu o zmianach w rządzie:

#### ZAKAZANE PIOSENKI Z WYBRZEŻA

Postuchajcie ludzie naszej opowieści  
Co my wam opowiem w głowie się nie mieści  
Zaczęło się w Gdańsku roku pamiętnego  
Milicja z pałkami do ludu biednego  
Wyszła na ulicę bijąc brata swego  
Za słuszne żądania o byt dobry jego

I tak się zaczęły masakra i mordy  
Walczył o swe prawa stoczniovec bezbronny  
Poszła delegacja do KW z postulatami  
A lud nadaremnie czekał za delegatami  
Bo w KW zamknięci w ciupach już siedzieli  
Lud chcąc ich wybawić musiał płomień wzniecić

Lecą pałki lecą razem z petardami  
Jadą transportery razem z zandarmami  
Wjechali do Gdańska ulice obstawili  
I godzinę policyjną w mieście ogłosili

Kociółek w telewizji do pracy namawiał  
A gdy w czwartek poszli lufy w nich wystawił  
Rzeź wielka tam była Gdynia się broniła  
Czołgi przyjechały do ludu strzelały  
Stoczniovcy z Wybrzeża początek zrobili  
Gomułkę zwalili Gierka posadzili

Nie pomogły czołgi ni helikoptery  
Lud kacykom kazał odejść do cholery  
Lecz na tym nie koniec naszej opowieści  
Po wizycie u Gierka oczekujem wieści

Informacje o grudniu, jakie otrzymuje czytelnik piosenek strajkowych, nie zawsze są ścisłe i dokładne. Zdarzają się pomyłki faktograficzne czy przesunięcia w chronologii. Trudno przy tym rozstrzygnąć, czy owe nieścisłości wynikają z subiektywnej oceny rzeczywistości, czy też związane są z późniejszymi folklorystycznymi losami owych piosenek.

Analizę świadomości zacznijmy od przedstawienia przyczyn, jakie w pojęciu anonimowych autorów piosenek strajkowych doprowadziły Polskę do kryzysu gospodarczego. Robotniczy twórcy nie sięgają do głębszych uwarunkowań ekonomicznych, lecz zauważają tylko najbardziej zewnętrzne przejawy: braki na rynku, drożyznę czy niskie zarobki. Najwięcej w tych piosenkach mówi się o głodzie. Głód staje się jedną z zasadniczych, jeśli nie główną przyczyną wystąpień. Pełny brzuch i suto zastawiony stół symbolizują przy tym „dobry byt”, „dobre życie”, o które przecież przede wszystkim toczy się walka, toteż uliczni autorzy piszą głównie o braku jedzenia:

Gomułka wszystko co zechce ma  
A nam biedakom kto chleba da,  
Bo my już wiemy, co to jest głód (...)  
(„Grudniowe chmury”)

Już na przykładzie cytowanego fragmentu widać, iż głód funkcjonuje w tekstach strajkowych bardziej jako figura stylistyczna, niż jako jeden z dotkliwszych przejawów robotniczego życia.

Gdybyśmy porównali wiersze strajkowe z XIX-wiecznymi utworami robotniczymi, to okazałoby się, że gdańscy autorzy posługują się w stosunku do siebie podobnymi określeniami jak anonimowi rewolucjoniści sprzed wieku. Zarówno w jednych, jak w drugich tekstach robotnicy przedstawieni są jako biedni, głodni, wynędzniali, pozbawieni kawałka chleba. Zarówno w jednych, jak w drugich utworach „głód” funkcjonuje jako wyznacznik statusu społecznego, jako element charakteryzujący robotni-



ków, wyróżniający ich z ogółu społeczeństwa, w końcu jako jeden z zasadniczych punktów oskarżenia wysuwanego pod adresem tych, którzy rządzą światem. W pieśniach XIX-wiecznych winni są posiadacze, burżuje, panowie. W poezji roku 1970 robotników głodzi natomiast władza. Wspaniałe hasła i socjalistyczne idee, którymi szermuje rząd, nikogo nie nakarmią, a więc wywołać mogą tylko kpinę:

Czyż nie ważniejsze są idee klasy  
Od salcesonów, szynek i kiełbasy

(„Gomułki skarga wielkopostna”)

Nie jest jednak całkiem tak, aby walka robotników gdańskich prowadzona była wyłącznie w imię kawałka mięsa. Ów symboliczny chleb, stale obecny w strajkowych piosenkach, oznacza nie tylko pełny żołądek robotnika, ale staje się — podobnie jak w XIX-wiecznej poezji robotniczej — również wyznacznikiem dobrobytu, równości i sprawiedliwości. Albowiem robotnicy nie domagają się tego chleba za darmo, lecz ma on być uczciwą zapłatą za rzetelną pracę, podejmowaną po to, by w Polsce nigdy nie było głodu i aby można było zapewnić byt przyszłym pokoleniom.

W tym miejscu w analizowanych tekstach pojawia się pytanie, dlaczego — mimo robotniczych wysiłków — zapanowały bieda, niesprawiedliwość i bezprawie. Anonimowi autorzy tłumaczą to tak, jak prawdopodobnie tłumaczyła to sobie wtedy duża część społeczeństwa, zrzucając winę na konkretny rząd, partię i prowadzoną przez nie politykę. Rząd jest więc kłamliwy, oszukał robotników obiecując im wolność, równość, prawo i dobrobyt, a partia jest tylko „pseudorobotnicza” i zamiast liczyć się z głosem ludu, liczy się z opinią Moskwy.

W tekstach piosenek nader często podkreśla się uzależnienie od Związku Sowieckiego, w tym głównie upatrując przyczynę katastrofy gospodarczej — bowiem twórcy ballad gdańskich olbrzymią wagę przywiązują do wysyłania do ZSSR żywności. Wystarczy więc tylko „Przestać wysyłać zboże na wschód”, a nadejdą lepsze czasy.

Postulaty obniżenia cen żywności, zapewnienia dobrego poziomu konsumpcji — to zasadnicze żądania robotnicze. Jednakże obok nich pojawia się niekiedy słowo „wolność”:

Nie płaczcie matki, to nie na darmo  
Nad stocznia sztafardą z czarną kokardą  
Za chleb i wolność i nową Polskę  
Janek Wiśniewski padł.

(„Pieśń o Janku z Gdyni”)

Niech sobie przypomni co mówił kiedyś  
Ze nigdy w Polsce nie będzie biedy  
Ze będzie wolność, równość i prawo  
My za tę gadkę płacimy krwawo

(„Grudniowe chmury”)

Nie sposób rozstrzygnąć na podstawie kilku przypadków, jak owa wolność jest rozumiana: czy robotniczym autorom chodzi o swobodne wypowiedanie się, czy też na przykład o uniezależnienie gospodarcze od ZSSR. Trudno też ocenić, na jakiej zasadzie pojawia się to pojęcie w poezji strajkowej. Może jest tylko czysto dźwiękowym nawiązaniem do hasła „wolność, równość, braterstwo”?

W każdym razie, gdy trzeba wyłuszczyć przyczyny robotniczych wystąpień, będące równocześnie żądaniem na przyszłość, w tekstach piosenek współistnieją obok siebie sprawy konkretne, bytowe, na teraz, z postulatami ogólniejszymi i niekiedy treściami zasadniczymi:

By wybrzeże nasze polskie  
Nie okradał inny kraj  
By nam żywność potaniała  
I robotnik słowo miał  
By zbyteczne były strajki  
I w Szczecinie spokój trwał.

(„Dziś do Ciebie”)

A więc dostatek, spokój, zapewniony byt i ewentualnie wolność — to pragnienia polskiego robotnika z roku 1970.

Wszystko to może być spełnione pod warunkiem zmiany ekipy rządzącej, pod warunkiem wymiany konkretnych ludzi. Anonimowi autorzy piosenek nie oszczędzają Gomułki, Cyrankiewicza, Kociołka, Kępy czy Moczara. Cyrankiewicza nazywają „łysym bykiem”, Gomułkę zaś „starym niecnotą” i poświęcają mu całą piosenkę („Gomułki skarga wielkopostna”). W utworach strajkowych pojawia się zatem typowy dla tekstów folklorystycznych proces odsuwania i wyłączenia spoza własnego obszaru tych ludzi, których uważa się za wrogów — obcych. Odsuwanie to następuje — podobnie jak w piosenkach okupacyjnych — poprzez ośmieszanie, karykaturowanie czy spotwarzanie tak zwanego wroga. Równocześnie sprawujących władzę obarcza się jednak winą za wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na robotników. Wytyka się im więc samowolę, nieliczenie się ze społeczeństwem, niespełnianie dawanych obietnic:

Zapomnieli moiżni, że z ludu pochodzą  
Zagarnęli władzę i ludowi szkodzą

Trują, wyzyskują i wciąż obiecują  
Ludzi nie szanują niech więc ustępują  
(„Grudniowa kolęda Wybrzeża”)

Najsilniej oburza jednak decyzja użycia broni przeciwko bezbronnemu tłumowi. O krwi, która się wtedy polała, piszą więc anonimowi poeci równie często, jak o głodzie. Krwawe staje się wszystko, co dotyczy robotników. To oni mają „skrwawione serca” i „krwawo płacą” za hasła, które propagowała władza. Podobnie jak w XIX-wiecznej poezji rewolucyjnej, krwawa ofiara uświęca więc robotniczy protest, czyni go słusznym i sprawiedliwym. Świadomość nierównej walki prowokuje natomiast do nazywania odpowiedzialnych za wydanie rozkazu strzelania do robotników „ludobójcami”, „bandytami”, „katami”, „łajdakami”, a nawet skłania do porównań z oprawcami gestapowskimi:

Na dyskusje wtedy z ludem przyszedł czas  
Katowali, mordowali raz po raz  
Za tortury wnet się wzięli  
Gestapowców prześcignęli  
(„Jadą wozy ciężarowe...”)

Niechęć do władzy, wyrażająca się poprzez użycie cytowanych epitetów, przez wykpiwanie oraz przez domaganie się jej ustąpienia, nie dorównuje jednak autentycznej nienawiści, jaką darzą anonimowi autorzy specjalne oddziały milicji, skierowane do stłumienia protestu. „Pałkarze”, „gliniarze”, jak się ich nazywa, przedstawieni są jako bezmyślne stado, wysługujące się „bandytom” z góry. Oburzenie anonimowych autorów jest tym silniejsze, że milicjanci są przecież Polakami i strzelając do robotników, godzą się na bratobójczą walkę:

Strzelali Niemcy za okupacji  
Do bezbronnego Polaka  
A dzisiaj strzela Polak — milicjant  
Do robotnika — rodaka  
(„Razu pewnego”)

Stąd też — w oczach ulicznych poetów — „gliniarzy” nic już nie może usprawiedliwić, a każda zaznaczona w tekście porażka milicji w starciu z robotnikami wywołuje nieklamana radość i satysfakcję, oraz budzić winna otuchę odbiorcy. Przy tym anonimowi autorzy z góry zakładają, że zarówno władza, jak i „pałkarze” są od nich gorsi, a więc po prostu nie mogą zwyciężyć. Podobnie jak w piosenkach okupacyjnych, w tekstach strajkowych z roku 1970 pojawia się więc przekonanie o własnej sile i niczym nie motywowane poczucie własnej przewagi. Właśnie owa

pewność ostatecznego zwycięstwa każe im składać propozycje typu:

Hej, gliniarze, jeśli takie życie miłe  
To spierdalaj do kurewki i łap kiłę  
(„Jadą wozy kolorowe... 2”)

Twórcy z Wybrzeża traktują milicję jako bezpośredniego wroga społeczeństwa, wroga nasłanego i sterowanego „z góry”. Winą za taki stan rzeczy obarczają naturalnie władzę, która „powołała” i „przez ćwierćwiecze sama wychowała” swoje zbrojne ramię, lecz ten fakt nie umniejsza winy „pałkarzy”.

W sytuacji konfliktu i walki sięga się po dychotomiczną wizję struktury społecznej i świata. Tak więc po jednej stronie barykady anonimowi poeci umieszczają przedstawicieli partii i rządu oraz ich „najmitów”, po drugiej natomiast — sprawiedliwych, a więc robotników, „lud”, „lud pracy”, „brać roboczą”, „lud biedny”, a w końcu cały naród. W tekstach z 1970 roku pojawia się więc również stara, wykorzystywana często w poezji rewolucyjnej antynomia: „lud — tyrany”. Obok określeń typu: „bandyci”, „mordercy”, które odnoszą się wymiennie już to do Gomułki, Cyrankiewicza czy Kociołka, już to do milicjantów, odnajdziemy w gdańskich piosenkach epitety zarezerwowane tylko dla partyjnej góry: „możni”, „burżuje”, „panowie”. Oczywiście w ślad za tym pojawiają się obrazy tych, którzy mają wszystko i spaśli się na robotniczym trudzie, skontrastowane z wizjami biednych, głodujących i uciemiężonych.

Trudno rozstrzygnąć, w jakim stopniu podejmowanie motywu krwi i głodu czy wykorzystywanie antynomii „lud — tyrany” ma w poezji strajkowej charakter świadomy, a w jakim tylko automatyczny. W zasadzie tylko jedna piosenka: „Gdy naród do strajku”, będąca po prostu przeróbką pieśni Ehrenberga, odwołuje się wprost do repertuaru rewolucyjnego. Sądzić by zatem należało, że pewne toposy, symbole, obrazy i wyrażenia, pojawiające się w XIX-wiecznej poezji proletariackiej, okazały się na tyle wyraziste a równocześnie łatwe w percepcji, iż poprzez utwory Broniewskiego zdołały zakorzenić się w świadomości społecznej. Określone słowa wywołują u robotniczych poetów utrwalane łańcuchy skojarzeń, a sytuację walki strajkowej przedstawiają oni w taki sam sposób, w jaki prezentowana była walka klasowa w poezji XIX-wiecznej.

Dychotomiczną, prostą wizję struktury społecznej narusza nieco stosunek anonimowych autorów do polskich żołnierzy. Z jednej strony trudno robotniczym twórcom zaliczać wojsko do wrogów ludu, z drugiej — nie sposób włączyć żołnierzy w poczet robotniczych obrońców. W pojęciu samorodnych poetów Wy-

brzeża armia została „oszukana” przez władzę, tak samo zresztą jak reszta społeczeństwa. „Czerwoni burżuje zakpili z żołnierza”, starając się przeciwstawić wojsko bezbronnemu tłumowi. Obecność na ulicach Trójmiasta czołgów i transporterów wojskowych wywołuje nienawiść — ale tylko do sponsorów. Autorzy piosenek rozgrzeszają żołnierzy traktując ich jako „swojaków”.

Oczywiście sprawa byłaby prostsza, gdyby oblegające Wybrzeże wojsko było „obce”. W piosenkach gdańskich pojawia się więc niekiedy mylna informacja, iż to sowieccy żołnierze wezwani zostali przez partię na pomoc. Bierze się to stąd, iż anonimowym twórcom trudno pogodzić się z faktem, iż doszło do rozlewu bratniej krwi, starają się więc za wszelką cenę oddzielić „obcych” od „swoich”. Wrogiem ludu nie może być bowiem swój, Polak, lecz tylko obcy, bądź uznany za takiego przez strajkującą społeczność. Następuje więc próba przeniesienia w sytuację z roku 1970 — modelu okupacyjnego, wyznaczającego jasne i wyraziste przedziały.

I może dlatego anonimowi autorzy tak często podkreślają uzależnienie polskiej władzy od Moskwy. Jest to mianowicie jedyna możliwość potraktowania władzy jako narzuconej, obcej, a więc wrogiej ludowi. Tej samej operacji dokonuje się w odniesieniu do milicji, natomiast wiara w armię polską, darzoną w polskim społeczeństwie sympatią i szacunkiem, nie pozwala traktować żołnierzy na równi z pogardzanymi „pałkarzami”. Dodać należy, iż żołnierze polscy faktycznie nie uczestniczyli w bezpośrednich starciach z robotnikami w grudniu 1970. Z wojskiem wiąże się więc pewne nadzieje.

Podobne nadzieje budzi powołanie na stanowisko I sekretarza Edwarda Gierka. W niektórych piosenkach przedstawiony jest on wręcz jako mąż opatrnościowy, uzdrowiciel gospodarki, człowiek, który zdolny jest prawie dokonać cudu:

Aż wreszcie w Polsce jest radość wielka  
Bo mamy w rządzie Edwarda Gierka  
Bo on na pewno dziękuje Bogu  
Że nigdy w Polsce nie będzie głodu

(„Grudniowe chmury”)

Choć nie zawsze postać nowego sekretarza budzi taki entuzjazm, to i w tych kontekstach traktuje się go inaczej niż poprzednią władzę, bez kpiny, poważnie. Jego zdanie się liczy:

Mowę wygłosił rzeczową  
Damy wam chleba w miarę możliwości  
Niech robotnicy pomogą

(„Razu pewnego...” — 1 wersja zakończenia)

W niektórych wierszach, których czas powstania trudno ustalić, anonimowi autorzy nie tyle wierzą, ile chcą wierzyć obietnicom Gierka, bo w ich pojęciu nie ma innego wyjścia. Nikt przecież nie pragnie dalszej walki, pozostaje więc jedynie nadzieja, że nowy sekretarz zapewni dobrobyt i spokój.

Toteż pojawia się niekiedy przekonanie, że to sami robotnicy chcieli tej zmiany, że ich zasługą jest obalenie Gomułki i powołanie Gierka, że od początku nie chodziło przecież o nic innego niż o nowy skład rządu:

Jadą wozy kolorowe z gliniarzami  
Hej, stoczniovcy atakować kamieniami  
Może kamień spadając coś odmieni  
Trza Gomułkę wypierniczyć i rząd zmienić  
(„Jadą wozy kolorowe... 2”)

Ta wiara w odmiennego sekretarza, który staje się symbolem jasnej przyszłości, jest robotnikom potrzebna, a więc decydują się ponownie zaufać. Pewne obawy budzić może tylko otoczenie Gierka, winne przecież rozlewowi krwi na Wybrzeżu:

Gierek być może człowiek jest mądry  
I zdolny dokonać cudu  
Ale ci co wraz z nim rządzą  
Kazali strzelać do ludu

Kociółek z łysym, katy Trójmiasta  
Ubek, co chciałby być panem  
I wielu innych chciałoby teraz  
Krew z dłoni obetrzeć sianem

Póki więc rządzą owe łajdaki  
Nie bądź Polaku beztroski  
Bądź czujna braci proletariacka  
Rób w razie czego strajk włoski.

(„Razu pewnego...” — 2 wersja zakończenia)

Jak widać z przytoczonego przed chwilą tekstu, robotnicy nie czują się całkiem bezbronni, mogą zawsze zastrajkować, poznali własną siłę. Nie pomogły ani czołgi, ani pałki, ani gaz — władzy nie udało się zastraszyć ludzi ani ich załamać. Jeśliby się nawet okazało, że Gierek nie spełni robotniczych oczekiwań, to „nie zdoła wypicować znowu nas”. Wystarczy tylko być czujnym i w razie czego znowu zastrajkować.

Autorzy anonimowych piosenek dalecy są więc od przedstawienia własnego pozytywnego programu na przyszłość. Ma być po prostu dobrze, a o to, w jaki sposób zapewnić dobrobyt, martwić powinna się nowa władza, która przecież w tym celu została powołana. Jeśli będzie trzeba, robotnicy naturalnie po-

mogą, ale w zasadzie ich rola ograniczać się będzie do oceny poczynań rządu i partii. Nie czują się natomiast powołani do rządzenia krajem, nie pragną przejęcia władzy. Stąd też nie widzą innych możliwości, niż — przy zachowaniu środków ostrożności — zaufać nowemu kierownictwu. Wiara w przyszłość opiera się więc głównie na przekonaniu, że teraz musi być dobrze, a wzmacnia ją świadomość wygranej.

Toteż uliczne piosenki z Wybrzeża, będąc relacją z krwawych starć, przecież przepojone są optymizmem, radością i triumfem:

Nie pomogły czołgi ni helikoptery  
Lud kacykom kazał odejść do cholery  
Lecz na tym nie koniec naszej opowieści  
Po wizycie u Gierka oczekujem wieści

(„Zakazane piosenki z Wybrzeża”)

Nie pomogły czołgi ni helikoptery  
Ludobójców naród wysłał do cholery  
Niech idą do piekła durniów klika wściekła  
Hej kołęda, kołęda.

Dzisiaj ludzie pracy kołędy śpiewają  
Męstwo tych z Wybrzeża dumnie wystawiają  
Pałkarzy rozbili i KW spalili  
Hej kołęda, kołęda.

Nie straszne Polakom czołgi ani pałki  
Zbędne są Gomułki, Kociółki, Koszałki  
Ludzi nie szanują więc niech ustępują  
Hej kołęda, kołęda.

Nie ma już Gomułki i Cyrankiewicza  
Może będzie lepiej za Jaroszewicza  
Gierek niech pomoże, daj mu Panie Boże  
Hej kołęda, kołęda.

(„Grudniowa kołęda Wybrzeża 1970”)

Radość wzbudza przy tym nie tylko zmiana na stanowisku I sekretarza, którą traktuje się w kategoriach zwycięstwa, ale przede wszystkim świadomość własnej siły oraz odkryty na nowo fakt, że polscy robotnicy mają prawo rozliczać władzę. Prawo to daje im, według anonimowych twórców, „ucisk, niedola — kacyków swawola”, głód i niespełnianie obietnic, a teraz dodatkowo przelana krew. Krwawa ofiara jest przy tym czasem ważniejsza, niż udział robotników w tworzeniu dóbr. I chociaż uliczni autorzy często używają w odniesieniu do strajkujących określenia „ludzie pracy”, to nie tyle uczciwa i rzetelna praca dla dobra kraju jest w ich przekonaniu wystarczającą podstawą do przeprowadzenia obrachunku z rządami, ile cierpienie.

Zatem w pojęciu anonimowych twórców strajkowych robotnik to ten, kto cierpi głód, niedolę, tkwi w „krwawej niewoli”, ale zdolny jest do buntu. Robotnika nie można oszukać, załamać ani zastraszyć, tak jak na przykład studentów:

Ala robotnik, nie tak jak student  
Pałki się wcale nie boi

(„Razu pewnego”)

Ta świadomość wyzwala nie tylko poczucie ważności, siły, ale i dumy. Padają słowa o odwadze i bohaterstwie, jaką odznaczają się strajkujący, których raz nazywa się „roboczą bracią”, „robotycznymi masami”, „bracią proletariacką”, a innym razem tylko stoczniovcami. W niektórych tekstach autorzy starają się więc wprowadzić jeszcze dodatkowe rozróżnienie wśród robotników, podkreślić, że to przecież „chłopcy z Wybrzeża”, „znad Bałtyku” wystąpili z żądaniami, „Gomułkę zwalili, Gierka posadzili”. Potem naturalnie ruszył cały lud, ale pierwszeństwo należy przyznać stoczniovcom. To pojawiające się poczucie odrębności warstwowej zupełnie nie przeszkadza postrzeganiu siebie jako należących do narodu, jako Polaków. Lud, masy, stoczniovcy, ludzie pracy, naród — te pojęcia pojawiają się w tekstach strajkowych wymieniane. Trudno zatem stwierdzić, jak robotniczy autorzy postrzegają siebie i w jaki sposób określają swoje miejsce w społeczeństwie. Tylko w jednym tekście sytuacja strajkowa skojarzyła się anonimowemu twórcy z wcześniejszymi robotniczymi wystąpieniami. Nie można jednak tylko na tej podstawie mówić o odczuwaniu przez strajkujących ciągłości walki:

Już brać robocza ze sztandarami  
Pochodem w miasto ruszyła

Sztandary nieśli jak w piątym roku  
Proletariackie, czerwone  
Śpiewali pieśni rewolucyjne  
Przez władzę nam dozwolone

(„Razu pewnego”)

Kłopoty z określeniem własnej tożsamości powodują, iż sprawa, o którą się walczy, w imię której podejmuje się strajk, staje się też nie do końca jasna. Z jednej strony „ludzie Wybrzeża” występują w obronie własnych interesów, z drugiej — walczą przecież o chleb dla całego narodu. W piosence „O Janku z Gdyni” mówi się wręcz o „nowej Polsce”. Może być to jednak efektem późniejszych przeróbek, jakim podlegał tekst. Nie wyciągając zatem przedwczesnych wniosków, przyjrzyjmy się teraz poezji strajkowej roku 1980.

b) *Analiza poezji strajkowej sierpnia 1980*

Wspomniałam już na wstępie, że poezja środowiskowa wyrosła najczęściej z negacji. Negowała poezja roku 1970 i nie jest od tego wolna również twórczość gdańskich robotników roku 1980, przeciwstawiających się zakłamaniu, obłudzie, mydleniu oczu. Nie jest to jednak wyłącznie negacja, jak by chciał tego Tadeusz Skutnik<sup>1</sup>. Niechęć, a nawet momentami nienawiść, obraca się przeciwko konkretnym ludziom, którzy doprowadzili kraj do katastrofy. Kim są ci ludzie? — Wskazanie ich i nazwanie jest — tak jak w przypadku twórczości roku 1970 — sprawą pierwszorzędnej wagi, bo właśnie „poprzez nazwę można unieszkodliwić — jak pisał Jerzy Świąch w „Okupacji i stereotypach” — rozbroić przeciwnika, wprowadzić w obręb własnego świata, zmniejszyć dystans przez ponizienie i wyśmianie”<sup>2</sup>.

W gdańskiej poezji 1980 roku pojawia się najczęściej ogólne pojęcie „oni”. „Oni” — to „rząd”, „ministrowie”, „cwaniaki”, „pajace”, „panowie”, „zdrajcy”, „władza”, „ci z góry”, „krwio-pijce”. Chętnie sięgają gdańscy twórcy po konkretne nazwiska. Do „nich” należy teraz Gierek, Pyka, Edward Mały (Babiuch), jak również Jagielski, który chciałby „oszukać” robotników. Postać byłego pierwszego sekretarza zajmuje naturalnie poczesne miejsce. Mówi się o nim dobrotliwie „Edzio”, pokazuje w zaciszu domowym. „Edward Duży” w KC „piszczący” i „zawodzi”, boi się o swoją posadę. Kiedyś był „groźny” i „ponury”, teraz trzęsie się ze strachu przed robotnikami. Poprzez skarykaturowanie i spotwarzenie odbiera się ongiś szanowanemu sekretarzowi pole jego dawnych działań. Gierek usunięty ze świata robotniczego przestaje być groźny, jest tylko przedmiotem kpin:

## MAŁŻEŃSKA ROZMOWA

Mówi Edzio do swej Stasi

— Co za czasy, co za czasy

Co za czasy co za bieda

Stoczni nam się uwieść nie da

E. — Nie skutkują obiecanki

S. — Czy zmądrzeli te baranki?

E. — Nie skutkują nasze czary

S. — Nie do wiary, nie do wiary.

1. Por. Skutnik T., „Śmiech, litość i trwoga”, *Punkt*, 1980, nr 12, str. 133.

2. Świąch J., „Okupacja i stereotypy”, Lublin 1977, str. 9 i 16.

E. — Marzą im się Związki wolne

S. — To są myśli zbyt frywolne

E. — Chcą też mieć nowego Bace

Czy posadę swą utracę?

S. — Nie martw się mój mężu miły

Kraju jeszcze nie zbudzili

A jak zbudzą, zbierzemy manatki

I zwiejemy wprost do Tatki

Z. Jar, Gdańsk, 29.08.1980

Ale Gierek to jeszcze jeden z „nich”. Plastyczny obraz „tych z góry” został nakreślony w wierszu Czyża:

Garnitur spod igły, krawacik w paseczki

Rumiane buziaczki i skórzane teczki (...)

Mina nieprzystępna, oczy wierne szare

Konta wolne w banku i tupet nad miarę (...)

Zasłaniają oczy rękami brudnymi

Brudnymi od kłamstwa, z lenistwa grubymi

No i bez odeisków, gładkimi, białymi.

(„Garnitur spod igły”)

Takie wyobrażenie władzy ma charakter zdroworoządkowy, a nawet stereotypowy. Dobrze odżywiony i ubrany, gruby i bogaty, leniwy i zakłamaný — to wypisz wymaluj portret pana feudalnego, znęcającego się nad chłopami, plebana okradającego wiernych czy fabrykanta, obcinającego robotnikom płacę. Od niepamiętnych czasów w literaturze polskiej (i nie tylko) krwio-pijca był rumiany, tłuściutki, uśmiechnięty, z rękami wypielęgnowanymi, ale „brudnymi od kłamstwa”.

Mimo, że wizerunek „tych z góry” trąci tradycjonalizmem, to jest owa konwencjonalizacja pożądana, a nawet konieczna: ułatwia bowiem komunikację nadawcy z odbiorcą, pozwala odwołać się do wiedzy już posiadanej, wzmacnia idiosynkrazję<sup>3</sup>. W twórczości strajkowej władza traktowana jest więc podobnie jak car w poezji niepodległościowej, kapitalista w wierszach rewolucyjnych czy Niemiec w utworach okupacyjnych — jak wróg, tyran, obcy. Tylko nieliczni autorzy zdają sobie sprawę, że ludzie zasiadający w rządzie to też Polacy, że „nasi gnębią nas” („Ballada stoczniowa”), że są „wśród nas bracia, którzy pragną zguby Ojczyzny” („Wołanie ludu”). W przeważającej liczbie wypadków występują jednak, jak już zostało powiedziane,

3. Tamże, str. 6 i 29. Podobny jest zresztą mechanizm konstruowania postaci Niemca w poezji okupacyjnej.

mniej lub bardziej skonkretyzowani „oni”, którzy sprowadzili na Polskę zło.

„Oni” nie muszą pojawiać się we wszystkich utworach. Wystarczy, że anonimowy autor pokaże skutki „ich” działalności. I tak czytelnik wie doskonale, o kogo chodzi. A skutki, jakich doświadczono, to „tumanienie” i „okłamywanie ludzi”, „zatarcie w nicość haseł naszych dziadów”, „nędza”, „puste haki w sklepach”, „represje”, „cierpienia”, „upodlenie”, „troska i ból”, „sieć zmarszczek wyrytych na twarzach i rękach / oczy spopielałe w codziennych udrękach”.

Skutkiem bezpośrednim jest również strajk, którego nikt nie chciał i nadal nie chce. „Jak ten strajk długo trwa (...). Niech pomyśla, ile to kosztuje nas” („My stoczniowcy i portowcy...”) — pisze jeden z gdańskich poetów.

Pokazanie zła, jakie ściągnęły na kraj nieudolne rządy, oraz wskazanie ludzi, którzy doprowadzili do katastrofy, nie wystarczy, by przeprowadzić dokładne rozgraniczenie między „nimi” a „nami”. A wyznaczenie dokładnej granicy jest konieczne. Po pierwsze po to, aby — jak podkreślał w pracy „Struktura klasowa w społecznej świadomości” Ossowski — zdać sobie sprawę z własnej mocy. I po drugie po to, aby sprecyzować wartości naczelne, które dana społeczność uważa za zagrożone. Robotnicy twórcy musieli więc znaleźć definicję na samych siebie, szukać samookreślenia.

Kim są więc ci, którzy negują? — To „my stoczniowcy gdańskiej ziemi”, „robotnicy”, „lud”, „masy”, „ludzie”, „naród”, „bracia Polacy”, „mądrzy ludzie”, „stoczniowa brać”, „robotnicy polscy”, „zjednoczona brać”, „my stoczniowcy i portowcy”, „ludzie, którzy poczuli, że są wreszcie teraz u siebie”.

Poecie folkloru dostępna jest przede wszystkim perspektywa „prywatna”. Jego świat, to świat małej społeczności, gromady, rodziny. Opiera się on na prostych, niewzruszonych zasadach. Najcenniejszymi wartościami są ład, zgoda, przyjaźń, miłość. Wszystko, co wtargnie do tego mikrokosmosu, odbierane jest jako obce, wrogie, bowiem prowadzi do pogwałcenia osobistych więzi. Postawa „lokalna” łączy się przy tym najczęściej z głębokim przekonaniem, iż „my” jesteśmy lepsi, a więc do nas należy przyszłość. W poezji strajkowej jednak postawa taka jest ledwo zauważalna. Tylko w paru utworach, m.in. w: „Ewie — mojej dwunastoletniej córce” czy „Nie wiem, kiedy cię zobaczę” walka wtargnęła w sferę prywatną, zniszczyła spokój naszych bliskich i nas samych. W przeważającej jednak liczbie przypadków świadomość „prywatna” wyparta bywa przez poczucie przynależności do określonej grupy zawodowej, do określonej społeczności. Ro-

botnicy świadomi są swojego posłannictwa, czują się odpowiedzialni za los całego kraju:

Musimy wygrać, wygrać tym razem  
Bo taką drogą iść nie możemy  
By stracić Polskę,  
Tego nie chcemy.

(„Zobaczcie! coś się wkoło dzieje...”)

My chcemy wiedzieć prawdę  
Ocalić kraj od zagłady

(„Uważajcie panowie”)

Ujmie w ręce robotnik ster władzy  
By oblicze odmienił ten świat,  
By nie było i fałszu i zdrady  
By każdemu był każdy jak brat.  
Żeby trud robotnika ceniono  
Jego ręce podnoszą wzwych Kraj,  
Do wspólnego wysiłku i pracy  
Dłoń pomocną dziś bracie nam daj!

(„Pieśń Wolnych Związków”)

Nie rezygnujmy więc  
Choćby lała się krew  
Twardo stać musimy  
Wtedy zwyciężymy  
Ojczyźnie nas trzeba.

(„Oka’ roku 80-tego”)

Wolna ojczyzna, demokracja, sprawiedliwość, prawda, dobro — to najwyższe wartości. Nasz kraj musi być „kwitnący i bogaty” i to „my stoczniowcy stworzymy ojczyznę naszą”, „Dźwigniemy kraj z ruiny” („I postawimy im pomnik”). Nadzieja na przyszłość i pewność wygranej wynika tu nie tylko z głębokiego przeświadczenia, że my robotnicy jesteśmy lepsi, że cierpimy i głodujemy, ale także stąd, że walka toczy się o słuszną sprawę, o ideały zaprzepaszczone, wartości centralne:

Prześciancie dzielić nas i skłócać  
Rozdzielać punkty, przywileje  
Przemilczać niewygodne fakty  
Fałszować historyczne dzieje

Przywróćcie wartość wielu słowom  
By już nie były pustymi słowami  
By żyć z godnością i pracować  
Z solidarnością między nami

(„Postulat 22”)

Przecież żądania nasze są słuszne  
I nie przeciw rządowi i racji  
My chcemy tylko warunków do życia  
My chcemy demokracji.

(„... Już przestały bić młoty...”)

Pojawia się niekiedy również typowa dla XIX-wiecznych anonimowych twórców robotniczych świadomość jedności i przekonanie, że codzienny trud robotniczy jest siłą napędową, zdolną odmienić ten świat. „Jesteśmy przecież motorem i pracą / a jako jedność nie kłam, a socjalizm” („Jak ptaki”) — to właśnie daje robotnikom prawo do reprezentowania narodu.

Konieczność świadczenia na rzecz ogółu wywołuje chwilami poczucie rozdarcia. Na czas strajku trzeba bowiem nie tylko porzucić ognisko domowe, ale i przerwać normalny cykl produkcyjny, który w warunkach pokoju społecznego pozwala robotnikom na samoidentyfikację. W poezji strajkowej roku 1980, podobnie jak w twórczości robotniczej XIX wieku, poczucie przynależności do „braci robotniczej” jest związane ściśle z wykonywaną pracą. Jak chłop porzucający swą ziemię, by na czas wojny przedzierzgnąć się w partyzanta lub żołnierza, tak robotnik beczynnie siedzący w miejscu pracy, zmuszony godzić się na odmienny sposób ogzystencji, odczuwa głęboki dramatyzm swojej sytuacji<sup>4</sup>. Traci przecież najlepszy czas na pracę. Normy, które dotąd obowiązywały w jego środowisku, muszą ustąpić miejsca nowym regułom postępowania. Grozi to naturalnie utratą tożsamości. W obawie przed tym poeci strajkowi tak często przemawiają w imieniu „robotników polskich”, podkreślając tym samym, że robotnik niezależnie od wykonywanych w danym momencie działań zawsze robotnikiem pozostanie.

Ciągłe upewnianie się co do własnej tożsamości prowadzić jednak może do zgromadzenia argumentów na rzecz odrębności, do wykształcenia postawy „lokalnej”. Ta zaś mogłaby robotnikom odebrać prawo do występowania w imieniu ogółu, którym to prawem w normalnych czasach była praca dla dobra kraju. Strajk jest przecież jej zaprzestaniem, jest czynieniem poprzez zaniechanie działania. Podobnie jak dziewiętnastowieczni poeci rewolucyjni, starają się więc twórcy strajkowi połączyć dwie sprzeczne tendencje: do wyodrębnienia wspólnoty i jednoczesnej uniwersalizacji jej działań.

Toteż w poezji strajkowej roku 1980 mamy do czynienia z kilkoma poziomami samookreślenia. Anonimowy twórca raz traktuje siebie jako przedstawiciela pewnej bardzo wąskiej grupy za-

wodowej, np. stoczniovców, innym razem jako reprezentanta polskiej klasy robotniczej, kiedy indziej jeszcze jako członka całej wspólnoty robotniczej. Często również przemawia w imieniu narodu, mas, ludu.

Narzuca się oczywiście domysł, że poezja strajkowa artykułuje krystalizującą się wyraźnie wśród robotników świadomość narodową, postawę uniwersalistyczną. Przyjęcie jednak tego wytłumaczenia byłoby uproszczeniem problemu o wiele bardziej złożonego. Trudno przecież oddzielić warstwę autentycznej świadomości strajkujących od świadomości wyrażonej przy pomocy środków poetyckich. I nie wolno zapominać o wielokroć tu wspomnianej konwencjonalizacji, której podlegała twórczość gdańska. Pobrmiewają w niej przecież wyraźne echa wielkiej poezji narodowej, patriotycznej i rewolucyjnej. Odejście od świadomości lokalnej jest w dużym stopniu wynikiem przyjęcia frazeologii patriotycznej, która w literaturze i całej kulturze polskiej dysponuje wypracowanymi już wzorami realizacji, oraz posługiwania się frazeologią przekształconą w poezji w „świat zwycięstwa” nad tyranią kapitalistyczną zdzierców. Wykształcone w romantyzmie przekonanie o szczególnej misji narodu polskiego, schemat martyrologiczny, wizja zbawienia całego świata — powracają w poezji gdańskiej 1980 roku w formie robotniczej pewności co do wyjątkowego posłannictwa wspólnoty, do której się należy, wspólnoty, która niewątpliwie zwycięży:

Lecz nie ustajemy w podjętym raz trudzie  
Musimy wytrwać w walce ostatecznie  
I na kolana rzucić mas nierówność  
gardło jej zdusić — niech przepadnie wiecznie.

(„Jak ptaki” Mali)

Specjalnie unikałam sformułowania „klasa społeczna”, ponieważ również i w tym przypadku nie można mieć pewności, na ile strajkujący mieli poczucie odrębności klasowej, na ile samoidentyfikujące definicje typu „brać robocza” czy „zjednoczona bracia” spotykane w ich poezji uwarunkowane były przejęciem określonych schematów wierszy rewolucyjnych. Większość tekstów przemawiałaby raczej za tym, że anonimowi twórcy wypowiadają się w imieniu wspólnoty. Nie jest to jednak mała zbiorowość, zamknięta w swoim światku, na małej przestrzeni. Jest to wspólnota, której niezaprzeczalne prawo do reprezentowania całego narodu pozwala w każdej chwili ogarnąć cały kraj. Jest to również wspólnota otwarta, bowiem należeć do niej może każdy, kto zaakceptuje uznawane przez nią wartości. A są to przecież wartości uniwersalne, ogólnohumanistyczne, odwieczne, o które walczyli również robotnicy przełomu XIX i XX wieku.

4. Tamże, str. 32-66.

Za „wspólnotowym” charakterem zbiorowości, o której tu była mowa, przemawia także istnienie tekstów poświęconych przywódcy — Lechowi Wałęsie. W „Balladzie o Wolnych Związkach” Wałęsa nazywany jest „wspaniałym facetem”. To on „zrobił strajk”, on „zgromadził ludzi”, on „głos wskazał wolny / zapalił zielone światło”, on założył „wolne związki”. Strajkowy przywódca jest również — podobnie jak Okrzeja czy Kasprzak w piosenkach z 1905 roku — wzorcowym bojownikiem o wolność, równość i sprawiedliwość, rzecznikiem wszystkich zaprzeczonych ideałów.

Wspólnotę — w tym przypadku społeczność strajkową — zespala nie tylko osoba przywódcy, ale również określone miejsce. W poezji strajkowej 1980 takim miejscem jest stocznia gdańska, traktowana jako epicentrum wybuchu, środek świata. Przy tym ta mała przestrzeń nie jest na trwale odgraniczona od reszty świata, nie jest zamknięta. Będąc miejscem wybranym, stanowi przy tym centrum promieniujące. Zespolecie się społeczności strajkowej w obrębie stoczni wytwarza przy tym w świadomości robotników przekonanie o szczególnej roli, jaką do odegrania ma Gdańsk.

Tylko miasta o wyjątkowo burzliwej historii mogą liczyć na swoje poetyckie mity. W literaturze polskiej w sposób wyjątkowy honorowana była zawsze Warszawa. Jak pisał Jerzy Świąch, w jej pejzażu: „nie było nigdy (...) przedmiotów skojarzeniowo i emocjonalnie neutralnych”, cały krajobraz „opanywany był przez sferę doznań niedosłownych i symbolicznych”. Owe znaczenia doprowadziły do zatarcia obrazu rzeczywistości, „dlatego stolica znajdowała się zawsze w centrum zbiorowych mitologii”<sup>5</sup>. Przy tym o Warszawie w poezji XIX-wiecznej mówiło się na dwa różne sposoby: raz była „płochym”, „zdradnym” miastem, innym razem z racji posiadania cech reprezentatywnych — „matką polską”. Wyobrażenia roku 1939 przeobraziły ten stereotyp: Warszawa stała się odąd miastem nieujarzmionym, niepokonanym, bohaterskim i cierpiętniczym.

W stopniu może mniej przez nas uświadamianym funkcjonował także mit Gdańska. Dzieje Gdańska nie skłaniały jednak do symbolicznego mówienia o tym mieście jako o Polsce. W świadomości zbiorowej Gdańsk utrwalał się jako miasto wolne, zbuntowane, miasto-państwo rządzące się swoimi prawami, przeniknięte, jak zauważył Tadeusz Skutnik, „duchem niesubordynacji”<sup>6</sup> wobec całego kraju. Na takie wyobrażenia o Gdańsku

wpłynęły naturalnie względy ekonomiczne, religijne, a przede wszystkim narodowościowe i po prostu historyczne. Bohaterska obrona Poczty Polskiej w Gdańsku nadwyrężyła nieco ten stereotyp, ale nie zdołała go całkowicie obalić. Dopiero nowe doświadczenia, jakimi były strajki roku 70-tego i 80-tego, zmusiły do rewizji utartych pojęć.

W poezji strajkowej sposób mówienia o Gdańsku w dużym stopniu ma charakter tradycyjny (choć przedmiot określeń jest względnie nowy): to „nasz Gdańsk prastary”, zawsze „wolny”, „Gdańsk nie warchoł / wykiwać się nie da”. Odwołanie do stereotypów pozwala tu wyraźniej wskazać fakty nowe. Na przykład ten, iż Gdańsk już po raz drugi wystąpił w imieniu całego narodu, dla dobra kraju, a więc ma prawo przemawiać do wszystkich. To prawo daje mu krew, która polała się w Grudniu. Pojawia się nowe oblicze Gdańska — miasta cierpiącego, miasta, które złożyło ofiarę. Los robotników, którzy zginęli w 70-tym roku, jest nauką dla walczących:

Nasze serca, nasze myśli wciąż tam są  
Kiedy Grudzień przypomina się  
Teraz wiemy jak strajkować  
I jak z Rządem pertraktować  
By żądania nasze wypełniły się

(„My, stoczniovcy i portowcy”)

W ten sposób anonimowi gdańscy twórcy awansują swoje miasto do rangi miasta wybranego. Tak, jak niegdyś Warszawa, tak teraz Gdańsk symbolizować może całą Polskę. To jeszcze jeden powód, dla którego poetom strajkowym tak trudno ustalić swoją tożsamość. Potrzeba podkreślenia odrębności regionalnej spleta się z poczuciem przynależności do całego narodu, w imieniu którego chcą przemawiać.

Przekształcenie mitu Gdańska wiąże się z odebraniem Warszawy praw do reprezentowania kraju i narodu. W nielicznych wyobrażeniach stolicy, jakie pojawiają się w poezji strajkowej, odżywa na powrót stereotyp miasta — zdrajcy. To przecież Warszawa była przez wiele lat siedliskiem ludzi, którzy doprowadzili kraj do zguby. Następuje więc znamienne utożsamienie „ich” z Warszawą:

Lecz gdański robotnik ma w porządku w głowie  
Krzyknął do Warszawy — hola! stać panowie

(„Gdański nie Krakowiaczek”)

Naznaczenie jakiegoś miasta piętnem wyjątkowości wymaga jednak spełnienia jeszcze jednego warunku: czytelnego symbolu terytorialnego czy wizualnego, którego sama nazwa będzie wy-

5. Tamże, str. 93-117.

6. Skutnik T., *jak wyżej*, str. 133.



wolować w umyśle każdego członka zbiorowości odpowiednie skojarzenia. Krajobraz miasta wybranego nie może być jałowy, neutralny. Warszawa, będąca świadkiem niejednej burzy historycznej, od wieków opiewana w literaturze, ma takich punktów wiele — choćby kolumnę Zygmunta czy Łazienki. Poeci strajkowi, odbierając Warszawie cierpiętniczo-posłańniczy nimb, musieli także w Gdańsku wyznaczyć miejsca „święte”. Miejscem tym stała się oczywiście stocznia, mająca odtąd funkcjonować w świadomości jako symbol pracy, walki i męczeństwa. Słowa „stocznia” zaczęli anonimowi twórcy używać wymiennie z nazwą miasta, traktować je jak hasło konotujące cały szereg znaczeń niedosłownych.

„Uświęcenie” Gdańska i stoczni, jak również częste w twórczości gdańskiej 1980, mające charakter zbiorowych modlitw odwołania do Chrystusa i Marii pozwalają przypuszczać, iż społeczność strajkowa stara się akcentować swój związek nie tylko z wartościami grupowymi, symbolami tożsamości klasowej i środowiskowej, ale próbuje zespolić się poprzez akcentację wartości idealnych, religijnych.

Łączenie Boga ze sprawą polską jest specyficzną cechą naszej poezji patriotycznej i niepodległościowej. Wynika to z mesjanistycznego przeświadczenia, że Polacy są narodem wybranym i że ich kraj ma szczególne prawo do korzystania z Boskiej pomocy. Ten schemat funkcjonował w pewnym stopniu nawet w polskiej poezji rewolucyjnej, która go przecież świadomie odrzucała. Do specyfiki typowo polskiej religijności należy także kult maryjny. W sferze pojęć religijnych anonimowi twórcy strajkowi nie wyszli poza ramy tradycji. Bóg (bądź Chrystus), do którego się zwracają, jest w każdym przypadku „Bogiem naszym”. Przy tym nie oznacza to wcale, że jest wyłączną własnością zbuntowanej zbiorowości. Jest Bogiem wszystkich Polaków, swoją łaską ogarnąć ma udrczoną Polskę i oświecić naród. A wtedy Polska znowu będzie szczęśliwa, bo przecież zawsze, jak Chrystus, „poprzez ból i mękę Zmartwychwstawała” („Chrystus z robotnikami, robotnicy z Chrystusem”). W wyobrażeniu Syna Bożego podkreślone zostają przy tym takie cechy, jak łaskawość, miłosierdzie i zdolność przyjmowania cierpień.

Równie konwencjonalny jest w poezji strajkowej obraz Marii. Jest to nieodmiennie Matka Boska Częstochowska z okaleczoną twarzą, „Królowa krzywdzonych”, „Matka” obdarzona czułym sercem, roztaczająca opiekę, chroniąca przed złem i przynosząca spokój. Stosunek podmiotu zbiorowego do niej jest stosunkiem dzieci do Matki, w której ramionach zawsze można znaleźć ukojenie. Chociaż tak bardzo skonwencjonalizowane, modlitwy do

„Czarnej Madonny” manifestują — może nawet w większym stopniu niż inne wiersze — szczerze i otwarte uczucia gdańskich robotników, bo przebija z nich przede wszystkim pragnienie spokoju. Odwołanie się do Boga i Matki Boskiej pozwala przy tym nie tylko wyrazić swoje odczucia, ale i utwierdzić się w przekonaniu, że racje są po stronie strajkujących, bowiem stają oni w obronie prawd wiecznych, idei Chrystusowych:

Ufni w Twą pomoc — wierni Ci synowie  
Będziemy walczyć, szercząc ideały  
By kraj nasz — często nawiedzany klęską  
Był zawsze szczęśliwy, silny i wspaniały.

(„Chrystus z robotnikami, robotnicy z Chrystusem”)

#### 4. Podsumowanie

Pora na koniec porównać poezję strajkową roku 1980 z wierszami tworzonymi w latach 1970-1971. Była już mowa o folklorystycznym rodowodzie piosenek grudniowych. Twórczość sierpniową również wiele łączy zarówno z samorodną poezją uliczną, kabaretową czy okupacyjną. Wśród tekstów z roku 1980 także odnaleźć można kilka utworów pisanych na nutę szlagierów radiowych („Kolorowe jarmarki”) czy piosenek ludowych („Gdański Starzyk”), („Gdański nie Krakowiaczek”). Niektóre mają charakter utworów nowiniarskich („Ballada stoczniowa”). Jednakże zestawiając obok siebie teksty sierpniowe i grudniowe, trudno się oprzeć wrażeniu, iż w poezji roku 1980 odżyły przede wszystkim (i to silniej niż w 1970 roku) tradycje XIX-wiecznej poezji rewolucyjnej.

Nie odnajdziemy tutaj bezpośrednich nawiązań tekstowych, ale — jak pisał Roch Sulima — „są nawiązania bardziej generalne, nawiązania poprzez totalny charakter sytuacji strajkowej”<sup>7</sup>. W roku 1970 również mieliśmy do czynienia z sytuacją strajkową, jednakże dopiero w dziesięć lat później zaistniała tak silna potrzeba odnowienia nie tylko zbiorowych form zachowań typowych dla pierwszych ruchów robotniczych, ale i pewnych obrazów, modeli idealnych i prawd wyjściowych, utrwalonych w poezji proletariackiej przełomu wieków.

Zasadniczą sprawą jest tutaj zaakceptowanie przez społeczność strajkową roku 1980 wykształconego w XIX wieku etosu robotniczego, określającego społeczną pozycję klasy robotniczej przez pracę. Tak więc, jeśli dla anonimowych autorów grudniowych robotnikiem jest ten, kto cierpi, kona z głodu i składa

7. Sulima R., „O poezji robotniczej”, *Regiony*, 1981, nr 2, str. 63.

w ofierze swoją krew, to dla poetów gdańskich roku 1980 robotnik to wytwórca określonych dóbr materialnych. Zatem nie tyle cierpienie, ile praca daje mu prawo do występowania w imieniu swoim i całego narodu.

Ze społecznego usytuowania przez pracę wyrastają przy tym wszystkie te wartości, które są — zdaniem St. Czarnowskiego — składnikiem robotniczego etosu: braterstwo, solidarność, duma czy godność<sup>8</sup>. W poezji roku 1970 solidarność była w zasadzie solidarnością strajkujących, a dumę w większym stopniu zastępowało rodzące się poczucie siły, które zyskiwali robotnicy w starciach z oddziałami milicji. Ale sama świadomość siły nie wystarczała, by występować w obronie odwiecznych wartości. W poezji roku 1980 „Wielki powrót do źródeł klasowej tożsamości”<sup>9</sup>, jak to określa Roch Sulima, pozwolił już na uniwersalizację wartości środowiskowych. Robotnicy nie walczą tylko o „kawałek chleba”, rozumiany nawet symbolicznie, lecz o wolność, równość, sprawiedliwość, demokrację, o Polskę wreszcie. Walczą o te powszechne ideały w imieniu narodu i jako naród. Mają do tego prawo i traktują to jako swój obowiązek. Anonimowych poetów strajkowych roku 1980 nie cieszy wiadomość o zmianie ekipy rządzącej. Nadzieję na lepsze jutro budują bowiem oni na poczuciu własnej wartości.

W poezji sierpniowej nastąpił zatem — jak pisał Roch Sulima — „powrót do tekstów wyjściowych, powrót będący 'Wielką Weryfikacją' (...) stuletniego dorobku ruchu robotniczego (...). Takie właśnie Wielkie Weryfikacje towarzyszą ogromnym przeobrażeniom jakościowym, są narzędziem i współkomponentem wszelkich przeobrażeń”<sup>10</sup>. W polskiej historii zachodziły już podobne procesy w latach 1892-1905.

Czy jednak równie głębokie przemiany świadomościowe dokonały się w przeciągu ostatnich lat? — Trudno na to pytanie odpowiedzieć, mając do dyspozycji wyłącznie materiał poetycki. Na jego podstawie nie sposób przecież określić, w jakim stopniu świadomość deklarowana pokrywa się ze świadomością rzeczywistą. W poezji strajkowej bowiem zbyt często nowe tematy przeplatają się ze starymi motywami.

Anna BŁASZKIEWICZ

8. Czarnowski S., „Powstanie nowej kultury” (w:) „Dzieła”, tom I, Warszawa 1956, str. 78-86.

9. Sulima R., *jak wyżej*, str. 63.

10. *Tamże*, str. 64-65.

## Wnioski niedomyślane

Przez cały okres, gdy tkwiłem w mej pracy malarskiej, wszystko co próbowałem pisać o malarstwie wyrastało bezpośrednio z moich przeżyć malarza aktywnego. Dzisiaj, kiedy już prawie nie maluję, wnioski moje zdają mi się nie tak pewne jak dawniej, niemniej ważne, bo próbują utrwalić mój dzisiejszy stosunek do malarstwa. Ten artykuł unaocznia dwa przeżycia z ostatniego roku.

Jednym z „gwoździ”, jak to się mówi po francusku, wystaw przeszłorocznych w Centre Pompidou była wystawa Balthusa, imponująca nie tylko rozmiarami, ale wielką maestrią malarza, jego wielką kulturą malarską klasyczną i wielkim talentem. Nie wiem, czy już wspominałem, że oglądałem tę wystawę z uznaniem i nawet z podziwem. Sam jednak nie dobrze rozumiałem, dlaczego podziw mój był tak chłodny, jakbym nic w nim nie znajdował potrzebnego i naprawdę dotkliwego. Łatwo jest powiedzieć, że to zrozumiałe, bo to typowy pseudo-klasycyzm naszych czasów. Nie lubię tego słowa „pseudo”. Klasycyzm może malować i dzisiaj wielcy malarze, bardziej niż inni wrońnięci w przeszłość. U tych malarzy jest mniej albo wcale nowatorstwa, za to ogromna wiedza, której tylokrotnie brak nowatorom. Mówiąc o sobie, moja droga malarska była inna, a moja kultura malarska historyczna nieskończenie uboższa. Kiedy dziś myślę o mojej genealogii, zaczyna się ona naprawdę od urzeczenia Cézanne'm i post-cézannowskimi malarzami z Ecole de Paris. Dopiero później dane mi było przeżyć z namiętnością sztukę dawną. Może najsilniej, nawet na pewno najsilniej przeżyłem Holendrów, ale także paru Hiszpanów: Cotana i Zurbarana. Cotana widziałem jeden jedyny obraz, znajdujący się dzisiaj w San Diego w Kalifornii, gdzie na czarnym tle, w otoczce wąskiej ramy mamy zawieszoną na sznurkach głowę kapusty i chyba pigwę, a na stole rozcięty melon i ogórek. Ta martwa natura zafascynowała mnie swoją geometrią i wrońniętym w geometrię wspaniałym czuciem malarskim. Równoległe przepyszna martwa Zurbarana, gdzie ustawione są pod rząd owoce w koszu, a po dwóch stronach na cynowych talerzach cytryny i cynowy garnuszek. Dlaczego tak bardzo silnie przeżyłem te dwie martwe? Dodałbym jeszcze do nich wspaniałą martwą francuską z XVII wieku Baugina ze szklanką wina, słomianą butelką i waflami na talerzu. Ich naturalistyczna precyzja wiązała się z cudownym zmysłem kompozycji i cudowną kolorystyką. Poza tym może najsilniej z Hiszpanów przeżyłem Goyę. Naturalnie silnych wrażeń tamtych wieków miałem o wiele więcej. Mówię tu tylko o moich najwyższych przeżyciach. Jeżeli zaś chodzi o sztukę tzw. nowoczesną, to w historii mojego

malarstwa, które całe wyrastało z impresjonistów i Cézanne'a, szedłem po linii przede wszystkim Bonnard, który jak żaden inny z malarzy — dla mnie nowoczesnych — odkrył mi niewypowiedziane bogactwo gry czysto kolorowej. Od niego szedłem ku Matisse'owi, który do dziś jest dla mnie nie tylko jednym z największych malarzy swojej epoki, ale odkrywcą malarstwa, do którego równoległe z czuciem kolorystycznym wniósł jeszcze również sens geometrii w obrazie.

Gdybym pisał o swoim malarstwie 10 czy 20 lat temu, na tym bym się chyba zatrzymał. Ale wielka wystawa De Staëla sprzed paru lat była szokiem malarskim tak silnym, że nie mogę tego malarza pominąć. Odnalazłem w nim moje własne problemy i moje własne poszukiwania. Osobiście nigdy nie oderwałem się jako malarz od malarstwa figuratywnego, choć abstrakcyjniści bardzo wiele mnie nauczyli. U De Staëla było wręcz przeciwnie. Przeszedł on przez długi okres malarstwa czysto abstrakcyjnego. W swej wielkiej wystawie paryskiej miał ogromną salę poświęconą wyłącznie obrazom abstrakcyjnym. Ten okres dał mi nowy, świeży stosunek do wielkich płaszczyzn kolorowych oraz pogłębienie wartości kompozycyjnych. Niemniej on właśnie w pewnej chwili wrócił do natury, notując z entuzjazmem: „Teraz będę mógł znowu malować kobiety i kwiaty”. W De Staëlu przeżyłem ostatni wpływ, czy prędy ostatnie spotkanie z wielkim artystą, którego młode życie zostało jakby przecięte samobójstwem, o którym już nikt nigdy nie potrafi się dowiedzieć, czy było ono świadome, czy najpóźniej wypadkiem w chwili największego rozędu malarskiego.

Coraz to starałem się odkryć i poznać malarzy amerykańskich. Przyznam, że żaden z nich nie zrobił na mnie wrażenia tej miary. Zdawało mi się, że do tego świata już nie dotrę. Jeden Pollock cieszył mnie tak, jak cieszy dziecko drzewko zawieszzone różnokolorowymi gwiazdkami. Podziwiałem świeżość i autentyczność tej inspiracji. Związku jednak bezpośredniego ze swoim malarstwem nie odczuwałem. I nagle teraz przyszło do mnie olśnienie malarstwem Milona Avery. Zawdzięczam je przywiezionemu przez przyjaciółkę tomowi jego obrazów. Nagle odkryłem obrazy tak szczęśliwie, tak odświeżająco nowe, że prawie zazdrościłem Avery'emu, że już dziś nie potrafię posunąć mojego malarstwa do tak wspaniałej syntezy abstrakcyjnej kompozycji z bezpośrednim doznaniem natury. Czy to wypadek tylko? Nie, natrafiam tu na ślady i matisowskich tancerek w gwaszach „Akrobaci” na czarnym papierze i nawet De Staëlowskich mew. Trudno jest mówić o malarstwie, nie pokazując ani jednego obrazu, ale chciałbym przecie doszukać się sam w sobie, dlaczego ten malarz dał mi taką radość i wprost, powiedziałbym, odmłodzenie. Na drodze, którą sam przebyłem od Bonnard do Matisse'owi i De Staëlowi, malarstwo Milona Avery zdaje mi się dalszym ciągiem drogi ku wyzwalającej syntezie, która łączy rady Cézanne'a, żeby tworzyć *sur nature*, z prawie czystą abstrakcją. Pejzaż, widniejący na okładce książki: płaszczyzny mocno za-

rysowane, pomarańczowe, liliowe i czarne, pod różowym niebem rozcięte niebieskawą bielą, niewątpliwie wskazującą że to rzeka, która rozcina jak nożycami kolorowe wybrzeża. Ten obraz daje silne przeżycie natury przy najbardziej uproszczonej i zgeometryzowanej formie. Myślę o pejzażu drugim: morze o czarnej zieleni pod cienką smugą szafirowego nieba z plażą u spodu, na której widzimy dwie czarne postacie. Czy można bardziej świeżo, bardziej dziecinnie prosto przekazać prawie abstrakcyjnie pejzaż morski? Mógłbym tak samo opowiedzieć kilkanaście obrazów przekazanych nam w tej pięknej książce. Zdaje się, że Avery potrafi rozwiązać kwadraturę koła. Krwawe walki abstrakcjonistów z malarzami figuratywnymi, które ja własnymi oczami i na własnej skórze przeżyłem, zdają się rozwiązane przez tego amerykańskiego malarza, o którego istnieniu nie słyszałem, a który zmarł w 1965 roku, w 10 lat po De Staëlu.

Ta synteza, do której zawsze dążyłem, wyzwalać się — jakże powoli — z czystego naturalizmu jest — specjalnie w pejzażach — posunięta do tej cudownej harmonii kształtów i form. Dało mi to poczucie, że gdybym jeszcze malował, byłbym posilony i spotęgowany Miltonem Avery, który wniósł w malarstwo to, o czym ja zawsze marzyłem.

Niestety znam Milona Avery jedynie z reprodukcji, zresztą kolorowych i chyba świetnych w tomie, który jemu poświęciła i tekstem opatrzyła Barbara Haskell.

Chyba na nim, na tej ostatniej tak radosnej niespodziance, będę musiał zakończyć moją własną historię myśli o malarstwie.

Józef CZAPSKI

NOWOŚĆ WYDAWNICZA „LIBELLI”

HANNA KRALL

„SUBLOKATORKA”

Powieść

Opinia o książce otrzymana z Kraju:

... „Dzieło literackie niepospolitej wartości. Jest to jedna z najlepszych książek polskich powojennego 40-lecia. Książka jest wielka przez swoją wymowę społeczną, moralną i nawet sens metafizyczny”...

Cena F. 65,00.

„LIBELLA”

12, rue Saint-Louis-en-l'Île — 75004 Paris (France)

Tel.: 326-51-09.

Książki wysyłamy na cały świat.

brakło nam może chwilowo Wallenroda, ale istnieje wallenrodizm, a na pytanie Konrada z „Dziadów” części III-ej „Ktoś ty, ktoś ty kuku?” należałoby dziś udzielić wyczerpującej odpowiedzi w trzech tomach. Literatura — odzwierciedlenie dziejów narodu — wzięła nas za rękę i kształtowała, czasem niestety zniekształcała i korygowała nasze rozumienie i wycucie historii. I dlatego w Polsce, znowu w przeciwieństwie do kraju, w którym żyję teraz, literatura była i jest nierozzerwalną częścią historii, a historia była i jest nierozzerwalną częścią literatury. Historia dostarcza materiału, pisarze interpretują ten materiał, a czytelnik odbiera go, może nie bez zastrzeżeń, ale na ogół z zaufaniem, bo polskie zaufanie do klasyków literatury poświęcone jest długą i ważką tradycją. Jest to system, z którego zrodziło się pojęcie wieszczą. A wieszczów jest dużo więcej niż trzech, choć oficjalny tytuł jest już na zawsze zastrzeżony.

Zgon Józefa Mackiewicza jest ogromną stratą dla literatury. Ale przybył nam klasyk, nowy interpretator dziejów, na którego sądy będą się powoływały przyszłe pokolenia, podobnie jak powołujemy się na sądy Żeromskiego, Sienkiewicza czy Prusa, nie zawsze zresztą zdając sobie z tego sprawę. Śmierć uczyniła go świadkiem zarówno i sędzią, a że sam nic już nie doda do swego dzieła, więc stało się ono epickie też i w tym znaczeniu, że jest zamknięte, bo skończyła się epoka Józefa Mackiewicza. Z ostatnim i ostatecznym warunkiem profetyzmu i profecji nie ma żadnych trudności. Historia z dnia na dzień pod piórem Józefa Mackiewicza wysnuwa wnioski na przyszłość.

Zaczyna mnie w tej chwili dręczyć pytanie, czy ciągle nawiązywanie powiedzmy do Żeromskiego byłoby Panu Józefowi miłe? Spieszę więc dodać, że na płaszczyźnie, o której mowa porównanie z Żeromskim nie może być dla żadnego polskiego pisarza krzywdzące. Tak samo jak oglądamy pewne wypadki oczyma Żeromskiego, podobnie będziemy oglądali niektóre wypadki oczyma Mackiewicza. Dla krytyków twórczość Mackiewicza będzie przedmiotem analizy i stałej reinterpretacji. Wygląda w tej chwili na to, że oszczędzą go krytycy marksistowscy. Wyjdzie na tym lepiej niż Żeromski, którego nie ominęły interpretacje marksistowskie, dokonujące okrutnych zabiegów na wyrwanych z właściwego kontekstu cytatach.

Rozumiem jednak, że nadając tomikowi opowiadań tytuł „Pod każdym niebem” i swawolny podtytuł „Historie i zdarzenia”, Mackiewicz zastrzegł się przeciw wyłącznej roli pisarza narodowego. Że życzył sobie przybliżyć nam los człowieka w ogóle. Że historie i zdarzenia, które działy się w określonym czasie, na określonym miejscu, mogły dziać się pod każdym niebem. Że może takie i inne figle wydarzyły się i gdzie indziej i znowu się kiedyś wydarzą. I że choć los człowieka jest zawsze wyjątkowy, to losy ludzkie są do siebie podobne, a wszystkie razem są jeszcze częścią wspólnego losu. Można mniej więcej to samo przeżyć i można to mniej więcej tak samo odczuć pod każdym nie-

## Ci, co odeszli

### Narodziny klasyka

Jednym z pierwszych pytań, jakie zadałam mojej matce, było pytanie czy pamięta powstanie z 63-go roku. Trochę sobie z tego potem pokpiwano w rodzinie. Matka moja oczywiście powstania pamiętać nie mogła, bo nie było jej wtedy na świecie, ale samo pytanie zadane z dziecięcą powagą świadczy dobrze o tym, jak rozporządzając jakimiś tajemniczymi wręcz środkami przekazu przelewano z pokolenia na pokolenie wiedzę o przeszłości, mity i tradycje narodowe. Zaszczepione we wczesnym dzieciństwie kiełkowały i rosły z człowiekiem, stając się na koniec właściwie funkcją umysłu i uczucia, ba, niemal cechą charakteru. Bo w kraju, którego byłam wtedy obywatelką — w przeciwieństwie do kraju, którego obywatelką jestem teraz — historia była wiecznie żywa i mieszkała w nas, a nie jedynie po muzeach. I do pewnego stopnia wszystkie pokolenia porobiorowe, także te urodzone w Dwudziestolecie niepodległości, żyły obok siebie, karmiąc się tą samą strawą zrywów i klęsk narodowych.

Działo się to w mieście Żeromskiego Kielcach, gdzie się urodziłam i gdzie w pięknym starym parku rodzice pokazywali dzieciom staruszka, drzemiącego na ustronnej łąwce. Był to weteran z 63-go roku. Szeptem objaśniano latoroślom, że weteran miał w powstaniu zaledwie dziesięć lat i był doboszem. Dzieci przystawały i gapiły się, staruszek trwał nieruchomo na swej łąwce. Była to pewnie ta sama łąwka, na której Biruta na zawsze pożegnała wrokiem Marcina Borowicza. W każdym razie było to mniej więcej w miejscu, które opisał Żeromski. W Kielcach nie prowadzono dzieci do muzeów, bo i po co? Muzeum narodowe było wszędzie. Nigdy już nie rozplączemy tych nici, bo nie wiemy właściwie, co sami przeżyliśmy, co nam opowiadano, a co przeczytaliśmy może właśnie u Żeromskiego. Nie ma bardziej aktualnego bohatera powieściowego nad Cezarego Barykę. Za-

bem. A samo podobieństwo losów jest jedną z zagadek bytu. W to trudne misterium pisarz zawsze nas wprowadza ostrożnie: „Byłem kiedyś na przykrym pogrzebie, który zapadł mi w pamięć bardziej od innych, choć, jak wiadomo, więcej w tym życiu śmierci niż tego życia”. Jakie to niby proste, jakie bliskie. Kiwamy głową z uznaniem, czytając te słowa.

Tymczasem prostota Mackiewicza, choć prawdziwa, jest równocześnie pozorna. Jest on właściwie pisarzem trudnym. Jasny i prosty styl wprowadza nas w gąszcz spraw skomplikowanych, nawet zagmatwanych. Nie odważylibyśmy zapuścić się w takie ostępy bez przewodnika. Zwodnicze jest także odwoływanie się autora do dat czy wypadków prawdziwych. Jest to chwyt. Mackiewicz potrafi tworzyć fikcję nie gorzej od Sienkiewicza. Wcale nie opowiada własnego życia, wcale nie jest kronikarzem, jak nie był kronikarzem Sienkiewicz, choć czerpał z kronik. Fikcja Mackiewicza jest tak sugestywna, że koniecznie musimy się dowiedzieć, co było dalej i niecierpliwie przewracamy strony. A zdawałoby się, że co było dalej nie powinno być tak palące, bo przecież wiemy, że po roku czternastym nastąpił rok piętnasty, a tok wypadków jest nam znany z historii. Napięcie, siłę sugestywności odczuwa się najmocniej w twórczości publicystycznej Mackiewicza. A czy rzeczywiście, jak twierdzili niektórzy wielbiciele talentu pisarza, rozmiął się na drobną monetę, rozpisując się o bieżących sprawach komunizmu i Kościoła, nie mniej sądzić.

W powieści rzuconej na kanwę niedawnych wypadków lub postępującej się wydarzeniami z własnego życia najlepszą miarą talentu jest dystans do spraw i miejsc opisanych. Nie wolno dać czytelnikowi odczuć, że autor przynosi bagaż osobistych żalów i oskarżeń i bierze czytelnika na świadka. Czytelnik z racji swej natury czytelniczej jest uprzedzony i zmienny i nie chce być świadkiem autora. Czytelnik szybko się zniechęca, a nawet zaczyna się po cichu zastanawiać, czy sam nie przeżył ciekawszych rzeczy. Zaczyna w myślach współzawodniczyć z autorem, a to niedobrze. A jeżeli z kolei dystans jest zbyt duży czytelnik nie znajdując żadnej identyfikacji może lekturę rzucić. Bo już nie może stwierdzić z satysfakcją, że mu się przydarzyło prawie to samo. Sztuka pisarska Mackiewicza objawia się w całej pełni w stapaniu po linie między tymi dwoma dystansami. Podobną równowagę zdołał zachować Prus w „Lalce”.

W recenzjach z książek Mackiewicza dużo pisano o systemie wartości moralnych autora, o moralności w ogóle i dyskutowano poglądy pisarza na ten temat. Wydaje mi się, że Mackiewicz-moralista wkrótce utraci wiele ze swej zagadkowości. Mackiewicz-moralista czy nawet dydaktyk jest tylko drobną częścią Mackiewicza-artysty-pisarza i nie da się wyłączyć z całości, w której mieści się i etyka i filozofia życiowa, a nawet miłość do rodzinnej Litwy. Tej oczywiście z „Litwo, ojczyzno moja”. Litwy Mickiewicza. Poglądy Mackiewicza na moralność były w gruncie rzeczy normatywne i na czas lektury stawały się poglądami czytelnika.

„Kontrowersyjna” teza, według której nie istnieją narody dobre i złe, istnieją natomiast dobrzy i źli ludzie, a głównie istnieją dobre czy złe systemy, nie zawiera w sobie kontrowersji, bo przecież wszyscy wiemy, że tak właśnie jest. Tylko, że Mackiewicz miał odwagę to jasno powiedzieć, a my nie mamy ochoty czy odwagi mówić o tym głośno ze względu na nasze własne przeżycia. Więc on przemawiał za nas tak, jak przed nim przemawiali za nas inni pisarze i poeci. Nikt się temu nie dziwi i nie uważa takiego rzecznika za zbyt pysznego. A stale opłakiwany fakt, że Mackiewicz był emigrantem i nie ma w Polsce czytelników? Tym się nie musimy martwić. Będzie ich miał tak samo jak mieli i mają ich emigranci, którzy go poprzedzili.

Moja osobista znajomość z panem Józefem była przez siedem lat, jakie spędziłam w Berkeley, jednostronna i niezwykła. Mój kolega na wydziale sławistyki i przyjaciół, emerytowany już, gdy się zjawiłam w Berkeley, Michał K. Pawlikowski był serdecznym przyjacielem Mackiewiczów. Była to przyjaźń o tradycjach starszylacheckich, coś *à la* Sędzia i Podkomorzy. Dla pana Michała Mackiewiczów byli absolutnym autorytetem we wszelkiej niemal materii. Prawie codziennie pan Michał odczytywał mi urywki z listów lub coś opowiadał. Poznałam gruntownie dzieje pana Józefa, oczywiście poprzez uwielbiające spojrzenie pana Michała. Dowiedziałam się mnóstwa szczegółów, anegdotek, nawet o zgrozo, starych wileńskich plotek. Kiedyś, później, sam pan Józef dziwił się mojej znajomości tematu. „Ach, to pewnie Pawlikowski”... domyślał się pobłażliwie. Bo w odróżnieniu od innych ludzi, dla których ponoć był surowy, pan Józef odnosił się do mnie z pobłażaniem i tą jakąś sympatią, którą można by śmiało uznać za słabość. Cieszyłam się jego względami. Darzyli mnie zresztą szczególnymi względami wszyscy Litwini, jakich spotkałam na swojej drodze. I ja także darzyłam ich wielką sympatią. I oto prawie wszyscy odeszli. Nie będzie w tym przesady, ani patosu, gdy powiem, że czuję się osierocona.

Wreszcie, niedosiężna dla analizy krytyczno-literackiej, pozostaje niezgłębiona magia słowa. Kadencje wymykające się komentarzom. Zaczarowane słowa, które płyną z prądem poezji, porywając z sobą czytelnika. Rozpoznajemy takie kadencje, albo zdaje nam się, że je rozpoznajemy, że wiemy na pewno, skąd pochodzą:

„Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś kłęski i nadzwyczajne zdarzenia”.

„Termin odstawienia Marcina do szkoły przypadł na dzień czwarty stycznia”.

Jadwiga MAURER

## Leopold Tyrmand (1920-1985)

19 marca 1985 roku na Florydzie zmarł nagle Leopold Tyrmand, dziennikarz, publicysta i powieściopisarz, którego nazwiska nie we wszystkich podręcznikach literatury polskiej można się doszukać, ale które to nazwisko znane jest prawie wszystkim Polakom. Sensacyjna powieść Tyrmanda *Zły* (1955) zdobyła niepobity do dziś w powojennej Polsce rekord popularności w etymologicznym sensie tego słowa, to znaczy czytana była — i to naprawdę dla przyjemności — przez wszystkich: starych i młodych, uczniów szkół technicznych i profesorów filozofii, marksistów, księży, stare panny i marynarzy. Jej sukces był wynikiem nie tylko „zręcznie skonstruowanej akcji”: ta opowieść o Warszawie początku lat pięćdziesiątych, pełnej ruin, błota i bezkarnie grasujących opryszków zwanych eufemistycznie chuliganami, wśród których pojawia się tajemniczy, nieuchwytny mściciel pokrzywdzonych i obręca słabych — tytułowy *Zły* — zaspakajała potrzebę głębszą od zwykłego głodu sensacji. Barwność opisu, pieczołowitość szczegółu, wyczuwalna za tym znajomość rzeczy autora świadcząca o jego uwadze i nawet zafascynowaniu — to wszystko dawało czytelnikowi poczucie ważności i pełnoprawności egzystencji tego świata, w którym bez trudu odnajdywał swoje miejsce i rozpoznawał znajomych. Szara i biedna Warszawa owych lat pod piórem Tyrmanda stawała się miejscem równie ekscytującym i znaczącym jak jakiś Londyn czy Nowy Jork i to nie tylko dlatego, że jak z książki wynikało posiadaliśmy własnych gangsterów, własnych prywatnych detektywów i własne odpowiedniki Harrods'a i Waldorff-Astorii (ciuchy, „Kameralna”, sklep Olimpii Szuwar!), ale przede wszystkim dlatego, że skala wartości nałożona na narrację oraz sympatie i antypatie autora były naprawdę uniwersalne i odpowiadały normalnym odczuciom czytelników: przemoc, bezprawie i łajdactwo były wyraźnie złe, a sprawiedliwość, odwaga i siła stosowana w obronie uczciwej codzienności były dobre. W 1955 roku, na tle bynajmniej niewygastłego jeszcze wówczas — wbrew późniejszym legendom — „stalinizmu”, czyli komunizmu w stanie wirulentnym *Zły* był w istocie rewindykacją wolności i społeczeństwa cywilnego: bohaterami książki byli indywidualni ludzie, nie „członkowie kolektywów”, ich działalność wynikała z ich inicjatywy, nie z funkcji urzędowej (nawet przedstawiciel niemrawej milicji w książce przypominał bardziej nonkonformistycznego inspektora z *Homicide Squad* w Los Angeles z powieści Chandlera niż komunistycznego stupajkę), a ponadto wszystko rozgrywało się w Warszawie oczyszczonej w magiczny sposób z transparentów z napisem „Ręce precz od Korei”, zetempowców w „stro-

jach organizacyjnych” i dławiącej atmosfery bezprawia wyższego rzędu, na które żaden „zły” nic pomóc nie mógł. Powieść Tyrmanda była w istocie bajką o normalniejszej Polsce, ale bajką opowiedzianą tak składnie, że robiła wrażenie prawie-rzeczywistości, z której elementy niepożądanego zostały nie tyle wycięte, ile „wylekceważone”. Nawet nazwa „Plac Stalina” (ówczesne oficjalne miano placu wokół Pałacu Kultury) zastąpiona została w *Złym* drwiąco-uroczystym określeniem „największy plac w Europie”.

Zacząłem wspomnienie o Tyrmandzie ewokacją *Złego* nie dlatego, że uważam tę książkę za jego główne osiągnięcie zawodowe — choć była ona niewątpliwie największym sukcesem jego kariery pisarskiej w sensie: rozgłos, uznanie czytelników, „bycie kimś”, czyli rzeczy których w istocie zaznał mało, za mało jak na człowieka o jego talencie, pracowitości i *last but not least* odważnej wierności sprawom prostym a uczciwym, jak prawo do noszenia kolorowych skarpetek, jeśli się ma na to ochotę i nie kłamania, jeśli się nie ma na to ochoty — lecz dlatego, że reakcje na tę warszawską balladę ułożyły się w pewien wzór, który cechował czy wręcz prześladował całe jego życie zarówno w Polsce jak w Ameryce. Ten wzór był bardzo prosty: zaciekawienie i aprobaty u tzw. zwykłych odbiorców, a niechęć, nie zawsze szczere lekceważenie, a za to często szczerą wrogość u „dawców” zmonopolizowanych faworów takich jak możliwość publikacji, wynagrodzenie za trud, stymulująca atmosfera i miejsce w oficjalnej hierarchii. Trudno mówić o *best-sellerach* w PRL gdzie książki drukuje się wg planu, a nie w zależności od ich popularności u czytelników, więc lepiej nazwać *Złego* książką rozrywaną, której pierwszy nakład znikł z księgarń w ciągu kilku godzin, a następne (charakterystycznie tylko dwa w okresie jej największej popularności w 1956 i 1957 i jeden z łaski w 1965) rozchodzily się albo spod lady albo jak szynka lub cytryny: „za ogonkiem, po sztuce na twarz”, po czym każdy egzemplarz wchodził w nieskończony łańcuch pożyczania. Świadomi konwencji elitarności kultury przez duże i namaszczone K inteligencji rozpoczęli wówczas rozmowę ostrożnym: „Czytałeś *Złego*? No i co o tym sądzisz?” i badali rozmówcę czujnym wzrokiem; gdy ten odpowiadał — zazwyczaj po krótkim wahaniu — „świetne, nie?!” twarze nagle się rozjaśniały, następowało entuzjastyczne przytaknięcie i interlokutorzy odczuwali nieodpartą chęć poklepania się nawzajem po plecach. W powietrzu wibrował niewykrzyczany aplauz: „ależ im ten Tyrmand zasunął!”.

„Oni” to były nie tylko przemilczane w książce władze komunistyczne, ale i nowy *high life* literacko-krytyczno-artystyczny, który w owym okresie — mówiąc ogólnie — nie odznaczył się szczególną niezłomnością i odpornością na sowytyzację kultury, natomiast jakby nigdy nic robił minę nieskalanego kapłana świętego ognia Wyższej Sztuki. W tych kręgach przyjęto książkę Tyrmanda jako „tanią szmirę”, a jego samego zaklasyfikowano jako „niepoważnego”. Ta ostatnia formułka towarzyszyła mu wiernie

aż do wyjazdu z Polski w końcu 1966 roku i prawdopodobnie utrzyma się czas jakiś i teraz jeszcze jako rodzaj egzorcyzmu na niewygodnego ducha straszącego na kartkach *Życia towarzyskiego i uczuciowego* (Paryż 1967) i *Dziennika 1954* (Londyn 1980).

Rzekomy brak powagi Tyrmanda był w istocie bezkompromisowością i prostolinijnością, które w połączeniu z kaprysmi wschodnioeuropejskiej historii nie pozwoliły mu na zrobienie tzw. kariery w sensie potocznym. Jego życie rozpada się na cztery fazy: okres przedwojenny w Polsce — tułaczkę wojenną w Niemczech i okolicach — dwudziestoletnią, wciąż nieco marginalną egzystencję w PRL — emigrację w Stanach Zjednoczonych. Każdy z tych okresów oznaczał konieczność rozpoczynania życia prawie od zera i nie sprzyjał sumowaniu się wyników. Tyrmand pochodził z warszawskiej rodziny inteligentkiej, niezamożnej ale bardzo dbałej o jego wykształcenie, gdyż po maturze w 1938 roku znalazł się w Paryżu, gdzie w bardzo skromnych warunkach zaczął studiować architekturę. Studia przerwała oczywiście wojna. W czasie okupacji Tyrmand został wywieziony na roboty przymusowe do Niemiec, gdzie m.in. pracował jako palacz i marynarz na statkach pływających do Norwegii; po próbie ucieczki w jednym z portów norweskich dostał się do obozu koncentracyjnego. Po kapitulacji Niemiec mieszkał jeszcze przez rok w Norwegii i Danii, skąd w 1946 roku wrócił do Warszawy i zaczął pracować jako dziennikarz. Przez krótki czas był członkiem redakcji *Ekspresu Wieczornego* i *Słowa Powszechnego*, w latach 1947-1949 *Przekroju*, a w latach 1950-1953 stale współpracował z *Tygodnikiem Powszechnym*, gdzie pełnił też funkcje administracyjne. Po zamknięciu *Tygodnika* w marcu 1953 roku (w odwet za odmowę zamieszczenia nekrologu Stalina) Tyrmand zrezygnował z etatowej pracy dziennikarskiej i utrzymywał się z doraźnych prac literackich i honorariów za książki aż do wyjazdu z Polski. Po krótkim pobycie we Francji w 1967 roku zamieszkał w Stanach Zjednoczonych: początkowo w Nowym Jorku, potem w jego pobliżu (Canaan, Connecticut), a od połowy lat siedemdziesiątych w Rockford niedaleko Chicago.

W Ameryce znalazł się Tyrmand już jako człowiek pod pięćdziesiątkę i znów musiał zaczynać wszystko na nowo, bo w kraju tym nie tylko europejski dorobek literacki ale i europejskie doświadczenia historyczne niewiele się liczą. Przekonał się o tym dość szybko: jego zabawne refleksje umieszczane w *The New Yorker* jako rodzaj felietonu, w którym postanowił programowo — jak to sam określił — „bronić Ameryki przed nią samą” (był to przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, czyli szczyt „Nowej Lewicy” i namiętnego antyamerykanizmu tamtejszej „wrzeszczącej mniejszości”) znów wytworzyły wokół niego aureę „niepoważności” i irytującego nonkonformizmu. Kontakty z *New Yorker'em* i lewicującym parnasem literackim się urwały i Tyrmand znów znalazł się w izolacji, aż do momentu gdy został zaangażowany przez Rockford College Institute of Illinois jako redaktor neokonserwatywnego pisma *Chronicles of Culture*. Początko-

wo było to właściwie tylko pisemko; pierwszy zeszyt z datą „wrzesień 1977” miał bardzo kiepski papier i oprawę graficzną, a jego treść — krytyczne recenzje tendencyjnych powieści feministycznych, chwalonych pod niebiosa przez „postępowców” z takich potęg jak *The New York Times* czy *Chicago Tribune* — wydawała się na tle dominującej mody nierozsądną i wręcz ryzykowną prowokacją. Taką prowokacją była deklaracja ideowa, rozpoczynająca inny periodyk rockfordzki pod redakcją Tyrmanda, mianowicie serię broszur politycznych pod nazwą *The Rockford Papers*. Warto przytoczyć jej fragment, bo dobrze charakteryzuje stanowisko autora *Dziennika 1954* wobec słowa pisanego nie tylko w Ameryce:

„Uważamy, że dzisiejsze czasy umysłowego niepokoju i zamętu moralnego wymagają powrotu do tradycji wyrażania zdania i oceny niezależnie od potężnych ośrodków opiniodawczych. Gigantyczny przemysł kształtujący opinię nazywa bezstronność cnotą. Jednakowoż wygodny brak różniczeń wytworza najczęściej apatyczną obiektywność, która z kolei rodzi obojętność, bezradność i cynizm. Chociaż będziemy starali się dążyć do prawdy, nie będziemy bezstronni. W naszych wystąpieniach punktem wyjścia jest zbiór moralnych zasad, które uważamy za sprawiedliwe, słuszne i obowiązujące. Zamierzamy ich bronić i zamierzamy interpretować to co dzieje się wokół nas zgodnie z naszym poczuciem dobra i zła. Może z tych właśnie względów poświęcona tradycja, indywidualistyczna i zorientowana na wartości sztuka polemicznego pamfletu przeżywa tak widoczny renesans. Gdy przekonania wyrażane są w sposób świadczący o uczciwości i zaangażowaniu i przekazują wysiłek umysłowy i przekonywujące rozumowanie, opinie takie prędzej czy później prowadzą do zmian. Historia zachodniego świata jest tego dowodem.” (*The Rockford Papers*, Oct. 1976).

Oba pisma rockfordzkie prowadzone były w tym duchu. *Chronicles*, które szybko rozrosły się do kilkudziesięciostronicowego dwumiesięcznika na dobrym papierze i z kolorowymi ilustracjami poświęcone były głównie zwalczaniu utworów literackich i filmowych, wyrosłych z ducha lewicującego „liberalizmu” w sensie amerykańskim (antyamerykanizm, pacyfizm, sentymentalny porewolucjonizm — każdy, kto widział jakikolwiek film z Jane Fonda i Robertem Redfordem wie o co chodzi); pismo zorganizowane było wokół schematu: komentarz redaktora (tzn. Tyrmanda) i recenzje pióra różnych współpracowników, przeważnie profesorów małych *college'ów* typu Rockfordu. *Papers* zawierały przeważnie tylko jeden tekst, często samego Tyrmanda, na tematy polityczne. Przykładowo przytaczam dwa tytuły: „Polityka amerykańska u progu lat osiemdziesiątych” (vol. 14, 2, 1979) i „Środki masowego przekazu jako współczesne niebezpieczeństwo” (vol. 5, 4, 1980). Nietrudno domyślić się, że teksty te zawierały ostrą krytykę polityki zagranicznej Cartera i oskarżenie mediów amerykańskich o tendencyjność i manipulowanie opinią publiczną w modnym, tzn. anarcholewicowym stylu.

Sądząc po ilości tekstów Tyrmanda — z których można by i należało zrobić *polską* antologię (i byłaby to dobra książka), rosnącej objętości rockfordzkich wydawnictw oraz fakcie, że Ins-

tytuł rockfordzki (w ostatnich latach usamodzielniony) prowadzi też działalność odczytowo-sympozjonową — ostatnie lata życia autora *Złego* były wypełnione bardzo intensywną pracą. Być może przyczyniła się ona do jego przedwczesnej śmierci, ale musiała mu dawać dużo satysfakcji. Walczył i to walczył z pozycji, którą cenił: słabszego przeciw mocniejszemu. Rockford to mimo wszystko prowincja, *Chronicles* po *New Yorkerze* to było przejście z wysięgowego konia na kucyka, a moralizatorska publicystyka dla autora rozchwytywanych niegdyś powieści musiała mieć smak nieco dietetyczny, ale z pewnością uważał, że to co robi ma sens. Czuł się amerykańskim patriotą nie odżegnując się od swej polskiej przeszłości, choć uważał ją za rozdział zamknięty z winy systemu jaki w Polsce zapanował po wojnie. Czytając teksty Tyrmanda z różnych „faz” jego życia uderzyło mnie, jak często używa słowa „my” („my w *Tygodniku Powszechnym*”, „my w *Kulturze*”, „my w Ameryce”): musiał mieć wielką potrzebę przynależności do grupy, której historię i cele szanował. Często powtarzające się fiaska tej przynależności — czy to z winy historii, czy też jego zygakowatej biografii — musiały być bolesnym przeżyciem. Był wdzięczny Ameryce za wielkie „my”, jakiego ten kraj wciąż jeszcze udziela. Warto przytoczyć tu dwa fragmenty *Editor's Comment* z numeru *Chronicles* poświęconego zagadnieniu patriotyzmu (vol. 4, 3, 1980):

„Wszędzie na świecie panuje mocne przekonanie, że nikt o nazwisku Rabinowicz nie może i nie powinien być *cowboy'em* — byłoby to zarówno niewykonalne jak niewłaściwe. Wszędzie — z wyjątkiem Ameryki. ... Nikt [w Ameryce] nie widzi niczego niestosownego w postaci trapera o ormiańskim nazwisku. Nikogo to nie obchodzi. Tymczasem w Europie ludzie się tym przejmują, czasem aż za bardzo. Niezgodność narodowa wydaje im się sprzeczna z patriotyzmem. Toreador o nazwisku Rabinowicz oznaczałby koniec hiszpańskiej kultury i to nie tylko w oczach Hiszpanów. Każdy Europejczyk miałby poczucie, że chaos zapanował nad naturalnym porządkiem rzeczy i że wierność symbolom i rzeczywistości straciła wszelkie znaczenie. I w tym właśnie punkcie patriotyzm i szowinizm zaczynają się rozchodzić”.

I drugi cytat:

„W zasadzie elity są wdzięczne za swoje dobre życie i stwarzają, często kłamliwie i cynicznie, paradygmat patriotycznego przywiązania do kraju, który daje im tak wiele i traktuje je tak dobrze. W Europie i w Azji elity są patriotyczne, niekiedy szczerze, niekiedy z racji wielowiekowych konwencji i głęboko zakorzenionych lęków. W Ameryce elity zawsze podkreślały swą niezależność od reszty społeczeństwa. Tak więc dość typowe dla dużej części amerykańskiej elity jest eksponowanie antypatriotyzmu jako wyrazu najwyższego wyrafinowania intelektualnego i moralnego wyczerlenia. Niezależna różnorodność amerykańskiej powszedniości — obfitująca w zdarzenia, zagadnienia i problemy domagające się natychmiastowego i zaangażowanego stanowiska — świetnie nadaje się na boisko dla gier sumienia, które tak lubią uprawiać bogaci”.

Sprzeciw Tyrmanda wobec amerykańskich postępowców („*rozbuchanych palantów, którzy lepiej wiedzą co jest dobre dla Cze-*

*chów niż sami Czesi*”, jak to określił w *Wiadomościach*, pisząc o kwaśnej reakcji nowojorskich „liberałów” na Wiosnę Praską) miał podwójne źródło: obok naturalnej reakcji człowieka, który wie dokąd prowadzą flirty z komunizmem i próbuje tych, którzy o tym nie wiedzą przestrzec, poruszała nim obawa o całość i jakość tego tak późno w życiu odnalezionego „my”. Bał się, że dzięki potężnym możliwościom współczesnych mediów elitarne „gry bogatych” rozpowszechnią się i osłabią Amerykę, którą traktował jako najbliższy liberalnemu (w sensie europejskim) ideałowi model społeczeństwa i jako jedyną przeciwwagę inwazji komunizmu, który uważał za uosobienie zła. Te poglądy — jakżeż „niepoważne” i „symplicystyczne”! — były w Ameryce lat siedemdziesiątych równie prawie niepopularne jak w PRL i fakt, że je głosił otwarcie i uparcie jest jednym z elementów wyjaśniających pozorny paradoks, że i w Stanach Tyrmand był *persona non talis grata* i że nie zrobił „kariery”. Należy się za to jego pamięci tym większy szacunek.

Dotychczas mowa była o Tyrmandzie jako o postaci, nie jako o pisarzu i nie znający jego twórczości czytelnik może zapytać w tym miejscu: dobrze, ale jak pisał — jak Joyce, czy jak Dołęga-Mostowicz?! Uczciwa, czyli nienekrologiczna i niearoganka odpowiedź winna chyba brzmieć: ani, ani... Zróbmy najpierw przegląd jego twórczości.

Debiutem książkowym Tyrmanda był zbiór czterech opowiadań pt. *Hotel Ansgar* (1947), osnutych na przeżyciach wojennych autora. Następną pozycją był *Zły* (1955), o którym była mowa powyżej. Podkreślić należy, że dopiero od tej książki stał się w Polsce sławny, ale nie znaczy to, że przedtem był nieznan: jego zamieszczane w różnych czasopismach recenzje teatralne i reportaże zwróciły nań uwagę czytelników znacznie wcześniej. Nazwisko „Tyrmand” sygnalizowało tekst zawsze żywo napisany, pełen barwnych sformułowań i bystrych obserwacji; pamiętam do dziś zachwyty z jakim czytałem w *Tygodniku Powszechnym* jego trzy długie reportaże, a ściślej eseje socjologiczne o trzech ośrodkach polskiego stylu wakacyjnego i w ogóle wyhyrności na pokaz: Zakopanem, Jastarni i jeziorach mazurskich.

Okres zaraz po *Złym* i po *Październiku* wydawał się przełamanie jego złej passy: w 1957 opublikował trzy pozycje. Był to drugi zbiór opowiadań pt. *Gorzki smak czekolady Lucullus*, książka o muzyce jazzowej *U brzegów jazzu* i — nigdy nie wydana w osobnej formie — powieść w odcinkach (w *Kurierze Polskim*) pt. *Wędrowni i myśli porucznika Stukułki*. O opowiadaniach Tyrmanda panuje do dziś raczej zła opinia; powtórzył ją niedawno Roman Zimand w poświęconym *Dziennikowi 1954* szkicu (*Tyrmand '54*, w: *Literatura źle obecna (Rekonosans)*, Londyn 1984). Nie całkiem się z nią zgadzam. Uważam wojenno-przygodowe opowiadania typu *Niedzieli w Stavanger* za dobrą lekturę rozrywkową i rodzaj etiud do bardzo udanej, tzn. stylistycznie zwartej i „wytrzymałej w tonie” powieści *Filip* (1961), która jest



niewątpliwą fortą w dorobku pisarskim Tyrmanda. Słabsze są nowelki o zacięciu dydaktycznym np. *Hanka* — o obiecującej młodej pływaczce, zagrożonej pokusami towarzyskimi w postaci papierosów i alkoholu — ale pewnym usprawiedliwieniem jest tu fakt, że utwory te miały charakter filmowo-komercyjny; Tyrmand sprzedawał je (czy też usiłował sprzedać) Szkole Filmowej jako materiał do krótkometrażówek dyplomowych w okresie stalinowskim. Pisano wtedy rzeczy *dużo* gorsze!

*Filip* zawiera niewątpliwie dużo materiału autobiograficznego. Jest to opowieść o młodym Polaku z Wileńszczyzny, który zgłasza się dobrowolnie na początku okupacji na roboty w głębi Niemiec; wyraźnie liczy na to, że w oku cyklonu łatwiej ocali życie. Urokiem tej powieści jest nie tylko kolorowa fabuła, ale i dobrze uwypuklona głębsza „idea” Filipa: usiłuje on ocalić nie tylko życie, ale i godność; we wszystkich tarapatach i niebezpieczeństwach obok instynktu samozachowawczego bohater zachowuje pewne ekstra — fason, podkreślenie lepszosci, postawę „nie dać się zgnoić”. Apaszka na szyi, wyraźnie zaznaczona odrębność od tłumy „czarnoraboczych”, skłaniająca Niemców do przydzielenia Filipowi osobnego pomieszczenia w baraku jako rzeczy oczywiście i wynikającej samej z siebie, całe sympatyczne knajactwo postaci tytułowej posłużyło autorowi do wyrażenia myśli drogiej mu osobiście, mianowicie że szanuje się tylko ludzi, którzy się sami szanują. Książka Tyrmanda była też jedną z niewielu powieści o okupacji, w której złamany został schemat martyrologiczny: jego Filip był nie tyle ofiarą, co słabszym przeciwnikiem Niemców. Mimo wielkiego powodzenia powieści, która rozeszła się jak ciepłe bułki, nigdy już jej nie wznowiono.

Dalsza twórczość Tyrmanda należy już do okresu emigracyjnego. Na jego początku wydał napisaną jeszcze w Polsce powieść o środowisku literacko-artystycznym Warszawy lat sześćdziesiątych pt. *Życie towarzyskie i uczuciowe* (Paryż 1967). Powieść ta zawiera wszystko to, co zostało „wylekceważone” w *Złym*: atmosferę miejsc i reakcje ludzi poddanych sowietyzacji. Uchodzi ona za złośliwy pamflet z kluczem, choć kiedy spytałem wprost Tyrmanda w Nowym Jorku czy to prawda, że powieściowcy Hryniewicz to ..., a Felak to ..., odpowiedział: „nie, to są sylwetki syntetyczne, każda złożona z paru osób”. Skłonny jestem w to wierzyć: Tyrmanda zawsze bardziej interesowała typowość, niż wyjątkowość, był bardziej karykaturzystą sytuacji niż portrecistą osób. Widoczne jest to nawet w *Dzienniku 1954*, który jest nie tyle zapisem trzech pierwszych miesięcy tytułowego roku, ile ich stylizacją; określiłbym ten utwór jako *sui generis* powieść tworzoną na żywo (bo niewątpliwie zapiski te powstały z dnia na dzień) przy użyciu autentycznych postaci i zdarzeń. *Dziennik* oczywiście nie mógł się ukazać w Polsce (mały jego fragment został wydrukowany w 1957 w *Tygodniku Powstającym*); w całości został wydany dopiero w Londynie w 1980 roku (Polonia Book Fund), a uprzednio wybór z niego ukazywał się przez dłuższy czas we *Wiadomościach*.

Inne pozycje Tyrmanda z okresu emigracyjnego to: dwutomowy wybór tekstów z *Kultury* po angielsku (*Explorations in Freedom* i *KULTURA Essays*, New York 1970), zbiór aforystycznych obserwacji na temat Ameryki, Europy zachodniej i Izraela (w tym część tekstów z *The New Yorker*) pt. „Notebooks of a Dilettante” (NY 1970), polska wersja powieści *Siedem dalekich podróży* (Londyn 1975; angielska wersja ukazała się była już w 1959) i rodzaj pamfletu na komunizm pt. „Cywilizacja komunizmu” (Londyn 1972; rok wcześniej ukazała się wersja angielska). Najlepszą wśród tego pozycją oryginalną jest niewątpliwie „Notatnik”, zawierający wiele przekornych sformułowań, pozostających w opozycji do ówczesnej mody (np. „Nie chcę wydać się mizantropem, ale muszę wyznać, że jeśli o mnie chodzi, każdy poniżej trzydziestki wydaje mi się beznadziejnie nudny”).

Wróćmy teraz do zaczętego wcześniej pytania: jaka jest wartość literacka tego wszystkiego? Odpowiedź zależy od tego, jakie gatunki zaliczy się do literatury, a jakie do „piśmiennictwa”. Czy *Pamiętniki Paska* to literatura czy piśmiennictwo? Wspominam o Pasku, ponieważ uchodził on za klasyka gatunku zwanego „gawędą”, a do takiegoż gatunku zaliczyłbym prozę Tyrmanda — i zaklasyfikował ją w tych ramach wysoko. Oczywiście to inny rodzaj gawędy, niż barokowa. Proza Tyrmanda to *récit* wschodnioeuropejskiego inteligenta o humanistycznym wykształceniu i pełnej świadomości, że jest ono jedynie mało przydatnym symbolem „lepszości” w świecie, gdzie bardziej realne bywają odpowiednie stosunki, umiejętność pędzenia bimbru, celny sierpowy i łapówka. Właściwym stylem w tej sytuacji jest postawa pośrednia, *the best of both worlds*: wyszukany przymiotnik, ironia i aluzje do Prousta, Röpke lub Kubusia Puchatka jako elementy postawy nie-rezygnowania-z-lepszosci oraz gwarowy skrót, dowcip-sierpowy i analiza sytuacji w kategoriach przyjętych w realnym otoczeniu jako oznaki nie-bycia-frajerem czyli inteligencji *tout court*. Tyrmand był mistrzem tego stylu, który „niesie” nawet jego mniej ambitne rzeczy, zdobi jego popularne z zamierzenia powieści i przekształca *Dziennik* z dokumentu w utwór literacki. Jest w jego stylu podobna „genialność cynizmu” (termin Irzykowskiego) jak u Witkacego, choć Tyrmand nie był cynikiem i jego pasja moralizatorska psuje mu niekiedy warstwę stylistyczną: aprobata zbyt jaskrawo odbija od dezaprobaty, podróż do kresu nocy zbyt łatwo przechodzi w harcerski biwak na słonecznej polance i na odwrót. Niemniej czytelnik zachowuje we wdzięcznej pamięci barwne opisy, *ad hoc* stwarzane celne stereotypy („towarzyszka Błatmanowa”) i charakterystyki-rezonanse, odwołujące się do znajomości świata u odbiorcy („... *Kapuza miał nalaną twarz chłopskiego dygnitarza, byczy kark i podejrzaną, płaski lok na czole; ...*”). Jaka szkoda, że nigdy już nie przeczytamy napisanego tym stylem amerykańskiego odpowiednika *Życia towarzyskiego i uczuciowego*, rozgrywającego się pomiędzy Park Avenue, Greenwich Village, małym uniwersytetem w Indianie i Palm Springs! Myślę, że nie tylko ja jeden liczyłem

na taką książkę od momentu gdy Tyrmand zamieszkał w Stanach Zjednoczonych...

Na końcowych stronach *Dziennika 1954* znaleźć można wzruszające wyznanie:

„Gdybym miał określić mą najgłębiej ukrytą, niewidzialną gołym okiem, toczącą mnie od wewnątrz wadę, rzekłbym, że jest nią niesolidność. To termin złożony i rozciągliwy, w moim wypadku. Ani mój ubiór, ani punktualność, ani słowność, ani systematyczność życia i nawyków, ani wrodzony konserwatyzm, ani pedanteria i wrodzone umiowanie porządku, ani rzetelność w stosunkach z ludźmi i w sprawach codziennych, nie dają pojęcia o mej niesolidności, oczywiście świadczą przeciw niej. [...] To co wiem — wiem niesolidnie. Jestem intelektualnym dorobkiewiczem, bez skodyfikowanego treningu naukowego, czyli bez wykształcenia koniecznego do porania się z tym wszystkim z czym chcę i zamierzam się porać. Czytałem książki, to prawda, lecz co z tego? [...] Wybierając kulturę jako warsztat, postąpiłem niesolidnie. Ukarany zostałem permanentnym *handicap'em*, towarzyszyć mi będzie do końca mych dni. I nieprzespanych nocy, podczas których wiem o sobie o tyle więcej niż za dnia”.

Myślę, że był za surowy w tej samoocenie. Miał duże czytanie, dobry styl, żywą inteligencję, bezbłędne rozeznanie problemów moralnych: gdyby chciał być *naprawdę* niesolidny i stworzyć pozór intelektualisty zajętego wyłącznie teorią, ogólnikami i piękną, dźwięczną frazą bez wyraźnej treści — potrafiłby to osiągnąć, potrafiłby być „poważnym”. Ale interesowało go i bawiło życie zwykłych ludzi w tym samym stopniu, co teorie socjologiczne, jazz i architektura i szedł za swym prawdziwym powołaniem: inteligenta w świecie kultury masowej. Chciał wpływać na bieg spraw zgodnie ze swym przekonaniem i sumieniem, co przyczyniło mu wrogów, lekceważenia i sławy człowieka „niepoważnego”. Niestety, bo myśli które wyrażał, sprawy których bronił, zjawiska które zwalczał były i są poważne i Tyrmand widział je dobrze, we właściwej perspektywie. Są ludzie, którzy odchodzą w glorii, lecz ślad ich szybko się zaciera. Sądzę, że z Tyrmandem będzie odwrotnie, że jego sylwetka będzie rosła i twórczość będzie wznowiana aż zostanie tak jak na to zasłużył — w pełni przypomniany.

M. BRONSKI

## Książki

### Ludzie i pojęcia

(O POWIĘSCIACH MILANA KUNDERY)

Z pięciu powieści Milana Kundery tylko pierwsza, *Żart*, ukazała się w Czechosłowacji (1967). Po inwazji sowieckiej pisarz opublikował jeszcze zbiór opowiadań pt. *Śmieszne miłości* (1969), po czym objęty został całkowitym zakazem druku. Odtąd wszystkie jego książki ukazują się najpierw we Francji: *Życie jest gdzie indziej* (1973), *Walczyk na pożegnanie* (1976), *Księża śmiechu i zapomnienia* (1978) i ostatnia, wydana także przez *Aneks* w tłumaczeniu Agnieszki Holland, *Nieznosna lekkość bytu* (1984). Od roku 1975 Kundera mieszka we Francji.

Jedną z najwspanialszych cech tego pisarza jest jego wiara w literaturę i jej siłę poznawczą. Jego ulubieni autorzy XX stulecia to Broch, Musil, Hašek, Kafka i Gombrowicz — wszyscy pochodzący z owego terytorium, które Kundera nazywa w swoich esejach Europą Centralną: małe, ustawicznie zagrożone w swojej państwowości kraje, które owemu zagrożeniu przeciwstawiają wyostrzoną świadomość bytu. Kraje, w których ruchy narodo-wo-wyzwoleńcze zaczynają się od literatury. Kto wie, czy nagrody Nobla dla Miłosza, Singera i Seiferta nie są podświadomym hołdem złożonym przez świat owemu płynnemu, ale jakże realnemu pojęciu.

Swoją postawą polityczną i estetyczną Kundera najbliższy jest jednak Nabokowowi, który na pewno poczułby się dotknięty całkowitym wyłączeniem Rosji z europejskiej kultury. Zaś jego sytuacja na Zachodzie — pisarza cenionego, ale niepopularnego (lub rozumianego opacznie), chwalonego, ale niepopularnego, przypomina do złudzenia sytuację V.S. Naipaula (specjalisty od Trzeciego Świata), z którym łączy go ogromny talent prozatorski i zamiłowanie do wygłaszania prowokacyjnych opinii politycznych. W jednym z amerykańskich tygodników ukazał się niedawno (pełen rewerencji) artykuł o twórczości Naipaula, którego autor zarzucał pisarzowi, że nie potrafił zdobyć się na obiektyw-

ną ocenę Islamu. Jest coś horrendalnego w stwierdzeniu, że pisarz nie ma prawa do wyrażania swoich antypatii i subiektywnych sądów. I nie ma co się dziwić, że na pytanie, dlaczego pisze, Naipaul odpowiada: „Piszę z wściekłości”.

W jednym z esejów Kundera określa sam siebie jako hedonistę uchwyconego w potrzask bezgranicznie upolitycznionego świata. Jego powieści toczą się na gościńcach, podobnie jak powieści ukochanych przez niego klasyków europejskiej prozy — Cervantesa i Diderota. Jest to gościniec czeskich emigrantów, wygnańców z własnego kraju. Ich „przygoda” jest przygodą natury politycznej i egzystencjalnej, jest to przygoda wygnańców naszych czasów. Kundera przygląda się im ze zmiennego dystansu: przez lupę, przez mikroskop, i z wysoka, z wieży własnego wygnania w Rennes, o której w *Księdze śmiechu i zapomnienia* powiada, że zwrócona była na wschód, w stronę Pragi.

Dwie pierwsze powieści, *Żart* i *Życie jest gdzie indziej*, toczyły się wyłącznie w Czechosłowacji. Trzecia, *Walczyk na pożegnaniu*, jest zarazem pierwszą, w której jeden z bohaterów — pokrzywdzony przez system, przez lata więziony, zdradzony przez przyjaciół — decyduje się na emigrację. Kundera doprowadza go do granicznego szlabanu, w ostatniej niemal chwili każe mu dostrzec twarz kobiety, którą mógłby pokochać, a tuż przy szlabanie małego chłopca w za dużych okularach. Jakub wyjeżdża pusty — lub, posługując się terminologią z ostatniej powieści — obciążony lekkością życia — z gorzkim przeświadczeniem, że dopuścił się zdrady wobec ludzi, którzy, jak ów chłopiec, urodzili się z niezawinioną przez siebie wadą. Także wobec morderców i zdrajców. I to jest sentymentalne. Ale Jakub odjeżdża także z przeświadczeniem, że opuszcza jedyne miejsce, w którym jego życie przedstawiało jakąkolwiek wartość. I to jest głęboko prawdziwe.

W *Księdze śmiechu i zapomnienia* opowiada Kundera o czeskich emigrantach, o Czechach w kraju i o mieszkańcach Zachodu. Ci ostatni to figury wycięte z papieru, karykatury, parodie. Na Zachodzie utarła się opinia, że Kundera umie pisać wyłącznie o swoich rodakach. Ale groteskowość reprezentantów Zachodu, tak ostro skontrastowana z wielostronnymi studiami emigrantów (czy też po prostu Czechów), jest absolutnie świadoma. Kundera pozbawia ich wymiaru realistycznego, pozwala im istnieć wyłącznie dzięki ich głupocie i typowości. Liberalna myśl Zachodu, która tak urzekła pisarza w powieści Diderota, nabrała z czasem cech własnej karykatury. Kundera opisuje Zachód w jego prawdziwej postaci, tak jak mu się on autentycznie przedstawia.

Jego ulubionym modelem powieści jest *Tristram Shandy* L. Sterne'a, powieść-gra, powieść-zabawa, powieść pełna niekończących się dygresji i nonszalancko porzuconych wątków, powieść, w której pisarz zachowuje całkowitą swobodę wobec bohaterów i czytelnika. „Żadna powieść godna tej nazwy — pisze Kundera — nie traktuje świata poważnie”. Powieść jako gra

i święty brak powagi marzyły się także Gombrowiczowi. Podobnie jak szmuglowanie współczesnej wiedzy o świecie i człowieku w starych, klasycznych formach. Podobieństw jest więcej: zamiłowanie do pojęć i ustawianie ich parami, formowanie według nich charakterów postaci, wręcz traktowanie pojęć na równi z bohaterami powieści. Jak u Gombrowicza młodość i dojrzałość, czy wyższość i niższość, tak u Kundery pamięć i zapomnienie, lekkość i ciężar, śmiech diabelski i śmiech anielski, współodczuwanie i litość. Wreszcie tak chętnie przez obydwo stosowany element dekompozycji: wytrącania z równowagi, z powagi, z Formy.

Nie traktować świata poważnie, znaczy kwestionować wszystko, co świat (i powieść) podają nam do wierzenia. Wątpić za wszelką cenę. Kundera pragnie jednak, abyśmy mu wierzyli, i jeśli korzysta z pełnej swobody narracji, jeśli miesza gatunki i style, to czyni to między innymi po to, aby prawdziwość jego opowieści dotarła z wielu stron do czytelnika, zaatakowała go, przekonała. Mówiąc inaczej: różnorodność stylów i gatunków, z których wszystkie prowadzą do tej samej, psychologicznej i politycznej puenty — są dowodem na jej prawdziwość.

W pięknym esej *Zakład czeski (Zeszyty literackie nr 1, 1983)* Kundera pisze z niekłamanym zachwytem o Szwejku, który swoim śmiechem i odmową zaangażowania sprowadził do absurdu pierwszą wojnę światową. W *Księdze śmiechu i zapomnienia* opisuje — niemal na modłę średniowiecznych traktatów — dwa rodzaje śmiechu: śmiech diabła i śmiech anioła. Pierwszy wskazuje na bezsensowność rzeczy, wyszydza je, unieważnia. Drugi wyraża kretyńskie zadowolenie z istniejącego porządku świata. Kundera cytuje fragmenty książki dwóch francuskich feministek, głoszących apologię „śmiechu dla śmiechu”, śmiechu wywołującego radość życia. Przypominam: „śmiech dla śmiechu” był częścią ideologii „powrotu do natury”, tak modnej na Zachodzie pod koniec lat sześćdziesiątych.

Umierający Jaromil w powieści *Życie jest gdzie indziej* wyznaje uszczęśliwionej matce, że żadnej kobiety nie kochał tak jak jej. Żona Szwajcara, Franza, w *Nieznośnej lekkości bytu* opowiada po jego pogrzebie, że zginął z miłości do niej, z poczucia winy za zdrady. Jednym z wielkich tematów Kundery jest gwałt na cudzej duszy, przywłaszczanie sobie człowieka, to, co potocznie nosi nazwę psychicznego szantażu. Kundera jest pisarzem wiwisekcji psychologicznej, bezlitosnym w demaskowaniu najczulszych, najbardziej nawet subtelnych sposobów dominowania jednego człowieka nad drugim.

Pola osobiste i polityczne zacierają się, nachodzą na siebie. Ale z tego przenikania wynika jednoznacznie, że przyczyny korupcji uczuciowej są identyczne z przyczynami korupcji w życiu politycznym, publicznym. W jednym z esejów Kundera podkreśla, że Kafka był człowiekiem apolitycznym. To, co uczyniło jego powieści wizją przyszłości, czerpał wyłącznie z życia rodzinnego

i z własnego biura. „Kafkowski świat — pisze — nie sprowadza się ani do sfery prywatnej, ani do sfery publicznej: dotyczy ich obydwu. Życie publiczne jest zwierciadłem życia prywatnego, a prywatne publiczne”.

Drugim wielkim tematem jest erotyka. W wieku sztuki otwartej dla wszelkiej pornografii i pozbawionej przez to erotyzmu i zmysłowości, Kundera uczynił akt seksualny tematem pasjonującym. Przywrócił powieści tradycyjne przeświadczenie o dwoistości duszy i ciała, dwoistości, która najostre ujawnia się w życiu seksualnym. Akt płciowy, pociąg erotyczny w powieściach Kundery określają człowieka i same są określane przez jego osobistą historię. Wynikają, tak jak postawy polityczne, z całokształtu jego osobowości.

Trzeci motyw: polityka. W epoce prozy i poezji usychającej pod presją politycznych opcji, Kundera uczynił swoje powieści trybuną, z której, bez formalnego nawet kamuflażu, osądza politykę i historię. Jest nieustrudzony w opisywaniu deprawacji Czechów przez komunizm, deprawacji świata zachodniego przez idee „postępu społecznego”, zatrącenie podstawowego instynktu moralnego i ślepego miłość do utopii, czy — jak to określa w swojej ostatniej książce — pragnienie uczestniczenia w Wielkim Marszu. Jak to możliwe, pyta w *Nieznosnej lekkości bytu*, opisując podróż zachodnich lekarzy i intelektualistów do granicy Kambodży, że lewicowi intelektualiści decydują się maszerować przeciwko krajowi komunistycznemu? I odpowiada: „Powiedziałem już przecież, że tym, co robi z lewicy lewicę, jest kicz Wielkiego Marszu. O naturze kiczu nie stanowi strategia polityczna, ale obrazy, metafory, słownik. Można więc naruszyć obyczaj i maszerować wbrew interesom któregoś komunistycznego kraju. Ale nie można zamienić słowa na inne słowo. Można grozić pięściami armii wietnamskiej. Nie można na nią krzyknąć: „Precz z komunizmem!”. „Precz z komunizmem!” jest hasłem wrogów Wielkiego Marszu. A ten, kto nie chce stracić twarzy, musi zachować wierność czystości swojego kiczu”.

W epoce, kiedy powieść — poza powieścią południowo-amerykańską — boryka się z problemem autora, narratora, bohatera i ich wzajemnych stosunków, Kundera przyjmuje postawę pozornie zupełnie swobodną, w rzeczywistości formalnie i treściowo skrupulatnie przemyślaną. Ujawnia się jako autor i narrator, zna swoich bohaterów na wylot i nie ukrywa tego, często podkreśla, że przed napisaniem książki długo o nich myślał. Swobodnie komentuje ich charaktery i zachowanie, tłumaczy ich i osądza. Nigdy jednak nie posuwa się do manipulacji; nie osadza ich w sytuacjach obcych im z natury. Prowadzi ich do pewnego momentu w ich życiu i zatrzymuje obraz. Potem pozwala im samym przeglądać się w tym obrazie. Odwraca szpulę, każe im zastępnąć i jeszcze raz puszcza w ruch tę samą klatkę filmową, ale w innym rytmie, zatrzymując się na innych, albo tych samych, ale wzbogaconych o historię detali. Nie ma w prozie Kundery najdrobniejszego szczegółu, który by nie po-

siadał wielorakiego znaczenia. Czarny melonik w *Nieznosnej lekkości bytu*, który Sabina (czeska malarka, emigrantka w Szwajcarii) odziedziczyła po ojcu, służy jako rekwizyt erotycznej gry, ale jest także jedynym przedmiotem, który emocjonalnie wiąże ją z przeszłością.

W powieściach Kundery jeden człowiek autentycznie staje się przeznaczeniem drugiego. Z zapierającą dech precyzją pisarz przedstawia smutek egzystencji ludzi, miotanych między cudzym i własnym fałszem, nie pojmujących motywów własnego postępowania i nie pragnących ich pojąć. Zrozumienie oznacza bowiem nazwanie, nazwanie nosi w sobie zarodek, niebezpieczeństwo samopoznania i samooceny. Istnieją idealne związki oparte na idealnym braku porozumienia, jak związek Jana i Hedwig w *Księdze śmiechu i zapomnienia*. I z tej samej książki — jeden jedyny na wszystkie powieści — związek oparty na miłości i zrozumieniu. Jest to małżeństwo Mirka i Taminy. Innym szlachetnym wyjątkiem jest żona Tomasza, Teresa w *Nieznosnej lekkości bytu*, której żywiołem jest czysta miłość, patologiczna zazdrość i nieludzka wierność. Najlepsi z nich, najautentyczniejsi — jak Tamina, o której Kundera powiada, że „podróżuje w tył”, zapetrzona w swoją czeską przeszłość — zostają powaleni przez pamięć (lub strach o jej utratę), albo jak Tomasz, przez umiejętność współodczuwania z innymi, poczucie odpowiedzialności, akceptację „ciężaru życia”. Lub jak odwrotność tych trojga, Sabina, która odcina się od przeszłości, ucieka od pamięci, przenosi się — coraz bardziej wolna i lekka — z jednego miejsca na drugie, aby w końcu niemal dosłownie rozpuścić się w powietrzu.

Kilka słów o Taminie. Najpiękniejsza, najbardziej wyidealizowana ze wszystkich postaci Kundery, Tamina jest barmanką w prowincjonalnym mieście we Francji. Po śmierci męża celem jej życia staje się odzyskanie pozostawionych w Pradze dzienników i miłosnych listów. Kiedy młody francuski lewicowiec, który obiecał jej, że pojedzie do Czechosłowacji, zawodzi — Tamina daje się uwieść dzieciom. Skuszona przez młodego człowieka w dżinsach imieniem Rafael — jest to także imię jednego z trzech „archaniołów” odpowiedzialnych za ideę „śmiechu dla śmiechu” — ucieka w świat pozbawiony ciężaru pamięci. Łąduje na wyspie dzieci, przeżywa całą groźbę ich szczebiotu i wyuzdanej niewinności, i tonie podczas próby ucieczki, chłodno przez nie obserwowana. Jest to jedna z najwspanialszych metafor Kundery, opowiedziana w poetyce przeraźliwie realistycznego snu. I jeden z najdotkliwszych symbolów Zachodu, uwiedzionego w latach sześćdziesiątych przez Młodość. Tę metaforę dopełnia końcowy rozdział, zatytułowany *Granica*, którego bohaterem jest Jan — inny czeski emigrant — a który toczy się na innej idyllicznej wyspie, gdzie goli intelektualiści rozprawiają o kryzysie systemu wartości judeo-chrześcijańskich i o konieczności zrzucenia kostiumu cywilizacji. Janowi przychodzi do głowy, że nagość jest strojem śmierci. Że nadzy byli Żydzi, pędzeni do krematoriów.

Postacie Kundery powtarzają się. Z książki na książkę rozpoznajemy te same typy matek, kochanek, żon, mężczyzn nie potrafiących dochować wierności kobietom, kobiet zapiekłych w absolutnym oddaniu i poddaństwie, matek kompensujących własne klęski nadmierną miłością lub nienawiścią do dzieci. Kundera pisuje nową, współczesną komedię ludzką, która jest zarówno komedią pomyłek, jak komedią przeznaczeń, historii i charakterów. I pisze od nowa historię swego kraju: euforię Praskiej Wiosny, o której na Zachodzie pamięta się dziś, że miała miejsce w tym samym czasie, co studencka rewolta w Paryżu. „Upojenie nienawiścią” w pierwsze siedem dni po inwazji, przesładowania i letarg. Opisuje cmentarz pogrzebanych nadziei Węgiei, Czechosłowacji, Polski. I Zachód, którego mentalność i wiodące mody ideowe odpowiadają w całości tytułowi jego ostatniej książki: niezdolność lekkość bytu.

„W oczach poety — pisze Kundera w eseju *Gdzieś tam w głębi* (*Zeszyty literackie* nr 2, 1983) — historia jest o dziwo w sytuacji podobnej do jego własnej: nie tworzy, lecz odkrywa. Poprzez nowe sytuacje ujawnia, czym jest człowiek, co w nim „od bardzo, bardzo dawna” tkwi, do czego jest zdolny”. Kundera jest jednym z nielicznych współczesnych pisarzy, który umie konfrontować swoich bohaterów z historią. „Jedynie kontekst dzieła — powiada w jednym z esejów — może we właściwy sposób odsłonić i umożliwić zrozumienie jego wartości (tzn. wagi tego, co odkrywa)”. Kontekstem dzieła Kundery jest coraz bardziej totalitarny świat, świat masowych ideologii, masowych demonstracji, masowych środków przekazu. I tragedia jego własnej ojczyzny. Kundera broni pamięci narodowej przed kiczem i zapomnieniem. W *Księdze śmiechu i zapomnienia* nazywa Husaka — który wygnał z kraju lub poprzemieniował w tragarzy wybitnych pisarzy, historyków, naukowców — „prezydentem od niepamięci”. W *Niezdolności lekkości bytu* powiada: „Zanim zostaniemy zapomniani, przemieni się nas w kicz. Kicz jest stacją tranzytową między bytem a zapomnieniem”.

Historia powieści, powiada Kundera w jednym z esejów, przypomina „cmentarz straconych szans”, „nieusłyszanych apeli”. I wymienia cztery „apele”, które — zapomniane, jak twierdzi, przez współczesnych pisarzy — wydają mu się godne podjęcia. To „apel” gry i zabawy, jak w *Tristramie Shandy* i *Kubusiu Fatalisście*, „apel” snu, jak w powieściach Kafki, w których dokonało się „zespolecie marzenia z rzeczywistością”, „apel” myśli — na przykładzie Brocha i Musila, których proza zgromadziła wszystkie środki „zdolne oświecić ludzki byt” i stała się „najwyższą syntezą intelektu”, i wreszcie „apel” czasu — na przykładzie Carlosa Fuentes i Günthera Grassa — kiedy to pisarz ogarnia swoją „przeszłą historię”, wprowadzając do powieści wiele epok historycznych. Przyznam, że do tego „apelu” mam najwięcej zastrzeżeń. Może dlatego, że znam *Flądrę* Grassa, pisaną według niego.

Kundera pisze według wszystkich czterech „apeli”, które jed-

nak tylko pozornie są bocznym torem tradycji europejskiej powieści (istnieje więcej prozaików, którzy je podjęli), a także według całej realistyczno-psychologicznej tradycji europejskiej prozy. Jeśli ostatnia jego książka wydaje się mniej świetna od poprzednich, to dlatego, że jej warstwa pojęciowa — „apel” myśli — została w niej za bardzo rozbudowana. Kundera powtarza w *Niezdolności lekkości bytu* to, co powiedział w swoich wcześniejszych powieściach, szczególnie w *Księdze śmiechu i zapomnienia*.

Co pozostaje jako reguła, która winna, która może obowiązywać pisarzy? Na zakończenie odczytu *A jeśli powieść naprawdę zniknie*, wygłoszonego z okazji nadania mu tytułu doktora honoris causa na uniwersytecie w Michigan (przedruk: *Zeszyty literackie* nr 8, 1984) Kundera powiada: „Wydaje mi się tylko, że wiem, iż powieść nie może dłużej harmonijnie współżyć z duchem naszych czasów: jeśli chce nadal odkrywać to, co nie zostało dotąd odkryte, jeśli chce nadal ‘robić postępy’ jako gatunek, może to czynić jedynie wtedy, jeśli przeciwstawia się ‘postępowi świata’”.

Janina KATZ HEWETSON

## Śledztwo w sprawie Boga

Po długiej przerwie ukazuje się nowa książka poetycka Witolda Wirpsy\* i — sprawia ogromne zaskoczenie tak swoim formatem, jak i tematem. Mówiąc ściślej, format — poemat o obszernych rozmiarach i rozbudowanej, wieloczęściowej konstrukcji — może być niespodzianką tylko dla kogoś, kto przywykł do dominacji krótkich form lirycznych w dzisiejszej poezji i kto nie jest świadom faktu, że właśnie w twórczości Wirpsy gatunek dłuższego poematu pojawia się co pewien czas od co najmniej ćwierci wieku: mam na myśli poemat „Don Juan” (1961), po którym przyszły inne, wśród nich zwłaszcza pozostający wciąż jeszcze w maszynopisie, a otoczony już nimbem literackiej legendy „Faeton”. Co do tematu natomiast, zaskoczenie jest kompletne i nie pozbawione podstaw: „Liturgia” to poemat w ścisłym sensie tego słowa religijnego, poetyckie wyznanie wiary i poszukiwanie Boga, określonego zresztą — przy całej indywidualnej swoistości wyobraźni Wirpsy, o czym obszerniej za chwilę — przy pomocy tradycyjnych kategorii symboliki chrześcijańskiej. W szkicu „Na sześćdziesiątą laty Witolda Wirpsy”, opublikowanym na tych łamach przed kilku laty, pisałem o kolejnych meta-

\* Witold Wirpsza: *Liturgia*. Wstęp: Klemens Porzęcki. Berlin Zachodni, 1985, str. 92. Biblioteka „Archipelagu”, tom II.

morfozach poety, od socrealisty poprzez propagatora eksperymentalnej „gry znaczeń” do pisarza politycznego: w „Liturgii” mielibyśmy więc do czynienia z kolejną proteuszową przemianą. Tym razem jednak przemiana ma charakter bardziej nawet niż dotąd zasadniczy. Gdy do tej pory poematy Wirpszy swoją siłę napędową czerpały z ironiczno-destrukcyjnego stosunku wobec tego czy innego mitu, tutaj postawą dominującą jest pokora w zetknięciu z niepoznawalną i niewyraźną a jednak oczywistą transcendencją.

Krytykowi narzuca się w tym miejscu pokusa, aby tego rodzaju końcowy etap ewolucji poety przypasować do ogólniejszego wzorca, którego obecność daje o sobie znać coraz wyraźniej w poezji polskiej ostatnich lat. Myślę o wzorcu, który można by w dużym uproszczeniu określić jako stopniowe przejście poety od fascynacji Duchem Dziejów do ukorzenia się przed Duchem Świętym; w niektórych wypadkach ewolucja taka zawiera w sobie zresztą moment dramatycznej i zdecydowanej konwersji oraz powrotu na łono Kościoła, czego najlepszym przykładem twórczość Anny Kamieńskiej. Z tła tego dość powszechnego ostatnio zwrotu ku tematyce religijnej poemat Wirpszy jednak się wyłamuje. Typową drogą wiodącą do wizji religijnej, do dialogu z Bogiem, jest dla współczesnego poety polskiego obsesja moralistyczna: próbując, jak Miłosz, znaleźć odpowiedź na odwieczne pytanie „unde malum?” lub, jak wspomniana Kamieńska, znaleźć motywację i sankcję dla codziennych, konkretnych wyborów moralnych, poeta — taki, któremu etyka laicka nie wystarcza — staje ostatecznie na opoce wiary. Wirpsza natomiast, co uderzające, moralistą właściwie nigdy nie był; co więcej, jego twórczość zawiera w sobie przynajmniej jeden etap programowego amoralizmu, kiedy to w latach sześćdziesiątych głosił, jako eseista, poeta, dramaturg i prozaik, hasło czystej „gry znaczeń” pozbawionej etycznych zobowiązań. Sprawy te skomplikowały się znacznie w późniejszym piśmarstwie Wirpszy, roztrząsającym coraz częściej dylematy współczesnej historii: tutaj problematyki moralistycznej nie dawało się już całkowicie uniknąć. Mimo wszystko jednak „Liturgia” dołącza do kanonu dzisiejszej poezji religijnej jako coś wyjątkowego: rezygnując w zasadzie z etyczno-egzystencjalnego ujęcia, poemat ten kładzie nacisk na metafizyczną i epistemologiczną problematykę wiary.

Nie znaczy to, że „Liturgia” jest abstrakcyjnym traktatem teologicznym czy filozoficznym. Nic podobnego: osiągnięcie Wirpszy polega na tym właśnie, że umiał zagospodarować domenę abstrakcyjnej myśli metodami możliwymi tylko w liryce; że powiązał metafizyczny problem z poetyckim punktem widzenia, językiem i wyobraźnią (mowa tu przede wszystkim o „przekładzie” kategorii pojęciowych na mowę wyobraźni przestrzennej, o czym za moment). Jest to również wizja nie tyle przedstawiona czytelnikowi, co osiągnięta wspólnie z czytelnikiem: wizja nie unieruchomiona lecz dynamiczna, wizja stopniowego, przemagającego kolejne trudności dochodzenia do istoty Boga i

wiary. Zgodnie z mottem z Rilkego („*Du weisst, dass ich ein Suchender bin*”) bohaterem lirycznym jest tu Poszukujący, a całość poematu stanowi akt Liturgii, „prywatny obrzęd” oparty na modelu podwójnie rozumianego „dochodzenia”. Wirpsza wyjaśnia to już na wstępie, w poprzedzającym poemat autokomentarzu:

Staralem się trzymać pierwotnego łacińskiego sensu czasownika *litare*: tekst ma być ofiarą, ma być ofiarowany przeze mnie, natomiast skuteczność ofiary pozostaje niestety sprawą otwartą i dla nadawcy, i dla odbiorcy.

To otwarcie, czyli niepewność, moja niepewność, związana jest z tym, co nazywam dochodzeniem, i to w dwojakim znaczeniu tego słowa. Pierwsze znaczenie to zbliżanie się do czegoś; drugie jest pokrewne śledztwu i ściganiu; oba znaczenia nie wykluczają się wzajem, są komplementarne na sposób harmonijny. Przedmiotem otwarcia, dochodzenia i ścigania jest wiara religijna w stadium poprzedzającym jeszcze nie osiągniętą pewność.

W istocie pewność nie może być osiągnięta — ściślej: nie może być osiągnięta racjonalnymi i sprawdzalnymi środkami — gdyż obiektem „dochodzenia” a zarazem odbiorcą „ofiary” jest „to, co Oczywiste i Niedocieczone”. Już pierwsze zdania poematu definiują akt poetyckiej liturgii jako „zderzenie słowa z nieznanym, a jednak oczywistym” i ten metafizyczno-poznawczy paradoks podporządkowuje sobie całą liryczną akcję poematu. Gdyby ktoś starał się zdefiniować w największym skrócie metodę poetycką tu zastosowaną, musiałby określić ją jako celowy konflikt między rozchwianiem i niepewnością nazywania a jego skrajnym, scjentyficznym wręcz pedantyzmem i precyzją. Wiodące to jest już w zewnętrznych sposobach zorganizowania tekstu — w konflikcie pomiędzy zmienną dynamiką posuwającego się po omacku „dochodzenia” a symetrycznym i proporcjonalnym aż do przesady podziałem poematu na części („Tekst Główny” rozpada się na trzy części po siedem utworów każda, te zaś trzy części przedzielone są „przerywnikami” zatytułowanymi „Opis miasta” i „Opis pokoju”; całość kończą „Trzy wiersze osobne” pt. „Mowa”, „Śmierć” i „Zmartwychwstanie” oraz „Trzy sonety” — „Ojciec”, „Syn” i „Duch”; jak widać, odgrywa tu pewną rolę symbolika trójki i siódemki, najważniejszy jest jednak osiągnięty tą drogą efekt symetrycznego uporządkowania). Paradoksalność dochodzenia istoty „nieznanego, a jednak oczywistego” ujawnia się jeszcze wyraźniej, gdy przyjrzeć się zastosowanemu w poemacie kategoriom przestrzennym. „Docho-dzenie” w pierwszym ze swoich sensów — jako „zbliżanie się” — jest również usiłowaniem uporządkowania chaosu, odnalezienia w nim stałych punktów i kierunków. W związku z tym Wirpsza organizuje wyobraźniową materię swego poematu wzdłuż pewnych niy-przestrzennych osi — opozycji horyzontalności i wertykalności, nieruchomości i ruchu, ograniczoności i nieograniczoności. Dla pierwszej i drugiej z tych opozycji szczególnie znamienym symbolem staje się wielokrotnie powracający w tekście

obraz „nawy”, oznaczającej jednocześnie wznoszącą się pionowo i nieruchomą nawę kościelną oraz poruszającą się poziomo okręt:

*Więc weszliśmy w sień; w podcienia sieni;  
W podcięte podcienia; a cień to nawa jakoś  
Nieskończona, ogromny okręt architektoniczny.  
Stoi na opoce, ma fundamenty ten okręt,  
A jednak kołysze się, obraca ten okręt:  
Podwójnie, wokół osi pionowej i wokół osi  
Poziomej, w dwójnasób sferyczny, przestronny  
W środku i wąski jak tunel albo wnętrze  
Lufy.*

Ta sama podwójna opozycja pionu i poziomu oraz nieruchomości i ruchu wypełnia się dodatkowymi znaczeniami w dwóch „przerywnikach”, gdzie reprezentowana jest przez symboliczne a zarazem natrętnie konkretne obrazy Miasta i Pokoju. Miasto to domena *nunc fluens*, Pokój (tzn. gabinet poety) — *nunc stans*; ruch miasta jest jednak horyzontalną pogonią za przyjemnymi dobrami, pogonią ograniczoną zarówno murami jak i brakiem autentycznej międzyludzkiej komunikacji, podczas gdy nieruchomości pokoju umożliwia wertykalne dążenie umysłu w stronę nieograniczonego Boga.

Tu jednak pojawia się nowa trudność, albowiem dialog z Bogiem nie może się obyć bez pomocy jakiegoś języka. Jakiego? W „Mowie”, jednym z „Trzech wierszy osobnych”, Wirpsza dokonuje rozróżnienia pomiędzy boskim Słowem (które „nie wchodzi w grę; nie przystoi grzesznemu”), Językiem (który „zbyt jest precyzyjny”, tzn. nakłada swoją racjonalną schematyczność na to, co z natury rzeczy jest nieracjonalne i nieschematyczne) i Mową, którą przemawia rządzona przez transcendencję rzeczywistość:

*Plamy na skórze człowieczej, obroty śrub okrętowych,  
Nożyce na biurku, położone ukośnie, blask luster  
W niezbudowanym przez Leonarda labiryncie i drżenie  
Warg umierającej staruchy: wszystko to mówi, że jest  
Na swoim miejscu, a miejsce jest mowy i skargi,  
I radości, i lęku, i melancholii, wolności i zniewolenia,  
A wszystko to jest jedno miejsce, miejsce modlitwy.*

Inaczej mówiąc, w momencie, gdy problem Oczywistego i Niedocieczonego staje się kwestią Oczywistego i Niewyraźnego, gdy pojawia się problem wyrażenia w słowie niewyraźnej transcendencji, wszelki użytek czyniony z Języka staje się bezpłodny i bluźnierczy, konstruowanie poetyckiej „nawy” staje się wznoszeniem jeszcze jednej wieży Babel. Jedynym wyjściem pozostaje odwołanie się do Mowy, dostępnej poprzez „modlitwę”, dialog z Niewyraźnym oparty, paradoksalnie, na konwencji. Tak odczytuję znaczenie faktu, że swój pozornie antykonwencjonalny poemat Wirpsza zamknął trzema sonetami, nawiązującymi zarówno do tradycyjnej symboliki Trójcy św. jak i do tradycji

poezji barokowej. Liturgią staje się w ten sposób stylizacja; „ofiara” poety jest „skuteczna”, gdy, po bezradnych wysiłkach stworzenia Mowy nowej, twórca powraca do Mowy sprawdzonej w ludzkiej kulturze, do tradycji poetyckiej modlitwy.

Gdyby jednak „Liturgia” Wirpszy była wyłącznie modlitwą, jej doniosłość artystyczna byłaby nie tak znaczna. Trudno mi się zgodzić z Klemensem Porzęckim, autorem błyskotliwego i głębokiego wprowadzenia do tomu, kiedy interpretuje on poemat jako jednoznaczną krytykę „przyzwyczajenia pysznego rozumu”. Sprawa nie jest chyba aż tak prosta. Gdy spojrzeć na utwór jako na wyznanie wiary wprawdzie, ale wyznanie podporządkowane prawom wypowiedzi artystycznej, okazuje się, że poetycka siła „Liturgii” bierze się z dynamiki „dochodzenia” do wiary, dochodzenia, w którym równie ważny jest osiągnięty w końcu punkt docelowy jak przebyta przedtem droga i przewyciężone przeszkody. Wszystko to, co nadaje poematowi jego niepowtarzalny charakter — symetria konstrukcji, scjentyficzna precyzja wyobraźni, obecność logiczno-argumentacyjnej retoryki, element ironicznego autodystansu — to nie tylko „przyzwyczajenia pysznego rozumu”, ale rzetelne wysiłki zmagającego się z niepoznawalną transcendencją intelektu. Tym, co stanowi o oryginalności poezji religijnej Wirpszy, jest nie tyle sama ekspresja wiary osiągniętej, ile pokazanie, jak się ją osiąga. Aby zburzyć wieżę Babel, trzeba ją najpierw wznieść.

Stanisław BARAŃCZAK

## Polacy w Ontario

W prowincji Ontario mieszka prawie połowa ludności polskiego pochodzenia. Ostatni spis powszechny z maja 1981 roku zarejestrował w Kanadzie 404.480 osób pochodzenia polskiego, w tym 149.995 z małżeństw mieszanych. Z ogólnej ilości 254.485 osób pochodzenia czysto polskiego, w Ontario znajdowało się 122.945, a pochodzących z małżeństw mieszanych nadto 60.630. Już sama liczebność stanowi dostateczny powód do szczególnego zainteresowania dziejami tej grupy polskiej w prowincji Toronto, a docho-  
dzą do tego i inne. Tak np. pierwsza, a zarazem jedyna, emigracja grupowa z ziem polskich osiedliła się właśnie w Ontario — byli to Kaszubi; znaczna ilość potomków tych emigrantów — czwarte i piąte pokolenie — pozostała w rejonie objętym i zagospodarowanym przez ich przodków, zachowując tradycje, obyczaj i język. Centralne organizacje polonijne oraz centrale wielkich organizacji społecznych mają tam swoje siedziby: Kongres Polonii Kanadyjskiej, Zarząd Główny S.P.K., Federacja Kobiet, harcerstwo znajdują się w Toronto, gdzie nadto ukazują się niemal wszystkie czasopisma i publikacje polonijne.

Opublikowano już wiele tekstów na temat imigracji polskiej w Kanadzie; są one przeważnie w języku polskim: osadnictwu w Ontario — tej pionierskiej grupie Kaszubów poświęcona jest monografia dr Izabeli Jost wydana

przez K.U.L. w Lublinie; praca prof. Leona Zawadowskiego dotyczy rejonu Lakehead (w języku angielskim); praca prof. Henry Radeckiego — Sudbury (także po angielsku) oraz kilka pomniejszych. Zwiąży obraz przeszłości i teraźniejszości grupy polskiej w Ontario daje praca zbiorowa „Poles in Ontario”\*, pod redakcją Benedykta Heydenkorna, opublikowana w ramach monograficznych tomów czasopisma *Polyphony*, organu Multicultural History Society of Ontario. Dyrektor naukowy tej placówki i redaktor czasopisma *Polyphony*, Roberty F. Harney, profesor historii współczesnej w St. Michael College, który kieruje również programem studiów etnicznych i imigracyjnych University of Toronto, podkreśla w przedmowie do wspomnianego opracowania, że życie grupy polskiej w Kanadzie kształtowało się inaczej niż w Stanach Zjednoczonych mimo bliskości położenia i pewnego współdziałania.

Tom zawiera następujące pozycje: Anna Peczyńska — *Emigracja z ziem polskich do Kanady do drugiej wojny światowej*; Izabela Jost — *Polscy pionierzy kaszubscy w Ontario*; Leo Zawadowski — *Polski pionier w Płn. Ontario*; Zofia Shahrodi — *Wczesne polskie osadnictwo w Hamiltonie*; Apollonia Kojder — *Polskie szkoły w Toronto*; Natalie Wiczorek — *Polska społeczność w Welland*; Henry Radecki — *Polacy w Sudbury 1883-1945*; Leo Zawadowski — *Polskie Towarzystwo Wzajemnej Pomocy w Lakehead*; Wiktor Turek — *Prasa w języku polskim*; Ewa Morawska — *Profil kulturalny Polaków w Toronto*; Rudolf Kogler — *Polonia dzisiaj*; Florian Śmieja — *Noty o polsko-kanadyjskiej twórczości literackiej*; Andrew Pawłowski — *Polska droga do kanadyjskiej sztuki*; Krzysztof M. Gebhard — *Virtuti Militari* — ustne relacje polskich weteranów drugiej wojny światowej. Redaktor tomu, oprócz wstępu, opracował tematy: *Polsko-kanadyjska parafia jako jednostka społeczna: przykład Hamilton*; *Lewica w Polonii*; *Związek Polaków w Kanadzie a konsulaty R.P.*; *Paderewski w Toronto*; *Pomoc wojskowa dla Polski*; *OO Oblaci i S Felicjanki w Ontario*; *Zmiana struktury społecznej*.

Opracowania tematyczne są uzupełnione przedrukami fragmentów pamiętników z konkursu Kanadyjsko-Polskiego Instytutu Badawczego oraz z książki Józefa Brody, jak również dwiema wypowiedziami Tadeusza Glisty, zmarłego przed 5 laty czołowego działacza społecznego i prezesa Związku Polaków w Kanadzie. Praca zawiera mnóstwo ilustracji, w tym wiele fotografii archiwalnych, dokumentów, korespondencji itp. Jest to opracowanie wartościowe i — jak słusznie zauważył prof. Harney — toruje drogę do dalszych badań.

\* Benedykt Heydenkorn (Ed.): *Poles in Ontario — Polyphony*, vol. 6, No 2, Multicultural History Society, Toronto, Ont. 1985, str. 138.

## Nadesłane nowości wydawnicze

ŁATYŃSKI (Marek). *Nie paść na kolana. Szkice o opozycji lat czterdziestych*. Str. 636 i 4 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1985).

WITTLIN (Tadeusz). *Pieśniarka Warszawy. Hanka Ordonówna i jej świat*. Str. 261 i 3 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1985).

ANDRZEJEWSKI (Bogumił). *Podróż do krajów legendarnych. Poematy i powieści*. Str. 150 i 2 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1985).

Zawiedzeni, rozczarowani, zadowoleni. *Pamiętniki imigrantów polskich okresu 1958-1981*. (Konkurs Kanadyjsko-Polskiego Instytutu Badawczego, opr. Benedykt Heydenkorn). Str. 155 i 1 nlb. (Wyd. Kanadyjsko-Polski Instytut Wydawniczy, Toronto 1984).

Brewiarz z lutnia. *Antologia poezji kapłańskiej*. (Zebrał ks. dr Z. J. Peszkowski, wstęp M. Skwarnicki). Str. 258. (Wyd. Veritas, Londyn 1985, cena £ 6.60).

BUGAJSKI (Ryszard). *Przyznaje się do winy*. Powieść. Str. 196 i 4 nlb. (Wyd. Puls Publications, Londyn 1985).

BUDNY (Michał). *Wspomnienia niefrasobliwie*. Str. 232. (Wyd. PFK, Londyn 1985).

BUKOWSKI (Władimir). *I powraca wiatr...* Str. 316 i 2 nlb. Przeł. A. Mietkowski. (Wydanie miniatury, Polonia Book Fund 1985).

CIOŁKOSZ (Adam). *Walka o prawdę. Wybór artykułów 1940-1978*. Str. 454 i 10 nlb. (Wydanie miniatury, Polonia Book Fund 1985).

WUJASTYK (Stanisław). *Mój Sudan z bliska*. Str. 178 i 4 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1984).

13 miesięcy i 13 dni „Gazety Krakowskiej” 1980-1981. Str. 77 i 3 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1985).

MICHEL (Patrick), MINK (Georges). *Mort d'un prêtre. L'affaire Popieluszko. Analyse d'une logique normalisatrice*. Str. 345 i 3 nlb. (Wyd. Fayard, Paryż 1985, cena: F. 89).

1984. *Des droits de l'homme et du citoyen en République Populaire de Pologne. Rapport par le Comité Helsinki en Pologne*. Str. 116. (Wyd. Biuro Zagraniczne Solidarności, Bruksela 1985).

BONNIERES (de, François). *Guide de l'étudiant en polonais*. Str. 138 i 6 nlb. (Wyd. Institut d'Etudes Slaves, Paryż 1985).

SZECHTER (Szymon). *A Stolen Biography*. Przeł. F. Carroll i N. Karsov. Str. 172 i 6 nlb. (Wyd. Nina Karsov, Londyn 1985).

SIKORSKA (Grażyna). *Jerzy Popiełuszko, a Martyr for the Truth*. Str. 134. (Wyd. Collins Fount Paperbacks, Londyn 1985).

*A Pocketbook Guide to Ukraine and Ukrainians. Questions and Answers*. Str. 128. (Wyd. Ukrapress, USA, 1985).

*The Price of Love. The Sermons of Fr. Jerzy Popiełuszko*. Przeł. Z. Ławrynowicz. Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. Incorporated Catholic Truth Society i Veritas, Londyn 1985).

KORBEL ALBRICHT (Madeleine). *Poland. The Role of the Press in Political Change*. Przedmowa Z. Brzeziński. Str. 147 i 5 nlb. (Wyd. Praeger, Nowy Jork 1985).

LOZANSKY (Edward D., opr.). *Andrei Sakharov and Peace. An Antology*. Str. 323 i 3 nlb. (Wyd. Avon, Nowy Jork 1985).

*Harvard Ukrainian Studies*, vol. VIII, nr 1/2: *The Kiev Mohyla Academy*. Str. 252 + il. (Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge Mass., USA, 1985).

*The Monument of Polish-Australian Brotherhood in Arms*. Str. 192. (Opr. Tadeusz Kempa, wyd. w Hobart, Tas., 1985).

LIZAKOWSKI (Adam). *Cannibalism — Poetry*. Str. 44 i 2 nlb. (Wyd. w San Francisco, 1984).

BROWN (J. F.), ROSS JOHNSON (A.). *Challenges to Soviet Control in Eastern Europe*. Str. 38. (Wyd. Rand, Santa Monica, Ca., USA, 1984).

*Polyphony. The Bulletin of the Multicultural History Society of Ontario*. Vol. 6, nr 2. Str. 138. (Wyd. Multicultural History Society, Toronto 1984).

ROSS JOHNSON (A.). *Eastern Europe's „Time of Troubles”*. Str. 14. (Wyd. Rand papers, luty 1985).



## KRAJ — BLOK WSCHODNI

## 18-4-85

„Solidarność” pracowników wydawnictw przyznała swoją doroczną nagrodę za najlepszą książkę polskiego autora, zamieszkałego w Kraju, wydaną w obiegu niezależnym, autorom książki „Konspira”: Maciejowi Łopińskiemu, Marcinowi Moskitowi i Mariuszowi Wilkowi. Honorowe wyróżnienie otrzymało wydawnictwo „Przedświt” za serię poetycką „Warszawskiej Niezależnej Oficyny Poetów i Malarzy” oraz Stefan Kisielewski za retrospektywny zbiór szkiców pt. „Bez cenzury”.

## 21-4-85

Polska produkuje rocznie blisko 700 ton srebra, jako produkt uboczny przy produkcji miedzi. Jest to połowa produkcji Stanów Zjednoczonych. Srebro eksportuje się jedynie w stanie półprzerobionym.

## 10-5-85

W Warszawie odbyło się doroczne seminarium dla księży i siostr zakonnych udających się do pracy wśród Polonii i na misje zagraniczne. Organizatorem tego seminarium był Urząd do Spraw Wyznań. Uczestniczyło w nim 68 księży zakonnych, 5 księży diecezjalnych i 22 siostry zakonne, którzy mają wyjechać do 33 krajów na wszystkich kontynentach. Od lat już zwracaliśmy uwagę na konieczność organizowania podobnych seminariów na Zachodzie dla zorientowania misjonarzy w problematyce zarówno Polonii jak i w najnowszej historii Polski. Niestety — bez rezultatu.

## 12-5-85

Zmarł w Warszawie w wieku 73 lat Bogdan Wodiczko, wieloletni dyrektor Filharmonii Narodowej, dyrektor artystyczny Teatru Wielkiego w Warszawie oraz wieloletni kierownik orkiestry filharmoniczej w Reykjaviku w Islandii.

## 25-5-85

W PRL całkowicie wycofano z eksploatacji wagony restauracyjne, a to ze względu na ich katastrofalny stan techniczny. ■ Komisja Planowania przy Radzie Ministrów PRL stwierdziła, że przeciętny stopień zużycia majątku produkcyjnego w grupie maszyn i urządzeń sięga obecnie 60 %.

## 26-5-85

Jak wygląda polski eksport: spółdzielnia „Plastyk” z Elbląga mogłaby wyeksportować same tylko nesesery za milion funtów szterlingów więcej gdyby nie brak okuć — w bież. roku można było sprzedać do RFN milion ton ziemniaków — niestety nie można było znaleźć jednolitych odmian — odrzucono propozycję Algieru wymiany jabłek polskich na cytrusy, ponieważ wymagano owoców hodowanych bez użycia środków chemicznych, jednakowej wielkości i pakowanych pojedynczo. Natomiast w dziale eksportowym bierze udział około 6 tys. przedsiębiorstw, a aparat handlu zagranicznego zatrudnia około 35 tys. „specjalistów”.

## 27-5-85

Jan Dobraczyński, pisarz i przewodniczący PRON-u otrzymał dyplom za szczególne zasługi w upowszechnianiu polskiej kultury za granicą. P. Dobraczyński otrzymał ten dyplom już po raz drugi. Niestety nie podano jakie to były zasługi.

LEC (Stanisław Jerzy). *Alle unfrisierten Gedanken*. Przeł. Karl Dedecius. Str. 314 i 6 nlb. (Wyd. Hanser Verlag, Monachium - Wiedeń 1984).

DABROWSKI (Ryszard). *Reise*. Album fotograficzny. Str. 87 i 1 nlb. (Wyd. Fotogalerie im Wedding, Berlin Zachodni 1985).

PIENIOWSKI (Hakan), ZAREMBA (Maciej). *Rzeszów. Bland polska bönder*. (Album fotografii). Str. 158 i 2 nlb. (Wyd. Bildförlaget Öppna Ögon, Sztokholm 1985).

MIŁOS (Ceslav). *Zarobljeni um*. Przeł. Petar Vujičić. Str. 335 i 5 nlb. (Wyd. Beogradski Izdavačko-Grafički Zavod, Beograd 1985).

*Savremena poljska poezija*. Opr. i przekład Petar Vujičić. Str. 375 i 5 nlb. (Wyd. Beogradski Izdavačko-Grafički Zavod, Beograd 1985).

ORWELL (George). *Alati gadasag*. Str. 140 i 4 nlb. (Wyd. Irodalmi Ujsag Sorozata, Paryż 1985).

FILATIEW (D. W.). *Katastrofa białowia dwiżenija w Sibirii 1918-*

1922. *Wpieczatlenija oczewidca*. Str. 142 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1985).

FELSZTINSKIJ (J. G.). *Bolszewiki i lewyje esery. Oktiabr 1917 - jul 1918*. Str. 287 i 3 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1985).

HELLER (Michail). *Maszyna i winiki. Istoriija formirovanija sovietskovo czelowieka*. Str. 335 i 1 nlb. (Wyd. Overseas Publ., Londyn 1985).

HOWERLA (Stepan). *Hrani kultury*. Str. 184. (Wyd. Ukrajinska Wydawnicza Spółka, Londyn 1984).

ILKIW (Mychajło). *Nimecki koncentracyni lahry*. Str. 104. (Wyd. Koł. Ukrajinskich Polit-Wjaznizw, Nowy Jork 1983).

PREIZNER (Rio). *Kritika totalitarizmu*. Str. 400 i 8 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Londyn 1984).

KOTRLA (Iva). *Unora*. Str. 103 i 1 nlb. (Wyd. Kra, Londyn 1985).

*Historiska och litteraturhistoriska studier nr 60*. Str. 367 i 1 nlb. (Wyd. Svenska Litteratursällskapet, Finlandia 1985).

## MINIATURY „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH”

Ponieważ w Polsce ciągle poszukiwane są *Zeszyty Historyczne* — od dawna już wyczerpane, zrobiliśmy ich miniaturowe wydanie. Są to *Zeszyty* 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 20, 40, 41, 42, 46, 47, 49, 50, 51 i 52 (do końca bież. roku ukazą się ponadto numery 53, 55, 56, 57).

Jeśli by ktoś z Czytelników chciał nabyć te miniatury celem wysłania do Kraju lub dla uzupełnienia swego zbioru — może je nabyć w Redakcji w cenie F.10,00 za egzemplarz.

**1-6-85**

PRL zdewaaluowała o 13,2 % złotówkę w stosunku do dolara i innych walut. Obecny oficjalny kurs dolara wynosi 159 zł, na czarnym rynku — 640 zł.

**2-6-85**

Redakcja *Kierunków*, tygodnika PAX-u, z okazji 30-lecia powstania pisma zainauguowała przyznawanie nagród *Kierunków*. Za rok 1985 otrzymał nagrodę Stanisław Kopf za album „Dni Powstania” oraz Ryszard Kurylczyk za dwu-powieść „Jeruzalem... Jeruzalem...”. Obie pozycje ukazały się w Instytucie Wydawniczym PAX.

**3-6-85**

Likwidowanie placówek agencyjnych w PRL. W 1980 roku było 62 tys. agencji, a do 1984 roku zamknięto 54 %. Zlikwidowano również 61 % placówek gastronomicznych, a teraz zaczyna się likwidować usługi.

**5-6-85**

Sekretarz naukowy Polskiej Akademii Nauk zawiesił służbowe wyjazdy zagraniczne pracowników Akademii, którzy podpisali protest przeciwko zwolnieniu z pracy doc. Bronisława Geremka.

**10-6-85**

Ostatnio przebywał w Polsce kardynał Willebrands, przewodniczący watykańskiego sekretariatu do spraw jedności chrześcijan. Na czele delegacji watykańskiej wziął udział w posiedzeniu komitetu koordynacyjnego Międzynarodowej Komisji Mieszanej dla dialogu ekumenicznego katolicko-prawosławnego. Obrady Komitetu odbywały się w Opolu. Delegacji prawosławnej przewodniczył arcybiskup Stylianos z Australii. 9 czerwca br. Willebrands i Stylianos otrzymali doktoraty *honoris causa* K.U.L.

**11-6-85**

Radio Warszawa podaje, że PRL dostarczy w najbliższym czasie do RFN, do jednej z cementowni w Bawarii, instalację do odciągania gazów przemysłowych z dymów z siarki. Okazuje się, że takich instalacji nie ma w Polsce, zaś powszechnie wiadomo jak ogromne jest zatrucie atmosfery w polskim zagłębiu siarkowym.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

**27-4-85**

W Rapperswilu miał miejsce doroczny walny zjazd polsko-szwajcarskiego Towarzystwa Przyjaciół Muzeum w Rapperswilu. Do zarządu zostali wybrani pp. Paul Heeb — prezes, Janusz Morkowski — kustosz Muzeum, Wojciech Starzyński — odpowiedzialny za sprawy biblioteczne i archiwalne, Marthy Hofer — dyrektor administracyjny, Jürg Aschwanden — skarbnik oraz Fritz Mommendey i Anna Piotrowska — członkowie zarządu.

**7-5-85**

Na XIX konkursie sztuki współczesnej w Monte Carlo II nagrodę im. Księżnej Grace (F. 20.000) otrzymał Polak — Brudziński za obraz „Figures assises”. W ub. roku nagrodę w dziale sztuki sakralnej otrzymała p. Delektka-Wicińska z Krakowa za obraz pt. „Polska”.

**31-5-85**

W ramach rządowej manifestacji w obronie Praw Człowieka, paryski Centre Georges Pompidou zorganizował wieczór poświęcony „Prawom Człowieka

i Literaturze”. Wśród zaproszonych mówców figurowali: Sean Mac Bride, dwaj długo więzieni poeci Breytenbach z Południowej Afryki i lewicowy Marokańczyk Abdellatif Laabi, oraz Konstanty Jeleński, który mówił o Adamie Michniku i odczytał swoje tłumaczenie wiersza Zbigniewa Herberta „Msza za uwięzionych”.

**12-6-85**

Prof. O. Pritsak, dyrektor Ukraińskiego Instytutu w Harvardzie, wygłosił trzy odczyty w Ecole des Hautes Etudes en Sciences Economiques et Sociales w Paryżu: „Początki polityki litewskiej”, „Religia i problemy narodowościowe w Wielkim Xięstwie Litewskim” oraz „Litewskie związki zawodowe”. ■ W Centre Culturel International w Cerisy La Salle odbyło się sympozjum Światowego Instytutu Studiów Fenomenologicznych, którego tematem była literatura a fenomenologia. Prezydentem Instytutu jest znany filozof A. T. Tymieniecka.

## KRONIKA FRANCUSKA

Decyzją władz miasta Modeville (północ Francji) jedna z ulic została nazwana imieniem generała Władysława Sikorskiego. Inauguracja miała niespokojny charakter, albowiem władze miejskie zaprosiły na uroczystości ambasadora PRL z Paryża, czemu sprzeciwili się miejscowi działacze polonijni i zamieszkali w tym rejonie działacze solidarnościowi. Zorganizowali oni w tym samym czasie i miejscu manifestację z transparentami i hasłami Solidarności. Miejscowa prasa przypominała historię życia gen. Sikorskiego, wyjaśniając w ten sposób racje manifestujących, zamieszczono również zdjęcia z demonstracji. ■ W miejscowości Courcelles-les-Lens odbył się Międzynarodowy Festiwal Polskiego Folkloru, w którym uczestniczyło kilka zespołów ludowych i chórów z Anglii, Belgii i Francji. Organizatorem dwudniowej imprezy był polonijny ośrodek „Kultura i Tradycja”. ■ Główną nagrodę w ramach przeglądu „Perspektywy kina francuskiego” na Festiwalu Filmowym w Cannes przyznano Jackowi Gąsiorowskiemu za film pt. „Ptasia twarz”. Gąsiorowski był asystentem Andrzeja Wajdy, od kilku lat pracuje we Francji. Nagrodzony film jest jego debiutem długometrażowym. ■ W merostwie XIII dzielnicy Paryża miała miejsce wystawa grupy gdańskich artystów-malarzy, w której udział wzięli między innymi członkowie i założyciele nowych peerelowskich związków, ludzie, którzy aktywnie przyczynili się do rozwiązania legalnego Związku Polskich Artystów Plastyków. Z apelem o bojkot tej wystawy zwróciła się grupa gdańskich malarzy przebywających od kilku lat na emigracji w Niemczech. ■ Jacek Pietrzak, 29-letni Polak przebywający od dziewięciu lat we Francji, prowadził przez osiem dni głodówkę przed gmachem Ambasady PRL w Paryżu domagając się wypuszczenia z Polski swojej żony. Protest został uwieczniony sukcesem — żona Pietrzaka otrzymała paszport. ■ W związku z piątą rocznicą zezłania Andreja Sacharowa do Gorki, w dniu jego 64-tej rocznicy urodzin (21 maja) Międzynarodowy Instytut im. Sacharowa oraz Międzynarodówka Oporu zorganizowały w Paryżu przy Placu Trocadero manifestację, podczas której zebrani wypuścili w powietrze kilkaset balonów z pozdrowieniami dla Sacharowa. Obecni byli również Polacy. ■ Ukazał się piąty numer francuskojęzycznego kwartalnika *L'autre Europe* (L'Age d'Homme 5, rue Ferou, 75006 Paris, dyrektor: Wladimir Berelowitch) będący w całości wyborem tekstów z *Zeszytów Literackich*. Numer został przygotowany przy współpracy Barbary Toruńczyk i Konstantego Jeleńskiego. ■ Z dwudniową wizytą przebywał we Francji wiceminister spraw zagranicznych PRL,

Ernest Kucza. Spotkał się on z François Gutmanem, zajmującym analogiczne stanowisko w rządzie francuskim. Był to pierwszy oficjalny kontakt pomiędzy Paryżem a Warszawą na szczeblu tej rangi od momentu wprowadzenia stanu wojennego w Polsce. Rozmowy miały miejsce w przeddzień otwarcia procesu Frasnyniuka, Lisa i Michnika. Z inicjatywy paryskiego Komitetu Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” przed gmachem francuskiego ministerstwa odbyła się demonstracja przeciwko tej wizycie, delegacja jej uczestników — Piotr Chruszczyński, Aleksander Smolar i Michel Wiewiórka — została przyjęta przez doradcę ministra stosunków zagranicznych Philippe'a Carre, który zapewnił, że rząd francuski nie ma zamiaru zmieniać swej polityki w sprawach praw człowieka. ■ W nocy przed przyjazdem peerelowskiego ministra działacze paryskiego Komitetu Solidarności zamalowali mury Ambasady PRL symbolami i napisami Solidarności. Podobne akcje przeprowadzono w kilku innych miejscach związanych z PRL. ■ Główne francuskie związki zawodowe opublikowały komunikaty potępiające gdański proces. Grupy związkowców składały w ambasadzie PRL noty protestacyjne. ■ Jacques Huntzinger, sekretarz francuskiej Partii Socjalistycznej, odpowiedzialny za sprawy zagraniczne, zaprotestował oficjalnie przeciwko odmowie wizy dla francuskiego adwokata, który miał asystować w gdańskim procesie jako przedstawiciel Federacji Praw Człowieka. Inny francuski adwokat — Henri Legrand, przedstawiciel centrali związkowej CFDT, któremu udało się wcześniej wjechać do Polski, został wezwany przez władze PRL do natychmiastowego opuszczenia Polski. Na gdański proces usiłowała się dostać również (bezsukcesywnie) adwokat Beatrice Bensussan-Borenstein, członek stałej komisji adwokackiej praw człowieka z podparyskiego Uniwersytetu Nanterre. W konferencji prasowej zorganizowanej po jej powrocie z Polski, francuska prawniczka przedstawiła stan peerelowskiego prawodawstwa w 1985; proces gdański określiła mianem skandalu. ■ W końcu maja miała miejsce w Paryżu dwudniowa międzynarodowa konferencja poświęcona przestrzeganiu praw człowieka, zorganizowana pod patronatem francuskiego rządu. Laurent Fabius, Premier Francji, zaprosił Lecha Wałęsę do wzięcia udziału w prezydium konferencji. Pytanie: czy Wałęsa przyjedzie, czy nie, było przez kilkanaście dni stale obecne we francuskich środkach przekazu. W konferencji wzięli udział liczni obrońcy praw człowieka z całego świata, ale nie ze wszystkich jego stron. Lech Wałęsa nie był jedynym „wielkim nieobecnym”, jak pisano w prasie francuskiej zabrakło również zaproszonych Vaclava Havela, czeskiego poety i dramaturga, żony Nelsona Mandela uwięzionego od ponad 20 lat w Afryce Południowej, a do Andreja Sacharowa zaproszenie prawdopodobnie w ogóle nie dotarło. Na spotkanie nie przybyli również — z przyczyn od nich niezależnych — dwaj inni zaproszeni Polacy — Czesław Miłosz i Andrzej Wajda. W centralnym momencie uroczystości przy Placu Trocadero zostało nadane przez głośniki przemówienie Lecha Wałęsy skierowane do uczestników konferencji, obecny był m.in. prezydent François Mitterrand. ■ Komunistyczny dziennik *L'Humanité* opublikował obszerny, dwuczęściowy wywiad z generałem Jaruzelskim. Zdaniem Jaruzelskiego Polska minęła już punkt krytyczny i po latach głębokich wstrząsów wkracza w okres dźwignia się... ■ W sali kinowej Musée de L'Homme przy Placu Trocadero w Paryżu odbyła się premiera filmu „Kultura” zrealizowanego przez paryskie wydawnictwo kaset video: „Video-Kontakt” (152, rue Saint Maur, 75011 Paris). Tematem blisko godzinnego filmu jest historia Instytutu Literackiego, opowiadają jego twórcy i współpracownicy — Jerzy Giedroyc, Zofia Hertz, Józef Czapski, Gustaw Herling-Grudziński oraz Konstanty Jeleński i Czesław Miłosz. 650-osobowa sala była pełna, dla części przybyłych osób zabrakło miejsca. Oprócz filmu „Kultura” nowa wytwórnia rozpowszechnia: dokument zrealizowany przez „Video-Kontakt” pt. „Kalendarz wojny” — drobiazgowy zapis wyda-

zeń po 13 grudnia 1981 roku, oraz filmowy zapis ostatniego spektaklu Teatru Osmego Dnia pt. „Wzlot”. ■ W gmachu Biblioteki Polskiej w ostatnim dniu maja koncertował znany polski pianista Marek Żebrowski. ■ W gmachu Biblioteki Polskiej w Paryżu miał miejsce uroczysty wieczór poświęcony twórczości Zbigniewa Herberta. ■ Stali bywalcy paryskiego Centre du Dialogue mieli okazję uczestniczyć w kolejnych spotkaniach: 30 maja gościem Ojców Pallotynów był Jarosław Marek Rymkiewicz, który odczytał swoje najnowsze utwory poetyckie. W kilka dni później (w wyjątkowo innym niż zazwyczaj miejscu) odbył się wielki wieczór poświęcony malarstwu Jana Lebensteina, podczas którego zaprezentowano najnowsze prace artysty: kolekcję 17-tu ilustracji do Księgi Apokalipsy. O twórczości Lebensteina mówili: Konstanty Jeleński i Krzysztof Pomian. Ponadto odczytano list do Lebensteina nadesłany przez Czesława Miłosza, który nie mógł przyjechać. ■ W lokalu nowego miesięcznika *Est Diagonale Ouest* (24, rue des Montiboeufs, 75020 Paris) odbyła się konferencja prasowa Edmunda Bałuki, znanego przywódcy robotniczego ze Szczecina, który przyjechał do Francji w końcu kwietnia br., aby zobaczyć się ze swoją żoną i z dzieckiem. Bałuka wystąpił jako reprezentant szczecińskiego Komitetu Obrony Praworządności, przedstawił jego zasady i sposób funkcjonowania, odpowiadał ponadto na pytania dotyczące aktualnej sytuacji w Polsce. Bałuka został wypuszczony z PRL po złożeniu kaucji 100 tysięcy złotych będącej dla szczecińskiego sądu gwarancją jego powrotu na zbliżający się proces, w którym ma być jednym z oskarżonych (za działalność w KOP). Edmund Bałuka oświadczył, że zamierza powrócić do Szczecina.

Wojciech SIKORA

#### WYSTAWA POLSKIEJ KULTURY NIEZALEŻNEJ

„Les forces vives de la Pologne” to nazwa wystawy zorganizowanej w dniach od 3 do 8 czerwca w Ratuszu XVI dzielnicy Paryża. Jej tematem była polska kultura niezależna — zjawisko, które zdaniem autorów wystawy stanowi podstawową siłę istnienia narodu; i nie ma specjalnego znaczenia gdzie ona powstaje: w kraju, czy poza jego granicami. Stąd większa część eksponatów to dorobek emigracyjnych wydawców i ośrodków politycznych i społecznych, a także malarstwo, grafika i rzeźba polskich artystów tworzących we Francji.

W jednej z sal przedstawiono większość istniejących we Francji polskich wydawnictw i ośrodków emigracyjnych, oraz książki, broszury i ulotki wydawane w Polsce poza zasięgiem cenzury. Kilka set zebranych pozycji oficyn krajowych, takich jak CDN, Krag, Nowa, Oficyna Literacka, Przedświt — by wymienić zaledwie kilka — świadczy z jednej strony o skali obiegu wolnego słowa w Polsce, o zainteresowaniach i poszukiwaniach wolnego ruchu, z drugiej zaś strony — o zasięgu cenzury. Obok książek autorskich i licznych tłumaczeń można było zobaczyć także sporo wydanych w kraju przedruków z oficyn emigracyjnych, co dobitnie świadczy o więzi jaka łączy kraj z emigracją, i o niepodzielności literatury.

Spośród wydawnictw i ośrodków emigracyjnych najwięcej miejsca organizatorzy poświęcili dorobkowi Instytutu Literackiego, prezentując poza Biblioteką Kultury poszczególne serie Instytutu: *Kultura*, *Zeszyty Historyczne*, „Dokumenty”, „Archiwum Rewolucji”, „Bez cenzury”. Przedstawiono również ośrodki najstarsze. Towarzystwo Historyczno-Literackie i Bibliotekę Polską oraz Księgarnię Polską powstałe jeszcze w XIX wieku, w okresie Wielkiej Emigracji. Nie zabrakło instytucji najmłodszych — *Kontakt*, *Letres Slaves*, *Spotkania*, *Zeszyty Literackie*, i starszych, jak również Księgarni Libella oraz Editions du Dialogue.





## Listy do Redakcji

Montreal, 31 maja 1985.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Dzięki uprzejmości moich przyjaciół otrzymałem ponowny wywiad z panią Sosnkowską, umieszczony tym razem w *Kobieta i Życie* z dnia 3 kwietnia br.

Dwukrotnie już oświadczyłem publicznie, że nie zamierzam polemizować z haniebnie rzucanymi przez panią Sosnkowską oszczerstwami o swoim mężu. Szczególnie, o rzekomych staraniach o powrót po wojnie do Polski Ludowej i przeinaczeniach dotyczącymi postanowień testamentarnych. Nie oznacza to, że jej działalność na szkodę sprawy polskiej i jej męża nie została udokumentowana i zabezpieczona dla historii.

Znając od wielu lat stosunki rodzinne generałostwa Sosnkowskich, muszę tu stwierdzić, że zarówno Generał, jak i jego najbliższe otoczenie nie mogli sobie zdawać sprawy ze stanu pani Sosnkowskiej i fatalnych skutków, jaki ten stan mógł spowodować w przyszłości.

Korzystam również z okazji, by ponownie ostrzec moich rodaków, że obecna propaganda zniekształcająca rolę historyczną Kazimierza Sosnkowskiego jest wymierzona wprost w Józefa Piłsudskiego i zmierza do zlikwidowania w pamięci narodu legendy i ideologii niepodległościowej obu tych Wielkich Polaków.

Łączę wyrazy należnego szacunku i poważania

Stanisław BABIŃSKI

Londyn, 25 maja 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

Korzystając z pobytu w Londynie i wierząc, że mój list nie będzie oceniany, a co się z tym wiąże, nie będę miał kłopotów z „moją” władzą ludową, pozwalam sobie przesłać kilka impresji na temat Waszej doskonałej działalności jak również na inne tematy.

Pomimo że mieszkam stale w Polsce, mam okazję stykać się z Waszymi publikacjami, które są dla mnie z reguły bardzo interesujące (będąc w Paryżu w latach 60-tych czytałem *Kulturę* w namiocie przy świetle latarki, obawiając się, że nie wwożę jej do kraju — ale udało się). Będąc z wykształcenia inżynierem, a tylko z hobbistycznych zainteresowań historykiem (któż w Polsce nim nie jest) moją pozytywną ocenę opieram dodatkowo na konsultacjach z ludźmi fachowymi w dziedzinie historii i literatury. Interesując się tematyką publikowaną przez Was, na pewno nasiąknęłam nią częściowo i z tego powodu szokujące są dla mnie wypowiedzi Polaków mieszkających stale na emigracji. Twierdzą oni, że „jesteście przesiąknięci marksiz-

mem podobnie jak Kołakowscy, Kuronie czy Michniki...” co mnie, człowieka, który z powodzeniem zdawał egzaminy z tej dziedziny (ponad 30 lat temu) zadziwia. Być może moje kontakty z emigracją nie były wystarczające, ale poglądy większości na temat działań „Solidarności” świadczą o nieznajomości problematyki i daleko posuniętym oportunizmie. Ludzie ci pouczają nas z odległości, równocześnie nie robiąc nic, by próbować zmienić choć fragmentarycznie rzeczywistość w Polsce.

Będąc obecnie, po raz drugi, w Londynie, zaczytuję się *Zeszytami Historycznymi*, będącymi kopalnią wiedzy historycznej. Faktem jest, że w Polsce teraz publikuje się wydawnictwa konkurujące z powodzeniem z Wami, jak np. *Krytyka*, *Kurs*, *Spotkania...* i wiele innych, to dalej uważam *Kulturę* i *Zeszyty Historyczne* za bardzo atrakcyjne ze względu na prezentowanie tam różnych poglądów, tematyki, a być może także braku założonego z góry kierunku ideologicznego. To że chyba nie staracie się utożsamiać z jakąś partią, czy kierunkiem politycznym, pozwala czytać i akceptować Wasze wydawnictwa ludziom o różnych orientacjach. I tu kilka słów o sobie: nie będąc nigdy zwolennikiem systemu panującego w Polsce, acz doceniając pewne atrybuty wolności różniące nas od ZSSR, Czechosłowacji czy NRD, włączyłem się do działań „Solidarności” w dniu 3 września 1980 roku. Tym samym zmieniłem się z opozycjonisty „gadanego” na działacza małego formatu, co jednak spowodowało internowanie mnie w Białolecie, a później ku memu zdziwieniu w Jaworzu. Tak „mię” zakończenie legalnej działalności, quasi opozycyjnej, pozwoliło mi na poznanie i nawet zaprzyjaźnienie się z elitą „Solidarności” i opozycji. Poznałem ludzi od robotnika Gorozankina do Tadeusza Mazowieckiego, od pracownika technicznego TV Kowalskiego do Wiktora Woroszyńskiego. Wszystko to było bardzo interesujące, choć warunki materialne i nastrojowy wynikający z sytuacji nie były zawsze korzystne. Cały pobyt w ośrodkach internowania starałem się poświęcić na poznawanie poglądów ludzi mnie otaczających, tak by potem móc przekazać je dalej, mojemu środowisku, oczywiście przy ich częściowej akceptacji. W ten sposób dzięki Służbie Bezpieczeństwa, która wzięła mnie na listę przyszłych internowanych, powiększyłem grono działających bardziej aktywnie niż to było w latach przed „Solidarnością”. Żałuję, że brak zdolności literackich nie pozwala mi na opisanie wrażeń i opinii na temat środowiska, które poznałem. A wydaje mi się, że jako człowiek „z zewnątrz” mogłem dosyć obiektywnie oceniać ich i stwierdzić, że zdecydowana większość moich współtowarzyszy z okresu internowania (ok. 70 %) zasługuje na szacunek i podziw. Większość z nas reprezentowała oprócz nonkonformistycznych poglądów wysoki poziom zawodowy. Negatywną opinię mogę wydać o ludziach tzw. „nawiedzonych”, lub zajmujących się wyłącznie opozycją (nie mówię tu oczywiście o liderach, jak Kuroń, Michnik). Ludzie ci robią dużo szkody, ośmieszają nas i psują opinię, np. nie będąc w stu procentach uczciwi w sprawach finansowych. To wykorzystuje krajowa propaganda i za nią powtarzają ludzie, którzy nie chcą nic robić dla Polski: takimi zarzutami tłumaczą swój oportunizm.

Z krytycznymi opiniami na temat „Solidarności” spotkałem się również w Londynie, co świadczy o tym, że ludzie łatwiej przyswajają sobie złe informacje na temat pewnego procentu negatywnych postaci, a nie chcą zauważyć, że większość z nas jest pozytywna. Dowodem „jakości” ludzi starających się walczyć o Polskę są nazwiska intelektualistów, aktorów, naukowców, którzy w 80-90 % są po naszej stronie. W latach 40-tych i 50-tych przerażające było, że prawie 100 %, np. pisarzy było po „ich” stronie i człowiek maluczką, za jakiego się uważałem, trwożył się, czy aby on ma rację, kiedy ci inni, „ważniejsi”, byli z nimi. Ja osobiście nie mam niestety, przeciw tym, którzy przeszli na naszą stronę, ale wielu moich rodaków, którzy nic nie robili, by coś się zmieniło, jest obecnie krytycznie nastaw-

wiona do wspomnianych już liderów. Wielu ludzi tłumaczy swój brak akceptacji idei „Solidarności” faktem, że Kuroń był członkiem partii, a Kołakowski jest dalej marksistą [?]. Z tego typu poglądami staramy się walczyć, propagując różnego rodzaju prelekcje, czytelnictwa, przewożąc do kraju publikacje wydawane na Zachodzie, czy słuchając radiostacji, jak Wolna Europa, BBC czy Głos Ameryki. Wszystko po to, by przeciwdziałać ogłupianiu społeczeństwa.

Kończę swój pierwszy w życiu list skierowany do jakiejś redakcji życzeniami powodzenia i nadzieją na kontynuację Waszej działalności.

A.J.

Toronto, 5 czerwca 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

Dziwne iż na 16 nagrodzonych przez Komitet Kultury Niezależnej „Solidarności” pozycji, odnotowanych w majowym numerze *Kultury*, ani jedna nie dotarła za „żelazną kurtynę”, na emigrację. A są to nagrody za twórczość niezależną, czyli wolną od cenzury, o co przecież emigracja walczyła i walczy od zakończenia wojny, gdy prawdopodobnie wielu ze wspomnianego Komitetu było w łonach matek.

Czyżby to co dzieje się na emigracji w prozie, poezji, dziennikarstwie, teatrze, sztuce i innych dziedzinach artystycznych nie było kulturą lub nie sięgało szczytów artystycznych wyznaczonych jej przez Komitet „Solidarności”?

Wprawdzie „ROZMOWY POLSKIE LATEM 1983” zostały wydane na emigracji, ale pan Mareczek jest w Polsce i napisał je tam. Okazuje się że tylko w kraju, mimo terroru i kontroli cenzury, powstają dziś godne podkreślenia wartości kulturalne, tak jakby ten fakt był jedynym warunkiem i sprawdzianem włączenia ich do panteonu polskiego dorobku kulturalnego.

Kiedyś w *Pamiętniku Literackim*, wydanym w Londynie przez Związek Pisarzy Polskich na Emigracji, toczyła się dyskusja na temat: Czy są dwie literatury polskie, emigracyjna i krajowa, czy jedna? Po nagrodach Komitetu „Solidarności” należałoby rozpisać ankietę, czy są dwie kultury polskie, emigracyjna i krajowa, lub nawet trzy: jedna urzędowa dyktowana przez reżim, druga niezależna — krajowa, a trzecia też niezależna, ale emigracyjna i naturalnie gorsza.

Łączę wyrazy poważania

Wacław IWANIUK

Na prośbę p. Tadeusza Podgórskiego zamieszczamy jego list do Redakcji *Tygodnia Polskiego* w Londynie, który nie został opublikowany.

Monachium, 27 kwietnia 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

List dra Ludwika Frendla z Monachium pt. „Rozmowy z dr. Hupką” (*Tydzień Polski* z 20 kwietnia 1985 r.) wymaga zasadniczego wyjaśnienia.

Dr Frenzl napisał, że jego spotkanie z dr. Hupką — prezesem Ziomkostw Śląskich — „miało miejsce w wykonaniu uchwały Rady Narodowej o obowiązku oddziaływania na opinię publiczną oraz czynniki oficjalne w

RFN w kierunku poszanowania granicy na Odrze i Nysie oraz w związku z konkretnymi życzeniami kilku działaczy z kraju”.

Niepodobna dać wiary takiemu ujęciu sprawy, chociaż dr Frenzl wyraźnie zaznaczył, że jego krajowi rozmówcy domagali się „podjęcia wszelkich prób” tego oddziaływania „łącznie z kołami rewizjonistycznymi”.

Stwierdzam, że nie jest mi znana taka uchwała Rady Narodowej (a upewniły mnie w tym opinie wielu zapytywanych w tym przedmiocie członków tej Rady), która wymagałaby od członków tego ciała przedstawicielskiego wdawania się w debaty z rewizjonistycznymi przywódcami ziomkostw z tzw. „niemieckiego wschodu”. Były natomiast uchwały, traktujące ogólnie zadanie oddziaływania na opinię niemiecką. Dr Frenzl nagina w tym wypadku interpretację starej uchwały i czyni to wyraźnie z myślą o wybieleniu swojego zaangażowania w rozmowy polityczne z dr. Hupką, którego sam — i to na piśmie — kwalifikował (także ostatnio) jako „czołowego rewizjonistę”.

Natomiast w związku z powołaniem się przez dr. Frendla na „życzenia kilku działaczy z kraju”, żadnych jakoby „podjęmowania wszelkich prób” oddziaływania także na niemieckie koła rewizjonistyczne, uważam, że opinia ta nie nie znaczy dopóki autor listu nie wykaże, że jego krajowi rozmówcy zaliczają się rzeczywiście do ludzi politycznie odpowiedzialnych. Anonimowe przypisywanie takich opinii działaczom z kraju krzywdzi bowiem ich ogół i może tylko spowodować zamęt w pojęciach politycznych odnośnie stosunku emigracji i kraju do niemieckich rewizjonistów.

Istotne jest natomiast wyjaśnienie publiczne, że dr Frenzl spotkał się w listopadzie ub. roku z dr. Hupką na życzenie tego ostatniego. Prezes niemieckich ziomkostw śląskich przygotowywał w tym czasie swoje wyzywające hasła na czerwcowy zjazd swoich organizacji znanych z ciągów rewizjonistycznych i po prostu wywiódł dr. Frendla w pole. Właściwie dr Frenzl też to potwierdził w tej części swojego listu do *Tygodnia*, w której podał, że po pięciu tygodniach anulował zgodę na dalsze rozmowy z dr. Hupką.

Pragnę przypomnieć, że wszystkie politycznie odpowiedzialne ugrupowania i instytucje polskie emigracji niepodległościowej wykluczają możliwość wdawania się w przetargi z ziomkostwami niemieckimi ze wschodu. Dr Frenzl zdaje się nie dostrzegać tego stanu rzeczy, gdyż w innym wypadku nie przyszłoby mu do głowy wdawanie się w rozmowy ze szczególnie przez Polaków krytykowanym rewizjonistycznym przywódcą ziomkostwa niemieckich Ślązaków.

I wreszcie czytelnicy listu dr. Frendla nie mogli się z jego oświadczenia dowiedzieć, że znajduje się on w ostrym konflikcie z dużą częścią członków Oddziału Rady Narodowej RP w Niemczech, chociaż była to jego polemika z notatką w paryskiej *Kulturze*, która o tym sporze pisała i podała, że Klub Radnych PPS domaga się głosowania wniosku wyrażającego dr. Frenlowi „votum nieufności”.

Jest przykrym faktem, że za stanowisko zajęte przez dr. Frendla pochwalilo go pismo ziomkostw o wybitnie rewizjonistycznym nastawieniu — *Deutscher Ostdienst* numer z 21 marca 1985 roku.

Wieloletni przewodniczący Oddziału Rady Narodowej RP w Niemczech, wysunięty na to stanowisko w swoim czasie przez radnych z PPS powinien wiedzieć co taka nowa sytuacja znaczy. A jako demokratę winien również wiedzieć, że za błąd polityczny tej miary trzeba ponosić polityczne konsekwencje, albowiem wielomiesięczna gra na zwłokę z koniecznym przecieciem w tej sytuacji zwołaniem posiedzenia Oddziału Rady Narodowej RP w Niemczech naprawić niczego nie może.

Łączę wyrazy głębokiego poważania

Tadeusz PODGÓRSKI

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

- S.D., *Włochy*; Z.S., *Francja*; J.K., *Południowa Afryka*; T.O., *USA*; K.G. *w Kraju*; R.S.K. *w Kraju*; J.Z., *Szwecja*; T.K. *w Kraju*; S.S.Z. *w Kraju*; T.W., *RFN*; T.W., *Kanada*; — Z wierszy nie skorzystamy.
- P.N., *USA*. — „Bibułka” nasuwa pytanie, czy warto w ogóle spisywać żargonowy bełkot narkomanów.
- W.G., *Francja*. — Opowiadanie „Mur” wydaje nam się, szczerze mówiąc, bardzo niedobre; nie wystarczy nagromadzenie i zagęszczenie obscenicznych okropności...
- R.L., *Francja*. — Obie wersje opowiadania „mijają się z celem” (jak to Pan określa). Słaby jest również felieton „Wolny obywatel”.
- W.Ch., *USA*. — Nasza opinia o Pana rozprawie — nawet na podstawie kilku przysłanych próbek — jest zdecydowanie negatywna.
- A.Z., *Kanada*. — „Śmierć chirurga” nie nadaje się do druku. W „Świni” trafiają się zgrabnie napisane fragmenty, ale całość robi wrażenie chaotycznej gonitwy zdarzeń.
- K.G., *Francja*. — Zmiany wprowadzone przez Pana do tekstu „Zagubionej wyspy” nie wpłynęły niestety na zmianę naszej zeszłorocznej decyzji.
- A.G. *w Kraju*. — „Miniaturowe opowiadania” są według nas blade, bez wyrazu.
- M.J., *Szwajcaria*. — Tekst o „ucieczce od życia” jest raczej notatką do opowiadania, niż opowiadaniem.
- P.T., *Pfullingen, RFN*. — Nie zamieścimy. Dyskusja nad artykułem Marka Turbacza została zamknięta.
- J.K., *San Jose (USA)*. — Nie zamieścimy. Nie sądzimy aby było celowe kontynuowanie polemiki w sprawie właściwie błahej.
- K.Z., *Wuppertal, RFN*. — Nie zamieścimy. Na temat emigracji i ekonomii piszemy bardzo obszernie w *Kulturze*, a Pana list nie wnosi niczego specjalnie nowego.
- Pełnomocnik autorów Z-L z USA*. — Niestety również i 6-tej przesyłki pt. „Oknem inżyniera” nie zamieścimy — bardzo słabe.
- Mec. Władysław Siła-Nowicki*. — Pana listu nie zamieścimy.
- J.K., *Queens (USA)*. — Nie zamieścimy. Nie kontynuujemy polemiki na temat książki Henryka Grynberga „Prawda nieartystyczna”.
- J.G.S-W, *Münster, RFN*. — Pana artykułu „Kościół — Państwo — prawo oporu” nie zamieścimy, gdyż ma on charakter zbyt specjalny dla naszego pisma.
- R.U., *Châtillon (Francja)*. — Pana eseju pt. „Face au nihilisme suicidaire — Le scandale de l'absolu” nie zamieścimy. Tematyka wykracza poza zakres naszych zainteresowań.
- W.A., *New York*. — Artykułu „Rolnictwo — klucz do gospodarki” nie zamieścimy, jest bardzo powierzchowny.

Dokumenty

## NOTATKA Z DYSKUSJI NAD RAPORTEM „SPOŁECZEŃSTWO POLSKIE NA PRZEŁOMIE XX I XXI WIEKU” (SPP)

na posiedzeniu plenarnym Komitetu Prognozowania  
Perspektywicznego Rozwoju Kraju „Polska 2000”  
przy Prezydium PAN w dniu 28 lutego 1985 roku

W dyskusji głos zabrali w kolejności: prof. dr Wł. Markiewicz, prof. dr A. Siciński, prof. dr L. Zienkowski, prof. dr W. Bojarski, prof. dr P. Bożyk, prof. dr J. Reguński, prof. dr A. Kukliński, dr J. Toczek, prof. dr W. Nieciński, prof. dr I. Malecki, prof. dr E. Olszewski, prof. dr K. Dziewoński, prof. dr J. Holzer, prof. dr A. Wiślicki, doc. dr hab. D. Markowska, doc. dr hab. J. Kopyński.

W toku dyskusji podkreślono zgodnie, że opracowany raport „Społeczeństwo polskie na przełomie XX i XXI wieku” (SPP) jest interesującą próbą całościowej prognozy rozwoju społeczeństwa polskiego, opartej na prognozach wielostronnych uwarunkowań zewnętrznych i wewnętrznych do końca stulecia i w pierwszej dekadzie wieku XXI.

Dokonując próby działowego ujęcia dyskusji poruszono w niej następujące główne problemy:

### 1. Wielości i konkurencyjności celów

Cele te, w większości słuszne, bo oparte na analizach stanu poszczególnych dziedzin i ostrzegawczej ekstrapolacji toczących się procesów (np. zagrożenia środowiska, stanu majątku trwałego, infrastruktury życia społecznego, itd.) dopiero w konfrontacji z prognozą rozwoju społeczno-ekonomicznego odślaniają pełny obraz trudności, jakie napotka centralny system decyzyjny w wyborach dokonywanych w nadchodzącym okresie.

Mówiono m.in., że:

a) poszczególne zagadnienia opracowane zostały z różną szcze-



gółowścią, co było nie do uniknięcia przy tak szerokim zakresie tematycznym i tak dużej ilości osób uczestniczących w tej pracy;

b) powinna być bardziej uwypuklona problematyka inwestycyjna, a zwłaszcza przedstawiony stan przemysłu i jego nowoczesności w sytuacji, gdy skończymy inwestycje z lat siedemdziesiątych. Co się stanie, jeżeli będziemy kontynuować politykę odtworzenia struktury przemysłowej i struktury inwestycyjnej z lat 70-tych? Nie ma odpowiedzi, dlaczego nasza polityka inwestycyjna jest polityką XIX wieku. Zwracano uwagę, że anachroniczna struktura inwestycji wynika m.in. z wymuszonego charakteru wielu działań inwestycyjnych;

c) celowe jest przeprowadzenie swego rodzaju symulacji hipotetycznych kalendarzy działań, np. na początek moratorium na nowe inwestycje surowcowe, rozbudowa specjalności eksportowych celem eksportu dóbr przetworzonych i importu za to surowców, rozbudowa własnej bazy naukowo-technicznej celem promowania rozwoju surowcowo-oszczędności;

d) w ślad za raportem należy opracować serię bardziej szczegółowych opracowań wariantowych i alternatywnych rozwiązań, które będą wymagały rozstrzygnięć i wpłyną na kierunki rozwoju kraju.

Wniosek: *opracować szereg prognoz ostrzegawczych, np. jakie będą skutki kończenia inwestycji rozpoczętych w latach 70-tych?*

Z całościowym charakterem SPP łączy się też problem:

## 2. Niespójności i wzajemnej sprzeczności poszczególnych działań

Przykładami takimi są: sprzeczność między prognozą zatrudnienia, prognozą zdrowotności (jak osiągnąć wzrost zatrudnienia 1 mln inwalidów i nadumieralności mężczyzn).

Zwrócono uwagę na:

a) brak spójności metodologicznej między poszczególnymi opracowaniami określanymi nazwą prognoz wyjściowych, różnice w sposobie podejścia, w sposobie analizy;

b) przewagę analiz i ujęć diagnostycznych nad prognostycznymi;

c) pobieżne potraktowanie w Raporcie sprawy zatrudnienia, jego struktury, motywacji do pracy i płac;

d) niewykazanie, że najgorszym z możliwych wyborów byłby wybór na podnoszenie stopy życiowej kosztem zaniedbań ekologii, majątku trwałego, warunków pracy itd.;

e) przy ogólnie kompleksowym ujęciu, są tematy nie podjęte unika się także najtrudniejszych problemów natury politycznej i ekonomicznej. Nie wskazuje się także co i jak należy robić, aby rozwiązać trudne problemy. Brak jest alarmistycznego pokazania oddalania się Polski od czołówki światowej. Brakuje odpowiedzi na pytanie, dlaczego tendencje autarkiczne wciąż w Polsce

są tak nasilone. I wreszcie brak odpowiedzi, dlaczego reforma gospodarcza jest niekonsekwentna i niespójna;

f) niektóre stwierdzenia budzą wątpliwości i mijają się z rzeczywistością. Dotyczy to np. rodności, o której mówi się, że pozostanie na stosunkowo wysokim poziomie, gdy tymczasem wieloletni trend jest spadkowy. Podobnie w kwestii umieralności niemowląt, mówi się, że tendencje przyszłości nie będą sprzyjały szybkiemu spadkowi umieralności, gdy tymczasem należy powiedzieć, iż będzie narastała umieralność niemowląt. Analogiczna teza o poprawie warunków sanitarnych nie znajduje uzasadnienia w istniejącej i przyszłej rzeczywistości — zatrucia wód, kumulacji szkodliwych substancji w glebie i atmosferze. Idziemy do katastrofy, a nie do umiarkowanego i wybiórczego pogłębiania się procesów degradacji środowiska;

g) pominięcie w rozdziale o zdrowiu tak elementarnego i podstawowego wskaźnika jak skracanie się średniego okresu życia;

h) konieczność uwydatnienia w znacznie silniejszym stopniu luki remontowej, jak też problematyki efektywnej gospodarki przestrzennej (reforma gospodarcza sprzyja intensyfikacji tendencji do koncentracji przemysłu na obszarach aglomeracji miejskich i na obszarach już rozwiniętych). Te sprawy, którym reforma gospodarcza nie poświęca odpowiedniej uwagi, będą prowadziły do zasadniczego ograniczenia jakości życia, warunków życia i będą powodowały daleko idące konsekwencje społeczne i gospodarcze.

Wniosek: *należy opracować przekrojowe analizy (międzysektorowe) dla wykrycia tych sprzeczności i zaproponowania spójnych rozwiązań. Np. w wymienionym przykładzie, gruntowna zmiana struktury produkcji i systemów pracy.*

## 3. Nadmiar pesymizmu czy optymizmu

Podkreślono, że:

a) Raport przedstawia wizję niezwykle optymistyczną, niebezpieczną w swoim optymizmie. Oprócz tej wizji niezbędna wydaje się być wizja ostrzegawcza, bardziej krytyczna;

b) Raport końcowy SPP, mimo rzetelności studiów przezeń reprezentowanych jest tekstem, który może się przyczynić do ugruntowania lub powstania w polskim myśleniu o przyszłości wielu, wręcz niebezpiecznych iluzji;

c) istnieje konieczność unaocznienia, iż kraj stoi przed dramatycznymi trzema barierami: energetyczną, surowcową i środowiskową. Stoimy przed barierą narastającej dekapitalizacji majątku przemysłowego i infrastruktury. W tych sprawach raport wypowiada się zbyt optymistycznie;

d) dramatyzm sytuacji został zatarty szczególnie w części dotyczącej ochrony środowiska. Raport daje podstawę do odpowiedzi na pytanie: jaka będzie przyszłość społeczeństwa polskiego na przełomie XX i XXI wieku. Można powiedzieć, że znaj-

dujemy się jako naród u progu generalnej katastrofy narodowej. Pytania w prognozie powinny się sprowadzić do: jakie są szanse i możliwości; jakie mechanizmy społeczne pozwoliłyby na działanie motywacji i zmianę postaw naszego społeczeństwa;

e) celowe byłoby opracowanie aneksu do raportu, który by podjął próbę pokazania ciągów myślowych z różnych ekspertyz zbiegających się w kontekście barier, które zostały pokazane, np. bariera inwestycyjna. Nie ma możliwości, aby wszystkie sprawy zaniedbań, sytuacji ekonomicznej, gospodarczej, społecznej w jakiej się znaleźliśmy miały szansę rozwiązania do końca tego stulecia.

Z tego będzie wynikała konieczność wyboru celów:

f) wymaga podkreślenia, iż w raporcie przedstawiono program postępowania, który ma się spełnić, żeby wstrzymać trend spadający. Nie można prezentować społeczeństwu perspektywy dojścia w 1995 roku do sytuacji z 1978 roku, ponieważ jest to niewystarczające i społeczeństwo tego nie przyjmie.

W tych przedmiotach trwa od początku dyskusji nad kolejnymi wersjami SPP skrajne rozwarstwienie opinii dyskutantów. Nie wypowiadając własnego poglądu w tych sprawach, Prezydium Komitetu „Polska 2000” wyciąga z tego wnioski, że dalsza dyskusja powinna być prowadzona na podstawie zestawu wariantów o różnym ładunku optymizmu i pesymizmu.

#### 4. Obszar uwłasnowolnienia polityki społeczno-ekonomicznej w Polsce

Wiele głosów wskazywało na zbyt szerokie pole przewidziane w SPP, w odniesieniu do autonomicznie podejmowanych wyborów w dziedzinie polityki gospodarczej w Polsce w obliczu rosnącego uzależnienia gospodarki polskiej od rygorów wynikających z przynależności do RWPG. Z drugiej strony nie brakło głosów uznających za główne zagrożenie rozwoju dalsze powiększanie luki technologicznej między Polską a czołową światową (USA, Japonia).

Stwierdzono także, iż dokument cechuje podejście autarkiczne w sferze współpracy międzynarodowej i w międzynarodowym podziale pracy.

#### 5. Problem jakości życia

Podnoszono zarzut, że w SPP stawia się znak równości między jakością życia a stopą konsumpcji materialnej.

Podnoszono także, iż:

a) w rozdziale o jakości życia niewiele mówi się o poziomie życia, a nic o jego jakości. Raport powinien zawierać rozdział o jakości życia, uwzględniający takie elementy jak: udział społeczeństwa w zarządzaniu, procesy samorządności;

b) pomiędzy diagnozą a zaleceniami istnieje system inercji. Sam człowiek jest nie tylko swoim własnym nieprzyjacielem wskutek swojej inercji politycznej i indywidualnej ślepoty, ale jest także swoją pierwszą lampą nadziei;

c) w świecie przełomu XX i XXI wieku, problem stworzenia motywacji do pracy jest kluczowym problemem (przyszłość należy do tych, którzy potrafią dobrze pracować, którzy tworzą innowacje);

d) zmiany w świadomości motywacji społecznej na rzecz czynnej akceptacji są jedyną szansą rozwoju kraju. Jakie są szanse przełomu w funkcjonowaniu całego naszego życia społecznego i świadomości społecznej? Muszą nastąpić głębokie przemiany w socjalizmie, które następnie uruchomią wewnętrzne siły narodu. Tego w raporcie nie pokazuje się dostatecznie, a to jest w istocie rzeczy jedyna szansa rozwoju i przezwyciężenia impasu, wyjścia z progu katastrofy w którym się znajdujemy.

#### 6. Normatywny charakter prognozy

Zwrócono uwagę na niebezpieczne skutki tkwiące w zadeklarowanym w SPP charakterze normatywnym prognozy. Opisany w niej stan pożądany może być interpretowany przez sfery decydentów jako stan prawdopodobny.

Nad opracowaniem negatywnie zaciążyła idea tzw. prognozy normatywnej. Konsekwencją tego założenia jest np.: pomijanie niektórych drażliwych zagadnień (nie porusza się zagadnień z całością struktury naszej gospodarki i sposobu sterowania problemami kraju, infrastruktury życia codziennego takiej jak np. oświata, pomija się problem systemu przywilejów); prezentacja niektórych danych w taki sposób, który tuszuje ich niepożądaną dla przyszłości wymowę, bądź nie uwidacznia ich negatywnego aspektu (mieszkania, problemy ekologiczne); nieuwzględnianie w sposób zadowalający wariantowości przemian pewnych zjawisk (spadek umieralności niemowląt a pogarszająca się sytuacja ekologiczna i mieszkaniowa oraz obniżanie się średniej długości życia; omawia się tylko jeden wariant w rolnictwie); pojawianie się w pewnych przypadkach nadmiaru „chciejstwa” (odchodzenie od monotekniki, oczekiwania poprawy warunków sanitarnych, elektronizacja); pomijanie istotnych powiązań między różnymi dziedzinami życia (trudności uzyskania siły roboczej w kontekście trudności zatrudnienia nadmiaru ludności wiejskiej, przewidywanie wysokiego poziomu wykształcenia społeczeństwa w kontekście kryzysu infrastruktury oświatowej; nie bierze się pod uwagę w zagrożeniach społecznych tych zagrożeń, które będą wynikały z narastającego kryzysu mieszkaniowego, ekologicznego, wzrastających zagrożeń zdrowotnych, czy wzrostu nierówności społecznych); używanie czasem sformułowań deformujących (wysoki poziom budownictwa mieszkaniowego w sytuacji totalnego kryzysu, umiarkowane i wybiórcze pogłę-

bianie się procesów degradacji środowiska naturalnego przy wskazywaniu dramatu jeśli idzie o wodę, jej zasoby i skażenie).

Uzupełnienia raportu o zagrożenia drażliwe mogłyby ukazać diametralnie różny obraz przyszłości. Istnieje potrzeba rychłego opracowania i opublikowania wariantu, który będzie mówił, iż często dziś używane określenie „wychodzenia z kryzysu” jest o tyle prawdziwe, że wchodzimy w nową fazę, fazę katastrofy, katastrofy w życiu codziennym obywateli naszego kraju. Celowa jest publikacja obecnego raportu z wyraźnym zaznaczeniem, że jest to wariant życzeń i z zapowiedzią prezentacji wariantu antyżyczeń. Postulowane jak najszybsze przygotowanie wariantu antyżyczeń.

#### 7. Niemalże wszyscy uczestnicy dyskusji zwrócili uwagę, że:

a) Raport jest poważnym osiągnięciem Komitetu, a bogactwo rzetelnie zebranych materiałów zasługuje na szczególne podkreślenie;

b) Raport jest wizytówką polskiej nauki, która prezentuje najtrudniejsze problemy i sytuacje, przed jakimi staje nasz kraj;

c) zaletą raportu jest kompleksowość i odwaga, bowiem równolegle podejmuje trudne zagadnienia z wielu różnych dziedzin;

d) dokument typu omawianego raportu nigdy nie może być dokumentem kompletnym i nie może wszystkich zadowolić. Dokument będzie zawsze pewnym kompromisem;

e) dalsze próby doskonalenia dokumentu na obecnym etapie nie wydają się celowe i możliwe. Należy przedstawić go Prezydium PAN. Można przewidywać, że zagadnienia prognozowania będą omówione na III Kongresie Nauki Polskiej, a jego ustalenia pozwolą wytyczyć dalsze kierunki prac Komitetu.

#### 8. Dalsze prace i upowszechnienie prognozy

Przy całej rozbieżności ocen merytorycznych panował wspólny pogląd o konieczności kontynuacji prac nad prognozą SPP w przyszłej kadencji Komitetu oraz jej szerokiego upowszechnienia po ewentualnym przyjęciu przez Prezydium PAN. Padło również pytanie, co zamierza się zrobić, aby opracowane prognozy stały się ważkim elementem podejmowania decyzji.

P.S.

W związku ze zgłoszonymi uwagami do raportu końcowego „Społeczeństwo polskie na przełomie XX i XXI wieku” (SPP), przedkłada się następujące uzupełnienia do tekstu przekazanego Prezydium PAN:

1) str. 114, w wierszu 8 od góry, w nawiasie po wyrazach „Komisje sejmowe” wstawia się słowa: Kongres Kultury z 1981 r.

2) str. 119, w wierszu 7 od dołu, po słowie „młodzieżepokoleniowa” wstawia się następujące zdanie: „W odpowiedzi, rynek kultury masowej, wsparty manipulatorskimi nawykami naszych środków masowego przekazu, będzie wówczas podsuwał odbiorcom kolejną wersję (zawsze skwapliwie komercjalizującej się po sukcesie) młodzieżowej podkultury, opartą jak dotąd na przewadze emotywności, aintelektualizmie, hobbyistycznym bądź egocentrycznym perfekcjonizmie (kolekcjonerstwo pozaartystyczne, sport).

Ponadto pan prof. dr J. Tymowski nadesłał pisemne uwagi do rozdziału IV „Struktura produkcyjna przemysłu” o następującej treści:

Ograniczenie rozważań do przemysłu przetwórczego, a tym bardziej jego części przemysłu elektromaszynowego nie daje dostatecznych podstaw do formułowania wniosków.

1. Energetyka staje się obecnie główną barierą rozwoju. Należy radykalnie zmienić podejście do planowania rozwoju gospodarki kraju. Odejść od zasady „planujemy taki rozwój poszczególnych gałęzi gospodarki, z czego wynika takie zapotrzebowanie energii, które należy dostarczyć”, a przejść na podejście „możemy dysponować taką ilością energii. Jak należy planować rozwój gospodarki, aby energię tę optymalnie wykorzystać”.

Pociąga to za sobą potrzebę zahamowania rozwoju, a nawet zmniejszenie produkcji przemysłów wybitnie energochłonnych — metalurgii żelaza, ciężkiej chemii, przemysłu cementowego.

2. Zasadą generalną przy planowaniu rozwoju przemysłu powinno być przesunięcie uwagi z dążenia do produkcji ilościowej, wyrobów produkcji niskowartościowych, o małym stopniu uszlachetnienia na produkcję wyrobów o wysokiej wartości dodanej.

Wymaga to radykalnej poprawy jakości pracy i związanej z tym dyscypliny pracy. Mamy obecnie dość dziwną sytuację — znaczny zasób wysoko kwalifikowanej siły roboczej, przy niskiej kulturze technicznej tych pracowników.

3. Rozwój przemysłu powinien opierać się na krajowej bazie surowcowej. Stąd narodowymi przemysłami polskimi powinny być metalurgia metali nieżelaznych i wyroby pochodne, chemia przy nacisku na pochodne — farmaceutyka, barwniki, przemysł rolno-spożywczy, górnictwo.

W przemyśle maszynowym główny nacisk powinien być położony na rozwój przemysłu informatywnego, elektronikę, szczególnie mikroelektronikę i przemysł precyzyjny. Należy jednak zapewnić rozwój branż pracujących na rzecz przemysłów narodowych, a więc przemysłów urządzeń i aparatury chemicznej, maszyn i aparatury przemysłu spożywczego, maszyn i narzędzi rolniczych oraz maszyn górniczych.

Ogromne zadania, jakie stoją przed budownictwem wymagają dołączenia do branż preferowanych branż maszyn budowlanych. Zwiększenie elastyczności całego przemysłu, możliwości modernizacji zakładów istniejących i budowy nowych wymagają bardzo poważnej rozbudowy przemysłu obrabiarek, narzędzi.

Prof. dr Władysław MARKIEWICZ  
Przewodniczący  
Komitetu Prognozowania  
Perspektywicznego Rozwoju Kraju  
„Polska 2000”

## UCHWAŁA

Towarzystwa Naukowego Prawa Karnego  
z dnia 15 kwietnia 1985 roku, dotycząca projektu  
ustawy o szczególnej odpowiedzialności karnej oraz  
projektu ustawy o zmianie niektórych przepisów  
prawa karnego i prawa o wykroczeniach

Członkowie Towarzystwa Naukowego Prawa Karnego zebrani na posiedzeniu w dniu 15 kwietnia 1985 roku, po przeprowadzeniu dyskusji wypowiedzieli się jednomyślnie przeciwko projektowanym zmianom prawa karnego i prawa o wykroczeniach.

Stanowisko to uzasadnione jest w szczególności tym, że:

1. Postępująca stabilizacja życia społecznego nie wymaga nagłych i nadzwyczajnych uregulowań prawnokarnych.
2. Notowany wzrost przestępczości nie wiąże się z niedoskonałością obowiązujących uregulowań prawnokarnych, lecz przede wszystkim z reglamentacją obrotu i związanym z tym rozszerzeniem zakresu penalizacji, a także wzmocnieniem intensywności ścigania (np. spekulacja).
3. Projekty oznaczają drastyczne zwiększenie represyjności prawa karnego, mimo że polskie prawo karne w porównaniu z prawem innych krajów socjalistycznych już obecnie odznacza się najwyższym stopniem represyjności.
4. Drastyczne podniesienie zagrożeń karą grzywny w połączeniu z rozszerzeniem możliwości stosowania konfiskaty mienia doprowadzi do tego, że znacznie wzrośnie odsetek skazanych, którzy nie będą mogli uiścić orzeczonej grzywny, a co za tym idzie wzrośnie liczba osób odbywających zastępczą karę pozbawienia wolności.
5. Dopuszczenie konfiskaty mienia przy skazaniu za każde przestępstwo popełnione z chęci osiągnięcia korzyści majątkowej niezależnie od rozmiarów korzyści, także w postępowaniu przyspieszonym, a nawet wyrokiem zaocznym, kłóci się z zasadą wymierzania dolegliwości współmiernej do stopnia społecznego niebezpieczeństwa czynu.
6. Nadmierne rozszerzenie następstw ekonomicznych skazania godzi nie tylko w sprawę, lecz w szeroki krąg rodzin osób skazanych.
7. Ograniczenie możliwości orzekania warunkowego zawieszenia kary poz-

bawienia wolności doprowadzi do znacznego wzrostu liczby osób odbywających karę pozbawienia wolności; liczba ta wzrośnie także wskutek obligatoryjnego stosowania aresztu tymczasowego, a także innych proponowanych rozwiązań. Szacuje się, że populacja więzienna wzrośnie co najmniej o 25 tys. osób. W związku z tym nastąpi w szybkim tempie przeludnienie zakładów karnych tak, że całkowicie przekreśli to możliwości jakiegokolwiek oddziaływania resocjalizacyjnego i doprowadzi do konieczności podjęcia działań zmierzających do rozładowania zakładów karnych.

8. Proponowane zmiany procedury karnej, a zwłaszcza rozszerzenie zasięgu postępowania uproszczonego i przyspieszonego, ograniczają w znacznej mierze udział ławników w wymiarze sprawiedliwości, co jest sprzeczne z zasadą zawartą w artykule 59 Konstytucji.

9. Postępowania skrócone w ogólności, a zwłaszcza postępowanie przyspieszone ograniczają prawo do obrony redukując je praktycznie do zera, co naraża nas na zarzut sprzeczności projektowanych regulacji z międzynarodowymi zobowiązaniami.

10. Mienie powierzone przewoźnikowi jako mienie społeczne jest już dostatecznie chronione, o czym świadczy m.in. spadek tej przestępczości w ostatnim okresie w wyniku działań podjętych w ramach obowiązującego prawa.

11. Nowe ujęcie przestępstwa niegospodarności doprowadzić może do spalizowania inicjatywy w gospodarce w sposób jeszcze dotkliwszy aniżeli czynił to art. 286 k.k. z 1932 roku, który właśnie z tego powodu był ostro krytykowany.

12. Zakaz warunkowego przedterminowego zwolnienia w odniesieniu do niektórych recydywistów oznacza odebranie im możliwości, którą już w świetle obowiązującego prawa niejednokrotnie uzyskali, czyli powoduje wsteczne działanie ustawy karnej wbrew fundamentalnej zasadzie, że ustawa karna nie może działać wstecz. Zakaz ten nie jest też uzasadniony większą powrotnością do przestępstwa recydywistów warunkowo zwolnionych. Zakaz taki w swoim czasie już obowiązywał, lecz wkrótce okazała się potrzeba jego uchylenia.

13. Projekty w nieuzasadniony sposób ograniczają możliwości dostosowania kary do wagi czynu, stopnia zawinienia sprawcy i jego indywidualnych właściwości, które to okoliczności są zasadniczymi czynnikami wpływającymi na wymiar kary w myśl obowiązującego prawa karnego.

14. Proponowane w projektach zmiany prawa karnego materialnego i procesowego naruszają zwarty system prawa karnego funkcjonujący z powodzeniem od 1970 roku i zweryfikowany w ciągu 15-letniego okresu obowiązywania, w szczególności rezygnując z kary jako środka resocjalizacyjnego na rzecz kary jako środka odwetu.

MINISTER NAUKI I SZKOLNICTWA WYŻSZEGO  
DKZ-1030/42/84/85

Warszawa, dnia 1985-01-09.

## POSTANOWIENIE

Na podstawie art. 61 § 1 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 roku — Kodeks postępowania administracyjnego (Dz.U. z 1980 roku, Nr 9, poz. 26) wszczynam postępowanie w sprawie rozwiązania — na podstawie art. 169 ust. 1 pkt 7 p-stawy z dnia 4 maja 1982 roku o szkolnictwie wyższym (Dz.U. Nr 14, poz. 113 z późniejszymi zmianami) — stosunku pracy z obywatелеm prof.

dr. hab. Leszkiem Józefem Nowakiem, profesorem w Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, w związku z jego oddziaływaniem wychowawczym na młodzież studencką, pozostającym w rażącej sprzeczności z zasadami działania i zadaniami szkoły wyższej określonymi w art. 1-3 ustawy.

#### Uzasadnienie

Obywatel Leszek Nowak w okresie co najmniej od stycznia 1983 roku sporządzał w celu rozpowszechniania publikacje poniżające ustrój i naczelne organy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, znieważające Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą oraz zawierające fałszywe wiadomości mogące wywołać niepokój publiczny i wyrządzić poważną szkodę interesom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Publikacje te miały charakter artykułów bądź broszur i ukazały się w bezdebitowych wydawnictwach zdelegalizowanego NSZZ „Solidarność”, szeroko kolportowanych również w szkołach wyższych Poznania.

Obywatel Leszek Nowak w swoim wykładzie na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego w dniu 18 maja 1984 roku, zorganizowanym przez samorząd studencki, w którym wzięli udział studenci i pracownicy Uniwersytetu, zawarł treści rażąco naruszające zasadę i obowiązek socjalistycznego wychowania studentów zgodnie z Konstytucją Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W wykładzie tym dyskredytował, między innymi, podstawy socjalistycznego ustroju naszego państwa i politykę władz państwowych. Stwierdzić należy, że obowiązki nauczyciela akademickiego — zgodnie z art. 144 ustawy o szkolnictwie wyższym — odnoszą się nie tylko do działalności nauczyciela w szkole wyższej, w której jest on zatrudniony.

Omawiana działalność obywatela Leszka Nowaka spowodowała wszczęcie przeciwko niemu przez Prokuraturę Wojewódzką w Poznaniu postępowania karnego. Postępowanie to zostało umorzono na podstawie przepisów ustawy z dnia 21 lipca 1984 roku o amnestii (Dz.U. Nr 36, poz. 192).

Omówiona wyżej działalność i oddziaływanie wychowawcze obywatela Leszka Nowaka są w sposób rażący sprzeczne z podstawowymi obowiązkami nauczyciela akademickiego, a w szczególności z zasadami działania i zadaniami szkoły wyższej określonymi w art. 1-3 ustawy o szkolnictwie wyższym i jako takie mogą stanowić podstawę do rozwiązania z nim stosunku pracy na podstawie art. 169 ust. 1 pkt 7 ustawy o szkolnictwie wyższym.

w/z Ministra

Podsekretarz Stanu

Prof. dr hab. Stanisław NOWACKI

Do wiadomości:

Rektor UAM-Poznań

## Z ostatniej chwili

### Notatki z Polski

(STYCZEŃ - KWIECIEŃ 1985)

W pierwszych miesiącach roku 1985 władza — która przycichła na pewien czas po tym, jak jej funkcjonariusze okazali się politycznymi terrorystami — z nowym impetem zabrała się do realizowania „normalizacji”. Przystąpiła do ataku od razu na trzech frontach: przeciw Kościołowi, opozycji i całemu społeczeństwu.

Kampania antykościelna, rozpoczęta podczas procesu toruńskiego, nie została przerwana po wyroku na morderców księdza Popiełuszki. Nie poprzestano na atakach prasowych, coraz ostrzejszych, przypominających w stylistyce okres stalinowski, wymierzonych we wszystkie szczeble hierarchii, łącznie z Papieżem. Pojawiły się pogłoski o zamiarach zlikwidowania kilku pism: *Znaku, Więzi, Przeglądu Katolickiego, Powściągliwości i Pracy*. Znaleźli się również naśladowcy Grzegorza Piotrowskiego. Tym razem ofiarą zamachu miał być ks. Kazimierz Jancarz, który celebrował słynne nabożeństwa za Ojczyznę w nowohuckim kościele w Mistrzejowicach. Kiedy 24 lutego jechał on z Gdańska do Warszawy na mszę u św. Stanisława Kostki, między Olsztyńkiem a Ostródą z jadącego w przeciwnym kierunku samochodu rzucono kamień, który rozbił przednią szybę auta ks. Jancarza. Nowohucki kapłan od dłuższego czasu otrzymywał listowne i telefoniczne pogróżki, m.in. że zostanie zastrzelony przy ołtarzu.

W półtora miesiąca później również „nieznani sprawcy” napadli na księdza Tadeusza Zaleskiego, współpracującego z Krakowską Inicjatywą Przeciw Przemocy i od dawna inwigilowanego przez SB. W Wielką Sobotę w piwnicy domu, gdzie mieszkają jego rodzice, został obezwładniony gazem, a gdy odzyskał przytomność, paliła się na nim kurtka. Na twarzy i klatce piersiowej miał wypalony, najprawdopodobniej papierosem, znak V.

Sledztwa w ogóle nie wszczęto, w prasie podano, że było to samookaleczenie. Przerażająca jest zbieżność prasowej kampanii kłamstw i oszczerstw oraz aktów bezpośredniego fizycznego terroru z zapewnieniami Jaruzelskiego i Urbana, że stosunki między państwem a Kościołem układają się dobrze.

Jednocześnie z atakiem na Kościół zintensyfikowały się działania przeciwko opozycji. Wzrosła aktywność SB, od początku lutego każdy tydzień przynosił nowe aresztowania działaczy podziemnych struktur, drukarzy, kolporterów. Pod koniec kwietnia lista więźniów politycznych w PRL sięgała już blisko 200 osób. Do złapania najwybitniejszego z aresztowanych działaczy, Czesława Bieleckiego (pseudonim: Maciej Poleski) zaangażowano olbrzymie siły policyjne. Blok, w którym się ukrywał, był obstawiony przez tłumy SB-ków, a w samym zatrzymaniu wzięło udział 20 tajniaków.

Postanowiono ugodzić również w przywódców „Solidarności”. O ile tamte aresztowania były wynikiem operacyjnych działań SB., nasilonych po zakończeniu procesu toruńskiego, to uwięzienie Lisa, Michnika i Frasyniuka miało niewątpliwie charakter polityczny. Decyzja zapadła tu w zupełnie innym trybie niż wobec osób złapanych na „nielegalnej działalności”. Wiadomo przecież, że wszyscy trzej nie zaprzestali aktywności publicznej: udzielali wywiadów, sygnowali protety, pisali w prasie podziemnej, spotykali się z działaczami „Solidarności”. Można było ich aresztować w każdym momencie, podobnie zresztą jak wielu innych działających jawnie na powierzchni. Wybrano 13 lutego, w niespełna tydzień po zakończeniu procesu toruńskiego, by dać do zrozumienia, że chwilowa pobłażliwość wobec opozycji się kończyła i dla niepokornych zaczyna się czas represji.

Podobny charakter co aresztowanie wymienionej trójki miało dołożenie Andrzejowi Gwiedzie kolejnych dwóch miesięcy aresztu przez kolegium (6 marca) z absurdalnym zarzutem nieokazania dowodu osobistego czy wtargnięcie 30-osobowej bojówki antyterrorystycznej na spotkanie Leszka Moczulskiego z kilkoma członkami KPN (9 marca). Wreszcie za udział w manifestacjach 1 i 3 maja kolegia skazały na 3 miesiące aresztu Jacka Kuronia, Seweryna Jaworskiego i działaczy z Huty im. Lenina: Stanisława Handzlika i Edwarda Nowaka. Niebezpiecznym precedensem stało się niewpuszczenie do Polski Seweryna Blumsztajna (5 lutego), a także wyrok sądu we Wrocławiu (11 lutego) nakazujący Józefowi Piniorowi zwrot 80 mln zł, które dolnośląska „Solidarność” wycofała z banku tuż przed 13 grudnia 1981. Te sprawy również miały przekonywać, że władza jest znów gotowa rozprawiać się z opozycją. I tak w czwartym roku od wprowadzenia stanu wojennego, po kolejnych amnestiach, w ciągu kilku miesięcy w więzieniach znalazła się taka ilość ludzi, że można powiedzieć, iż władza „wraca do normy”.

Głównym frontem ataku reżimu Jaruzelskiego stało się jednak całe społeczeństwo. Wobec postępującego zubożenia ludności

wprowadzane od początku roku podwyżki muszą spowodować katastrofalne obniżenie poziomu życia i gwałtowne poszerzenie się obszarów nędzy. A wszystko to przy braku jakiegokolwiek programu ekonomicznego stwarzającego szanse wyjścia z kryzysu.

Równoległe z podwyżkami w końcowy etap przygotowań weszły w pierwszych miesiącach roku projekty nowelizacji wielu różnych ustaw, które łączy pewna wspólna cecha: mają one stworzyć ramy prawne dla kapraleskiej wizji porządku społecznego. Wszystkie proponowane zmiany zmierną w jednym kierunku — ograniczenia praw obywatelskich. Niewolnicza praca, wzmożona represyjność prawa karnego, likwidowanie resztek autonomii i pluralizmu — oto droga wytyczona przez obecną ekipę i przedłożona do legalizacji posłusznemu sejmowi.

I tak projekt ustawy o zwrocie kosztów wykształcenia przewiduje, że absolwent szkoły zawodowej zasadniczej lub średniej, a także wyższej uczelni, który bez uzasadnionej przyczyny nie przepracował w gospodarce uspołecznionej 10 lat, może być zobowiązany do zwrotu skarbowi państwa setek tysięcy złotych. W myśl kolejnego projektu absolwenci nie podlegający obowiązkowi odbywania służby wojskowej — kobiety oraz osoby niepełnosprawne — mają być kierowani na rok do zakładów, gdzie akurat brakuje rąk do pracy. Skierowania, jak stwierdza się w projekcie, są niezależne od kierunku ukończonych studiów, przewiduje się skoszarowanie, bezpłatne wyżywienie i żołąd szeregowca. Jeśli dodać do tego, że mówi się o zaostrzeniu ustawy o osobach uchylających się od pracy (tzw. ustawa o pasożytach) oraz że od stycznia obowiązuje rozporządzenie Rady Ministrów o czasie pracy, uprawniające kierownictwo zakładów do przedłużania go do 9 godzin dziennie i 48 godzin tygodniowo — to widać, że dla władzy ideałem stosunków pracodawca-pracownik jest obóz pracy.

Z kolei projekty nowych ustaw dotyczących wymiaru sprawiedliwości (o szczególnej odpowiedzialności karnej, o sądach powszechnych i o prokuraturze) przewidują z jednej strony drastyczne zaostrzenie kar za większość najbardziej rozpowszechnionych przestępstw i ograniczają możliwość obrony, z drugiej zaś — godzą w niezawisłość sądów i zwiększają dyspozycyjność prokuratury. Planuje się więc obowiązkowy areszt tymczasowy w sprawach, w których dotychczas można było odpowiadać z wolnej stopy, zlikwidowanie zawieszenia oraz nadzwyczajnego złagodzenia kary oraz podwyższenie grzywien za przestępstwa przeciwko mieniu, popełnione w stanie nietrzeźwym, za spekulację, łapownictwo, pasożytnictwo, bimbrownictwo. Większość spraw ma być rozpatrywana w trybie uproszczonym — jeden sędzia — lub przyspieszonym. W myśl projektów sądy mają za zadanie „ochronę polityczną i społeczno-gospodarczego ustroju PRL”, prokuratura zaś ma ten ustrój „chronić i umacniać” w miejsce dotychczasowej ochrony praworządności. Sędziów i prokuratorów będą oceniać przedstawiciele PZPR i PRON. Ażeby wyeliminować nieposłusznych, planuje się weryfikację sędziów co 3 lata,

możliwe ma być również wcześniejsze ich zwalnianie. Jednocześnie sankcjonuje się praktykę nacisków poprzez odgórne instrukcje: projekt mówi wprost o obowiązku wykonywania przez sędziów zaleceń władzy zwierzchniej.

Kolejnym restrykcyjnym posunięciem mają być zapowiadane od dawna zmiany w ustawie o szkolnictwie wyższym. Mimo nieśląbnych protestów środowiska akademickiego władze nie wycofały się z nich ani o krok. Przeciwnie, kiedy w kwietniu ujawniono nową wersję projektu, okazało się, że ograniczenia samorządności i autonomii uczelni idą w nim jeszcze dalej niż poprzednio. I tak minister ma mieć decydujący wpływ na wybór rektora: akceptuje on kandydatów, a gdy nie zatwierdzi żadnego, może nawet sam mianować rektora. Potrzebna jest także jego zgoda na wybór prorektorów i dziekanów. Akademickie ciała kolegialne mają stracić swe najważniejsze kompetencje praktycznie w całości, a z senatów i rad wydziałów znikną niemal wszystkie przedstawiciele młodszych pracowników naukowych i studentów. Po nowelizacji będzie się można bez trudu pozbyć z uczelni każdego niewygodnego politycznie pracownika: po pierwsze — wszyscy mają być zatrudnieni na okresowych kontraktach, a nie jak dotychczas na stałych etatach; po drugie — nauczyciela akademickiego można usunąć „w przypadku niespełnienia wymogu postawy przejawiającej się w czynnym i pełnym akceptowaniu zasad konstytucyjnego ustroju PRL” (obejmuje to również profesorów i docentów). Wyrzucić można również każdego studenta bez orzeczenia komisji dyscyplinarnej, na wniosek rektora lub ministra. Praktycznie przestaje istnieć samorząd studencki, a organizację lub zrzeszenie studentów można bez problemu rozwiązać, jeśli jego działalność jest „sprzeczna z interesem społecznym”. Wreszcie, na teren uczelni mogą wkroczyć organy porządku publicznego „w razie powzięcia wiadomości o popełnieniu przestępstwa” czyli w dowolnym momencie. W sumie ustawodawca nie ukrywa swoich intencji — chce mieć uczelnie ciche, pokorne, całkowicie poddane władzy administracyjnej.

Szykuje się też jeszcze jedna regulacja prawna, za pomocą której władza chce się zabezpieczyć w najbardziej dla siebie niewralgicznej dziedzinie — znowelizowana ustawa o związkach zawodowych ma wykluczyć możliwość reaktywowania „Solidarności” w jakiegokolwiek postaci. O ile poprzednia ustawa przewidywała, że od 1 stycznia 1986 będzie można tworzyć w zakładzie więcej niż jedną organizację związkową, to nowy projekt przesuwają możliwość pojawienia się ewentualnego rywala „wronionów” w bliżej nieokreślonej przyszłości („termin ustali Rada Państwa”). Natomiast istniejące organizacje nowozwiązkowe usiłuje się sztucznie wzmocnić, aby dało się nimi manipulować z większym skutkiem. A więc po pierwsze — związki mają reprezentować „interesy wszystkich pracowników”, gdy dotychczasowa ustawa mówiła tylko o reprezentowaniu przez nie swoich członków; po drugie — otrzymują one kompetencje w sprawach łączących dotychczas w gestii wyłącznie samorządu (takich jak

czas pracy, płace, sprawy socjalne). Ustawa ma również zapewnić władzy posiadanie w każdym zakładzie choćby garstki dyspozycyjnych nowozwiązkowców, projekt znosi więc ograniczenia dotyczące minimalnej liczby członków: nie wymaga się już 50 osób do założenia nowej organizacji, nie będzie się też rozwiązywać związków, w których liczba członków przez 3 miesiące nie przekroczyła trzydziestu.

Ekipa Jaruzelskiego spieszy się, chcąc wszystkie ważne zabiegi legislacyjne zakończyć jeszcze podczas obecnej kadencji sejmu. Wymienione akty prawne zostaną bez wątpienia uchwalone i władza będzie mogła uznać, że jedyna dziedzina, nad którą w pełni panuje — ustawodawstwo — została wreszcie znormalizowana.

Gdyby brać pod uwagę wyłącznie poczynania władzy, można by powiedzieć, że od zakończenia procesu zabójców ks. Popiełuszki zaczął się proces gwałtownej totalizacji i przykręcania śrub. Jednak okazało się, że ani władza nie jest tak wszechwładna, ani społeczeństwo tak bezbronne, by dało się wcielić w życie nowy generalski porządek. Opór, z jakim spotykają się takie próby, wciąż okazuje się niemożliwy do opanowania. Dynamikę stosunków pomiędzy rządzącymi a społeczeństwem i wyrażającą jego dążenia „Solidarnością” najlepiej obrazuje sprawa podwyżek cen żywności. Zapowiedziane początkowo na 1 stycznia 1985, zostały przesunięte, lecz nie podano konkretnej daty ich wprowadzenia. Jednocześnie toczyły się fikcyjne konsultacje nad trzema pozornymi wariantami: ludzie mieli wybrać jeden z trzech zestawów nowych cen i w ten sposób zyskać poczucie współodpowiedzialności za decyzje cenowe rządu. Manewr jednak nie powiódł się, ilość chętnych do udziału w pseudokonsultacjach okazała się żałośnie mała. Typową postawę w tej sprawie trafnie oddaje zamieszczony w jednej ze związkowych gazetek rysunek z podpisem „czwarty wariant”: robotnik w kasku zamasztyłym ruchem nogi wykopuje przedstawiciela władzy razem z jego trzema wariantami.

Ten właśnie „czwarty wariant” — wymusić drogą nacisku wstrzymanie podwyżek — wybrała „Solidarność”. 21 stycznia TKK wezwała do powszechnego oporu przeciwko polityce wyzysku ekonomicznego, ogłaszając na 28 lutego 15-minutowy ogólnopolski strajk protestacyjny. Tym razem wezwanie podpisał również Lech Wałęsa; w lutym do akcji strajkowej wezwali pozostający na powierzchni członkowie Komisji Krajowej „Solidarności” z różnych regionów. Wobec perspektywy drastycznego obniżenia poziomu życia po raz pierwszy wystąpiło wspólnie tak szerokim frontem podziemne i nazienne kierownictwo „Solidarności”. Sytuację tę tak ocenia Jan Lityński (w wywiadzie dla *Tygodnika Mazowsze* nr 118 z 21 lutego): „Ogłoszenie 15-minutowego strajku nie jest tylko jeszcze jednym wezwaniem. 'Solidarność' występuje tu w sposób oczywisty jako związek zawodowy,

po raz pierwszy od dłuższego czasu nie tylko w obronie pewnych symboli, ale w sprawach konkretnych (...). 'Solidarność' pojawia się jako aktywny czynnik, który może wpłynąć na postępowanie władz. Lech Wałęsa słusznie mówi w tym miejscu o kontrofensywie, o 'odzyskiwaniu pola' przez 'Solidarność'".

Początkowo w zakładach stosunek do strajku był dość krytyczny. Jednak ludzie zmobilizowali się do przygotowań strajkowych. Tam, gdzie działacze nie czuli się dość pewnie, organizowali przynajmniej ulotkowanie, petycje i inne niestrajkowe formy protestu. W miarę zbliżania się 28 lutego nastroj gotowości stawał się coraz bardziej wyczuwalny. Akcje ulotkowe np. osiągnęły olbrzymie rozmiary, porównywalne z okresem przed wyborami. Władze początkowo milczały, gdy wszystkie poprzednie wielkie akcje „Solidarności” próbowały w środkach masowego przekazu ośmieszyć i zbagatelizować. W zakładach natomiast ogłoszono pełną mobilizację: zaktywizowała się zakładowa SB, przesłuchiowano działaczy „Solidarności”, nadzór otrzymał polecenie wzmożonej czujności, zakazano poruszania się między wydziałami, a w niektórych fabrykach odwołano pracę w ostatnim dniu lutego pod pretekstem braku energii, remontów itp.

Tymczasem 23 lutego Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych w głównym wydaniu dziennika telewizyjnego odrzuciło rządowe warianty podwyżek. Dla wszystkich było jasne, że jest to tuba władzy — i rzeczywiście w dwa dni później rząd zapowiedział mgliście, że podwyżki cen zostaną rozłożone w czasie, a emerytury ulegną podwyższeniu. Władza chciała stworzyć wrażenie, że wycofuje się pod wpływem żądań nowych związków, gdy w rzeczywistości była to reakcja na naciski „Solidarności”. W tej sytuacji powstał poważny dylemat: strajkować mimo wszystko czy też odwołać strajk. Czasu było niewiele — praktycznie w ostatniej chwili, 26 lutego, Lech Wałęsa, upoważniony przez TKK do decydowania w tej sprawie, odwołał strajk.

Kiedy 1 marca rząd ogłosił szczegóły podwyżek, wyszło na jaw, że całe jego ustępstwo był taktycznym manewrem. Zapowiedziane rozłożenie w czasie okazało się przesunięciem tylko o miesiąc lub dwa jedynie niektórych podwyżek, ich wysokość pozostała z grubsza taka sama. W tym momencie zaczęto zadawać sobie pytanie, czy odwołanie strajku nie było błędem. Nastroje takie były powszechne, trudno natomiast pozbyć się wątpliwości, czy strajk byłby udany w sytuacji, kiedy wyglądało na to, że władza poszła na poważne ustępstwa.

Mimo wszystko 28 lutego odbyło się szereg strajków i protestów przeciwko planowanemu podwyżkom. Wśród największych zakładów strajkowały niektóre wydziały Huty im. Lenina, Stoczni Gdańskiej, Stoczni Komuny Paryskiej w Gdyni i Warskiego w Szczecinie, Ursusa. Były też przerwy w pracy w dziesiątkach mniejszych przedsiębiorstwach, zdarzało się też, że strajkowały tylko pojedyncze brygady, a nawet osoby.

Wezwanie TKK do strajku 28 lutego było skierowane do społeczeństwa, w którym narastał powszechny opór przeciwko obniżaniu się poziomu życia. Od początku roku w coraz to innych zakładach mnożyły się wystąpienia i protesty w sprawach płacowych, często w postaci strajków. W wielu przypadkach załogom udało się wygrać: uzyskać podwyżkę lub cofnięcie niekorzystnej regulacji płac. Najbardziej uporczywą walkę prowadziły robotnice z warszawskich Zakładów im. Róży Luksemburg. 28 lutego na jednym z wydziałów kobiety zatrzymały na krótko maszyny, co dyrekcja kompletnie zignorowała. Do końca marca kilkakrotnie strajkowały różne inne wydziały, żądając dla całej fabryki dodatkowych 3 tys. zł pensji. Dyrekcja wciąż zwlekała z odpowiedzią na postulaty i targowała się o wysokość sumy, wreszcie w kwietniu obiecała dać podwyżki, nieco mniejsze niż domagały się robotnice.

I chociaż 1 kwietnia mimo wezwania TKK nie było praktycznie żadnych większych akcji, przez cały marzec i kwiecień strajki ekonomiczne i innego typu protesty wybuchały w wielu zakładach we wszystkich regionach kraju. Najgłośniejszy był strajk w zakładach pończosznich „Stella” w Żyrardowie 30 kwietnia, gdzie za przykładem Róży Luksemburg kobiety wywalczyły sobie podwyżkę. Taką atmosferę napięcia w zakładach, przeradzającą się często w strajki, obserwujemy w sytuacji, kiedy nie wprowadzono jeszcze podwyżek, które zawsze powodowały najostrejszą reakcję społeczną — podwyżek cen mięsa.



Walka w obronie poziomu życia była w pierwszych miesiącach roku najistotniejsza, jednak również w innych dziedzinach trwał nieustannie opór społeczny. Wciąż podejmowano różne działania w obronie uwieczonych — petycje, ulotkowanie, hasła na murach. Jedną z efektywniejszych akcji było obmalowanie pociągów wyjeżdżających z Gdańska 12 marca krzyżującymi napisami „Uwolnić więźniów politycznych”. Najmocniej poruszyło opinię publiczną aresztowanie Lisa, Michnika i Frasińskiego. Już w pięć dni później rozpoczęła się głódówka protestacyjna w kościele w Bieżanowie Starym. Podjęło ją początkowo 7 osób z Krakowa i Nowej Huty oraz Anna Walentynowicz, później zaczęli dołączać inni, z różnych stron kraju, niektórzy tylko na dni wolne od pracy. Była to głódówka rotacyjna — jedni kończyli, zaczynali nowi — tak że w sumie w proteście wzięło udział kilkadziesiąt osób. Przez cały czas przybywały do głodujących delegacje z zakładów pracy i innych regionów z kwiatami, wyrazami poparcia, solidaryzującymi się oświadczeniami. W 45-tym dniu uczestnicy głódówki proklamowali ruch pokojowego protestu, którego celem jest położenie kresu represjom politycznym i atakom propagandy na Kościół oraz działania na rzecz realizacji konstytucyjnych zasad wolności słowa i niezawisłości sądów. Kontynuacją protestu w Bieżanowie stała się głódówka w sanktuarium maryjnym



w Głogowcu k/Kutna, również rotacyjna, która trwała od 7 kwietnia do 19 maja. I ta akcja na rzecz uwolnienia więźniów politycznych cieszyła się szerokim zainteresowaniem i poparciem.

Szczególną intencję miała tygodniowa głódówka 20 studentów i absolwentów wyższych uczelni z różnych miast Polski, rozpoczęta w kościele w Podkowie Leśnej 17 marca — została podjęta w obronie Marka Adamkiewicza, skazanego na 2 i pół roku więzienia za odmowę złożenia przysięgi wojskowej. „Traktujemy tę głódówkę — powiedział jeden z jej uczestników, Jacek Czaputowicz (w wywiadzie dla *Tygodnika Mazowsze* nr 122) — jako walkę o poszanowanie godności osoby ludzkiej nawet w wojsku, o to, żeby służba wojskowa nie była związana z łamaniem sumień. Przesłanie, jakie niesie nasz protest, może zwróci uwagę na taki niedoceniany przez zachodnie ruchy pokojowe aspekt sprawy: że największym zagrożeniem dla pokoju jest zniewolenie, dyspozycyjność jednostki w społeczeństwie, także w wojsku. Chodzi nam o uczciwość treści przysięgi i o to, żeby była dobrowolna. Służba wojskowa nie powinna służyć do celów niezgodnych z interesem ojczyzny, jak to było w sierpniu 1968, kiedy polskie wojsko wkroczyło do Czechosłowacji”.

Postawa Marka Adamkiewicza — nie tylko dzięki głódówce w Podkowie Leśnej, lecz i licznym protestom studentów oraz poparciu „Solidarności” — zyskała tak szeroki rezonans, że zapewne wyznaczać będzie nowy standard moralny i wzorzec zachowania. Jednocześnie cała ta sprawa ma szerszy wymiar: zwraca uwagę na problemy wojska i wojny, pokoju i ruchów pacyfistycznych. W Podkowie Leśnej podczas głódówki odbywały się seminaria na temat problemów pokoju w państwie totalitarnym i zależności między pokojem a swobodami obywatelskimi. Uczestnicy zadeklarowali, że pragną, by ich protest stał się początkiem ruchu pokojowego w Polsce. W ślad za tym w Krakowie w początkach kwietnia powstał Ruch „Wolność i Pokój”, którego inicjatorzy (pod deklaracją założycielską widnieją 19 podpisów) oświadczyli, że warunkiem pokoju w życiu politycznym są wolności obywatelskie i że walczyć będą o ich rozszerzenie.

Długo uważano, że niezależny ruch pacyfistyczny nie ma w Polsce szans rozwoju, i to nie tylko z powodu ukształtowanego przez doświadczenia historyczne kultu wojska i walki zbrojnej. Zasadniczą przyczyną powszechnej niechęci do „walki o pokój” jest jej całkowite skompromitowanie i zakłamanie przez komunistów, którzy uczynili tę ideę narzędziem manipulacji politycznych.

Zmasowany atak na Kościół — który obok wprowadzenia podwyżek i walki z opozycją stanowił dla władzy niejako „trzeci front” — również nie przyniósł oczekiwanych rezultatów. Przeciwnie, obserwujemy wyraźnie wzrost autorytetu Kościoła i duchową mobilizację społeczeństwa. Dokonało się, pełniejsze niż kiedykolwiek w naszej historii, utożsamienie Kościoła i Ojczyz-

ny, Kościoła i walczącego z uciskiem narodu. Symbolicznym wyrazem tego powiązania były tegoroczne Groby Wielkanocne, gdzie jednym z dominujących motywów było męczeństwo księdza Popiełuszki i przesłanie „Zło dobrem zwyciężaj”. Oto przykłady z kilku warszawskich kościołów: u Kapucynów na Miodowej portret ks. Jerzego pod znakiem V z biało-czerwonej szarfy; u Jezuitów na Świętojańskiej krzyż z napisem „Zwyciężył” wznosi się z górę, pokonując ciężar worka z kamieniami, nad niebieską folią imitującą wodę, w której spoczywa ciało owinięte całunem i związane liną; u Sakramentek na Krakowskim Przedmieściu całą ścianę ołtarzową wypełnia kolorowe zdjęcie jesiennego lasu jako tła dla monstrancji i figury Pana Jazuesa; u św. Stanisława Kostki prawdziwy las brzoźowy, wśród zeschniętych liści krzyż, ciało skrępowane sznurami z kamieniami u nóg.

Msze za Ojczyznę, za uwięzionych, w intencji chleba dla ludzi pracy odbywały się w całej Polsce, gromadząc wszędzie tysiące wiernych. Nadal trwała walka o krzyże w szkołach i zakładach pracy. W ZPC „Wawel” w Krakowie doszło nawet do strajku, w wyniku którego zawieszono z powrotem pozdejmowane krużgalki.

Wreszcie w Kościele znalazła swoje miejsce kultura niezależna. Ilość wystaw, spektakli, wieczorów autorskich, pokazów filmowych gwałtownie wzrosła. Już nawet niewielkie miasta organizują Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej, ściągając do siebie spotkania wybitnych twórców. Dziesiątki parafii mają sprzęt video i ludzie mogą obejrzeć filmy z pielgrzymki Papieża, po grzebu ks. Jerzego, filmy fabularne, których nie ma w obiegu. I dla twórców, i dla odbiorców życie kulturalne, któremu Kościół udostępnił u siebie miejsce, jest już w tej chwili realną alternatywą wobec kultury oficjalnej.

Jednocześnie niemal od początku roku „Solidarność” przygotowuje się do jesiennych wyborów do sejmu. Mimo podejmowanych przez władzę prób i sondowania możliwości wprowadzenia niewielkiej liczby niezależnych posłów, żeby złamać bojkot — już wiadomo, że panuje powszechna zgodność, iż nie należy iść na wybory. Prasa związkowa prowadzi kampanię antywyborczą, a ogniwa „Solidarności” szykują się do zakrojonego na szerszą niż w poprzednich wyborach skalę sprawdzania frekwencji.

(ja)

19 czerwca 1985 zmarła w klinice w Bawarii Barbara Toporska, znana pisarka — żona Józefa Mackiewicza.

Zygmunt Stankiewicz, Stockholm — Krs. 100,00 i Krs 120,00 — razem: Krs 220,00 .....	F. 231,00
Stowarzyszenie „Solidarność”, Seattle WA (USA) — na pomoc dla prasy i publikacji podziemnych w kraju. (Nadesłał skarbnik Zbigniew Pietrzyk) — \$ 300,00 .....	F.2.730,00

### WPŁATY NA FUNDUSZ DRUKARSKI IM. WŁADYSŁAWA GŁOWACKIEGO

L. L. Keyna, Launceston, Tasmania (Australia) .....	F.9.504,15
L. Marek, New York — \$ 25,00 .....	F. 227,50
Teresa Romer, St. Eustache, Que. (Kanada) — \$ c.40,00 ..	F. 260,00
Wojciech Szczygielski, Zurych — Fr.szw. 30,00 .....	F. 108,00

Kazimiera Lenkiewicz, Stockholm — zamiast kwiatów na grób siostry Janiny Kołodziejczyk: — na „Zeby Polska była Polska” .....	F. 500,00
— na Fundusz „Kultury” .....	F. 500,00

M. W. Kocoń (Kanada) — dla rodziny śp. ks. Jerzego Popie- łuszki — \$ c.100,00 .....	F. 650,00
---	-----------

### OD REDAKCJI

W związku z otrzymaniem szeregu reklamacji ze Stanów Zjednoczonych — zarówno od naszych prenumeratorów jak i z księgarni — że kwietniowy numer *Kultury* w ogóle nie został doręczony — spieszymy zawiadomić, że jak zwykle był wysłany w workach pocztowych 12 kwietnia jednocześnie z ekspedycją do wszystkich innych krajów. Niestety poczta na całym świecie funkcjonuje coraz gorzej i nic na to nie możemy poradzić. Mielśmy już raz podobny wypadek z Kanadą. Worki w końcu się odnalazły i zostały doręczone po 4-ch miesiącach. Miejmy nadzieję, że i tym razem się znająd. Jest to dla nas zmartwienie i strata materialna. Mimo najlepszych chęci nie możemy wszystkim wysłać kwietniowej *Kultury* po raz drugi gdyż nie mamy takiej ilości egzemplarzy.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt légal: 3<sup>e</sup> trimestre 1985.

Imprimé en France  
N° d'imprimeur 7178.

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC  
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1985			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel. 29 1248 .....	\$ A. 5,50	\$ A. 30,00	\$ A. 56,00
AUSTRIA: Henryk Odianicki-Poczobut, 1011 Wlen, Schön- laterngasse Nr 5/2, Stege/Türe 14. Tel. 52-60-175 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
BELGIA: Maria Roudomanska, 132, Avenue Coghén, 1180 Bruxelles. Tel. (2) 345 08 25. Konto 310.0334324.51 w Banque de Bruxelles .....	F.B. 300,00	F.B. 1500,00	F.B. 2750,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do admini- stracji « Kultury » .....	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księ- garniach polskich w Paryżu .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vliessingen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176.	Fl h 15,00	Fl h 85,00	Fl h 155,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin- Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Związkowiec »), 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9 .....	\$ Can. 6,00 DM 13,00 F. 38,00	\$ Can. 35,00 DM 75,00 F. 220,00	\$ Can. 60,00 DM 140,00 F. 400,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1. NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss. ...	F.S. 11,00	F.S. 65,00	F.S. 115,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	K.S. 36,00	K.S. 200,00	K.S. 380,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6.			
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475 8886; Ada Dziawa- nowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104; Krystyna Leser, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20009; H. Kosciuch, 41963 Utica Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Mil- waukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018. Tel. (212) 354-0492; Polish Books & Arts, Inc., 97 East 7th St., New York, N.Y. 10009, tel. (212) 254-8457 .....	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRITANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Ken- way Rd., London SW5. ORD. Tel. (01) 370 2210 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel. 75-67-241 .....	F. 38,00	F. 220,00	F. 400,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 400; półroczna — F. 220.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 5,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:  
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 402 — ZOFIA ROMANOWICZOWA

### **NA WYSPIE**

Nowa powieść znanej autorki to dzieje młodej Polki, ocalałej z niemieckiego obozu śmierci, którą dziwne koleje losu wyrzuciły na wyspę świętego Ludwika w Paryżu.

Str. 168.

Cena F. 65,00.



TOM 403 — ZESZYTY HISTORYCZNE

### **ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY**

Zawiera m.in. opracowania: J. Krajowca: *Czterdziestolatek*; J. M. Oli-ty: *Polacy, Litwini, Rosjanie*; (j.a.): *Październik 1984*; *Akt oskarżenia przeciwko ks. J. Popiełuszcze wraz z aneksem do Aktu*; *Rozmowa z J. E. Metropolitą Szeptyckim*; *Sprawa ukraińska*; J. Szendery: *W poszukiwaniu porozumienia*; J. Nowaka: *Zapiski więzienne Prymasa i raport policjanta*; T. Wyrwy: *Pierwsze lata PRL w raportach dyplomatów francuskich i in. oraz obszerny dział RECENZJI.*

Str. 240.

Cena F. 60,00.



TOM 404 — ADAM MICHNIK

### **Z DZIEJOW HONORU W POLSCE**

**Wypisy więzienne**

Próba analizy problemu honoru we współczesnej literaturze polskiej ilustrowana fragmentami utworów Zbigniewa Herberta, Hanny Malewskiej, Czesława Miłosza, Jana Józefa Szczepańskiego oraz Henryka Elzenberga i Witolda Kuli.

Str. 288.

Cena F. 95,00.



TOM 405 — JAN MUR

### **DZIENNIK INTERNOWANEGO**

(GRUDZIEŃ 1981 - GRUDZIEŃ 1982)

Str. 200.

Cena F. 85,00.